

PAWEŁ POTOROCZYN

L
DZ
KA
RZECZ



Paweł Potoroczyn

LUDZKA RZECZ



Copyright © by Paweł Potoroczyn, MMXIII
Wydanie I
Warszawa

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Ludzka rzecz](#)

Marysi i Staśkowi

Pogrzeby w Piórkowie miały więcej życia niż wesela, kinematograf i elektryczność. Z tą różnicą, że wesela były dla proszonych gości, kino daleko i za biletami, a prądu nie było wcale. Na pogrzeby wraz szedł, kto żyw. I jak tu zresztą pogrzeb opuścić, mus – kiedy bliskich chowają, kiedy wroga – no, uciecha sama. Dla chłopów do gorzałki sposobność doskonała, okazja babom w odświętnych chustkach do skargi i wynarzekañ, swatne kawalery dziewczuchom poubranym w co najlepsze, a i Mordze co łaska parę groszy. Dla Kazimierza – żniwa. Nie, bez pogrzebów nie dałoby się żyć.

Jak kto chciał, mógł niczym Wawrzyniec Kominek na ślub pierwородnego nie pójść, bo mu się inna synowa widziała, na chrzciny wnuka się obrazić, bo mu dali Józef, a nie po dziadku; mógł Wawrzyniec mieć ludziom za złe i z chałupy nie wyjść, bo albo zimno, albo mokro, albo gorąco, ale pogrzebów, choćby i chciał, opuścić nie mógł, bo kościół był na jednym końcu wsi, a cmentarz na górze, na drugim. Najpierw weselny orszak przeciągał z lewa na prawo, potem kondukt z prawa na lewo, i już. Tak to się koło ludzkiego żywota na prostą drogę pod oknami przekładało, wzdłuż piórkowskich płotów.

Dokładnie wtedy, kiedy pękło serce Jana, chowali partyzanta. Partyzant był prawdziwy, z AK, i naprawdę zginął. Ludzie wystarali się o deski, a ksiądz Morga zamiast tabliczki świętej pamięci taki a taki, żył tyle i tyle, przybił do trumny smyczek.

Strzelaninę przy trzech wierzbach słyszał cały Piórków. Różni wtedy strzelali po lasach i piórkowscy znów modlili się, żeby tylko żaden Niemiec nie zginął. Za pierwszego zabitego szwaba Zerbst zastrzelił księdzu parobka, ostatniego młodego i silnego chłopca we wsi, do którego przewracały oczami wszystkie piórkowskie panny. Za drugiego kara była sroższa – piórkowskie panny pojechały na roboty do Rzeszy. Niby niedaleko, bo Rzesza zaczynała się wraz za

buczyną, ale nie wróciła żadna. To znaczy, jedna potem wróciła, ale już nie panna.

Za ostatniego tylko pozabierali lampy naftowe, bo Zerbst i tak go nie lubił.

No więc strzelaninę słychać było wszędzie – od trzech wierzb pięknie się niosło w obie strony, nad buczyną, nad krostkowymi łąkami, piaskarnią, dalej niepojętym sposobem mijało kolonię Siwe, gdzie nikt nigdy nic nie słyszał, i dobiegało do Zatylniej. Bardziej to z odległości przypominało pukanie wielkanocne kapiszonowe albo strzały z bata niż bitwę. Trzeba było wiedzieć, do którego wiatru ucho przyłożyć.

Kazimierz wiedział, chyba nawet wiedział coś więcej, bo zaczął szykować karawan z samego rana, kiedy zabity partyzant nie był jeszcze tak całkiem zabity, jeszcze czyścił buty i zawijał onuce. Kazimierz nawet w najgorsze roztopy czyścił cały drajem tak, że można się było przejrzeć w jego czerni. Także Jasiu w najgorsze błocko czyścił oficerki na błysk.

Nie wiadomo, czy tamtego poranka, przeglądając się w ich czarnym świetle, Jasiu Smyczek zobaczył przeznaczenie, którego nie widział Kazimierz w czarnych lustrach karawanu, czy też to Kazimierz ujrzał Smyczkową śmierć, której nie rozpoznał Jasiu. A może Smyczek oglądał to, co było, kiedy Kazimierz widział, co będzie, albo może patrzyli na to samo, tylko z dwóch różnych stron karawanu? Na koniec obaj pociągnęli po łyku karbidówki i każdy poszedł w swoją stronę, Kazimierz do stajni, Smyczek na wojnę.

Ciało Smyczka przywieźli do Piórkowa na ciężarówce, rzucili pośrodku drogi między cmentarzem i kościołem, wedle Kaczorowej chałupy, prosto w ciepłe, wiosenne błoto. Zanim się ludzie zbiegli, nadjechał Zerbst i nie wysiadając z samochodu, przywołał księdza Morgę. Coś mu tam po ichniemu nawrzeszczał, pomachał pistoletem i tyle go widzieli.

Błota było tamtej wiosny co niemiara. Wąskie, drewniane koła karawanu zapadały się po osie. Po płaskim jeszcze szło ciągnąć, ale pod górkę, zwłaszcza koło podtopionych krostkowych łąk, Kazimierz, ksiądz i Wanda piekarszowa musieli zsiadać z kozła i pomagać wypchnąć drajem z bagiennych kolein. Dobrze, że tylko skrzypce wieźli, one lekkie, ze stukilowym Smyczkiem i solidną trumną chyba by nie dali rady. W kolonii, kto mógł, wyległ przed chałupę. Nikt nigdy nie widział, żeby Siwi głowy odsłaniali na widok trumny albo nieboszczyka, a tu proszę, samym tylko skrzypcom czapkowali, a niejeden jeszcze znak krzyża uczynił. Było ciepło, przymrozki nie zdążyły osuszyć ziemi, nim spadły pierwsze wiosenne deszcze. Było za ciepło i mimo że Zerbst zakazał księdzu chowania partyzanta, nie można tego było odkładać.

Kiedy ksiądz Morga pośrodku wsi, wedle Kaczorowej chałupy, oznajmił, że i tak Jasia pochowa, na piórkowskich padła groza. Bo niby jak, kiedy Zerbst zakazał? Pochować bez tabliczki, w niepoświęconej ziemi, bez nazwiska na grobie to i grzech, i niegodziwość, bo ani Jasiu przybłąda, ani samobójca. Pod nazwiskiem też pochować nie godzi się, bo starych ojców Zerbst niechybnie zastrzeli albo i jeszcze pół wsi z dymem puści, jak w Bołtuciach, że wiedzieli, a nie donieśli.

Strach ludzka rzecz, a księża robota chować umarłych. Nakryli Jasia kapą a przykazali małej Zosi Kaczorowej, by psy i ptaki odganiała. Naradzali się osobno, chłopci i baby, dumając nad tym, z czego zbić trumnę, w co ubrać nieboszczyka, czy ciało ma umyć piekarszowa, czy ślepa Walerka, skąd wziąć gromnicę i komu przypadną oficerki. Piórkowscy radzili, a Morga podreptał do Zatylniej, odmówił różaniec z piekarszową i Kazimierzowi powiedział, że już czas.

Wanda zasłoniła lustro, przyodziała posiwiąłą od mąki czerń, co od pogrzebu piekarza nie opuściła skrzyni. Z drugiej izby przyniosła zmatowiałe skrzypce i kuferek z mondurem dla Jasia. Kazimierz zawiesił w kryształowych oknach nakrochmalone firanki, ksiądz położył skrzypce w karawanie, pomógł Wandzie usiąść na kozle i pojechali po Smyczka.

Nim dotarli do wsi, ślepa Walerka skończyła myć Smyczka i Wandzie zostało już tylko ubieranie. Czysty i uczesany, z grudką piórkowskiego błota w uchu, której starowina nie mogła zobaczyć, leżał na rzeźnickim stole w nieużywanej od śmierci Walerego masarni, zimnicy bez okien, gdzie lód wyrąbany z lutego stawu chłodził aż do Bożego Ciała albo i dłużej. Mógł mylić, z zamkniętymi oczami, z szeroko rozrzuconymi ramionami, okryty w pasie czystą lnianą serwetą. Tylko dwa otworki, w mostku i splocie słonecznym, nieduże, jakby raczej z bliska strzelano, bordowosine jak wyciśnięte dojrzałe czyraki, patrzyły śmiertelnie poważnie na bieloną powałę. Inaczej mógłby kto pomyśleć, że Smyczek pokrzepia się snem po miłości z Wandą albo drzemie, czekając na nią, aż skończy pacierz. Jasiu był uśmiechnięty, jakby sam nie dowierzał, że taka ilość życia może wysypać się przez takie małe dziurki.

Ubrać zabitego na śmierć stukilowego chłopca trudniej niż rozebrać zaciągniętego do domu pijaka, to i umęczyła się Wanda serdecznie. Najtrudniej szło z butami i już myślała, że pochowa Jasia tak, jak się urodził, boso. Ale mondur ci leżał na nim tak, że nie mogła mu tego zrobić, pojmując, iż piękna śmierć jest tyleż warta, co piękne życie, a pogrzeb jest tylko dalszym ciągiem wesela, o ile żeni się i umiera piękna miłość. O ile naprawdę umiera.

Pod chałupą zebrali się już piórkowscy, czekał ksiądz, chłopci z trumną, no i Kazimierz. Baby w czarnych chustach, każda z odświętną torebką, zawodziły *Dobry Jezu*, Morga bezcennym gwoździem do podków przybijał smyczek do trumny, Kaczor ustalał, kto poniesie chorągiew, kto krzyż, a kto skrzypce, które Kazimierz właśnie wydobył z karawanu.

Wanda odwinęła płócienne onuce, obmyła Smyczkowi stopy olejem z kaganka i oficerki same wsunęły się na Smyczkowe nogi. W pośpiechu i nędznym świetle założyła lewy but na prawą nogę, a prawy na lewą i tak już musiało zostać. Na koniec wetknęła mu w dłoń białą chusteczkę o koronkowych brzegach, postrzępionych

jak tamto zdjęcie. Jasiu był gotów do drogi. Wanda nie uroniła jednej łzy.

Smyczka, którego trup w wiosennym błocie miał służyć ku przestrodze, cała wieś przyszła odprowadzić, nawet z Zatylniej przyszli, tylko z kolonii Siwe nikogo nie było. Wawrzyniec Kominek, co ludziom miał za złe i go nigdy w kumy nie prosił, pospołu ze swoim pierworodnym Wawerkiem, z którym od zapowiedzi słowa nie zamienił, ułożyli ciało w trumnie, bo im tak Morga kazał. Dziwowali się, że Smyczek ma buty na opak założone, ale po cichu, każdy sobie czyli. Może też pomyśleli, że to obyczaj jaki w Zatylniej albo gdzie dalej, skąd Wanda pochodziła. Obyczaj ludzka rzecz, u każdego inny i nie Kominków sprawa dochodzić dlaczego. Sapnęli, dźwignęli, wieko zawarli i lekko, nie do końca gwoździami przyłapali, żeby się łatwo w kościele na katafalku dało rozewrzeć.

– Ano, szkoda – westchnął Wawrzyniec – porządne buty. I tyle go Wawerek usłyszał na następne dziesięć lat.

I jechał Smyczek z fasonem, w mondurze, środkiem wsi, jak jaki księżę albo marszałek. Koła karawanu z gracją miały wiosenne błoto, mieszając brudną wodę z końskim gównem, przeszłość z przyszłością, los i prorocstwa. Krochmalone firanki przesłaniające górną połowę kryształowych okien, białe jak ośnieżone szczyty gór, przyćmiewały chłopską filcową elegancję. Idący za karawanem w kondukcje przeglądali się w jego tylnych drzwiach, zwierciadła ostateczności, a potem pierwsze krople deszczu spadły na zmatowiałe skrzypce.

Nie wiadomo, co było najpierw, cmentarz czy Piórków. W Zatylniej mówili, że cmentarz, a dopiero potem chałupy dookoła pobudowano, dla wygody, żeby bliżej było. W Piórkowie powiadali, że najpierw był kościół, potem wieś, a na końcu cmentarz. W kolonii Siwe mawiali, że najpierw to był tylko sracz-wychodek za Kaczorową chałupą i straszny smród, a wieś zaczęła się dopiero, jak Siwi, jeden w drugiego tędy cieśle, Jana na wysokiej dzwonnicy zawiesili. A jeszcze dziedzic mówił i nawet pokazywał Mordze jakieś

dokumenty, że najpierw Radeccy kościół ufundowali dla siebie i dla swoich kmieciów, a miejsce wybrali suche i malownicze, i na górze, żeby się dzwon dobrze niósł i żeby niedaleko od dworu i blisko do wsi było, a chłopstwo zbiegłe z Korony i tutejsze ongiś wyzwolone chałupy dobudowało. Morga nie mówił nic, bo przyszedł na gotowe. Cmentarz tylko ogrodził i sobie pomnik na zaś postawił, bez napisów jeszcze, ale wszyscy wiedzieli.

Kondukt najpierw ruszył w prawo, do kościoła, w ciszy, w której, zdawało się, słychać było rzadkie krople deszczu z jękiem padające na skrzypce. Drajem na przedzie, potem chorągiew, dalej Morga z brewiarzem, a za nim w pierwszym szeregu Wanda z ojcami Jasia po obu stronach. Wanda nie płakała, patrzyła przed siebie wzrokiem, który przebijał czerni chorągwi, którego nie mogły zatrzymać plecy Morgi ani czarne lustra karawanu, ani wrota kościelne żelazne. Czy patrzyła w przód, czy nazad, modliła się czy klęła, może siedziała nad kajetem, gdy Smyczek zakładał kolejną płytę na patefon, jeszcze raz rodziła ból i jeszcze raz, i jeszcze raz, może znów wyciągała poduszkę spod głowy piekarza, a może tylko zastanawiała się, co piórkowscy powiedzą, oficerki na opak założone ujrzawszy. Ojcowie Jasia, za starzy, żeby ich śmierć dziwiła, mieli oboje na twarzach ten sam cierpliwy i wyrozumiały uśmiech następnych w kolejce, przed których wcisnął się niecierpliwy młokos. Niosący chorągiew Kaczor, jak jaki mistrz ceremonii, choć srodze wystraszony, żeby z tego czego nie było, miał minę najważniejszego uczestnika wydarzenia. Piórkowscy zachodzili w głowę, czy z oddziału Smyczka się kto ostał i czy, nie daj Bóg, przyjdzie. A może się i oddział rozwiąże, bo czasy takie, że trudno swoich wykarmić, a cóż dopiero leśnych. Morga w myślach wadził się z Panem złoczyńców, cudzołózców i straceńców, szafarzem talentów.

Deszcz ustał, za chwilę wyjrzało słońce i zaczęło pochyłać piórkowskie płoty, nad Zatylną mozolnie wygięto tęczę i utopiło ją we stawie. Zadarte wiosenne chmury odchodziły za horyzont jak postawione kołnierze jeńców wziętych zimą. Okna chałup, jedno po

drugim, przekazywały sobie obrazki z pogrzebu. Na końcu konduktu nieokiełznana dzieciarnia bawiła się w akowców i gestapo.



Sędziwy Głowacki Franciszek, piekarz, schodził długo i kłopotliwie. Przed samymi świętami czeladnicy zażądali podwyżki, a chytrzejszy jeden nawet wyzwolenia, bo mu się własna piekarnia w Bołtuciach widziała.

– Sztrejki – powiedzieli. – Albo dacie opłatkowe, a z Nowym Rokiem po groszu od bochenka na trzech, albo se sami te worki dźwigajta.

I nie popuścił Franciszek, naurągał, a mądrała to i batem dostał. Zawziętość taka go wzięła, że mimo lat sam chwycił półmetrowe worki mąki i dalej kłusować z nimi przez podwórze, od spichrza do piekarni. Zawziętość ludzka rzecz i jak wszystko, co ludzkie, swoją cenę ma. Za czwartym workiem podźwigał się Franciszek i jak stał, tak obalił się na klepisko.

Biegnie Wanda, patrzą czeladnicy, czapki na tył pustych łbów zsunięte, niepewne to i już o sztrejku pamiętać nie chce, jednemu tylko świst bata w duszy gra, ale i on nad piekarzem klęczy pochylony. Posłała Wanda, kto był pod ręką, po felczera do Białobrzegów, Franciszka do izby przenieść kazała i lejcami zaczęła sprawiedliwość wymierzać. Sprawiedliwość było aż w Piórkowie słychać.

– Krew go zalała – powiedział felczer, Franciszka zbadawszy. – Nagła krew go zalała, żyłka w głowie mu pękła. Długo tak nie pociągnie, ale ja Wandzie we wszystkim chętnie pomogę, znam się na tym i owym, więc jakby co...

Czy Franciszek był za stary, czy Wanda jakich sposobów się miała, dość, że potomstwa nie mieli. Ale poza tym Wanda żoną była przykładną. Młodsza od piekarza może i o czterdzieści lat, dbała

o niego jak o rodzzonego ojca. Starowna i uczciwa, czego więcej trzeba w latach, kiedy żądze są tak mizerne, że można się do nich przyzwyczaić, swędzenie raczej niż rozpalone żelazo. I Franciszek odpłacał jej dobrocią, traktował jak dziedzic świętej pamięci dziedziczkę, nie żałował nafty, gdy Wanda chciała w zimowe noce czytać stare kalendarze. Kupił jej nawet patefon.

Wanda, piękna a żyzna, leżała odłogiem i nie wydawała się z tego powodu nieszczęśliwa. Wieś tego nie rozumiała od dnia, gdy Franciszek przywiózł pannę młodą z goszczyńskiego odpustu, aż po dzień, w którym powaliła go nagła krew. Biedna, piękna Wanda też tego nie rozumiała, aż zawitał do niej Smyczek z kolędnikami.

Mężatek Jasiu nie ruszał, chyba że się która sama prosiła, ale i to daleko od rodzinnej wsi. Co innego panny, druhny, Żydóweczki, a już młode Cyganki to zwłaszcza, a jakże, wtedy jakoś zawsze w okolicy można było wypatrzeć tabor. Że byli, poznawało się po wypalonych trawach ich ognisk na krostkowych łąkach, po ciepłym popiele na pastwiskach wedle buczyny. Że będą, można było poznać po bocianach, do dwóch niedziel po ptakach pojawiał się pierwszy tabor. Że znikną, można było poznać po minie Zerbsta.

Jasiu ledwo stał na nogach, raczej pisał, i Gwiazda Betlejemska chybotwała się nad jego głową jak ciągnąca ku ziemi kometa. Zdaje się, gwałtownie wytrzeźwiał, Gwiazda znieruchomiła, ogień ci w nim krzepnie, blask ciemnieje. Śmierć cicho gwizdnęła z zachwyty. Turoń widocznie wstrzymał dech, bo mu para z gęby przestała lecieć. W jasnym prostokącie drzwi, jak w ramach obrazu, kolędnikom ukazała się Matka Boska. Jeśli miał kiedy Smyczek widzenie, to właśnie wtedy. A Wanda przyjrzała mu się z uwagą, bo wyglądał, jakby świecił.

I co, że mężatek w zasadzie Jasiu nie ruszał, a jakąż z Wandy mężatka. Franciszek nie mógł ruszyć żadną kończyną, oddychał tylko, przetykał, podnosił i opuszczał powieki, ukazując martwe oczy, puste i matowe, jak powleczone parafiną. Była Wanda zacną żoną, to myślała, że tylko jej roboty od tego nieszczęścia przybędzie,

a roboty bała się najmniej. Zmęczonej przyrodzie było zaś doskonale obojętne, czy sędziwy piekarz kładł się przy swojej kobiecie na kolejną jałową noc, czy też utrudzona niewiasta kładła się w drugiej izbie, nie mogąc znieść cuchnących odleżyn. Ale przyroda nie zna grzechu, grzech ludzka rzecz, choć przyroda do niego popycha i jak powiadają, zaczyna się tam, gdzie ona kończy.

Grzeszne były wizyty Jasia, o których gadali i w Piórkowie, i w Zatylniej, że przychodzi, do młyna po mąkę jeździ, z Żydem Hahamem się targuje, piekarza czyści i obmywa, z boku na bok i z pleców na brzuch przewraca tylko po to, żeby pod wieczór parę chwil z Wandą przy kuchennym stole posiedzieć. Grzeszne były dźwięki patefonu dobiegające z rozświetlonych okien, wymykające się kominem i szparami we drzwiach, melodie, których Jasiu słuchał jak zaczarowany, patrząc na Wandę liczącą pieniądze lub zapisującą coś w gęsto kratkowanych kajetach. Grzeszny był już sam ruch, jakim Wanda kręciła korbką patefonu. I cóż, że podług ich naiwnych mniemań skoro nie było piekarza, to i grzechu nie było. W Piórkowie to nie Pan sumienia sądził i odpuszczał, ale piórkowscy.

Nie zaniedbał Jasiu łobuzerki i z nastaniem wiosny jakby mniej czasu spędzał za kuchennym stołem. Już wówczas Wanda co wieczór wystawiała patefon w oknie otwartym na oścież, chcąc go muzyką zwabić pod swój dach, bo i ona niewinna nie była i także samo na Smyczka patrzyła, zwilżona, znad kratkowanych kajetów. A Jasiowi jeszcze inne melodie w głowie szumiały.

W Palmową Niedzielę wrócił Jasiu z kolonii Siwe prawie nieżywy. Właściwie nie tyle Jasiu wrócił, ile go Siwi wrócili, a chciała Opatrzność, że do Wandy bliżej im było niż do Smyczkowej chałupy, więc go na jej progu zostawili półżywego. Ze skóry to tylko buty Jasiu miał całe, resztę Smyczka pokryły siniaki i strupy, bo w kolonii obcych nie bardzo lubili. Po prawdzie, nikogo nie lubili, bo każdy był obcy.

Takim go Wanda na progu znalazła, z kościoła wróciwszy. Starsza od Smyczka, już raczej kobyła niż klacz, pierwszych odkryć dokonała, rozbierając obitego do nieprzytomności chłopca. Dotknęła go tu i ówdzie, no z ciekawości raczej niż z pożądania, a Jasiu odpowiedział. Dotknęła znów, a w odpowiedzi usłyszała zachęcające mruknięcie. Położyła się koło niedobitka i objęła całym ciałem. Sądząc, że Jasiu niewiele czuje, a jeszcze mniej zapamięta, zebrała się na odwagę, splotła dłonie na Smyczkowym przyrodzeniu i wraz usłyszała swoje własne mruknięcie – czegoś takiego Wanda jeszcze nie widziała, nawet wątpiła, czy Jasiowa odpowiedź potrafi zmieścić się w kobiecie.

Przez tydzień okrągły jak bochenek piekarnia nie piekła chleba, inne płomienie inny zaczyn rozgrzewały, wzbierało i rosło coś, czym nakarmić wprawdzie nie można, ale i bez czego wszystko inne nie ma smaku. Żądza ludzka rzecz, po ludzku się rodzi i po ludzku umiera, a po drodze tak samo dręczy i jest zadręczana.

Może Smyczek nie pamiętać tego ciepła pełnącego oddechem pod pierzyną, tego zapachu chleba i pokory, może nie pamiętać lipnącego potu, naderwanego ucha i bólu połamanych żeber. Ale nie zapomni po kres swych dni, co usłyszał od Wandy pierwszego z owych siedmiu dni stworzenia. Czegoś takiego Smyczek nigdy przedtem nie słyszał, bo w Piórkowie o miłości gadał tylko Morga, podniośle a nudno.

Rozszczepili się, kiedy w sieni zostały już tylko kiszone ogórki.

Gdy w następną niedzielę Wanda zajrzała do drugiej izby, pożółkły i zarośnięty piekarz wciąż tam był, jak drzewo zasadzone przed wiekami, które dla czegoś to zapomniano wyciąć, mimo że spróchniałe, że zasłania światło, martwy pień w ogrodzie wiatrów. Odkrycie obecności Franciszka przypominało odkrycie innego świata, kontynentu goryczy bez przyszłości i bezradności bez wyjścia. Wokół wypalonej świecy poniewierały się pokurczone ćmy. Nad łóżkiem piekarza, jak baldachim, zawisa pajęczyna, całun bezszelestnie utkany przez wiosenne pająki, nieodróżnialny kolorem

i materia od siwizny piekarza. Łudząco martwy wzrok pokrytych parafiną oczu stwarzał pewną nadzieję, którą rozpraszał słaby oddech, zauważalny nie poprzez ruch klatki piersiowej, lecz przez nieznaczne falowanie pajęczyny zwieszającej się z zagłowia łóżka w pobliżu ust. Wanda cofa się odruchowo. W pokoju za nią legowisko pełne prawdziwego grzechu i prawdziwego szczęścia, w pokoju przed nią barłóg cierpienia i beznadziei, esencji życia, namiastki śmierci. Izba szczęścia i izba Prawa, prawda natury przeciwko prawdzie wiary.

Długo, bardzo długo Wanda krąży między Genesis i Apokalipsą. Mając do wyboru zło i zło, wybiera uzasadnienie. Zegna się krzyżem, wyciąga poduszkę spod głowy Franciszka i kładzie mu ją na twarzy. Zegna się jeszcze raz i cicho wychodzi.



Za życia, za tamtego życia, jak sam mawiał, Jasiu był postrachem bogatych gospodarzy, panien i ich kawalerów. Najwyższy w całej okolicy, z dwoma nożami w cholewach królował na dożynkach i zabawach. Chyba jako jedyny w Zatylniej pił wódkę na borg i pieścił dziewczuchy uparcie odmawiające wszystkim innym kawalerom. Ukradł automobil w Jędrzejowie i nieprzyuczony dojechał nim aż do Krostek. Myśląc, że auto się popsuło, rozebrał je do ostatniej śrubki, popatrzył, podumał, potem złożył do kupy, nalał benzyny i z wielkim fasonem, porywając po drodze w Białobrzegach fotografa, zajechał po Wandę. Nim na patefonie skończyła kręcić się pierwsza płyta, pod piekarnią stał już policmajster.

Z więzienia Smyczek wyszedł inny jakiś, odmieniony, przetrącony jakby. Cała wieś wyległa, żeby zobaczyć przybysza, który wolnym krokiem schodził drogą z górki od strony cmentarza. Pełną wiatru, szeroko rozpiętą lnianą koszulę zamienili mu na kaftan, podgarbili, ostrzygli, wyuczyli dreptania i picia bez zakąski. Niósł ze sobą czarny futerał, kształtu coś jak piórkowskiej baby w miniaturze, nieduże to, mała głowa jakby bez szyi i szyja bez głowy, duże cyce

i rozłożył się bez nóg. Pokłonił się ojcom, przywitał z sąsiedztwem, księdza jak należy w rękę ucałował, poprosił – naprawdę poprosił! – o konia, po czym na oklep pokłusował do Zatylniej, przycisnąwszy ramieniem czarne pudło.

Najbliższy telegraf był w Bołtuciach, telefon chyba w Częstochowie, ale piekarczowa Wanda już знаła nowinę i już biegła mu na wprost, z zakasany fartuchem, ubielona, jedną ręką podtrzymując spódnice, drugą próbując podczas biegu okiełznać piersi wylewające się z koszuli.

O więzieniu Smyczek powiedział tylko, że było w Tarnowie. Skrzypce, przyznawał, ukradł pijanemu lichwiarzowi.

– Powiedzcie, Smyczku, gdzieście się nauczyli grać – pytali piórkowscy.

– U Cyganów – odpowiadał Jasiu, uśmiechał się jakoś tak na czarno, stroił instrument, pociągał smyczek kalafonią, stawał w małym rozkroku na lekko ugiętych kolanach i już było po nim – szedł prosto w objęcia swojego własnego Pana, szafarza talentów, Pana złoczyńców, cudzołózców i straceńców.

I było w tej muzyce wszystko, czym Smyczek słynął, zanim ktokolwiek nazwał go Smyczkiem, było o wybitych zębach osiłków z kolonii Siwe, były druhny dupcone po krzakach wokół weselnego domu, pot i przekrwione oczy, smak gorzałki. Grywał rozwiązłe tanga i surowe mazury, piękne jak pogrzeb chłopskiego senatora. Kiedy indziej brzmiał wyszukanyimi zdaniem, wolnymi od gramatycznych błędów, a w jego walcach kandelabry przeglądały się w pałacowych parkietach, po czym nagle targał trzema wierzbami i zaś skrzypił kołami karawanu na piaszczystej drodze do Broniszewa.

W dziewięć grzesznych miesięcy potem piekarczowa urodziła martwego chłopca. Przez te dziewięć miesięcy Jasiu najpierw grał Wandzie, potem jej chciwemu dźwięków brzuszysku, wreszcie grał dla chleba, którego już nikt nie chciał u Wandy kupować. Chodził ze swymi skrzypcami do Krostek, do Bołtuciów, do Częstochowy, był

nawet w Krakowie i w Kielcach. W Tarnowie – nie, za żadne pieniądze. Grał na weselach i pogrzebach, w kościołach i na kirkutach, na chrzcinach, w domach schadzek i na odpustach, a potem jeszcze i dziedzicowi na melankolię. Grał wszędzie tam, gdzie ich grzech nie zagłuszał muzyki. Skrzypce były kradzione, prawda, ale muzyka była Smyczka, a Smyczek był Pana i Pan się tego nie wypierał, inaczej byłby Smyczek zginął od pioruna albo choroby, albo od żmii, a nie od Niemca. Zresztą, czy może grzech od Pana pochodzić?

Ludzie znów zaczęli piec chleb po domach. W rok po śmierci piekarza z trzech czeladników został pięknej Wandzie jeden, a i to niemowa, trzymany raczej z litości niż z potrzeby. Ludzie woleli swój własny chleb, kwaśny jak ich uczucia, jak oni sami w kolorze ziemi. Taki to był odwet jak ich małe, płaskie bochenki, niewyrośnięty. Zawieść ludzka rzecz. Grzech i inne żywioły, jakie są zazdrość i plotka-obmowa, szkaradnie rozpętane na długie miesiące zawisły nad szczęśliwym domem.

Nie przyszło Wandzie łatwo wypowiadać się po śmierci piekarza. Na wszelki wypadek w tamtą Wielkanoc w ogóle nie zjawiała się w kościele. W Wielką Sobotę ze święconym posłała przygłupiego niemowę i wróciła do Smyczka, tyle już wydobrzałego, że mu przez ten kwadrans, co Wanda święcone szykowała, już zaczęło jej brakować. W niedzielę zaś oznajmiła Jasiowi, że się piekarzowi zmarło. Nie dochodził Smyczek, co i jak. Zmarło się, to się zmarło, i już. Ludzka rzecz. Miał widać Franciszek pisane. Tyle w nim życia było, co w zakopcowanych ziemniakach.

Piórkowscy też myśleli, że dobrze się stało, bo pora i czas już były dla piekarza, i dobrze, że człowieczej męce też przychodzi kres, bo to zawsze jest jakaś nadzieja, i jeszcze dlatego dobrze, bo dawno tak uczciwie zasłużonego pogrzebu nie było.

Morga nie mógł uwierzyć. O harcach ze Smyczkiem słyszał, ale co innego ludzkie gadanie, a co innego spowiedź święta. Był środek tygodnia, w kościele nie było nikogo prócz Wandy, księdza i może

jeszcze Ducha Świętego. Wanda mówiła powoli i wyraźnie, a nie było w jej głosie bojaźni ani skruchy, tylko zakłopotanie. Morga słuchał, nerwowo kręcąc się w konfesjonale, jeszcze nim doszła do kiszonych ogórków. Kiedy wyznała, jak odszedł piekarz, proboszcz zerwał się i łopocząc sutanną, wybiegł z konfesjonau. Wanda, wciąż na kolanach, wodziła za nim wzrokiem, w miarę jak Morga, na zmianę to łapiąc się za głowę, to czyniąc znak krzyża, przybliżał się i oddalał.

– Nieszczęsna! – wołał. – Mężobójczyni!

Wanda w końcu wstała z kolan.

– Czy to grzech jaki skrócić męki?

– Czyje?! Jawnogrzesznico, czyje? Twoje czy twego dobroczyńcy?

– Tego, kto cierpi – bardzo spokojnie odpowiedziała Wanda.

– Od tego jest Pan, grzeszy, kto ubiega jego wyroki! – grzmiał Morga. Zdyszany przysiadł w otwartym konfesjonale, stulą otarł pot z czoła.

– A jakaż to różnica, czy Pan ludziom skraca męki, czy oni sami?

– A taka, że Pan skraca męki z miłosierdzia dla człowieka, a ty, niewiasto, z miłości do gacha. Ludzie może ci to wybaczą, Kościół nie!

W Wandę jakby inny duch wstąpił, siła jakaś, z którą Morga zadarł, a której istnienia chyba nie podejrzewał. Nachyliła się nad nim tak blisko, jak tylko na to pozwalał konfesjonał, niemal wsadziła głowę do środka, aż proboszcz cofnął się, żeby ich czoła się nie spotkały, i wparł plecami w ścianę. Nie bojaźnią i nie skruchą, lecz rozczarowaniem zabrzmiało jej pytanie.

– To z miłosierdzia można zabić, a z miłości można tylko umrzeć?

– I jeszcze bluźnisz, przekłeta! – Morga już miał w zanadrzu gotowy werdykt, werdykt, który unosił się w powietrzu jak zapach świec i kadzidła, jak drobiny kurzu w strumieniu światła padającym z witraża. – Nie ma dla ciebie rozgrzeszenia, nie ma i nie będzie!

Wanda cofnęła się o krok, poprawiła chustkę na głowie, jeszcze raz spojrzała księdzu w oczy, bez strachu i bez większej wiary, że pojął, jak piękna potrafi być siła wiodąca do upadku.

– Od tego jest Pan, grzeszy, kto ubiega jego wyroki – powiedziała, po czym zaciągnęła Mordze zasłonę w konfesjonale jak kurtynę dzielącą piekło i raj na dwa małe czyścice. Wyhaftowany na zasłonie smutny Chrystus patrzył w ślad za Wandą, jak wychodząc z kościoła, odwróciła się w stronę ołtarza, by klękawszy, szybko uczynionym znakiem krzyża pojednać się ze swoim rozczarowaniem.

Próbował i Smyczek pojednania. Błysnął nożem zza cholewy, kiedy Morga pochówku odmówił noworodkowi. Że nieochrzczone, że w grzechu poczęte, ale najbardziej, że w futerale na skrzypce, bo to święty sakrament, nie zaś cygański obrządek. Kazimierz zgodził się darmo jechać na cmentarz, bo nie miał Smyczek nawet na dziecką trumienkę, jaką tylko na wymiar robią, a co dopiero na pogrzeb. Wanda, gorączkująca w połogu, nie szlochała, kiedy Smyczek układał dziecko w futerale, nie płakała, kiedy futerał umieszczał w karawanie przestronnym i widnym jak świąteczna izba, patrzyła tylko, patrzyła jeszcze długo potem, jak drajem zniknął na piórkowskiej drodze. Wanda, nucąc jednego ze Smyczkowych mazurów, ułożyła w kolebce skrzypce.

– Posłuchajcie, księżę – syknął Smyczek, odcinając długim, prostym nożem kolejne guziki od księżowskiej sutanny, jak w jakiej wyliczance. – Odmówiliście mnie ślubu, kobiecie mojej komunii odmawiacie, ojców moich z kolędą omijacie, mnieście z ambony zapowiedzieli, że u siebie nie pochowacie, ale dziecko? Ono niewinne. Straszna rzecz duchowną osobę zarznąć, ale zarzną, wołajcie zaś organistę...

Morga, który jeszcze jako kleryk bolszewikom stawał i lękliwy bardzo nie był, w mgnieniu krótkim jak błysk noża pojął, że to nie Smyczek mówi, ale Smyczkiem sprawiedliwy głos powiada.

– Dlaczego ślubu odmówiłem, to ty już dobrze wiesz – powiedział. – Schowaj, Smyczku, nóż. Ja tobie to szaleństwo wybaczam, boś rozum potracił, ale kara Boska cię nie minie. Dwieście lat czyścica masz jak amen w pacierzu. Egzekwie urządzą i bękart ci przyjmę do siebie, ty zaś i twoja ladacznicą grzechu

zaniechacie, każde pójdzie precz swoim bezdrożem, nawet nad jego grobem się nie spotkacie, chyba że nad własną mogiłą. Klątwa na was i hańba, póki Morgi u ołtarza. Zgodzisz się, pochowam, nie zgodzisz – będziesz musiał mnie zabić i nie będzie miał ci kto dziecka pochować, a mnie, Morgę, jeszcze na ołtarze wyniosą.

Potem piękna Wanda dostawała od Smyczka odkrytki, czasem listy, czasem w listach nawet fotografie. W Piórkowie Jasiu pojawił się tylko raz, na Wielkanoc. Mondur ci na nim leżał, jakby Smyczek był dla niego stworzony. Mówił mało i krótko, sąsiadom kłaniał się z daleka, poszedł na cmentarz, światełko zapalił. O Wandę nie zapytał, pomny księzowskiego wyroku, nawet w stronę Zatylniej nie spojrzął. W Lany Poniedziałek do dnia poszedł broniszewską drogą i tyle go piórkowscy widzieli. Powiadali, że po tym, jak Jasiu swego pierworodnego w futerale na skrzypce pochował, ksiądz dał mu list do dziedzica z Olszan, a dziedzic dał mu list do generała albo ministra, albo prezydenta, i że Jasiu może nawet oficerem zostanie, ale to nic pewnego.

Wtedy Wanda znów zaczęła piec chleb, najpierw sama, z jednym niemym czeladnikiem, potem najęła jednego ucznia i jeszcze jednego. Znów zaczęli przyjeżdżać i przychodzić ludziska z Piórkowa, kolonii, z Broniszewa i Olszan, nawet z Białoobrzegów, razem tyle, że Wanda murowaną chałupę pokryła blaszanym dachem. Policzyli jej piórkowscy, że chleb smaczny, że zaradna i że na obcego nie spojrziała, nawet na dziedzica, choć dziedzic był piękny i smutny, a baba była gorąca jak piec kaflowy. Wszystkiego dojrzała sama, rugała uczniów, budziła ich nad ranem do roboty, podlewała kwiaty w oknach i wycierała biały, mączny kurz ze świętych obrazów i fotografii, z których Smyczek pilnował porządku. Ta ulubiona: Wanda, Jasiu i błyszczący automobil na tle piekarni, potem Jasiu, ledwie rozpoznawalny w głębi pałacowej sali, panie w sepiowych sukniach i panowie we frakach na pierwszym planie, i jeszcze to małe zdjęcie o brzegach w nieregularne ząbki, w mondurze, zdjęcie, którego Wanda trochę się bała.

Dbła o grób, sumiennie posyłała ucznia z chlebem dla ojców Jasia. Często się modliła, ale nadal nie chodziła do komunii. Za to do piórkowskiego kościoła zajeżdżała bryczką i obcym przedstawiała się „Smyczkowa jestem”. Nawet Zerbstowi tak się przedstawiła.



Zawsze kiedy Kazimierz szykował karawan, u nas albo w Zatylniej, albo w Piórkowie, albo nawet w Broniszewie, ktoś umierał. Dzieciaki Uklejów miesiącami biegały do stajni, rano, za dnia i pod wieczór, jak dziadek Stefan dogorywał na suchoty, dziedzica nie wskazawszy, bo pierwsze na świat przyszły bliźniaki. Poród odbierała ślepa Walerka, wraz po jej wyjściu nikt nie wiedział, który jest starszy, i ona też tego wiedzieć nie mogła.

– Pierwszy – powiadała – był ten, co głośniej krzyczy.

I co miała począć Uklejowa, kiedy obaj darli się pod niebiosa? Musiał Stefan Opatrzność wyręczyć i sam dziedzica wskazać, ale, mądry, obiecał, że dopiero na łożu śmierci.

Kiedy zapadł na suchoty, rodzina od łoża nie odchodziła, potomstwo w tę i nazad biegało, a gospodarka marniała. Za pierwszym razem Stefan księdza z sakramentami w te słowa odprawił: „Jeszcze Kazimierz dla mnie nie zaprzęgał”. Innego poranka dzieciaki z wrzaskiem prosto ze stajni po Morgę poleciały, bo Kazimierz, w rzeczy samej, zaprzęgał, ale nie dla Stefana, zaś dla zielarza, bo do Białostrzegów daleko. Zielarz Stanisławski tego ranka jeszcze śniadanie spożywał, kiedy Kazimierz już się do drogi szykował, żeby na czas zdążyć. I nie pomogła Stanisławskiemu homeopatia w czeskiej Pradze wyuczona, bo Kazimierz już był w drodze, a muchomor sromotnikowy (*Amanita phalloides*) w jajecznicy, i kolubryna Hannelore już pulchne łapki zacierała, i kupcy już stali pod drzwiami porządnej kamienicy w białostrzeskim rynku, a w piecu płonął rękopis traktatu, co to mu Stanisławski poświęcił dwadzieścia albo trzydzieści najlepszych lat życia, a Hannelore kawał zdrowia.

– Do roboty, psiekrwie – powiedział Stefan swoim dwóm synom, dwóm zięciom i zniecierpliwionemu księdzu na widok karawanu ciągnącego do Białobrzegów. – Bo po pół morgi dam, a resztę choćby ślepej Walerce zostawię. A księdza za fatygę przepraszam, sam poproszę.

Posyłali więc dzieciaki do stajni, ale ukradkiem, aż do zimy, kiedy Uklejowym nicponiom zleciało na ślizgawce i w drodze do Zatylniej minęły się z Kazimierzem. Zawróciły i na skróty, przez kolonię, przez zamarznęte stawy i łąki, przez płytki śnieg i buczynę siną od mrozu dobiegły do domu. Ksiądz Morga, w karakułowej czapce i filcowych butach, właśnie wychodził, starannie składając stułę.

Ale myli się, kto myśli, że ludzie nie lubili Kazimierza, że obchodzili go jak kostuchę lub soplwali trzy razy przez lewe ramię. Pewnie, ten i ów przeżegnał się ukradkiem, ale wszyscy podziwiali jego wykwinny drajem, klepali po ramieniu i prosili na wódkę. Ile w tym było naiwnego przekupstwa, a ile człowieczej zgody na udział w loterii, to przecież nie wiadomo. Umierać ludzka rzecz, cała reszta stworzenia zdycha albo pada.



Drajem był ciężki, bardzo ciężki. Pomyślany był dla poszóstnego zaprzęgu i brukowanych ulic Wiednia, nie dla pary mierzynek i wiejskiej drogi, na której deszcze piszą swoją historię błota i nieurodzaju. Kawałek bajki o gazowych latarniach, opowiedanej wąsatym chłopom w swojskich futrzanych czapach pośród worków żyta i ziemniaków.

Karawan był ciężki jak rodzinny grobowiec dziedzica i wytworny jak jego fortepian. I jak inaczej, kiedy jego pierwszym pasażerem był nie kto inny, tylko sam arcyksiążę Ferdynand. Mistrz Martin Moelius, MMM, *drei M*, powoźnik królów i cesarzy, zbudował swój ostatni wehikuł z najlepszego słowackiego dębu i rumuńskiego

jesionu. Dał resory z niemieckiej stali wsparte brazylijskim kauczukiem i wstawił szyby z czeskiego kryształu. Byrdywy dla szóstki koni kazał zrobić z czarnych strusich piór, a ogłowie ze skóry hipopotama, a jakże, u Hermèsa, w Paryżu.

Jak każdy artysta pragnął, by jego dzieło przetrwało wieki – cesarzy, mody i automobile. Przez dwa lata, dzień po dniu, od świtu do nocy Mistrz Martin komponował, rzeźbił i malował z pasją równą budowniczym katedr i, w gruncie rzeczy, w podobnym celu: świątynie miały unieśmiertelnić piękno, Martin chciał upiększyć śmierć. W czasie gdy świat hołdował sztuce chwilowej jak ideał piękna, mistrz Moelius z niepokonaną ambicją studiował staroświecki motyw podróży, drogi, tej samej jak ta za oknem, w tle renesansowego portretu, tylko bardziej ostatecznej. Pycha ludzka rzecz i jak każdy brak umiaru gotowa przyprawić o szaleństwo.

Ostatni karawan z herbem cesarstwa nie powstał na zlecenie Pałacu. Mimo zamówień na landa i karoce płynących ze wszystkich dworów, od Madrytu do Sankt Petersburga, mistrz Martin budował swoją ostatnią katedrę, poświęcając jej cały czas, wszystkie oszczędności oraz rzemieślniczą reputację. Nie potrafił rozwiać podejrzeń bardzo zmęczonego pana intendenta i Tajnej Kancelarii, spędził więc parę dni w areszcie.

– Nie wiem kogo i nie wiem kiedy – powtarzał przesłuchującym go urzędnikom. – I nie wiem, skąd wiem, ale wiem na pewno, że wkrótce będzie potrzebny.

Wreszcie, po tygodniu, trafił im do przekonania.

– Jesteście w błędzie, panowie, i zwróćcie uwagę na rozmiar waszej pomyłki. Trzy są filary majestatu monarchy: tron, nawa i katafalk, a wszystkie równie istotne dla powagi państwa. Dla ludu nie jest bez znaczenia ani porządek atrybutów władzy, ani ich proporcje. Panowie właśnie usiłujecie zachwiać ich równowagę i podważyć zasadę równie ważną jak tron czy nawa. Dla poddanych śmierć suwerena musi być tak samo dostojna, piękna i niedostępna jak korona, jak defilady, jak narodziny następcy tronu. A teraz, za pozwoleniem, muszę już wracać, bo nie zdążę na czas.

Zwolniony, mistrz Moelius co prędzej zamalował cesarski herb, żeby nie drażnić przemęczonych urzędników Tajnej Kancelarii. Na jego miejscu umocował niewielką mosiężną tabliczkę, którą sygnował wszystkie swoje pojazdy. Arcyksiążę Ferdynand odbył swą ostatnią podróż przez Wiedeń pochylonych głów majestatycznie i dostojnie, spowity w białe kalie i trzy finezyjnie splecione litery M.

Kazimierz Melus odmówił podpisania volkslisty, uprzejmie tłumacząc Zerbstowi w płynnej niemczyźnie, że Moelius jest nazwiskiem duńskim. Jego ojciec, Mistrz Martin, jedenaste dziecko pastora, urodzony we Frederiksborgu, poznał matkę Kazimierza, córkę piórkowskiego kowala Madeja, we Wiedniu, gdzie zawędrował pieszo przez całe Niemcy w poszukiwaniu chleba innego niż buchalteria, na którą próbował wykierować go wielebny Moelius. Próbował swych sił jako falarz w Dreźnie i ryngmacher w Ratzbonie, ale powołanie odnalazł dopiero na zamku w Wartburgu, gdzie w słynnej powozowni Waltera i Johanna Bubberbrassów zbudował swój majstersztyk, miniaturową karocę dla małego Ferdynanda, arcyksięcia, pierwszą i na długie lata jedyną zabawkę, która wywołała uśmiech na licu chorowitego dziecka.

W ciągu zaledwie roku pracy nad miniaturą zdobył – z pominięciem surowych niemieckich ustaw cechowych – mistrzowskie papiery, a nadto wdzięczność Habsburgów i zamówienia Ministerstwa Wojny.

Madejównę zawiodła do metropolii kolej warszawsko-wiedeńska, ściślej, pan maszynista tej kompanii. Niecnie uwiódł („A we Wiedniu panna byłaś?”), wykorzystał i porzucił podług powracającego wówczas do łask kanonu literackiego. Madejównie spodobało się w kolejarzu wszystko: surdut i czapka pana maszynisty, połączony zegarek na dewizce, starannie przycięte wąsy, a nade wszystko skórzany sakwojaż, oczywisty atrybut dalekich podróży. Panu maszyniście, cóż, panu maszyniście po prostu spodobała się jedyna ładna panna na biało-brzeskim rynku. Dość ładna, by zwrócić uwagę kolejarza, dość zaradna, by w trzecim miesiącu ciąży poznawszy Mistrza Moeliusa, bez większych skrupułów wyjść za niego za mąż

na tydzień przed rozwiązaniem. I mądra dość, by nakłonić go do usynowienia bękarta. I z pewnością wierna – przez następnych dziesięć lat nie opuściła przybycia jednego pociągu szlaku warszawsko-wiedeńskiego, czekając na dworcu jak na białobrzeskim rynku, w kokonie spódnic i zapasek, w chuście na głowie, gotowa do każdej następnej podróży z panem maszynistą, jeśliby los nadarzył jaką.

Nie nadarzył.

Kazimierz, dziecko kolei żelaznej, owoc miłości i demona drogi, wzrastał w warsztacie, a wkrótce w manufakturze, pośród powozów i uprzęży. Towarzyszył matce w jej rytualnych marszach na dworzec, najpierw dwa razy w tygodniu, potem co dwa dni, wreszcie codziennie, w miarę jak przybywało pociągów, którymi mogło nadciągnąć wąsate kolejarskie szczęście z połączonym zegarkiem.

Nie rozumiejąc celu tych wypraw, chętnie brał w nich udział dlatego, że towarzyszyło im bliskie euforii podniecenie matki, udzielające się i jemu, a może przede wszystkim dlatego, że w drodze na dworzec matka zawsze opowiadała mu o Zatylniej, o Piórkowie, Białobrzegach, o kuźni i wibrującym dźwięku kowadła, o błocie po kolana i o zaspach po pas. O niezwykłości tych miejsc przekonywał go ciepły głos matki, głos, jakim nigdy nie mówiła w domu, i egzotyczne światło rozjaśniające jej twarz jak odbłask słońca świecącego w nieistniejącej krainie.

Zawsze na kwadrans przed przybyciem pociągu (nigdy nie wiadomo) stawali w tym samym miejscu, na końcu peronu, gdzie cumowały parowozy. Wyłaniając się z obłoków syczącej pary, matka sama podchodziła do lokomotywy i nikogo o nic nie pytając, zaglądała do jej wnętrza. Wkrótce znali ją wszyscy kolejarze, zawiadowcy i bagażowi. Opowiadali sobie różne wersje jej przygody, mniej lub bardziej bliskie prawdy. Czasem kłaniali jej się, częściej pokazywali palcem jak wariatkę, zarykując się ze śmiechu, najczęściej zaś po prostu kręcili na jej widok głowami w zwięzłym

„daj spokój, kobieto”. W drodze powrotnej matka, milcząc, ćwiczyła spadanie z huśtawki, a Kazimierz liczył zachody jej słońca. W wieku czterech lat znalazł się na zegarku.

Pochłonięty doskonaleniem swych lawet i wasągów Mistrz Martin nie dociekał, nie chciał znać powodów kilkugodzinnych wędrówek pani Moelius wiedziony instynktownym przekonaniem, że nic nie trwa wiecznie, że wieczne jest tylko trwanie.

Rzeczywiście, kiedy Kazimierz miał dziesięć lat, matka z dnia na dzień przestała chodzić na dworzec, rdza dosięgła jej serca. Na końcu peronu, tam gdzie cumują parowozy, zobaczyła siebie z młodych lat, dziewczynę w chuście i z noworodkiem na ręku. „Daj spokój, kobieto” powiedziała do niej, po polsku. Złapała za rękę Kazimierza i zostawiła dziewczynę, dworzec, kolej żelazną, wszystkie niedoszłe podróże i część samej siebie w obłoku syczącej pary.

Mały Kazimierz na dobre uwierzył, że na świecie są tylko dwa miejsca, gdzie nadzieja i szczęście występują w eterycznej postaci obłoku syczącej pary albo wibrującego dźwięku kowadła – wiedeński dworzec i Piórków. Oba istniały siłą kaprysu, tego samego, który kluczy i płacze, miesza miasta i losy jak buty nie do pary, ustawione przypadkowo koło siebie książki, rozkład jazdy i bajkę. Oba wyrwano chłopcu niczym pierwsze mleczne zęby.

Stary człowiek, co pod koniec dnia nie pamięta pogody o poranku, z pewnością pamięta surowe zimy i letnie burze swego dzieciństwa. „To było tak niedawno, że jeszcze nie pamiętam”, powiada na swoje usprawiedliwienie. Dziecko, przesiewając czas przez kolejną grubą warstwę zabawek, pamięta wszystko, miejsce pobytu każdego ołowianego żołnierzyka i lalki zamkniętej za karę w ciemnym kącie spiżarni, jednocześnie wszystko zapominając. Dworzec i kuźnia, tak pięknie zapomniane, wracały na powierzchnię jak szczyty podwodnych skał – jeszcze długie lata Kazimierz, nie rozpamiętując niczego, wierzył, że pociągi na wiedeński dworzec przyjeżdżają wprost z Piórkowa. Pamięć ludzka rzecz, dokucza i uciążliwa jest

jak kaleka w rodzinie, darmozjad otaczany troską, zgorzkniały i rozrzewniający zarazem.

Po śmierci Martina, czy można się dziwić, dożywająca swych dni matka (rdza serca nie była tu bez winy) przekonała Kazimierza do opuszczenia Wiednia. Manufaktura zbankrutowała, ponieważ wkrótce okazało się, że Kazimierz więcej wiedział o parowozach niż powozach, a ministerstwo płaciło obligacjami zamiast monetą. Tron się chwia, wojna wygasała, na ulicach porykiwały automobile i socjaldemokraci. Kazimierz utrzymywał rodzinę, wożąc mieszczan na ich pretensjonalne cmentarze, ale jak przekonywała matka, ludzie umierają wszędzie.

Droga do Piórkowa, przez dwa fronty i przesądne, wielojęzyczne wojskowe patrole, z których każdy był gotów zarekwirować wszystko oprócz karawanu, położyła kres podróży starszej Madejówny. Nie rozwikławszy zagadki, czy protestancki ślub kwalifikuje do katolickiego sakramentu, pochowano ją wśród swoich. Piórkowscy przyszli jak na odpust licznie, nawet Kominek, nie żeby Madejównę odprowadzić, bo ją, prócz ojców Jasia, mało kto pamiętał, ale żeby na drajem popatrzeć, na lutra Kazimierza, strój jego cudaczny i takiż cylinder. Śmiechu było co niemiara.

Zerbst poniechał Kazimierza. Czy uznał, że jego austriacka metryka statystykom Rzeszy zupełnie wystarczy, czy wiedział, że w akcie kapitulacji Dania wynegocjowała dość łagodne przepisy rekwizycyjne, dość, że zostawił go w spokoju. Drajem nie zainteresował go wcale.



Zerbst nie był taki zły. Po prostu drapieżnik, zabijał, żeby żyć, prawdopodobnie bez większej przyjemności, tylko tyle, ile musiał, żeby przetrwać. Bliżej lub dalej, zawsze był jakiś Front Wschodni.

Na wojnie Zerbst już był, na tamtej wojnie, i nawet odniósł osobliwy sukces – przeżył. Rówieśnik, mniej więcej, Kazimierza, powołanie przyjmuje z ulgą, by nie powiedzieć – z radością. Byle dalej od ojca, tępego i brutalnego dozorca w kamienicy Pfefferów, bogobojnej matki i jazgotliwych sióstr gnieźdzących się w oficynie. Zerbst, podówczas uczeń u kolońskiego zegarmistrza, dhubek o usposobieniu entomologa i temperamentie filatelisty, wieczorami rozmyślał o wojnie, z którą łączył nadzieję na własne łóżko i święty spokój. Zmobilizowany zaraz po Nowym Roku, w lutym jest już pod Verdun.

Niewybitnej postury i takiegoż zdrowia (kompleksja: wątła) został przydzielony do kompanii medycznej. Przez dziesięć długich miesięcy sprzątnął i spalił lub zakopał tysiące kończyn amputowanych w największym szpitalu polowym nowoczesnego świata. Nie czytając żołnierskich gazetek, zdobył solidną wiedzę o sztuce wojennej, wojennej medycynie i sytuacji na froncie: dłonie i ramiona – artyleria, nogi – pola minowe i cekaemy, im więcej nóg, tym szersze natarcie, im rzadsza wymiana ognia, tym mniej sprzątnania.

Tamta wojna jeszcze składała się z długich okresów letargu, kiedy całymi dniami nie działo się nic. Poniedziałek oblegał wtorek, środa bombardowała czwartek, w piątek cały tydzień szedł do niewoli soboty, niedzielny rozejm. W licznych chwilach świętego spokoju Zerbst siadywał na pryczy i kreślił jakieś tajemnicze rysunki, skomplikowane mechanizmy zamknięte w prostych, anatomicznych kształtach. Olśnienie, jeśli wolno tak nazwać ulgę wieńczącą proces mozolnego odkrywania oczywistości, wisiało w powietrzu i pełzało po zarysowanych arkuszach w nędznym świetle lampy naftowej na długo przed końcem wojny.

Zdemobilizowany Zerbst (tyfus) przekonuje kolońskiego zegarmistrza i wkrótce w jego warsztacie zaczynają powstawać pierwsze protezy. Popyt jest duży. Czas odmierza dzwonek w drzwiach wejściowych, na zapleczu chronometr przegrywa z postępem.



Piórków znał trzy pory roku: siew, zbiory i przednówek, oddzielone od siebie długim wyczekiwaniem, dajmy na to, aż zacier dojrzeje, przecie to nic nie szkodzi, że się zajrzy do sieni i zamiesza gąsiorem choćby i pięć razy na dzień, a może się gorzałka i wzmocni od tego; albo żeby się zakoconym kozom porychliło, albo żeby stary Kominek co powiedział, albo żeby przynajmniej kto umarł.

Wiosna, kiedy Haham Gieskaner pożyczał na siew, już się w takim kalendarzu nie mieściła, zima była wtedy, gdy Kazimierz mocował do karawanu płozy własnego pomysłu. Latem i jesienią, które w Piórkowie występowały w duecie, młodzi się żenili i rodziły się dzieciaki.

W interesie Hahama ekonomia była jaskiniowo prosta. Po żniwach, kiedy pieniądze na wiana, wesela i wyprawki zyskiwały na wartości, kupował od piórkowskich ziarno za gotówkę. Na przednówku, kiedy ziarno rosło w cenę, pożyczał je pod zastaw następnych zbiorów, które odkupował za gotówkę. Interes był w tym, co zostało pomiędzy.

W Białobrzegach żyły trzy rodzaje Żydów – heroiczni, hedoniczni i paniczni. Heroiczni trudzili się szyciem ubrań i butów, leczeniem zębów, pisaniem podań i wyszynkiem, chodzili do synagogi, kochali dzieci. Paniczni chrzcili się i wyjeżdżali byle dalej, w asymilację pełną pogardliwych spojrzeń i samotnych Wigilii bez kolęd. Hedoniczni gadali o rewolucji, palili papieroski, patrzyli na Moskwę albo marzyli o Palestynie, zakładali partie i pili wódkę zupełnie jak normalni ludzie. To, co dla jednych było dramatem prozą, dla drugich było marnowaniem życia, stratą czasu, jak przedmowa, jak didaskalia, jak spis rzeczy. Ci pierwsi byli u nas w większości, ci ostatni jakby więcej byli. Jedni i drudzy pogardzali tymi pośrodku. Kto to mógł wiedzieć, że i ci, i tamci, nie cierpiąc się i wrzeszcząc, biegali dookoła komina?

Przyszedł Zerbst i zapowiedział, że nie będzie tolerował żadnych podziałów.

– Od tej pory – powiedział – wszyscy ludzie będą równi. Polacy, Żydzi i Cyganie, księża i komuniści, bez różnicy, wszyscy będą równi.

Zerbst umiał dotrzymać słowa.

Haham Gieskaner też. Kiedy sprany po pysku i wytargany za pejsy przez Czynastego obiecał mu nikczemne życie i zasraną śmierć, dotrzymał słowa. Dotrzymał słowa, kiedy przysiągł, że Zerbst jeszcze wdepnie we własne gówno. Że plagi nastąpią po sobie, szarańcza strachu po gradzie nienawiści, a nie będzie ich dziesięć, lecz tysiące – oto inna spełniona obietnica.

Haham kochał swoich synów, „wszystkich – jak powiadał, udając namysł – sześciu czy siedmiu”. Nauczył, ile tylko sam mógł nauczyć. Było tego akurat tyle, by którykolwiek z chłopców zapytany: „Kim chcesz być, jak dorośniesz?”, obowiązkowo odpowiadał: „Porządny Żydem”. Najwięcej ojcowskich nadziei pokładał jednak w Delesiu, czwartym czy piątym z kolei, któżby to spamiętał, który jako dziesięcioletni smarkacz omal nie doprowadził Hahama do apopleksji. Zapytany, kim chce być, po długim i szczerym namyśle powiedział: „Wiejskim głupkiem”. Kara go nie ominęła, ale wywołał dość zainteresowania, by Haham oddał go na kształcenie do domu białobrzeskiego rabina. Po paru latach rabin przegnał Delesia, bo ten już nie tylko udzielał trudnych odpowiedzi na proste pytania, ale przeszedł do zadawania trudnych pytań i szydził z łatwych odpowiedzi.

– Ilu jest porządnych Żydów?

– Miliony.

– Skąd się biorą porządni Żydzi?

– Z dwunastu tysięcy każdego z dwanaściorga plemion Judy.

– Zaraz, zaraz, to razem sto czterdzieści cztery tysiące. A reszta?

Nie jest Żydami czy nie jest porządna?

– Reszta zadaje głupie pytania.

– Czy porządny Żyd nie zadaje głupich pytań?

- Porządny Żyd się modli.
- Czy rabin jest porządnym Żydem?
- Skoro się modli i nie zadaje głupich pytań...
- Czy jak goj się modli i nie zadaje głupich pytań, to jest rabinem, czy tylko porządnym Żydem?
- Chyba ci jednak, Dełesiu, przyłożę.
- Czy jak porządny Żyd mówi, że przyłoży Dełesowi, to mówi, czy przyłoży? I czy porządny Żyd może przyłożyć Dełesowi?

Powoli zbliżał się do swego ideału. Nie pracował, bo go żaden porządny Żyd nie mógł znieść dłużej niż do wieczora, nie uczył się, bo Haham wprawdzie kochał, ale bez większych skutków finansowych – skończyło się na tym, że wyjednał Dełesowi u dziedzica wstęp do biblioteki we dworze.

Od tej pory widywano go na broniszewskiej drodze, czasem na chłopskiej furmance, częściej pieszo; widywano, jak przemierzał krostkowe łąki, zawsze z książką, zamyślony lub gadający do siebie po polsku. Deleś mówił jak swój, z synami dziedzica bawił się w Indian i kombojów, nosił się z chłopska, żadnej mycki, chałata, pejsów, prosty kij i torba przez ramię, to i zaczął wkrótce przypominać wiejskiego głupka. Nawet nie przypuszczał, że tym sposobem pracuje na odroczenie wyroku.

Zaczął pojawiać się i we wsi, wraz częściej bywał pod piórkowskim kościołem niż w białobrzesckiej synagodze. Pomyślał Morga, że może chce się żydek ochrzcić, bo Deleś z uwagą słuchał o Nowym Testamencie, Trójcy Przenajświętszej i świętych sakramentach, wydawał się zainteresowany liturgią, szybko przyswoił liczne łacińskie słowa, znał pacierze, godzinki, wszystkie przykazania i prawdy, które każdy człowiek wiedzieć i wierzyć powinien pod utratą zbawienia. Może mógłby nawet do mszy służyć, łudził się proboszcz, jako żywy dowód Pana Wszechmogącego i bezmiernego miłosierdzia.

Pragnął Morga poprowadzić Dełesia ku Bogu prawdziwemu z pożytkiem dla chwały Pańskiej i jego, Morgi, pasterskiego

rachunku, już czuł spływającą na Dełesia nagrodę łaski, a na niego, Morge, łaskę nagrody i słyszał chóry anielskie triumfalnie zwiastujące odzyskaną duszę. Naiwność ludzka rzecz, powszednia jak chleb, jednym syci, innym uzmysławia głód.

Poniedziałgo Deleś stracił zainteresowanie dla piórkowskiego kościoła, bo inne rzeczy już go zajmowały, zniecierpliwiony postanowił położyć kres nadziejom Morgi. Nie dał szansy księdzu proboszczowi, nie wytrzymał i któregoś dnia po prostu zapytał:

– Czy Trójca to dwójca i jedynca, czy dwie półtorce?



Co tu dużo gadać, Czynasty, chociaż z Siwych, pobudować się musiał w Piórkowie, bo mu w kolonii żyć nie dawali, takie to było podłe. I stworzenia nie szanował, i babę bił bez nijakiej potrzeby, i potomstwo głodem karał. Byłby Czynasty tamtej Palmowej Niedzieli nieprzytomnego Smyczka zarąbał, już biegł po siekierę, już wzniesiona siekiera wisiała w powietrzu, ale go widok Uklejowych nicponiów wracających na skrót z Zatylniej powstrzymał, wszystkich by nie powyłapał. Powiadali też, że z córką obcuje, ale nie na pewno.

Kary na niego nie było, aż podpalili Siwi chałupę Czynastemu po tym, jak sąsiada Szymka niedołągę nocą ukrzyżował. Nim go Siwi rankiem znaleźli, wybroczył się docna, wśród pohukiwania sów i harcujących dzików, których ślady, jak diabelskie racice, zapamiętała kałuża skrzepłej krwi. Nie był bez winy Szymon, co bronę bolcami do góry na miedzy podłożył, bo nie lubił, jak mu Czynasty jego miedzą krowy przeganiał, brona trawą przerosła i Czynastego koń okulał, ale co innego brona, co innego koń, a co innego świętokradztwo i obraza boska.

Że święty krzyż poprzyhańbił, tego mu sąsiedztwo nie wybaczyli, ale że nie trafił Czynasty do kryminału, też zawdzięcza Siwym, którzy zawsze po swojemu karę wymierzają, a obcym słowa nie powiedzą,

choćby i na spowiedzi. I Morga się nie dowiedział, jak to z Szymkiem niedołągą było, choć go pogrzebał i ciało w trumnie widział. Coś tam po ludziach słyszał, ale pomieścić mu się w głowie nie chciało. Dopiero potem, jak na Czynastego chałupie zaczął się pojawiać klucz wiolinowy, znak niechybnej kary, piórkowscy i ich pasterz przejrzeni na przekłete nasienie.

Póki co, pozwolili pobudować się pogorzalcowi, ale trochę za wsią, na cmentarnej górze, na kościelnym gruncie znaczy i z drugiej strony, żeby nie musieli go co dzień oglądać, słuchać wrzasków objanej baby i dziecięcego lamentu. Wydumali, że jeśli prawda była, co o niedołądze gadają, to jak kto umie zbić solidny krzyż, co człowieka wytrzyma, to cieśla z niego tęgi, a cieśla zawsze się we wsi przyda. A jeśli nieprawda, bo za lichsze głupstwa już Siwi kura puszczali, to wart Czynasty pomocy, jak każdy, kto z kolonii uchodzi. Złego by chyba nie przegnali, bo kto by się został?



Bilecik księdza Morgi do dziedzica Radeckiego zawierał tylko dwa zdania. Raz: „Grzegorz, w sobotę zamawiam się na podwieczorek i preferansa”. I dwa: „Cokolwiek uczynisz dla nieszczęśnika, który ten bilet doręcza, jakbyś swemu bratu i mnie samemu uczynił”.

Wziął sobie dziedzic do serca oba zdania. Na podwieczorek postarał się jak na wieczerzę: z zupą borowikową, sandaczem i kaczką, z makowcem, miodem, nalewkami i starką, na preferansa wieczoru nie starczyło. Smyczkowi kazał urządzić kwaterę na strychu, ale we dworze. Kiedy bryczka odwożąca Morgę zniknęła w topolowej alei, zasiadł do pisania listu polecającego do przyjaciela rodziny z dawnych lat.

Nie miał pan Radecki żadnej racji, żeby Smyczka lubić. Nie lubił, bo Wanda odrzuciła dziedzica awanse, w dodatku dwukrotnie. Wraz po śmierci piekarza, nosząc żałobę przed ludźmi, a pod pierzyną, jak

się zaś okazało, parząc się ze Smyczkiem. I po raz wtóry, gdy Jasiu siedział w tarnowskim więzieniu.

Nie lubił, bo w czas polowań, chcąc podać gościom kuropatw albo zajęcy, musiał posyłać po Smyczka, sam i z pięciu kroków nie trafiłby do wozu z sianem.

Nie lubił, bo przyjąwszy hultaja pod swój dach, mimowolnie, nawet wbrew sobie, traktował go lepiej niż resztę służby, lepiej nawet niż domowników, kiedy dwór w Olszanach jeszcze był domem. Nie lubił, bo pokazawszy Smyczkowi fortepian, z którego nigdy nie potrafił dobyć czystego dźwięku, stracił instrument i resztki poczucia wyższości.

No, nie lubił i już.

Dziedzic byłby gotów zabić za talent, za jakikolwiek, za namiastkę talentu, za jego cień, w dowolnej ze sztuk, które uprawiać wypadało. Znając nuty, nie potrafił grać na żadnym instrumencie, mógł najwyżej asystować, przewracając kartki, rewanżując się pianiście wieloznacznym ukłonem, dającym do zrozumienia, że jest co najmniej równym mu artystą, przez nieśmiałość tylko godzącym się na drugorzędną rolę, ukłonem wyrażającym przekonanie, że prawdziwy geniusz jest skromny, a pyszne bywają zaledwie talenty. Zmęczenie w jego wykonaniu było tak przekonywające, tak szczerze przymykał oczy i odchyłał głowę do tyłu, tak doskonałym ruchem odrzucał poły surduta, zasiadając na krzeselku za plecami pianisty, że, zdawało się, maestro przybył do dworu w Olszanach, by zaszczyścić domowe muzykowanie. Etiudy dziedzica były tak sugestywne, że bez wątpienia część oklasków, zasłużenie i sprawiedliwie, była przeznaczona dla niego.

Od wczesnej młodości aż po wiek dojrzały dziedzic próbował sił w poezji, wychodząc z założenia, że ta nie wymaga wrodzonych uzdolnień, jak muzyka czy malarstwo, że słowa są równie dostępne głuchym i ślepym, a znaczenia sprawiedliwie podzielone pomiędzy wszystkich władających pismem. Założenie było równie fałszywe jak

i jego poezja, bez względu na to, czy pisał ody po rosyjsku, angielskie sonety, czy haiku. Zgubna skłonność do puentowania, pułapka liryki, niweczyła to, co pan Radecki sam uważał za istotę poezji – wolność od obowiązków przypisywanych literaturze i wolność wyrażania siebie. Rytmy, melodie i kolory, zastrzeżone dla tych, którym pisanie przychodzi z najwyższym trudem, jakkolwiek obecne w jego wierszach, brzmiały łatwym blaszanym echem emaliowanego wiadra we wszystkich językach.

Malować chyba umiał, ale zdradza go sztuczny dystans, który sprawia, że nawet nie najgorsze obrazy wyglądają, jakby malował je dalekowidz, co musi stanąć cztery kroki od płótna, by zobaczyć, jakie wydarzają się na nim kształty i kolory, z bliska zaś widzi jedynie kreski i atomy farby. Może i umiał, ale nie lubił, chyba że nieśmiałe akty młodych chłopców, których eteryczna substancja zastygła w banalnych pozach dowodzi poznawczej niepewności, a małe usta i duże członki dowodzą rozterek artysty. W najwyższym stopniu ambarasujące zabiegi o modeli też wydatnie przyczyniały się do tego, że malował z rzadka i z duszą na ramieniu.

Było nieszczęściem dziedzica, przekleństwem jego starannej edukacji i prawdziwie dobrego smaku, że zdawał sobie z tego sprawę. Nie zdawał sobie sprawy, niestety, że aby wyrażać siebie, trzeba wiedzieć kto to.

Śpiewu poniechał jeszcze jako chłopiec, zauważywszy niejaki zakłopotanie na twarzach własnych rodziców. „Nie musisz śpiewać, synu – powiedziała matka – może raczej nam to opowiedz”.

Dziedzic wielokrotnie zastanawiał się, skąd u Morgi, w końcu przybysza – a dla Radeckich i Gieskanerów, kórzy w tych stronach na czterysta lat wstecz liczyli swoje korzenie, po prostu przybłęda – skąd u Morgi posłuch między chłopami taki, że co przykazał, to wraz zrobili, a bywało, że bez szemrania i zwykłego psioczenia. Ani specjalnie mądry, ani uczony, w swej pysze bezlitosny, chociaż po swojemu sprawiedliwy. Gdybyż jeszcze stał za nim autorytet wieku, ale Morga nawet stary bardzo nie był. Może dlatego mniej miał

respektu u bab, dla których żwawy chłop, choćby w sukience, zawsze będzie tylko chłopem, zwłaszcza jeśli cnotliwy, bo nic tak nie wzmacnia babskiego zaciekawienia niż niechęć lub niemoc, a nic bardziej nie osłabia respektu, niż taka ciekawość. I może z tego samego powodu cieszył się chłopskim szacunkiem, że niestary jeszcze, a dobrowolnie już jakby po drugiej stronie.

Przy tym wszystkim dziedzic, nie rozumiejąc posłuszeństwa Smyczka na rozkaz Morgi porzucającego najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział, miał swoje własne powody i zobowiązania, by proboszcza usłuchać. Napisał zatem list, który zaczynał się od słów: „Drogi Wuju, daruj, że zwracam się wprost do Wuja, ale nie mam żadnych stosunków w *gunbatsu*. Od ostatniego naszego spotkania, w ogrodach cesarskiego pałacu, nie prosiłem Wuja o nic i nigdy nie marnotrawiłbym Jego czasu we własnej sprawie ani byłbym go wystawiał na ambaras, ale oto przyszła pora, by pomóc prostemu człowiekowi, o którym Wuj wtedy wspominał”.

List kończył się słowami: „...inaczej znów trafi do kryminału, to tylko kwestia czasu”.

Rachuba dziedzica była prosta jak niemy film w częstochowskim kinematografie. W pierwszym akcie niecny Smyczek udaje się na sprawiedliwe wygnanie. W drugim dziedzic rzuca Wandzie świat do stóp (upojny pęd sań po skrzącym śniegu, słońce w koronach drzew). W trzecim akcie Wanda ulega dziedzicowi (wszystko zawirowało), w czwartym targają nią wyrzuty sumienia (napis: *Ach, cóżem uczyniła*), lecz dziedzic prosi ją o rękę (zaręczynowy brylant w blasku świec).

Akt piąty: niecny Smyczek okazuje się niewinny i potajemnie wspierany przez dziedzica ucieka z wygnania, ale godzi się z przeznaczeniem i dziedzic poślubia Wandę.

Albo:

Akt piąty: niesłusznie skazany Smyczek wraca z wygnania i wybacza Wandzie, dziedzic w akcie skruchy ofiarowuje nowożeńcom hojną wyprawę.

Albo:

Akt piąty: Smyczek żeni się z inną lub ginie na wojnie, nieszczęśliwy dziedzic pod naciskiem rodziny i towarzystwa zrywa zaręczyny, Wanda ciska pierścionek do piórkowskiego stawu i szlocha nad swoim losem (*O, ja nieszczęśliwa!*).

Odpowiedź od Marszałka nigdy nie nadeszła, chociaż list odniósł skutek. W dwa miesiące do dworu przyjechał wojskowy kurier na motocyklu i przywiózł kartę powołania dla Smyczka.

Po raz pierwszy Jasiu podpisał się kluczem wiolinowym w liście do Wandy. Nie wysiadając z kosza motocykla, dał go Wawerkowi z prośbą o przekazanie. Wawerek zgodził się, uchylił kapelusza i poszedł w stronę Zatylniej. Smyczek opuścił na oczy przepisowe okulary, maszyna ryknęła, zadymiała, zawróciła na miejscu, po czym zniknęła na broniszewskiej drodze w tumanie kurzu i intrygującego, fioletowego smrodu spalin.



Kiedy kondukt dotarł pod bramę kościoła, deszcz właśnie kończył swoje wiosenne scherzo, kłaniał się i grzecznie ustępował miejsca nieśmiałemu słońku. Chłopi w sześciu wysunęli trumnę z karawanu, dźwignęli, sapnęli, podstawili ramiona i kolebiąc się miarowo, poczęli nieść Smyczka w górę, po dwudziestu jeden stopniach wiodących do kościoła. Ten i ów może zaklął i złorzeczył, że ciężko, że schody strome jak drabina, że spaso się na wojnie temu Smyczkowi, ale narzekali tak za każdym pogrzebem i tylko po cichu, w myślach czyli. Pamiętał każdy, że i jego, prędzej czy później, tymi samymi schodami poniosą, więc w trzech parach, objawszy się w pasie, szli pokornie a dostojnie, jakby własny los odprowadzali ku

wiadomemu obrządkowi i ku nieznanym wyrokom. Byle jak przybity do trumny smyczek kołysał się w rytm ich kroków jak wahadło, jak wytrącona ze spoczynku waga zielarza Stanisławskiego.

Morga, który poszedł przodem, czekał już na nich we drzwiach. Układał w głowie kazanie i – jak już tyle razy – machinalnie liczył schody, którymi właśnie nadciągał pogrzeb jego życia, a jeszcze wspominał przy tym swój pierwszy dzień proboszczowania i pierwszą lekcję religii dla piórkowskich dzieciaków, lekcję, kiedy to w katechetycznym uniesieniu wysmagał różgą po łapach małego Jasia za chichoty, za pijawki wrzucone do kałamarza i w ogóle dla przykładu a ku przestrodze.

Trudne były dla Morgi te pierwsze dni i pierwsze lata. Ani sióstr do posługi, ani kościelnego, wiecznie pijany organista, a jaki tam organista, chłop po prostu, co nut nie czyta, przyuczony gra ze słuchu, bo zdolny, kilka pieśni i dwa marsze, świątynia, w której od roku nie odprawiono nabożeństwa, i ta wciąż dająca o sobie znać rana odniesiona pod Radzyminem, co sprawiała, że cierpiał męki, gdy błogosławił lub tylko żegnał się krzyżem, i zamiast skupić się na liturgii, walczył z mimowolnie wypełzającym na twarz bolesnym grymasem. Pogruchothane szrapnelem ramię odzywało się przy Podniesieniu, przy obnoszeniu monstrancji, nawet uczesać się nie mógł bez bólu.

W jego kościele Morgę najbardziej zaintrygowała Droga Krzyżowa, czternaście prostokątów czarnej żelaznej blachy rozwieszonych symetrycznie wzdłuż obu naw. Trudno było pojąć, co właściwie przedstawiają. Stacja I, *Pan Jezus na śmierć skazany*, przedstawiała na pierwszym planie opasaną drutem kolczastym wypukłość, która od biedy mogłaby uchodzić za potylicę, i oddaloną ludzką sylwetkę w górnym lewym rogu, co zdawała się patrzeć w oczy odwróconej tyłem głowie. Jedyne drut kolczasty jest w tej płaskorzeźbie realistyczny i rozpoznawalny. Przypisane tej stacji Rozmyślanie powiada: „Bóg stoi przed sądem człowieka. Okryty ranami, ubiczowany, w cierniowej koronie na głowie, przyjmuje Jezus

wyrok niesprawiedliwy. Piłat, przedstawiciel ludzkiego prawa, choć nie widzi w Nim żadnej winy, ze względu na własną wygodę i spokój ulega podburzonym tłumom”. Może i tak, ale tylko od biedy.

Stacja II, *Pan Jezus bierze krzyż na ramiona*, obywa się już bez Zbawiciela. Ukazuje jedynie mocno pochylone w lewą stronę spojenie krzyża, którego ramiona i pion zdają się wybiegać daleko poza ramy płaskorzeźby.

Kiedy *Pan Jezus upada pod ciężarem krzyża po raz pierwszy* (Stacja III, jak czytamy w Psalmie, powiada: „Jam jest robak, a nie człowiek, pośmiewisko ludzi i wzgarda pospólstwa”), widać tylko leżącą poziomo oś krzyża i jego jedno ramię wzbijające się w górę. Reszta, czyli „potyka się Zbawiciel i pada na bruk ulicy”, prawdopodobnie znajduje się gdzieś poza blaszanym prostokątem. Kilka kroków dalej *Pan Jezus spotyka na drodze Matkę swoją* (IV), gdy idzie samotny, otoczony tłumem, który nie zna litości – dwie głowy bez twarzy, jedna w chuście w piórkowskie kwiaty zawiązanej pod brodą, druga w wieńcu z drutu kolczastego. Ale oto rozdzielają Ich od siebie. Na kamienistą drogę, na której tłum rozdeptuje krwawe ślady stóp Syna, padają gorzkie łzy Matki. W tle gładki metal symbolizuje bezlitosny motłoch.

Nie z litości, ale z obawy, że Boski Skazaniec nie doniesie krzyża na miejsce kaźni i że stracą taką okazję do nasycenia swoich oczu konaniem Niewinnego, oprawcy – jak chce Łukasz – zatrzymali wieśniaka. *Szymon Cyrenejczyk pomaga Panu Jezusowi nieść krzyż* (V). Dwie małe, skulone sylwetki na dwóch końcach krzyża z daleka wyglądają jak koła od wozu, na których toczy się drzewce. VI Stacja, *Weronika ociera twarz Zbawiciela*, dla odmiany zorientowana pionowo i pofałdowana w wielkiej temperaturze, ukazywała tylko zniekształconą głowę w zniekształconej cierniowej koronie, spływające wzdłuż łagodnie falującego żelaznego tła. Nie było w tym cierpienia ani niewysłowionego bólu, o którym Rozmyślanie powiada, że wzruszyły głęboko serce szlachetnej kobiety. Ale nie sposób było się oprzeć wrażeniu cudu bezcennej pamiątki na lnianej

chuście. Ostatnia Stacja po tej stronie piórkowskiego kościoła jest wierną repliką III Stacji, jakby artyście skończyły się symbole, a fakt, że *Zbawiciel upada pod ciężarem krzyża po raz wtóry*, był mniej znacznym elementem tragedii, jak koda czy chór, a może tylko jak refren w mądrej ludowej piosence. Czy trzeba dodawać, że artysta powtórzy jeszcze raz ten motyw (IX), gdy po drugiej stronie kościoła Chrystus upadnie po raz trzeci?

Kiedy w VIII Stacji *Pan Jezus przemawia do płaczących niewiast*, nie widać ani Jezusa, ani niewiast. Straszne są słowa Zbawiciela w tej godzinie męki: „Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale raczej nad sobą i nad swoimi dziećmi, bo oto nadchodzą dni, w których mówić będą: szczęśliwe nieplodne i łona, które nie rodziły, i piersi, które nie karmiły”. Straszne są słowa Zbawiciela w tej godzinie męki i straszne jest to czarne żelazo pokryte kroplami czarnych żelaznych łez. Następną stacją przynosi niejaki wytchnienie. *Pan Jezus z szat obnażony*, drugi Adam, który niewinnością swoją ma zgładzić bezwstyd pierwszego człowieka, stoi odarty z odzienia, wystawiony na pośmiewisko tłumu. Tyle Rozmyślanie, płaskorzeźba zaś przedstawia wbite w ziemię drzewce krzyża obok wypukłości, która może i mogłaby uchodzić za kłębek szmat.

I trochę dalej, koło konfesjonatu, spełnia się krwawa ofiara. „W ciszy rozlegają się uderzenia młota, przybijającego najświętsze ręce i nogi Pana do twardych belek krzyża”. Cała stacja to nadnaturalnych rozmiarów, nieudolnie oddana prawa dłoń i doskonale oddany, realistyczny hufnal. Nie ma śladu męki, jakiej serce ludzkie pojąć nie zdoła, ani aktu najczystszej miłości, ani dziękczynienia, ani przebłagania czy prośby. Jest gwóźdź, tępy i bezwzględny jak szaleństwo tych, co tę śmierć zadali, bolesny i niesprawiedliwy jak śmierć tego, komu ją zadano.

Próżno szukać w XII stacji (*Pan Jezus umiera na krzyżu*) słów: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”, lub znaku osamotnienia i męki – „czemuś mnie opuścił”. Można się za to domyślać, gdzie stał żołnierz, co otworzył bok jego i natychmiast wyszła krew

i woda. Widać bowiem grot włóczy tkwiący między żebrami dziwnie przypominającymi resory pańskiej bryczki.

XIII: Wśród płaczu i łez zdjęto z krzyża zwłoki Pana. Wzięła je w swoje ramiona (ucho od wiadra) Matka Najświętsza, której duszę przenika miecz niewysłowionego bólu (jest i realistyczny miecz). Jej usta całują święte rany Syna (zawiązana pod brodą chusta w piórkowskie kwiaty pochylona nad resorami). Z jej oczu spływają na umęczone ciało łzy, a zbolełe serce skarży się i łka żałości. Oto *Pan Jezus zdjęty z krzyża i oddany Matce Bolesnej*.

Ostatnia Stacja, przedstawiająca Grób Pański, ukazywała ziejący czernią, otwarty na jakąś nieskończoność, postrzępiony otwór w środku blaszanego prostokąta, otoczony kutą w żelazie balustradą, taką samą jak ogrodzenie wokół grobowca Radeckich.

Morga długo bił się z myślami, co zrobić z tak niewydarzoną Drogą Krzyżową. A to lękał się uniesionych brwi biskupich, gdyby czas przyniósł jaką wizytację z Kurii, a to obawiał się drwin kolegów kapłanów bawiących w okolicy, a to gniewu Bożego, może nie tego najsroźszego, ale zawsze. Ostatecznie rozwiąła jego wątpliwości potwierdzona wpisem do ksiąg parafialnych wiadomość, że Drogę ofiarował kościołowi parafianin, co żonę stracił dla światłości wiekuistej, a starszą córkę dla doczesnego grzechu i demona podróży, jako wota na szczęśliwy powrót marnotrawnej. Ostatnia Stacja, *Pan Jezus złożony do grobu*, ukazywała wnikliwemu spojrzeniu sygnaturę: „Madej Hieronim kowal ofiarował”.

Z zamyślenia wyrwał proboszcza widok trumny ustawionej już na dwóch ciesielskich kozłach, służących za katafalk.



Piórkowscy ani się spostrzegli, jak wybuchła wojna. Lato było gorące, żniwa udane, a że Uklejowych bliźniaków zmobilizowali, to ich kłopot, jakby nie mieli za dużo, toby dziećmi i babami gospodarke obrobili, pazerne to było, cudze kupowali, to teraz mają. Jeszcze żenią się ci, co w lipcu spadli z ambony, jeszcze chrzczą się dzieciaki z poprzedniego miotu, Haham jeszcze płaci gotówką za zboże, obrodziły ziemniaki. Morga słucha radia, dzwon wisi, jak wisiał. Jest sól, są zapałki i nafta. Rozwrzeszczana dzieciarnia, szczęśliwa, że nie ma lekcji, wraca broniszewską drogą ze szkoły. Wojna ludzka rzecz, jak lipcowy grad i majowe przymrozki, narobi szkód i biedę zostawiwszy, pójdzie precz. I mylili się piórkowscy, choć wielcy znawcy w rzeczach szkód i biedy, bo te rozsiadły się między pagórkami, wytlukły karpie w stawie, zeżarły słoninę, jaja, a potem jeszcze i kury, rozpanoszyły się na dobre i nie w głowie im było iść precz. Do nabożeństw wróciło *Boże, coś Polskę*, do łask wrócił karbid, do chleba otręby. Tylko Uklejowi bliźniacy jakoś nie wrócili. Koło Wszystkich Świętych już wszyscy wiedzieli, że w Piórkowie jest wojna.

Różnie gadali, co się ze Smyczkiem stało. Że zginął, że w niewoli, że u Niemców albo u Ruskich, w zależności, kto gadał, że na granicy rumuńskiej ciężarówkę wyładowaną złotem i dywanami zawrócił i w lesie zakopał, że za mnicha przebrany wsie przemierza i do powstania nawołuje, a każdy powoływał się na naocznych świadków. Podobno. Słowo „podobno” zawładnęło myślą, mową i modlitwą. Podobno tylko Wanda z kamiennym spokojem dziękowała kolejnym życzliwym, co koniecznie chcieli pomóc w tych ciężkich czasach, a bardziej natarczywym groziła, że powie Smyczkowi, kiedy wróci. Nawet dziedzica w te słowa przegnała.

„Podobno” panoszyło się aż do następnego lata. Pierwszy Smyczka zobaczył Kominek Wawrzyniec, co kradł drzewo w pańskim lesie, bo mu bliżej było niż do własnej brzeziny. Drzewo na zimę kradnie się latem. I pogoda lepsza, i dzień dłuższy, i koniu lżej, i śladów mniej, bo nie w śniegu zostawione, a w ściółce. U wylotu przecinki zobaczył sylwetkę, o której wiedział, że znajoma, ale nie, że aż tak. W ciszy letniego świtu parsknięcie konia zaniósło się dalej niż uderzenia siekiery. Cofnął Kominek konia nazad w las, żeby zejść z przecinki, ale za późno. Kiedy wyrzwał na przecinkę, Smyczka już nie było, kiedy wrócił do konia, siadł na dźwyczach i chwycił lejce, usłyszał metaliczny i jednoznaczny dźwięk repetowanego karabinu, jakby kto pałacową klamką po trzykroć ruszył. Odwrócił się Kominek, skąd dźwięk dobiegał, nie żeby zaniemówił, bo i tak gadatliwy nie był, ale z lufą u głowy zrobił się jakby jeszcze mniej rozmowny.

– Pańskie kradniecie, Kominku? Bliżej wam niż do własnej brzeziny? Niemcy we wsi? Ojce zdrowi? Wawerek w domu? Ukleje wrócili? Morgi poniechali? Dziedzic uciekli? Siwych przerzedziło? Podpisał Kazimierz volkslistę? Kaczora wieś słucha?

I tak na zmianę raz kiwał Kominek głową, a raz kręcił. A raz nawet słowem się odezwał, kiedy go Smyczek o piekarnię zapytał, „czekała baba i czeka” powiedział, konika zaciął i podążył w swoją stronę. „Nikogoście, Kominku, nie widzieli”, jeszcze mu rzucił Smyczek na odchodne, a Kominek kiwnął głową, do siebie bardziej, bo Smyczka już nie było, już mu nie wojna w głowie była, już pędził na skraj lasu, skąd najbliżej do piekarni, ale go huk wystrzału powstrzymał z karabinu na Kominka zarepetowanego, co go Smyczek zapomniał zabezpieczyć i od różnych podskoków sam wypalił, dobrze, że nie w Smyczka, tylko gdzieś Panu Bogu w okno. Wykonał Jasiu odruchowe padnij i tak doczekał zmroku, czy salwa jakiego nieszczęścia mu na kark nie ściągnie, bo huk niósł się i niósł w gorącym, letnim powietrzu, rzekłbyś, bez końca, powracał echem, a potem jeszcze echem echa. Ale nie. Brzęczały pszczoły, basowały trzmiele jak odległe bombowce, pasikoniki grały biedronkom do tańca, zapamiętały dzieciół wystukiwał jeżom telegram, zaskrońce

zdychały z nudów, las szumiał swoją kołysankę jerzyn, upału i kukulek.

Wystrzał w Piórkowie, prócz Siwych, słyszeli wszyscy, ten i ów podniósł głowę znad brony, pnia w drewnutni, zadu dojonej kozy i spojrzął w stronę, skąd huk dobiegał, wszyscy ciekawi, kto i do kogo strzelił i dlaczego tylko raz, czekali, żeby poprawił, jak szkop albo kłusownik by zrobił, dla pewności, czekali udający, że robią swoje, i udający, że nie słyszeli pierwszego strzału. Dawno w okolicy nikt nie strzelał, chyba że Zerst, a i on bez przekonania, niby przykładał pechowcowi lufę do głowy, ale od tyłu, i nim za cyngiel pociągnął, zawsze zdążył się jakoś tak niby odwrócić, jakby sprawdzał, czy kto i za jego plecami niestoi.

Zamarł na mgnienie Morga poranną mszę odprawiający, wzdrygnęła się Wanda świeże, gorące bochenki mąką bieląca, na moment zamarł dziedzic nad śniadaniem pochylony. Nie wiedzieć czemu, proboszcz wspomniał swój bilecik do dziedzica, co mu tkwił zadrą w pasterskim sumieniu, Wandzie stanęła przed oczami fotografia o brzegach w nieregularne ząbki, dziedzicowi przemknęła przez głowę myśl, że tylko jednego znał strzelca, co nie musiał poprawiać. Kazimierz wraz wiedział, że nie czas mu zaprzęgać i że pogrzebu z tego nie będzie.

Przeleżał Smyczek w ściółce, upale i kukulkach do wieczora, a z zachodem słońca ruszył do piekarni. Gdy zza piórkowskich pagórków wyłonił się komin, dobiegły go pierwsze dźwięki *Tej ostatniej niedzieli*. Nim dotarł na miejsce, musiał jeszcze skryć się w leszczynie, bo z naprzeciwka szli mu dwaj uczniowie i czeladnik, co ich Wanda przecuciem wiedziona puściła do domów na trochę. W izbie stała już balia z gorącą wodą, na stole chleb, ogórki, słonina i pszeniczny bimber. Wanda, patrząc w stronę, skąd Smyczek miał nadejść, siedziała na ławeczce wedle piekarni i skręcała papiroska za papiroskiem, sama niepaląca.

Ileż trzeba zdrowemu chłopu, co bez baby błąka się po świecie w wojennej potrzebie, by ożyły w nim zdeptane żądze? Smyczkowi

wystarczył różowy język między wilgotnymi wargami, śliniący bibułkę, zapach wielkich piersi bulgoczących pod nocną koszulą bez rękawów, kosmyk czarnych włosów pod pachą widoczny, gdy Wanda, nie wstając z ławeczki, podała mu na powitanie papiroska i płonąca zapalną. Nim się jeszcze Smyczek rozsiądzie i dobrze dymem zaciągnie z przedwojennego tytoniu, już ucieka odeń koszula, poddają się portki, w świat wędrują buty i onuce. Woda w balii wystygnie i na stole chleb szcerstwieje, nim skończą i wyszepczą pierwsze słowa powitania.

Zbudził Smyczka zapach jajek na słoninie i Wanda nucąca patefonowy szlagier, co przeżył noc zawieszony pod sufitem świątecznej izby w kłębach papiroskowego dymu. Nie spał już, kiedy łopocząc spódnicą jak skrzydłami, wtargnęła do izby. Przyjrzała mu się Wanda uważnie, ze światłem dnia, odkopanemu spod pierzyny, i policzyła nowe blizny. To Niemcy, objaśnił Smyczek, to Rumuni, to też Niemcy, to nasi, artyleria znaczy. A ta to nie, to jeszcze Siwi, pamiątka z Palmowej Niedzieli. Wycieczka po mapie kampanii wrześniowej kończy się, jak było do przewidzenia. Stygnącą jajecznicę obsiadają zaintrygowane muchy.

Pierwsze słowa powitania, najtrudniejsze słowa na świecie, mało kiedy się cieszą, najczęściej pytają o następne pożegnanie. Tyle tęsknoty, ile pewności kolejnego rozstania, nie powrotu. Te ostatnie niedziele.

- Wróciłeś?
- Nie.
- Wrócisz?
- Zobaczymy.

Rozumem tego nie obejmie, że można strasznie a pięknie czekać na następną rozłąkę. Tęsknić ludzka rzecz, bo arcyłudzkiem odkryciem są paradoksy, a tęsknota w całości się wie od paradoksu, co powiada, że człek tęskni nie za tym, co będzie miał, ale za tym, czego zaś będzie pozbawiony. Wanda nigdy nie tęskniła tak bardzo jak w chwili, gdy wreszcie mogła Smyczka dotknąć, zobaczyć, usłyszeć, a potem objąć całym ciałem i wpuścić do siebie, wiedząc

zarazem, że obcowanie potrwa ledwie chwilę. Oto jak tęsknota zaczyna się w momencie jej zaspokożenia.

Rozłąka zaczęła się wraz po śniadaniu, kiedy Smyczek poprosił, żeby Wanda wiadomość zaniosiła Mordze i dziedzicowi. Na stroniczce wydartej z kajetu w kratkę napisał niewprawnych kilka słów i podpisał kluczem wiolinowym. W Wandzie żal wezbrał i tęsknota taka, co aż boli, taka, co od niej aż złość bierze i gada się głupstwa.

– To po co wróciłeś?

– Każdy kiedyś wraca.

Smyczek kazał księdzu i Radeckiemu czekać godzinę, nie żeby z niegrzeczności czy dla nauki, ale dla pewności, że dotrze do gospodarza niezauważony. W zapadającym zmroku, ukryty w agrestie, obserwował, jak proboszcz i dziedzic, trzeźwi jeszcze, czekali w altance, na tyle od dworu oddalonej, żeby konspiracja mogła się udać. Kiedy zrobiło się już dobrze ciemno, ruszył w ich stronę. Zdjął Smyczek czapkę na stopniach do altany, karabin oparł o balustradę i stał, nie wiedząc, co dalej, bo obaj dostojni mężowie wstali na jego powitanie. Pierwszy odezwał się dziedzic, prosząc siadać i uprzejmie wskazując miejsce przy żeliwnym stoliku.

– To jak mamy teraz do was mówić, Smyczku?

– Chorąży, panie chorąży.

– Powinniście mieć jakiś pseudonim, panie chorąży.

– Ależ Grzegorz, Smyczek starczy za pseudonim – wtrącił się Morga.

– Tak? Myślałem, że Smyczek to nazwisko. Jak wam po ojcu, panie chorąży?

– To nie wiecie, panie dziedzicu?

– Ambroziak? Chyba Ambroziak? Nie, nie Ambroziak, wiem, Serafin!

Smyczek pytająco popatrzył na proboszcza. Ten wzniósł oczy do nieba, jakby dając do zrozumienia, że nie on odpowiada za ignorancję dziedzica, że dziedzic sam winien swojej niewiedzy, że może i zna groby Radeckich po całym bożym świecie rozrzucone, a nie wie, kto na piórkowskim cmentarzu leży.

– No? – dziedzic szturchnął księdza znakiem zapytania.

Ociągał się Morga, ale widać uznał, że powinien dziedzic wiedzieć, co od stu lat po okolicznych dworach wiedzą, co piórkowscy gadają, co i jak w księdze parafialnej spisane. O tym jak Joseph von Radetz, mąż tyleż dzielny, co okrutny, wziął do niewoli młodego oficera Jędrzeja Olszańskiego herbu Krzywda, z wojewodów, co osierocony za młodu, pojechawszy do szkół do Italii, zaciągnął się do Napoleona, a potem już jako oficer dragonów uwiódł, wprowadził, posiadał i pojął za żonę włoską księżniczkę, którą jej znakomity ród wyklął za zdradę i mezalians z okupantem, co potem pod Wagram dowodził już pułkiem i zasłynął odwagą, ale pod Lipskiem miał mniej szczęścia i ranny dostał się do niewoli, i generał Radetzki uczynił go swym osobistym jeńcem a przykładnie zamierzył ukarać, i jak sobie tylko znanym sposobem piękna Sophia Anna Imogene Montebiancchi di Cascia Olszańska sforsowała obozowe straże i dotarła przed oblicze zwycięzcy, gdzie powołując się na dalekie pokrewieństwo, koneksje na dworze, rodzinną fortunę, miłosierdzie i wszystkich świętych, usiłowała wyjednać życie dla swego męża i przysięgła, że wyjadą w jego rodzinne strony, gdziekolwiek by to być miało, a pułkownik Olszański nigdy więcej oręża nie chwyci, a nieubłagany Mars żądał tylko jednego okupu i dostał go jeszcze tej samej nocy, tej samej nocy pułkownik Olszański stracił honor jako towarzysz broni, jako szlachcic i jako mąż, i zwolniony z niewoli wraz palnął sobie w łeb, a piękna Sophia Anna Imogene Montebiancchi di Cascia Olszańska, wyklęta przez rodzinę, zhańbiona przez generała, opuszczona przez męża, postanawia odnaleźć miejsce, którego nie ma na mapie Galicji ani Lodomerii, aż sponiewierana biedą przybywa do zapuszczonego olszańskiego dworu dobrze już ciężarna generalską pamiątką i wkrótce rodzi chłopca imieniem Adalberto, co nasze Żywoty Świętych i chrześcijańskie kalendarze jako Wojciech podają.

Nigdy żaden kowal nie wykuł w żelazie jej drogi krzyżowej, a szkoda, bo wielki to byłby pożytek dla następnych pokoleń i nauka niebłaha zobaczyć, jak dźwiga majątek z ruiny, uczy się polskiego, przebudowuje kościół i funduje organy, grobowiec kamienny stawia,

chłopca woła Wojciechem, wielką otacza troską, prawdy przed nim nie ukrywając, dba o edukację, uczy języków i chowa na Polaka, patriotę i dobrego szlachcica.

Aż nadto dobrego. Kiedy podchorążowie w dzień krwi i chwały, w noc amoku, jeden w drugiego kompletnie pijani ruszą na Belweder, Wojciech Olszański podąży z nimi, w pierwszym szeregu, rzecz jasna. I on wsławia się wielką odwagą i okrucieństwem, zwłaszcza wobec rannych i jeńców. Okrucieństwem na tyle wielkim, że generał Paskiewicz wyznacza nagrodę za jego głowę. Po klęsce powstania Wojciech musi uchodzić. Odcięty od rodzinnych stron kordonem wojska, szpicli, zdrajców i dwulicowego chłopstwa, z fałszywymi papierami jako Albert Radetzky, szlachcic i poddany austriacki, ucieka w przeciwną stronę, w paszczę lwa, przez Królewiec dociera do Sankt Petersburga, gdzie zimą utrzymuje się z hazardu, a latem z zimowych zapasów. Zabiwszy w pojedynku generał-lejtnanta, co nazwał go szulerem, ucieka do Danii, skąd zadawszy się z żoną duchownego z Frederiksborga, umyka, zostawiając ją brzemienną z jedenastym dzieckiem i gniewem pastora Moeliusa. Srodze jak na swój wiek doświadczony przybywa wreszcie do Niderlandów, gdzie dociera do niego wiadomość o śmierci Sophii Anny Imogene. Rdza serca, prawdopodobnie. U notariusza w porcie Amsterdam, gdzie na powrót przedstawia się jako Wojciech Olszański, przepisuje majątek na Alberta Radeckiego i jego pierwородnego spadkobiercę, ktokolwiek nim będzie, bez wielkich planów, ot, na wszelki wypadek, nie bardzo się troszcząc, że nikt taki chwilowo nie istnieje. Odpis testamentu każe zdeponować w piórkowskiej parafii, też na wszelki wypadek.

Do wyboru jest Afryka, Ameryka lub Indie. Ameryka wydaje się najbliżej i najdalej. Fortuny w handlu niewolnikami powstają w zawrotnym tempie, ale też nie jest to zajęcie dla osób z towarzystwa. Przynależność do towarzystwa tym się odznacza, że niewolników się posiada, a nie dostarcza. Gorsze wrażenie w salonach Południa robi jeszcze tylko niepojęte pochodzenie i imię praktycznie nie do wymówienia. *Voy-tcheekh?* Albert? Montebiancchi di Cascia? Olszański? Radecki?

- Włoch? Rosjanin?
- *Non, mademoiselle*, Polak.
- *Oh! Excusez-moi, mon petit carnet est déjà plein...*

Czy to z zemsty, czy dla wygody, czy też dla dobra interesu, Albert Radecki (*vel* Wojciech Olszański), u szczytu fortuny, przyjmuje pod swój dach wyzwoloną Mulatkę, smukłą i melancholijną Palotte Mercibeau St.Claire, tylko tak śniadą jak jego matka i niemal jak ona piękną. Jak to często bywa, chłopiec rodzi się biały, niebieskooki i jasnowłosy. Mimo protestów i kłopotów wikarego z literą „ł” i „ę” na chrzcie dają mu Stanisław Jędrzej, nie Stanislaus coś tam. Mimo oburzenia sąsiadów i bojkotu kupców, nazwisko, tylko jedno nazwisko, mały Staś dostaje po ojcu. Skandal i zgroza są tak powszechne, że dla większej uciechy i większej satysfakcji w parę lat później Albert (*vel* Wojciech) ożeni się z Palotte. Tym razem trzeba wielebnemu przyłożyć lufę do głowy, żeby dopełnił stosownych sakramentów.

Albert (Wojciech) owdowiał na własne życzenie. Straciwszy majątek dla ostracyzmu i bojkotu, przenosi się na Północ i utrzymuje rodzinę grą w karty, pić na wyścigi w zawodach tęgich łbów i walkami na gołe pięści na modłę angielską. Palotte odchodzi samotnie, z cichym westchnieniem (rdza?), w tej samej izbie, w której dorastający Stanisław, szukając pieniędzy na chininę, znajduje akt darowizny i własnoręczny rysunek ojca przedstawiający dziwne domostwo, ze stromym dachem, gankiem i kolumnkami. Po pogrzebie zamustruje się na pierwszy statek odpływający do Europy. Bez pożegnania.

Albert Radecki (*vel* Wojciech Olszański), wierny swoim egzotycznym gustom, wraz po pogrzebie Palotte poślubił niepiśmienną Indiankę z plemienia Totowa, której nawet imię nie jest całkiem pewne. Nagia, Naja czy jakoś tak. Praktycznie niema, ponad miarę chorowita długo nie pożyje, zejdzie na ospę, kórej nabawi się od własnego dziecka. A, bo w latach, kiedy Albertowi (*vel* Wojciech) już raczej wypadało zbierać się niż siać, powije syna, ciemnonicego, ciemnowłosego, czarnookiego, niemal całkowite przeciwieństwo

Stanisława, niemal bliźniacze podobieństwo do Sophii Anny Imogeny Montebiancchi di Cascia. Ochrzczony Ambrożym Serafinem, młodszy od przyrodniego Stanisława o pokolenie, ślubuje u wezglowia konającego ojca, że wróci w rodzinne strony po żonę i po majątek, jeśliby ostał się jaki, a nikt wcześniej testamentu nie windykował. Wróci biedakiem, z metryką, w której roztargniony kancelista, co po polsku wcale nie znał, wpisał mu drugie imię jako nazwisko, bez żalu pożegna elektryczność, gazowe latarnie i brukowane ulice Nowego Świata, wróci i zadziwi piórkowskie panny smagłym licem, i weźmie za żonę Madejównę Matyldę, młodszą córkę Madeja kowala. Wróci, bo każdy kiedyś wraca.

Stanisław, co ojca bez pożegnania zostawia i znaku życia nigdy więcej nie da, opłynie cały świat dwa razy, nim dotrze do Piórkowa, a i to nie na długo, nie rozejrzy się nawet co i jak, od czego by tu gospodarstwo zacząć, bo zaś za miedzą wybucha kolejne powstanie, a Radeccy nie przepuszczają takich okazji. Wraz Stanisław przystępuje do pierwszej napotkanej partii, staje na jej czele po porażce samozwańczego dowódcy i, koniec końców, zawędruje w litewskie ostępy, gdzie partyzantka, wydawało się, może trwać bez końca. Zdradza widać niejaki talenty, bo wywołuje osobiste zainteresowanie Wieszatiela Murawjowa. Osobiste zainteresowanie w przekładzie na bardziej zrozumiałe wyroki oznacza dwadzieścia lat Sybiru. Szczęściarz, zważywszy zamiłowanie generała do dźwięku skrzypiącego sznura. Nie o każdym pokonanym da się to powiedzieć, jak nie o każdym zwycięzcy mówią Wieszatiel.

Zesłanie to nie najgorsza rzecz dla człeka inteligentnego, światłego i ciekawego świata. Człek inteligentny i świata ciekawy będzie dzielić czas między *tolstyje żurnaly* drukowane we Francji i Szwajcarii, a najciekawszych rozmówców, jakich Cesarstwo ma do zaoferowania, między agitatorów kształconych w najlepszych akademiach nowoczesnej Europy a książki w siedmiu czy ośmiu językach, będzie dzielić czas na szachy, brydża i kanastę. A i tak jeszcze sporo go zostanie. Powstają dysertacje, traktaty i powieści. Rodzi się socjalizm, z nudów i niemieckich lektur. Jak kto tylko podróż przetrzymał i na mróz wrażliwy bardzo nie był, to mu

zesłanie uniwersytetem było, a daleka Syberia oknem na świat. Stanisław znajdzie nawet czas, by się oświadczyć pannie Krystynie Ali Karabin (Kara-bin), sierocie po zesłańcach z poprzedniego powstania, już prawosławnej wprawdzie, ale zawszeć to chrzest, a poza tym z polskich Tatarów, więc prawie jakby własna.

Okolo czasu, kiedy zesłanie Stanisława dobiega końca i szczęściarz wnet żenić się będzie, do Piórkowa wraca, bo każdy kiedyś wraca, jego przyrodni brat, Ambroży Serafin. Serafin to Serafin, piórkowscy nie dociekają, kto zacz. Sam niewiele mówi, skąd przybywa, ale że pracowity i porządny, to go nie pytają, bo i po co? Kuje konie Ambroży w kuźni Madeja kowala i ziemię jego sieje, i zasiałby chętnie jego młodszą córkę, Matyldę, co jej skrycie pożąda, ale na razie nic nie mówi. A i Matyldzie, od maleńkości w kuźni chowanej, wibrujący dźwięk kowadła nieznanym rezonansem poczyna drżeć w łonie, a nagi tors Ambrożego ledwo-ledwo skórzanym fartuchem okryty i spocone mięśnie najpierw zawładną jej snem, a potem dzienną myślą, po niedługim czasie trafią do spowiedzi, a stąd krótką drogą na zapowiedzi. Będzie ślub i wiecha na nowej chałupie, i parę razy na dzień porzuci Ambroży młot, kowadło i podkowę dla rozżarzonej do czerwoności Matyldy, i nie miechem płomienie będzie rozdmuchiwać, bo taki był w Matyldzie żar dla jego smagłości, że paleniskiem była, nieporna domowej roboty i gospodarskiej pilności. Splatali się na słomie, na sianie, na stojąco, nawet na śniegu, on w oczekiwaniu na jej cichy krzyk, ona cicho krzycząc z wdzięczności za jego oczekiwanie. Przynawykła więc cierpliwie czekała na swoje ośniki, zasuwy, heble i brony, aż skończą.

W tym czasie Stanisław krążący ze swoją żoną między Petersburgiem, Tułą, Woroneżem i Odessą wdaje się w anarchistyczne spiski, co do jednego zorganizowane przez Ochronę. Oto widzimy go, wyraźnie jak na starej rycinie ręką mistrza wykonanej, gdy wmieszany w gawieź podpala lont, lont już się tli w jego rękach, ale Stanisław jeszcze czeka, czeka ze spokojem badacza, co pisze historię przyszłości, jeszcze chwilę, wreszcie opada szerokim łukiem wiązka dynamitu z tłumy celnie

rzucona, stają dęba konie i rozplywa się karoca generał-gubernatora w huku, dymie i ogniu. Cudem tylko nie ginie nikt. Cudem tylko wiozą Stanisława na katorgę, a nie na szubienicę. Szczęściarz. Krystyna Ali podąży za nim.

Katorga nie jest już taka zabawna. Nie ma przykuwających rozmów, są przykute taczki, nie ma studentów i ich mistrzów, są mongołowaci chłopci ze wsi o dziedzicznej kile, strąceni w otchłań za kradzież, morderstwa, kazirodcze gwałty i kanibalizm. Stanisław, na którym lata odcisnęły piętno odmrożeń i przepukliny, ma dość katorgi już po tygodniu, po dwóch ucieka, z wielką pomocą żony, co własnoręcznie odkuwa go od taczek. Radeckich zwyczajem ucieka w przeciwną stronę, aby po następnych trzech miesiącach przez Koreę dotrzeć do Japonii.

Znający języki i nienawidzący Rosji Stanisław szybko znajduje przyjaciół wśród cesarskich dyplomatów i wojskowych, zjednuje sobie ministra wojny, zostaje przyjęty przez następcę tronu. Członkowie gabinetu i bliscy dworu urzędnicy liczą się z jego zdaniem, bo katońska postawa, nawet gdy chybiona, zawsze robi wrażenie – na jednych jako akt moralnej niezłomności, na innych jako wyraz odwagi i dalekowzroczości, a czyż te właśnie cnoty nie są materią legend o nieprzejednanych samurajach i przenikliwych szogunach? Metafora Kartaginy nie mówi nikomu w Japonii nic, ale członkowie *gunbatsu*, kliki wojskowych, nie potrzebują metafor. Im wystarcza rzut oka na mapę: Sachalin, Kuryle, Morze Ochockie, cieśniny, a dalej już tylko Dżugdżur i Kartagina, aż po Atlantyk, po kres mapy.

Grzegorz Radecki, syn Stanisława i Krystyny Ali z Karabinów, prawy dziedzic olszański, przychodzi na świat w domu, gdzie wprawdzie mówi się po polsku, ale jada pałeczkami, siedząc w kucki, gdzie jada się pałeczkami, siedząc w kucki, ale modli się na klęczkach do Matki Boskiej Jasnogórskiej, gdzie wprawdzie modli się do Matki Boskiej Jasnogórskiej, ale zapala się kadzidełko cesarzowi, gdzie zapala się kadzidełko cesarzowi, ale czyta Marksa w oryginale, gdzie wprawdzie czyta się Marksa w oryginale, ale mówi się po polsku,

gdzie mówi się po polsku, ale chłopiec nigdy nie został ochrzczony, jedyny dokument, którego w życiu użył, był japońskim paszportem, a z rówieśnikami bawił się w samurajów i kombojów.

W miarę jak pozycja Stanisława na dworze krzepła, a majątek rósł, podupadało jego zdrowie. Zdążył jeszcze zaaranżować małżeństwo Grzegorza z siostrzenicą ministra wojny, ale na ślubie już nie był. Zdążył jeszcze doprowadzić do wizyty Piłsudskiego, do którego Grzegorz mówił „wuju”, ale w spotkaniach z *gunbatsu* nie brał już udziału. Za to kiedy umierał, Port Arthur stał w ogniu, a zwycięska bitwa pod Cuszimą wejdzie do podręcznika sztuki wojennej cesarskiej akademii (ostatnie wydanie 1945) pod sztabowym kryptonimem Sakusen Kartagina.

Jak na powstańca, co gołymi rękami brał armaty, anarchistę, co imperatorom wygrażał i dla pewności skracał lont tak, że w końcu nie był dłuższy niż knot w lampie naftowej, jak na katorżnika, co miał zgnić wśród gnijących na zgniliznę – umarł spokojnie, sielankowo po prostu, we śnie, otoczony czuwającą rodziną, we własnym łóżku. Szczęściarz. Krystyna Ali, nie mogąc samej siebie odkuć od jego tacek, odchodzi niedługo potem. Nie doczeka wnuków. Ale to może i dobrze.

Mniej więcej wtedy, kiedy mimo kilku frontów i niezliczonych patroli do Piórkowa egzotycznym karawanem ściąga Kazimierz Melus z dobiegającą kresu swych dni matką, marnotrawną córką Madeja kowala (każdy kiedyś wraca), jej młodsza siostra, Matyllda, rodzi Ambrożemu Serafinowi syna. A może nie wtedy, tylko rok później albo rok wcześniej? Matyllda twierdzi, że na pogrzebie siostry była z dzieckiem na ręku, kiedy Ambroży przekonuje, że naówczas nawet ciężarna jeszcze nie była. Może tak, może nie, a może jeszcze inaczej, dość, że w pewnej chwili urodził im się chłopiec, i w tym byli zgodni, że dzień był sobotni, burzowo duszny, nabrzmiały oparami siana, a Walerka jeszcze nie tak całkiem ślepa.

Wiele, wiele lat starali się Ambroży i Matyllda o potomstwo, bywało, że i kilka razy na dzień się starali, bo wielką miała Matyllda słabość

do dźwięku kowadła i pęczniało jej łono-palenisko, a sokami wzbierała od wibracji, co przenika najgłębsze zakamarki ciała. I latami babską żądzę klęli piórkowscy, czekając, aż małżonkowie skończą kolejne staranie, a tu nic, nie mogła się Matyllda do końca rozewrzeć i można było podług niej cykle księżycy regulować, i zawsze wiedziała, z krzyku ochłonawszy, że jeszcze nie teraz, nie tym razem. Spódnicę poprawiwszy, brała się do obrządzania inwentarza, Ambroży zaś szedł odpocząć przy młocie i kowadle. Wraz zaczynał się ich taniec od nowa, bo chęć Matylldy pojawiała się w rytm kowadła, a znikła z sykiem hartowanej w wodzie podkowy, jakby wewnątrz jej ciała mógł otworzyć i ucieszyć tylko rezonans, i tylko czysty, wysoki dźwięk mógł uwolnić nieznane pokłady wilgotności.

Aż przyszła po latach taka niedziela, kiedy Siwi ogłosili, że dzwonnica jest już skończona. Na sumie, kiedy poświęcony i ochrzczony Janem dzwon zabrzmiał po raz pierwszy, Matyllda po prostu zemdląca, zemdląca, bo nie mogła złapać oddechu, bo nie mogła dosięść Ambrożego uwieczona w ławie między sąsiadami, zemdląca we własnych sokach i w konwulsjach dzikich jak epilepsja, rozwartą i mokra do kolan, z sutkami wysterczonymi przez odzienie jak guziki księżej sutanny. I cucił ją Ambroży święconą wodą, i uśmiechali się chłopcy i baby słabość jej do przenikliwych, czystych dźwięków znający, i wiedziała już Matyllda, skąd się dzieci biorą.

Następnej niedzieli nie poszła na sumę, ale odczekawszy, aż się piórkowscy w kościele zgromadzą, ukryła się z Ambrożym w krzakach malin i pokrzyw opodal dzwonnicy, pod kościelnym murem. Czekali bez słowa na koniec nabożeństwa, w strugach ulewnego deszczu, pod gołym niebem, nieco tylko osłonięci od ludzkiego widoku. Z pierwszym uderzeniem dzwonu otwarły się tamy, popłynęła jej rzeka, co przerodziła się w wodospad, a potem w wezbrany ocean, że można by w Matylldzie podkowy hartować. Z ostatnim uderzeniem była już ciężarna, a jej słabnący krzyk jeszcze długo mieszał się i przeplatał z wibrującym pomrukiem cichnącego dzwonu, jak dwa zestrojone głosy, co żegnają się na powitanie, bo wiedzą, że to właśnie teraz i tym razem. Do domu

zaniósł ją Ambroży na rękach. W dziewięć miesięcy później, co do dnia, urodziła mu syna.

Ochrzczony Janem (bo dzwon, nie ma wątpliwości), wołany Jasiem, rośnie jak każde chłopskie dziecko, co przeżyje pierwszych kilka tygodni – zdrowe to, rumiane, bystre, apetyt wilczy, krzepa wielka i nieokiełznana chęć zabawy. Nikt w Piórkowie ksiązek nie czytał, to i nie wiadomo dokładnie, skąd i jak nauczył Jasiu rówieśników zabawy w Indian i kombojów, chyba że Ambroży chłopcu bajek naopowiadał, ale ten wymowny nie był, więc nie wiadomo. Pewne jest, że to Indianie pod wodzą kilkuletniego Jasia pierwsi zobaczyli, jak zdobyty przez nich dwór wraca do życia, przez kilka dni z rzędu nadciągają placformy i furmanki zwożące dobro wszelakie, meble, sprzęty, wielkie czarne coś w pokrowcu, jakby skrzydlata skrzynia, i mnóstwo wszelkiego drobiazgu w plecioną słomę popakowanego. Wódz indiański z nowiną wraca do obejścia i z wypiekami na twarzy składa relację ojcu. Ambroży, kaftan założywszy i świąteczny kapelusz, pójdzie obejrzyć wszystko na własne oczy, zaś i połowa wsi z nim, w sam czas, by zobaczyć nadjeżdżającego wierzchem bratanka jego, Grzegorza, na przedzie, na angielską modę przyodzianego w tweedy, flausze i flanele, bo z Japonii do Piórkowa najkrótsza droga przez Londyn prowadzi, a za nim wyłożoną kobiercem zwykłą furmankę, na niej kobietę o skośnych oczach, białej jak mąka twarzy, ubraną i utrefioną cudacznie, z patykami sterczącymi w każdą stronę dookoła głowy. I jeszcze dwóch małych chłopców, jeden jasny i błękitny jak komboj, drugi ciemny i skośny, w sam raz na Indianina. Chłopi odruchem ściągnęli czapki z łbów, jakby wiedzieli, że musi to jakiś dziedzic nadciąga, co ich tu sto lat całkiem nie widzieli, baby łapały dzieciaki i chowały za siebie, za spódnice, za płot zaganiały i słały precz do chałup, bo to może zaraza jaka z tego być albo i jaki urok to rzuci, i nieszczęście gotowe.

Parada trwała w najlepsze, bo Piórków mały, ale wieś długa i od cmentarza do kościoła wolnym krokiem trzeba ze trzy pacierze. Trzy pacierze bił się Ambroży z myślami, czy podejść do cudaków i przedstawić się, na śmiech i drwiny z obu stron płota się

naraziwszy, czy więzy krwi zmilczeć. Dwór w ruinie, dworskie ziemie i tak piórkowscy już między siebie dawno podzielili, reforma rolna wisi w powietrzu, o kawałek lasu, łąki i staw sądzić się nie warto, a zresztą jak, przecie zna Ambroży testament, co o jednym spadkobiercy mówi i w dodatku Radeckim. I po co właściwie, kiedy gospodarka i kuźnia po Madeju wykarmią, że przejeść się nie da. I wrócił Ambroży do roboty, i babę popędził, nie żeby ciekaw nie był bogacza w rodzinie, ale mu chłopski honor nie pozwolił i obawa, żeby z tego wstydu jakiego nie było, bo co innego pokrewieństwo, a co innego sąsiedztwo, i co rodzina wyrozumie, to sąsiedztwo będą wykpiwać od jutra aż do sądnego dnia. Dało się bez krewniaków przez te wszystkie lata, da się i teraz, a bez sąsiadów trudniej jakby i może wcale się nie da. Honor ludzka rzecz, dziwny wynalazek, co zabił wielu, a nikogo nie ocalił, cnota, co ją tylko raz stracić można, ale bezużyteczna jak wszystko, co człek do grobu ze sobą zabiera.

W altanie zapadła ciemność i cisza tak donośna, że zajadły komar zmienił zdanie na temat kolacji i odleciał w stronę światła, żałując, że nie jest pajakiem, zegarek dziedzica skulił się w kieszonce kamizelki i cykał półgębkiem tylko co trzecią sekundę, ubawionym żabom z dworskiego stawu rechot uwiązał w gardłach, a nietoperze odwołały wszystkie planowe loty mimo dobrej pogody.

Morga szukał w myślach jakiej stosownej puenty dla wzniosłej chwili, już wyobraźnia podsuwała mu widok krewniaków padających sobie w objęcia z jego błogosławieństwem, a on sam czyni znak krzyża, jakby złowrogie chmury odganiał znad zwaśnionych głów, i widział wszystkich zgodnie zasiadających do wieczerzy, bo właśnie gorącą strawą zapachniało od dworu, a dobrodziej nie jadł od podwieczorku.

– I tak ten tu oto Smyczek jest przypuszczalnie według Pana i ludzkiego prawa twoim, Grzegorzu, stryjecznym bratem, przyrodnio, znaczy – podniośle zabrzmiał Morga i zamilkł wytwornie w oczekiwaniu na równie uroczystą reakcję dziedzica.

Radecki dwa razy wstał i dwa razy usiadł, bezradny jak ślepa Walerka nad książeczką do nabożeństwa, a Smyczek i Morga, z poważania dla dziedzica i nabożeństwa chwili, za każdym razem z nim wstawali i siadali. Jeszcze raz wstali i jeszcze raz usiedli, bo dziedzic potrzebował ruchu, to raz, a po drugie, mimowolnie chciał w ten sposób podkreślić, jak ważną i mądrą rzecz ma do powiedzenia.

– Kootej niła, noominrasii tokoro ga ari, noomin nimo mata, kootejrasii tokoro ga aru...

– To ja już pójdę. – Smyczek właściwie szykował się do odejścia, widząc, że dziedzica może i pomieszało i że z konspiracji raczej nic nie będzie.

– Grzegorz? Coś chciałeś rzec temu tu Smyczkowi? – próbował ocalić wieczerzę Morga.

Dziedzic wzdrygnął się i spojrzał wzrokiem nieobecnym a nieprzychylnym, jakby wyrwany z drzemki po obiedzie, co zaszkodził i zalega ciężkostrawną obietnicą, że nie da o sobie łatwo zapomnieć.

– Każdy chłop ma w sobie coś z cesarza, każdy cesarz ma w sobie coś z chłopca.



Piórkowscy powoli wypełniali kościół, niepewnie i lęklonie rozchodząc się po ławach, zostawiwszy puste trzy pierwsze rzędy, niby dla najbliższej rodziny, jakby Smyczka miało całe plemię odprowadzać, a nie Wanda tylko, Ambroży i Matylda. Nawet gdyby jakimś zrzędzeniem Kazimierz i dziedzic przestąpili próg kościoła, nawet gdyby Siwych na pogrzeb przyniosło, to w pierwszych trzech rzędach starczyłoby miejsca dla wszystkich, bo wprowadzie Piórków długi, ale wieś mała, a kościół duży, a tak, na zapas, kiedyś się przyda, przecież nie będziemy co i rusz nowego budować.

Nie z pokory zbili się piórkowscy w gromadkę w tyle nawy, gdzieś między pierwszą i ostatnią stacją Męki Pańskiej, nie ze skromności,

ale ze strachu, bo to i partyzanta chowają, i w dodatku w mondurze. Może myśleli, że zawsze będą mogli powiedzieć, że stali daleko i nic nie widzieli, jakby kto pytał? Najbliżej drzwi siadł Kaczor, i na wszelki wypadek, w razie jakby co, bo odważny bardzo nie był, i oficjalnie dlatego, że chorągiew niósł, a chorągiew zawsze na przedzie konduktu idzie i blisko mu będzie stanąć na czele, jak już będą ciało wyprowadzać.

Kominkowie odwarli wieko trumny lekuchno zabite i aż gwar poszedł po świątyni, bo piórkowskim ukazał się Smyczek w butach na opak założonych, a wyglądał, jakby leżał w trumnie z nogą na nogę nonszalancko założoną. Zaszepotały baby między sobą, czy dobry to znak, czy nie na pewno, chłopci popatrzyli po sobie, a ten i ów spojrzął ukradkiem w dół na własne trepy, czy dobrze wzute. Ojcowie Jasia, ramionami o siebie oparci, wspominali Indianina, zbója i żołnierza. Wanda rozpamiętywała kolędника i cudzołózcę, i jeszcze żywiła myśl, że oto przyszedł kres jej tęsknocie, i była w tym może nawet jakaś ulga. Organista, co nie miał szczegółowych poleceń od proboszcza, grał ze słuchu własną wersję *Tej ostatniej niedzieli*.

Morga w zakrystii nakładał ornat i stułę na prostą sutannę, przepowiadając w myśli przestrogi i rady świętej Teresy ku udoskonaleniu chrześcijańskiemu, bo mądre to słowa i bo przeczuwał, że nie jego, Morgi, będzie to ceremonia, jak to nieraz z sakramentami u niego bywało, ale Smyczka święto, święto prawdziwe, chociaż smutne. Gdy będziecie wielu razem, mów mało. Nie zabieraj nigdy głosu bez poprzedniego rozmysłu, a naprzód westchnij do Boga, iżby ci nie dał powiedzieć nic złego. Nie masz nic o sobie mówić, co by na cię ściągnęło pochwałę lub zaletę, chyba gdyby tego czyj pożytek wymagał. Nie miej nigdy upodobania słuchać źle mówiących o kimkolwiek, tym bardziej nie mów sam źle o nikim dlatego tylko, żeby go ganiono.

Cierpiał przy tym męki proboszcz, nie tylko z pogruchotanego ramienia, ale ze strachu, cierpiał nie tylko dlatego, że się bał, ale dlatego, że wstydził się swego strachu, cierpiał, bo rozumiał, że to

pycha, a nie wiara kazała mu ów strach przełamać i ostentacyjny pogrzeb w środku wojny partyzantowi wyprawić. Pomny, jak wielu kolegów z roku płockiego seminarium trafiło do obozów albo do łagrów i wszelki ślad po nich zaginał, bardzo chciał dotrzeć w posłudze do końca wojny, co nieuchronnie nadciągał od pierwszego jej dnia. Wydawało mu się, że bardzo potrzebny jest piórkowski, widział się Mojżeszem prowadzącym swój lud przez Morze Czerwone, pasterzem, co nie ma prawa ryzykować z powodu ciężkiej nań odpowiedzialności. Ale z drugiej strony, cała wieś widziała, jak mu Zerbst pistoletem groził, a nie stanowi przykładu pasterz, co ugnie się przed żelazem. Gdy będziesz w smutku i trwodze, radzi święta, strzeż się dla tego opuszczać modlitw, pokuty i innych dobrych uczynków. Przez to bowiem uległbyś nieprzyjacielowi, co te smutki i trwogi umyślnie ku tobie wymierza, iżby cię oderwał od Boga. Owszem, czyń, ile tylko z ciebie jest, czyń więcej jeszcze niż pierwej, a doznasz rychło przeciw niemu pomocy i łaski Nieba. Morze Czerwone, niestety, dopiero nadciągnie, a łatwo się nie rozstąpi.

I jeszcze dlatego cierpiał Morga, że eulogii na pogrzeb Smyczka nie miał, a powinien, bo było do przewidzenia, że prędzej czy później będzie potrzebna, miał dla dziedzica, miał dla Kaczora i dla Czynastego, miał nawet kazanie na swój własny pogrzeb ułożone, bo nie ufał, że może kto inny po nim równie mądre i prawdziwe słowa wypowiedzieć, a już zwłaszcza obcy jakiś, a może nawet sufragan, przez kurię przysłany, co nigdy Morgi u ołtarza nie widział, więc żeby wiedzieli, kto zacz, zostawia im proboszcz zapieczętowany rękopis w kancelaryjnych papierach, z dopiskiem, co go – jak Kościół Kościołem – jeszcze nie widziano: „po śmierci mojej owieczkom odczytać, pauzy i namysłu przestrzegając”.

A o Smyczku czemuś zapomniał, choć wszelkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały, że ten pierwszy w kolejności do posługi będzie. No, zapomniał i ulgą mu mądrość świętej Teresy była, że może nie będzie musiał kazać i tylko lekcycja wystarczy, bo miał Smyczek na każdą cnotę jeden grzech na sumieniu, a na każdy grzech jedno wytłumaczenie: że ludzka to rzecz grzeszyć i nieobca Panu, bo człek

od Pana pochodzi, a księżowska rzecz godzić z Bogiem, z którego grzech, słabość, ułomność i wszystko inne bierze początek. Nie, nie miał Morga cierpliwości do piórkowskiej teodycei, po ludzku niedoskonałej, co bardziej błędzającym służy niż świątobliwym. Nie, i już.



Ma historia kolei swoich epików, hagiografów i apokryfistów, ma też swoją poezję i literaturę łotrzykowską. Ojciec proboszcza, Morga Tadeusz, z rzemieślniczej rodziny krawców i kaletników, co przyklasztorne szkoły kończył, a kolejarzem chciał być od małego, sam osobiście dostarczyłby tematu na powieść obyczajową świetnie osadzoną w realiach epoki. Raz dlatego, że życie w drodze doskonale się do tego nadaje, a po drugie dlatego, że sam pisywał do różnych gazetek pod różnymi pseudonimami o różnych sprawach. Z różnym powodzeniem. Do gazet płacących rublami najczęściej pisał o podróżach lub o handlu za marki, lub o polityce za szylingi, zawsze po polsku, nigdy całkiem za darmo – dodatkowy dochód pozwolił jedyne go syna na księdza wykierować, a trzy córki tak wywianować, że je klasztor z otwartymi ramionami przyjął, mimo że za kawalerskich lat nie żałował na pohulanki i wizyty w domach publicznych miast i miasteczek wzdłuż kolejowych szlaków.

Morga Tadeusz zaczynał kolejarską karierę w wieku lat czternastu, jako pomocnik palacza. Kto dziś jeszcze pamięta, jakim szacunkiem cieszył się wówczas kolejarski uniform, jaki budził podziw i respekt? Zanim pojawił się automobil i aeroplan, panem był kolejarz, a w mniejszych miastach jeszcze autorytetem i ozdobą towarzystwa. Coś jak żeglarz sto lat wcześniej i lotnik sto lat później. Bez wątpienia, najlepsza partia w mieście. Tak myślał o sobie Morga kolejarz, ale może nie trzeba się dziwić, bo tak myślał jego świat cały. Jeszcze pół wieku później hasło „Koluszki” w encyklopedii zaczynało się tak: „ważny węzeł kolejowy...”.

W miarę jak przybywa torów kolejowych, przybywa i połączeń. Podróże stają się coraz dłuższe i coraz dłuższe stają się przystanki w cudzoziemskich krajach. Morga Tadeusz ma coraz więcej czasu na lektury i spacery po ulicach obcych miast, a że bystry i szkoły kończył (bez świadectwa na kolei nie zatrudniano), widzi więcej i mądrzejszych od siebie wnikliwością swych uwag zaskakuje. Będzie z tego wojna, mówi, bo na jednej stacji pruskie wojsko, a już na następnej francuska artyleria, a wokół pełno alzackich kurew. Albo że bawelna stanieje, bo do Łodzi pociąg za pociągiem maszyny i surowiec przywozi i jest praca dla wszystkich, co potwierdzają łódzkie kurwy. Albo że wino zdrożeje, bo reńskie winnice oglądał skute tragicznym jesiennym mrozem przez cały tydzień, jeżdżąc w tę i z powrotem, a mróz nie odpuszczał i cena rosła, i biadoliły lotaryńskie kurwy do trotuarów przymarznęte. Albo i to, że mniej haftów i koronek będzie się wkrótce nosić, a więcej gładkiego jedwabiu, bo takimi samymi znawczyniami w dziedzinie mody były paryskie kurwy, jak i paryskie damy.

Dzielił się hojnie swoimi spostrzeżeniami z każdym, kto chciał słuchać i jego elokwencję podziwiać. Różną miewał publiczność, chociaż naówczas poczekalnie dworców kolejowych gromadziły przede wszystkim zamożnych i wykształconych, bo tylko takich było stać na podróże i mieć ku nim dość powodów. I spotyka w swoim czasie a to drukarza, a to redaktora jakiegoś „Gońca”, a to wydawcę innego „Kuriera”. Towarzystwo jest lewicowe i każdy chce mieć u siebie pisarza-kolejarza, bo to i egzotyczne, i w dobrym tonie. Sakwojaż, oczywisty atrybut dalekich podróży, wyposaży teraz jeszcze w papier piśmienny, kałamarz, stalówkę w obsadce i, na wszelki wypadek, tuzin starannie zastruganych ołówków.

Po latach postój w każdym większym mieście pan maszynista zacznie od wizyty w tamtejszym „Gońcu” czy „Kurierze”, w drugiej kolejności dopiero rozejrzy się za jakąś rozrywką, poszukując na rynku lub w knajpie dziewczuchy, co wrażliwa na surdut, złoty zegarek i obietnicę dalekich podróży przyjmie zaproszenie na kolejarską kwaterę. Nawet nie obietnicę, w tamtych latach, w tamtych rynkach i tamtych knajpach sprawy są daleko prostsze,

wystarczy zapytać: A we Wiedniu (Paryżu, Dreźnie, Sankt Petersburgu...) panna byłaś? I już. Jeśli się poszczęści, spędzi noc, ruchając pannę w rytmie podkładów kolejowych, z czułością parowozu, kłując sumiastym wąsem. Nazajutrz zaprosi na przejażdżkę lokomotywą do dalekiego miasta, gdzie powołując się na przepisy, zostawi na peronie w obłoku pary i pożegna zawadiackim, przeciągłym gwizdem. A jeśli się w rynku nie poszczęści, wróci do gazety i wyposażony w adres odnajdzie burdelik przy małej uliczce na rogatkach lub w zaułku koło stajni i składów opału. O ile jeszcze nigdy tam nie był.

Z pewnej podróży do Wiednia, co wypadkiem stała się ostatnią, wraca kaleką. Obluzowana ryngbelka dosłownie miażdży mu lewe ramię. Ramię trzeba amputować, a to kładzie kres kolejarskiej karierze. Pan maszynista, najlepsza partia w mieście, autorytet i ozdoba towarzystwa, namiętny pisarz i rapsodyczny uwodziciel, musi rozstać się z koleją – koleją, co jednym jest zaledwie środkiem lokomocji, jemu zaś była wehikułem życia, przynosząc jednocześnie twórcze spełnienie, fizjologiczną ulgę płatnej miłości i inspirację pokątnych żądz podług wracającego wówczas do łask kanonu literackiego.

Dla pana maszynisty kolej była wszystkim, dla kolei pan maszynista był tylko kaleką. Ale kolej to coś więcej niż Lewiatan, kolej to postęp, co dobrowolnie wprowadza takie rzeczy, jak czas pracy, deputat, urlop i emerytura. Postęp oferuje panu maszyniście stanowisko zawiadowcy stacji w Rozbitku, w pruskim zaborze, gdzie dożywa swych dni w oczekiwaniu na mundurową rentę. Ożeniwszy się z posażną córką niejakiego Konefki, kupca bławatnego ze Zgierza, spędzi czwórkę potomstwa w ciągu pięciu lat dzielących go od przejścia w stan spoczynku. Teraz już raczej mieszczanin niż kolejarz, w dodatku bez stałego i hojnego dostępu do kurwiej mądrości, po niedługim czasie zapada w pisarski letarg. Literatura ludzka rzecz, od trzech grzechów bierze swój początek: pychy, chciwości i rozwiązłości, choć niektórzy co bardziej wyrozumieli filozofowie widzą w nich tylko strach, głód i pożądanie. Też ludzkie rzeczy. Jakkolwiek to zważ, literatura na obu końcach procesu nie

jest możliwa bez grzechu, choćby niewielkiego. Nie da się pisać bez grzechu, bo nie bardzo jest o czym, a i czytać też nie za bardzo, bo upadek jest zawsze ciekawszy niż poczciwość cnoty. I tak oto pan felietonista wysycha jako autor, od demona podróży, źródła występku, odcięty.

Kilka było powodów, dla których pan maszynista (wówczas już pan zawiadowca) oddał całą czwórkę potomstwa rzymskokatolickiemu powołaniu. Jego własne wychowanie w przyklasztornej szkole na pewno się do tego przyczyniło. Ale też prosta przyzwoitość, ojcowska miłość i żarliwa wiara były tu głównie na rzeczy. Wiara, bo dopiero w piątą poślubną Wigilię, po trosze przypadkiem, po części dedukcją i, niestety, trochę też siłą, dowiedział się, że jego połowica, Dorota z domu Konefka, wiedzie się z przechrzczonych białobrzeskich Żydów, a oboje teściowie są katolikami zupełnie świeżej daty, i nie o to chodzi, że Dorota nie śpiewa, bo nie umie, nie lubi i nie ma słuchu, ale o to, że kolęd nie zna, bo i skąd. Nikczemnie oszukany, w tajemnicy przed dziećmi przez następnych dziesięć lat obmyśla plan, jak z Doroty uczynić najgorliwszą rzymską katoliczkę w Rozbitku, w całej okolicy, ba, w całym pruskim zaborze. Jeśli w rzeczy samej tak bardzo chce być chrześcijanką, to z pewnością jest gotowa do poświęceń, co ich nowa wiara wymaga, gdyż w dziele nawrócenia poświęcenie jest nieodzowne, a chrzest też ma swoją cenę i nikt nikogo nie będzie zbawiał za darmo. Więc jakież może być większe poświęcenie niż oddać własne potomstwo Kościołowi w służbę i na pożytek? Mimo protestów i szlochów, córki do klasztoru, a syna do seminarium oddaje i małżonkę obłudnym przechrztem Konefkom odsyła, posag zatrzymawszy jako zadośćuczynienie. Tyle w kwestii żarliwości wiary. Co do ojcowskiej miłości, pan zawiadowca kochał tak bardzo, że raczej wolałby własnych dzieci więcej nie zobaczyć niż narazić je na podejrzenie o żydostwo, po matce przecież dziedziczne, i wykalkulował sobie, że powołanie będzie najlepszym sposobem ukrycia panicznej prawdy przed nimi samymi i wszystkimi dookoła. Tyle o miłości. Jeśli chodzi o przyzwoitość, nie chciał, by syfilis z dawien dawna go trapiący przeszedł na potomstwo jego

potomstwa i w celibacie odkrył sposób ograniczenia zarazy do dwóch pokoleń.

Życie to jest podróż w przesiadki obfita. Czasem gdy wysiadasz z wagonu, twój następny pociąg już stoi na peronie obok, uprzejmie przez los podstawiony. Ledwo zdążyłeś. Innym razem czekasz, czekasz, czekasz, a twój pociąg nie nadjeżdża. I tracisz cierpliwość, tracisz wiarę, że twój pociąg kiedykolwiek nadciągnie, i myślisz, że już po wszystkim, że spóźniłeś się na przesiadkę, i bierze górę wściekłość i zwątpienie, i już po tobie. A jeszcze innym razem, ukołysany monotonnym rytmem, zapadasz w sen tak mocny, że czczy i zmarznięty budzisz się o świcie na boczniczy w Koluszkach.

Podróż to jest życie, bo w Podróży zawsze przytrafia się więcej i na opak. Skąpiec gotów jest wydać więcej, niż mu obsesja i mizerne pobory pozwalają, tłumacząc samemu sobie, że nie miał wyjścia. Gaduła zamilknie i wysłucha współtowarzyszy, a małomówny opowie anegdotę. Biedak zrobi się hojny, bo w Podróży nie jest biedakiem, tylko podróżnikiem. Skryty sodomita dozna cielesnej epifanii, napotkawszy wzrok lubieżnego chłopca. Śmiertelnie chory w drodze po cudowny lek ozdrowieje i umrze szczęśliwy, bólu nie czując. Wierny mąż trafi w ramiona hotelowej dziwki o smutnych oczach, a cnotliwa małżonka spotka miłość swego życia, o której nawet nie wiedziała, że istnieje. Co nigdy nie przytrafi się w domu, na te same słabe istoty czyha w Podróży, bo taka jest jej siła, pokusa i magia, że póki trwa – najslabszych czyni wolnymi. W Podróży posuną się do rzeczy, do których na co dzień nie byliby mieli dość odwagi, fantazji i pieniędzy, bo taka jest jej potęga i władza, że przenosi nie tylko w czasie i przestrzeni, ale miesza dusze i wcielenia. Pozwala przymierzać kostiumy i przywdziewać miny w innych okolicznościach niemożliwe, pozwala odgrywać role wszędzie poza Podróżą niewiarygodne. Fałszywą religią jest i bałwanem, gdy roztacza miraż innego losu, będąc przy tym prawdziwą wiarą, bo każda wiara ma za cel dowieść, że jedno życie to za mało. Jest Podróż wielkoduszna i okrutna, jak każdy, kto daje wolność urodzonym niewolnikom. Wysłucha, przygarnie, usprawiedliwi i oczyszczonych wnet odeśle do domów, bo każda

Podróż ma swój kres i każdy kiedyś wraca. Wreszcie, Podróż ich ograbi, ale i wzbogaci – ograbi ze złudzeń na własny temat, ale wzbogaci o prawdę o nich samych, bo to szczerą prawdą, że podróże kształcą.

Tak, mniej więcej, brzmiał pożegnalny felieton pana maszynisty, nigdy niewydrukowany, który ksiądz Morga w sakwojażu po ojcu znalazł, razem z kosztowną protezą lewego ramienia z kolońskiego warsztatu, złotym zegarkiem i zdjęciem trzech uśmiechniętych zakonnicy w otoczeniu gromadki jednako ubranych dziewcząt.



Nie udała się Smyczkowi pierwsza konspiracja u Radeckiego, nie udała się też i następna, bo miał dziedzic żal przeokrutny o dwadzieścia lat trzymania w upokarzającej niewiedzy i o to, że Smyczek nie zginął, a nawet jakby, to i tak Wanda nieoczekiwanie stawiała mu się powinowatą, a to już przesada nawet jak na niemy film w częstochowskim kinematografie, i o to też, że się Ambroży do więzów krwi nie przyznał. Nie żeby chciał się dziedzic schedą dzielić, ale byłby może przynajmniej do miasta się wyniósł, majątek sprzedawszy, i nie musiał piórkowskim w oczy patrzeć. I wydało mu się nagle, że ilekroć wieś przemierzał, wierzchem czy bryczką, widział ironiczne uśmiešky wśród chłopów i udawany szacunek czapek ściągniętych na powitanie, i jadowite żarty, i śmiech szydery, gdy kurz za nim opadł. Jakby piórkowscy nie mieli nic innego do roboty.

Więc gdy następnym razem Morga sam zwołał konspirację do altany, dziedzic nie mógł powstrzymać wybuchu.

- Kto jeszcze wie?
- Wszyscy, Grzegorzu, wszyscy...
- Ojciec mój?
- Wiedział...
- Ambroży?
- Też...
- Dlaczego się o majątek nie upomniał?
- Bo nie miał prawa.
- Prawo, zgoda. Ale krew?
- Czyja krew? Buntowników czy okupanta? Niewolników czy książąt? Mulatów czy bękartów? Czyja krew, Grzegorzu? I co ty byś na miejscu Ambrożego uczynił?

Nie ominął dziedzic Smyczka, co zaczynał się niecierpliwić, że kolejna konspiracja spełźnie na niczym, i zbierał się do odejścia w stronę leśnej kryjówki.

– A wy, panie chorąży, co na to?

– Ojciec mieli rację, a kto by się tam przyznawał do dziwaka i pederasty...

Smyczek powiedział na głos, czego Morga nawet nie próbował dać do zrozumienia w półsłówkach i aluzjach. Ot, jeszcze jeden przykład piękna zwięzłej prostoty.

– Pederasta?! Ależ ja mam żonę, dzieci!

– A gdzie ich macie, panie dziedzicu?

– I do waszej, tej, no, do waszej kobiety się zalecałem!

Morga zrozumiał, że musi prędko interweniować i opanować sytuację, nim dziedzica jaka krzywda spotka i zamiast wyzwoleńczej konspiracji bratnia krew się poleje, bo Smyczek już wstawał i rękawy podwijał, a to nigdy nie był dobry znak, zwięzła prostota może i dobra jest na wiejskim weselu, ale niewczesna, gdy sprawy wagi państwowej roztrząsane być mają.

– Do Dełesia, zdaje się, też! – wtrącił Morga z takim impetem, jakby wskakiwał do pędzącego pociągu.

– To co innego, pozował do obrazu...

– Nago? – Morga nie krył ironii.

– Taki obraz. Czasem sztuka wymaga, żeby...

– Taka sztuka, że i artysta musi być nago?

– Ach, to przyjęty sposób, chciałem chłopca ośmielić...

– Czym? – nie wytrzymał Smyczek. – Pędzelkiem?

Tego już dziedzicowi było za wiele. Jego dom, jego park, jego altana, jego własny letni wieczór i jego prywatne sprawy. Miał prawo pożegnać zebranych w ich liczebnej przewadze i nastroszony, nierozumiany, ale niepokonany, pójść w swoją własną stronę, gdzie wprawdzie nic nie jest ani piękne, ani zwięzłe, ani proste, ale za to błogo znajome i opiumowo przytulne, jak herbaciane ogrody dzieciństwa, zawsze gotowe na jego przyjęcie.

Smyczek w lesie czuł się jak w domu, jakby partyzantka była dla niego specjalnie wymyślona. Procentowało doświadczenie pokoleń i lata zabawy w Indian i kombojów. Dziwne, że nikogo nie zastanowiła łatwość, z jaką obcował z lasem, jak chętnie las go żywił i udzielał schronienia. Nie zastanawiało nawet Smyczka, skąd, na przykład, wie, gdzie znaleźć źródło, które jagody są jadalne, a które grzyby trujące, jak zbudować szałas, co obroni przed największym mrozem, jak ukryć dym z ogniska, by nie ściągnął czyjej uwagi, jak upolować zajęcy bez jednego wystrzału albo jak być niewidzialnym i bezszelestnym. Smyczek miał las we krwi.

A przecież we wojsku tego nie uczyli. Innych pożyteczności uczyli, jak to musztry, siania łóżka, pucowania butów, życiorysu Marszałka, czasem nawet strzelania i walki na bagnety, ale jak toczyć wojnę po wojnie – niestety nie. W grach wojennych wynik jest przesądzony z góry, armie nie ćwiczą się w porażkach, bo jak by to wyglądało w raportach generałów? „W największych manewrach w historii II Rzeczypospolitej Rzeczpospolita poniosła dotkliwą porażkę”? Organizujemy wielkie manewry po to, żeby przegrać wojnę, którą udają? I co? Idziemy do niewoli? Podajemy się do dymisji? Kolejny rozbiór? Nie, w wojskowych umysłach, na sztabowych mapach, w pogadankach dla żołnierzy nasi zawsze pokonują tamtych. Żadne wojsko nie przygotowuje do klęski, wojsko uczy tylko, jak wygrać lub zginąć. „Zwycięstwo albo śmierć” powiewa na wszystkich sztandarach, od kiedy wymyślono zwycięstwa, sztandary i mauzolea. Po to je zresztą wymyślono, bo wojna to jest poważna sprawa i koniecznie musi coś powiewać, żeby miała sens. Bez powiewania się nie da. Bez powiewania to nie jest wojna, tylko partyzantka.

Kurier na motocyklu, który przywiózł do dworu kartę powołania dla Smyczka, nieoczekiwanie uprzejmie zabrał go ze sobą w drogę powrotną. Nie zamieniwszy ani słowa przez dziesięciogodziną podróż, przywiózł go na miejsce przeznaczenia i wysadził pod wejściem do koszar warszawskiego garnizonu. Dwie budki wartowników z dykty pomalowanej w biało-czerwone pasy, szlaban

nie grubszy od dyszla, rachityczna brama, a nad nią wycięte z blachy, pomalowane na biało litery składające się w słowa: Bóg, Honor, Ojczyzna („Zwycięstwo albo śmierć” dla słabiej zorientowanych). Pierwsze wrażenie nie było zbyt budujące. Solidniej wyobrażał sobie Smyczek wojsko II Rzeczypospolitej przez całą drogę z Piórkowa.

Wojsko nie pozostawało dłużne w swoim pierwszym wrażeniu, bo to i kryminalista, i artysta, z wyglądu może nawet Cygan, i siłacz, mimo że piśmienny, i uczyć się chce, i do tego jeszcze protegowany przez kogoś z wysoka, a tego wojsko to już naprawdę nie lubi, chyba że od porucznika w górę, i nie tyle nie lubi, ile się boi, bo nie wiadomo, kto zacz i czy nie nasłany, a wojsko nie lubi się bać.

Po dwóch latach służby zasadniczej Smyczek jest kapralem i kończy szkołę powszechną, bo w Broniszewie tylko cztery klasy ukończył, bo więcej nie było, bo w okolicy nikt więcej nie potrzebował. Po następnych dwóch latach jest plutonowym z małą maturą, a po jeszcze dwóch sierżantem z prawdziwą maturą w liceum dla pracujących oraz z widokami na podchorążówkę od jesieni. Późno, ale zawsze.

I pokrzyżował Smyczka plany Niemiec, odwieczny wróg, a przecież wiadomo, że gdyby nie napadł, to byłby Smyczek podchorążówkę skończył, i nie na wyrost czy z próżności kazał dziedzicowi zwać się chorążym, a dlatego że mu się sznury i pagony słusznie należały i tylko kwestią czasu było kiedy. Samozwańcem byłby, gdyby się był porucznikiem obwołał albo kapitanem, oficerem w każdym razie, ale chorąży? Oficerów na każdej wojnie pierwszych zabijają albo do niewoli biorą i potem zabijają, a taki chorąży to nie tylko z życiem ujdzie, ale i z niewoli wróci, bo dla wroga to żaden oficer, a z drugiej strony, jak już taki chorąży przeżyje i wróci, to swoim na pewno się przyda, bo zawszeć to prawie oficer. Chorąży, rzecz nie bez znaczenia, w ogóle lepiej brzmi i gwiazdka na rogatywce, choćby mała, większy respekt budzi. Do tego chorąży brzmi sprawiedliwiej niż sierżant, nawet starszy i nawet sztabowy, i po co ze sprawiedliwością zwlekać do końca wojny, o którym wiadomo, że

nastąpi, tylko nie wiadomo kiedy. No i wziął Smyczek sprawiedliwość w swoje ręce i został się chorążym, i niby komu to przeszkadzało?

Wojnę zaczął Smyczek jako dowódca plutonu w bydgoskiej kompanii wymiatania, co bez sądu rozstrzeliwała cywilów podejrzanych o udział w piątej kolumnie. Dużo tego nie było, najwyżej tuzin, może dwa, ale roboty przy tym co niemiara, bo każdy jeden z listy proskrypcyjnej błagał o litość a kłął się Polakiem i patriotą. Szczególnie elokwentnych załatwiano na miejscu, pozostałych likwidowano na placach i skwerach, dla większego efektu.

Nie lubił Smyczek tej roboty i z ulgą dowiedział się, że jego zgrupowanie ma niezwłocznie ruszyć na odsiecz Warszawie. Jeszcze na przedpolach stolicy zdziesiątkowany pułk dostaje nowe rozkazy, które każą mu udać się na wschód dla powstrzymania bolszewickiej hordy. Za późno, na wszystko za późno, wciśnięte między dwa fronty jak w imadło, oddział za oddziałem, całe brygady i dywizje w chaosie klęski zmierzają w stronę rumuńskiej granicy.

Nad rumuńską granicą niepodzielnie króluje Francja i Anglia, jakby to nie była zapadła Bukowina, tylko stołeczna kawiarnia. Ten i ów już widział francuskie samoloty, inny zaklinał się, że angielski korpus wylądował na Helu. Nie ma, niestety, sposobu, żeby to sprawdzić na własne oczy. Na własne oczy można tylko przekonać się, jak wygląda Rumunia, a tyle to Smyczek potrafi sobie wyobrazić. Francja daleko, Anglia to już w ogóle jakaś abstrakcja, a do Piórkowa blisko, w każdym razie znacznie bliżej niż do Paryża czy Londynu. Cały dzień i całą noc bije się Smyczek z myślami, patrząc na kolejne oddziały przekraczające granicę. W końcu postanawia na próbę zobaczyć tę Rumunię. Dołącza do pierwszego lepszego pododdziału, broń w lesie ukrywszy – nic prostszego, nie żadne tam zakopywanie, owija się karabin w szmaty nasączone ropą, naftą albo olejem, osobno zamek i osobno bagnet, wiesza się go lufą w dół w gęstym modrzewiu, blisko pnia, i już. Jeśli na co dzień był dobrze zadbany, przetrzyma tak do paru miesięcy,

całkowicie sprawny, bez śladu rdzy, i przyda się jeszcze, gdyby przyszło tą samą drogą wracać.

I w końcu przecież przyszło. Tak strasznie nudzi się Smyczek w rumuńskim obozie i tak strasznie mu rumuńskie żarcie nie smakuje, że ucieka. Ucieczka to może za dużo powiedziane, raczej opuszcza obóz, otwarcie żegnając się z internowanymi, którzy postanowili zostać jeszcze parę dni dłużej. Nikt nikomu w ucieczce nie przeszkadzał, zasadniczo nikt nikogo na siłę w obozie nie trzymał, wszystkim było na rękę ich stopniowe wyludnienie. Żadnych skomplikowanych planów, wymyślnych podkopów, brawurowych spacerów po polu minowym ani desperackiej jazdy między kołami ciężarówki wywożącej śmieci. I na pewno nikt nie będzie do nikogo strzelał. Wystarczy po zmroku dyskretnie podejść do ogrodzenia i przeczołgać się pod rachitycznym kolczastym drutem. Rano wszyscy będą zadowoleni: komendant, bo zawsze to jeden kłopot mniej, kwatermistrz, bo zostanie jedna racja więcej, którą można zjeść albo sprzedać, i wojsko, bo będzie o czym gadać przez cały dzień.

W modzie były ucieczki do Francji albo francuskiej Afryki, w ewentualności zaś do Anglii albo brytyjskich kolonii. Dziedzicznie obciążony Smyczek ucieka w przeciwnym kierunku, do Piórkowa, dokładnie tą samą drogą, jakby wracał po własnych śladach, po drodze odnajdując ten modrzew i ukryty w nim karabin. Śniady i czarnowłosey w Rumunii wygląda na swego, do tego zna sporo cygańskich słów, póki co podróżuje bezpiecznie i nieśpiesznie. A potem idzie nocą, odpoczywa w dzień. Obejdzie tak całą Generalną Gubernię, skrzykując wszystkich byłych podwładnych, którzy nie trafili do niewoli albo do piachu. Wiele tego nie ma, kilku nie chce w Smyczku przełożonego uznać, bo wojna się skończyła, inny się boi, a ten i ów ma dość swoich kłopotów. Po prawdzie, na wiosnę oddział nadal składa się głównie ze Smyczka, ale ma on jeszcze nadzieję, że Turoń i Śmierć, Uklejowe bliźniaki, dołączą, jeśli tylko do Piórkowa wrócą. Przecież wrócą, każdy kiedyś wraca.

– Może Anglia... – bąknął proboszcz.

- Prędzej Ameryka – stanowczo poprawił Smyczek.
- Rosja – powiedział autorytatywnie Dziedzic.

Już, już wydawało się, że prawdziwa konspiracja będzie mogła się nareszcie zacząć, ponieważ każdy miał rację i nawet nie było się jak pokłócić. O Francji tamtego lata można było tylko pomilczeć, a Rosji z Ameryką było daleko i do Piórkowa, i do wojny. Poważnie pokłócić się można było już tylko o to, kto ma być dowódcą. Dziedzic uważał, że on sam, ze względu na urodzenie, starszeństwo, wykształcenie, majątek i w ogóle. Proboszcz dowodził, że jego doświadczenie wojenne jest największe, i w dodatku zwycięskie, wiekiem nie ustępuje Dziedzicowi i jako duchowny zawsze będzie poza wszelkim podejrzeniem. Smyczek miał pewność, że dowodzić powinien zawodowy żołnierz, w dodatku prawie oficer. Przekonał Morgę, który bolszewicką kampanię skończył jako starszy kapral, a dopiero ten nakłonił Radeckiego do ustępstwa, co na tym polegało, że zgodził się być o jeden stopień niżej od Jasia, ale tylko o jeden. Jeden i basta. Już i tak nie cierpiał Dziedzic Smyczka z powodu zajęcy, fortepianu i Wandy, to teraz mógł jeszcze dla pokrewieństwa i zwierzchnictwa. Nie, żeby się Dziedzic pogodził z podrzędną rolą w narodowowyzwoleńczej potrzebie, ale nadal kochał się w Wandzie i kinematograf w głowie znowu mu wyświetlał piąty akt, w którym Smyczek jednak ginie na wojnie.

Tymczasem ustalono, że magazyn i sztab będą się mieścić w grobowcu Radeckich, na piórkowskim cmentarzu, że Dziedzic zajmie się aprowizacją, bo bogaty, a Morga wywiadem, bo wychowany w pruskim zaborze zna niemiecki, z ludźmi dużo gada, na spowiedzi niejednego się dowie i w ogóle jest poza podejrzeniem, że Kazimierz będzie odpowiadać za logistykę, za łączność niemowa od Wandy, a Smyczek weźmie na siebie uzbrojenie, szkolenie i akcje bojowe. Do zwoływania narad będzie służyć dzwon: jedno uderzenie – za godzinę na cmentarzu, dwa uderzenia – za dwie godziny, i tak dalej. Spiskowcy przydzielali sobie jeszcze stopnie oraz pseudonimy i na czas jakiś zapanowała zgoda. Do zwycięstwa brakowało już tylko Niemców i choć kilku partyzantów.



Zerbst naprawdę to nie był taki zły. Ani szczególnie krwiożerczy, ani szczególnie gorliwy, nawet nie antysemita, do narodowych socjalistów wstąpił głównie z powodów merkantylnych, bo większość jego klientów, weteranów poprzedniej wojny, tam właśnie należała, a to zapewniało najtańszą reklamę i duży rynek zbytu. I byłby wiódł spokojne życie kolońskiego rzemieślnika, patrząc, jak nowa wojna nowy popyt zapowiada, gdyby sobie Wehrmacht nie przypomniał, że potrzebuje rezerwistów, wielu rezerwistów, do pilnowania porządku po całej Europie. Mając do wyboru Bahnschutz i tyłowe, ale regularne oddziały, wybiera te drugie, bo nie ma nic smutniejszego niż oglądanie pociągów w jedną stronę wiozących dzieciaki na front, a potem w drugą stronę wiozących kaleki do domów. Pracowity i oszczędny Zerbst nie lubił trwonić czasu, pieniędzy ani sposobności. A tu taka rozrzutność, taka bezmyślność, tylu bezpowrotnie straconych klientów. Nie, Bahnschutz byłby zdecydowanie ponad jego siły.

Późną wiosną, kiedy oddziały o większej wartości bojowej zaczynają sposobić się do zwiedzania zamków nad Loarą i wakacji na Riwierze, pluton Zerbstą zostaje rozlokowany w Białostrzegach. Riwierą to nie jest, za to nikt nie strzela, nikt nie wydziera się na podwładnych, chodzi się w czapkach zamiast w hełmach. Trochę żal winobrania w Burgundii, ale Zerbst nie ma kompleksów na tle niższej wartości bojowej. Może nawet woli życie bez widoków Żelaznego Krzyża niż widok wiecznego odpoczynku pod drewnianym krzyżem.

Wiosna w naszych stronach, jak zechce, potrafi być cudna. Nic nie udaje, jest bezpretensjonalna jak łubin i saradela, chałupom otwiera poobtykane okna, wywiesza poduchy i pierzyny, podwiewa kiece dziewczuchom, wrzuca kulki naftaliny na dno zimowej skrzyni, z wdziękiem rozprowadza nikłe ciepło po wyziębionych szkieletach, jak przepalanka w Lany Poniedziałek. Czasem, ot tak, dla figla, zachmurzy niebem kudłatym jak chłopska baranica

i przymrozi kałużom, by zaraz potem przymierzać twarzowe letnie sukienki. Pora roku, co chodzi w słomianym kapeluszu.

Zerbst lubi naszą wiosnę, bo jak jej nie lubić? Codziennie w świetnym nastroju, pogwizdując Straussa albo Lehara, sumiennie spisuje białobrzeskich Żydów i optymistycznie patrzy w przyszłość. Kiedy mu się Żydzi skończą – zaczyna od nowa i jakoś za każdym razem wychodzi mu mniej. A przecież, gdyby nie wiosna, może byłby pogwizdywał Wagnera, wtórując sobie świstem pejcza, może nie patrzyłby w przyszłość tak optymistycznie, tylko próbowałby ją ponaglić kolbą karabinu, nie mówiąc o Żydach, których ubywałoby trzy razy szybciej? Zerbst dawał życie, przynajmniej dopóki nie przyszły inne rozkazy. Prawda, jednym pozabierał radia, prawda, innym pozabierał dubeltówki, a dziedzicowi jeszcze i sztucer, prawda, tego i owego wysłał na roboty, ale przecież nie z własnej inicjatywy i w gruncie rzeczy dla ich własnego dobra, bo tamtej wiosny nie było nic bardziej przygnębiającego niż słuchanie radia, polowania były zakazane, a w okolicy i tak nie było pracy dla wszystkich.

Szybko się przy tym uczył. Wraz pojął, że proboszcza lepiej zostawić w spokoju, bo pruska metryka skutecznie przemawia do wyobraźni i ogólnie większy z Morgi pożytek w Piórkowie niż w Buchenwaldzie, bo go piórkowscy dziwnie słuchają, a łatwiej jednego klechę nastraszyć niż całą wieś za mordę trzymać. Poniechał Kazimierza, bo, wiadomo, Austriak to całkiem dobry Niemiec, poniechał i dziedzica, bo japoński paszport wyglądał na autentyczny, mimo że inaczej sobie Zerbst żółtą rasę wyobrażał. Trudno mu przyszło zrozumieć, że wśród tych, których instrukcje oraz okólniki wskazywały jako potencjalne zarzewie spisku i bandytyzmu, mało kto jest Polakiem, za to prawie wszyscy, w świetle polityki, traktatów i prawa międzynarodowego, są zasadniczo sojusznikami lub obywatelami Rzeszy. Nie do końca rozumiał, dlaczego i przeciw komu mieliby się buntować. Aż tak szybko się nie uczył.

Niewymowny, niewyględny i niebogaty, Zerbst był kawalerem platonicznym, co niejedną okazję do ożenku poświęcił dla śrubek, sprężynek i zawiasów. W Weimarskiej Republice, a później w Rzeszy, zdrowi i cali mężczyźni byli w deficycie, jak to po każdej większej wojnie, a co dopiero po wojnie światowej. Zerbst lekceważył ten popyt, tłumacząc rodzicom na jednym z niedzielnych obiadów, że mężczyzna, który chce założyć rodzinę, musi mieć czas albo pieniądze – przynajmniej jedno z dwojga. Po śmierci starego zegarmistrza przejął cały warsztat i systematycznie udoskonalał swoje produkty. Jego robione na miarę protezy nóg pozwalały nie tylko jako tako chodzić, ale również jeździć motocyklem i prowadzić samochód. Pierwszy na świecie sprzedawał protezy rąk w komplecie z czarną rękawiczką. Stale ulepszał konstrukcje, wyszukiwał nowe, mocniejsze i lżejsze materiały, o mało co nie wynalazł teflonu i ortalionu. Robił protezy drewniane, miedziane, chromowane i aluminiowe. Udzielał wysokich rabatów kombatantom, czasem po prostu oddawał gotowy wyrób za darmo, nawet nie za cenę surowców, więc nie miał pieniędzy. Miał za to zamówień na rok z góry i nie miał czasu na nic. Ostatecznie, tłumaczył rodzicom, coś trzeba będzie zaoferować ewentualnej Frau Zerbst, jakiś substytut zainteresowania (pieniądze) lub prawdziwe zainteresowanie (czas). Frau pozbawiona jednego i drugiego, przekonywał, prędzej czy później zacznie mu ciosać kołki na głowie lub szukać zainteresowania gdzie indziej. Tego gdzie się nauczył – nie wiadomo.

Wolną chwilą na swojej białobrzesckiej kwaterze próbował rysować następne modele, coś obliczał i wycinał z papieru. Z braku narzędzi i surowców eksperymentował z wikliną, ale bez większego powodzenia. Sfrustrowany, rzucał wszystko i chwycił słownik niemiecko-polski, lecz tu czyhała na niego jeszcze większa rozpacz i poczucie porażki. Wyczerpany bezsilnością, beczynnością i nudą w końcu brał się na powrót do liczenia Żydów. A potem przyszły inne rozkazy.



Kazimierz nie był zachwycony, że ma odpowiadać za logistykę.

– To się tylko tak nazywa – przekonywał go Smyczek. – Naprawdę, Kazimierzu, będziecie nadal jeździli karawanem, zaś czasem zamiast nieboszczyka przewiezicie co innego.

– Niby co? – Nie mieściło się Kazimierzowi w głowie, że miałby wozić drajemem kiszoną kapustę, nie mieściło mu się w głowie, że Smyczek mógłby w ogóle o to poprosić. Nie znosił tego smrodu.

– No, może partyzanta jakiegoś, gdyby ranny, albo broń, jak się co zdobycznego trafi, albo amunicję.

– A, broń... Ale kiszonej kapusty nie?

– Kiszonej nie, prosiaka może, czasem.

– Ale ubitego?

– Ubitego.

– To mogę.

– Będziecie, Kazimierzu, szeregowym. Wybierzcie sobie pseudonim.

– Może... Luter?

– E, nie...

– Niby czemu?

– A ilu tu mamy lutrów w okolicy? Zaraz będzie wiadomo.

– To niby kto jeszcze ma znać mój pseudonim?

– Starszy kapral Pasterz, podchorąży Szogun, łącznik Gaduła, no i ja. – Smyczek chwilę pomyślał i zmienił zdanie. – A tam, wiecie co, Kazimierzu? Możecie sobie być i Lutrem...



Morga podreptał w prawy róg ołtarza do Mszału, przeżegnał się i zaczął mówić *Introit*, co w znaczeniu duchownym wyobraża westchnienia Ojców Kościoła oczekujących przyjścia Zbawiciela i proszących o jego zesłanie. Jak to we mszy żałobnej, proboszcz nie przeżegnał siebie samego, lecz uczynił znak krzyża na Mszale, a to dla okazania, iż nie za siebie, ale za dusze w czyśćcu zostające Mszę Świętą ofiaruje. *Requiem aeternam dona eis Domine, et lux perpetua luceat eis* – zaintonował bez przekonania, bo nie bardzo wierzył, że

Smyczkowi czyściec pisano, ale i nie bardzo wierzył, że Smyczek tak uczciwie na piekło zasłużył. Teodycea – teodyceą, ale jakaś sprawiedliwość musi być i gdyby to od proboszcza zależało, byłby Jasiu na dłużej w jakimś zacisznym zakątku czyścica zamieszkał, na sto lat, powiedzmy, a potem by się zobaczyło.

Obróciwszy się do wiernych, ujrzał Morga Smyczkowe buty na opak wzute i w pierwszej chwili omal zaniemówił, bo nie wiedział, czy to nie jakiś kolejny pogański zabobon, co ich w tych stronach wielka mnogość pokutowała, a przecież najprostsze wytłumaczenie – że się zboląła niewiasta omyliła – wcale najprostsze nie było, bo jaki geniusz by na to wpadł. Ale że nie zauważył żadnej konfuzji tym dziwactwem wśród zgromadzonych spowodowanej, wrócił do swojej roboty, modlitwą maskując zdziwienie. *Exaudi orationem meam; Te omnis caro veniet* – dokończył i rozejrzał się po swojej trzódce.

Piórkowscy, szarawi i cisi, czekali potulnie na dalszy ciąg obrządku, jedna Wanda wyglądała, jakby świeciła – tak samo jak Smyczek, kiedy zobaczył ją pierwszym razem, tym samym światłem, co początek ma przedwieczny i nie odchodzi wraz z pogrzebem, bo nie kończy się i nie zaczyna prawdziwa miłość, ona po prostu jest i nawiedzonym światłem objawia się na twarzach tych, którzy to pojmą. Miłość się nie zdarza, w niej się uczestniczy. Tego się nie ma, tym się jest. Światłość wiekuista objawia się w tysięczne sposoby. Przy odrobinie szczęścia wysłucha modlitwy i przyjdzie w cielesnej powłoce. Na pewno też kiedyś odejdzie, jak wszelkie ciało. I co z tego? Przestać kochać zawczasu? To ma być ta rada?

Smyczek wiecznie gdzieś odchodził, a to za chlebem, a to przez proboszcza wygnany, a to do więźnia albo do lasu, a nigdy nie było wiadomo, czy i kiedy wróci. Noże w cholewach nosił nie dla zbójckiego fasonu, bo ilu jemu podobnych przemierzało te same gościńce, przecież nie wiadomo, i jeszcze miał Jasiu tę dziwną przypadłość, że ściągał na siebie przygody, jakie się innym nie przytrafiały, jak piorunochron błyskawice. Celował w rzeczach niebezpiecznych i nieprzewidywalnych, rozrzutnie nadstawiając łba, czy warto było, czy nie. Kiedy na jednym z konspiracyjnych spotkań

Morga w końcu zapytał o motywy, dla których wciąż szuka guza, Smyczek odpowiedział:

– Motywy? A co ksiądz ma pod ręką?

Miała dość czasu Wanda, by nauczyć się kochać, i to raz na zawsze. Kochała nawet teraz, zabitego na śmierć, może bardziej niż kiedykolwiek, wiedzona niezłomną wiarą, że jak para i lód są postaciami wody, tak katafalk i łoże są częścią życia. A bez wody nie ma życia, czego uczą mądre księgi i liczne przykłady. Miłość ludzka rzecz, jak plaga, trąd i nałogi, zabiera зараżonych i podatnych, oszczędzając tylko lękliwych, gruboskórnych i jeremitów.



Pić zaczęła Wanda wnet po pogrzebie pierworodnego. Wkrótce piła więcej niż Smyczek, więcej niż Uklejowe bliźniaki, więcej niż ktokolwiek we wsi, nawet Czynasty. Więcej i częściej. Miała baba przy tym głowę do gorzałki, a wraz z tym i chłopski podziw i, szczęśliwie, żadnych objawów opicy nazajutrz. Potrafiła pić od rana do wieczora i od wieczora do rana, bez różnicy i bez szkody dla interesu, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, od niedzieli do poniedziałku, następnego poniedziałku, a tak przebiegle, że piórkowscy nigdy nie widzieli, by się zatoczyła albo porzygała. Przepiła nawet felczera Uczciwka, a także dziedzica, i to dwa razy. Pijanego felczera, co wraz po wylewie piekarza Franciszka przyszedł w konkury z butlą aptecznego spirytusu, kazała Hahamowi wrzucić na wóz wraz z rowerem i wywieźć w środek lasu, gdzie podobno jeszcze dwa dni błakał się, zupełnie nie wiedząc, gdzie jest, i umorusany mąką straszył dzieciarnię i grzybiarzy, bo wyglądał jak zjawa, a kto widział, żeby duch o drogę pytał. Pan Radecki przychodził w zaloty dwa razy, raz z butelką szampana, kiedy Smyczek poszedł do więzienia, i drugi raz z francuskim koniakiem, kiedy Jasiu dostał powołanie. Dziedzic kochał się w Wandzie, ale nie myślał od razu o poważnej aferze, takiej z kinematografu, w gruncie rzeczy chciał tylko dotknąć jej cycków, że niby przypadkiem, albo

choć popatrzeć na dekolt, na głęboki rowek między piersiami, bo taki w nim był powab i obietnica, że pan Radecki nie mógł przestać myśleć, jak by to było, gdyby mógł tam włożyć rękę, może twarz całą, a może pędzelek i, tak, och tak, w kilku posunięciach rozlać się na jej mostek, patrzeć, jak czyste białko zbiera się w kałużę w dołku u nasady szyi, w zagłębieniu obojczyka. Tak sobie fantazjował dziedzic. Ciekawe, co też myślała Wanda, gdy niezapowiedziany zajechał bryczką na podwórko piekarni ze srebrnym wiaderkiem pełnym lodu, z wystającą szyjką butelki zawiniętą w pazłotko. Coś chyba przeczuwała, bo zgodziła się napić „tej pańskiej lemoniady”, jeśli dziedzic da się poczęstować domową nalewką. Nieszczęsny. Nie tylko że wraz wdepnął w psie gówno, wysiadając z bryczki, ale jeszcze Wanda piła szampana duszkiem, zakąsała słoniną i kiszonymi ogórkami, a odbijało jej się rzeświście, w dodatku ubrana była całkowicie i zapięta pod szyję. O skutkach nalewki nie wspominając. Dość powiedzieć, że na kilka lat daje dziedzic spokój Wandzie, dolinie między piersiami i domowym napitkiem. Wiaderko, ładnych parę kilo czystego srebra, następnego dnia odnosi do dworu niemowa, butelka służy jako wazon na konwalie, korek jako poduszka do wtykania igieł (żeby się nie pogubiły), a pazłotko, rozprostowane i wygładzone, trafia do pugilaresu, koło innych kolorowych papierków od słodyczy, co je w swoim czasie Wanda zmieni w choinkowe cuda-ozdoby.

Dopiero kiedy kurier na motocyklu wywiózł Smyczka w nieznaną przyszłość, dziedzic ponawia ofensywę, tym razem wyposażony w dwie butelki francuskiego koniaku. Nad ranem, gdy Wanda idzie do piekarni dojrzeć interesu, pan Radecki od dobrych paru godzin śpi w drewnutni, wciśnięty między polana, z obiema dłońmi wetkniętymi w spodnie i splecionymi na przyrodzeniu.

Potrafiła też nie pić. Nie piła w dni postu i adwentu – z przyzwyczajenia i z przyzwoitości. Albo w dni, kiedy Smyczek zaczynał gorzałkowanie – z troski, że bezradny mógłby trzeźwych wrogów spotkać i niechcący biedy sobie napytać. Albo gdy był w niej – z zachłanności, żeby jej nie ominął w pijanym widzie ani jeden ruch miarowo wyprowadzany z wygiętego krzyża, żeby trafiło

w samo sklepienie każde jedno pchnięcie, żeby nie stracić jednego skurczu, nie zapomnieć konwulsyjnego końca, nie uронić ani kropli – i tej wtłoczonej z wielką siłą, i tej powoli ściekającej w głąb z odprężonego Smyczka, której drażnienie czuła jeszcze przez wiele godzin w okolicach piersi, serca i splotu słonecznego. We wszystkie pozostałe dni piła, jakby chciała zatłuc wszelkie pożądanie i tęsknotę, jakby chciała unicestwić wielki, uzależniający, naturalny talent do uprawiania miłości, jej jedyny własny talent.

Najgorsze było lato, bo na upał Wanda reagowała jak Matylda na wibrujący dźwięk kowadła. Pociła się wszędzie, ale to wszędzie, ociekała każdą częścią dorodnego ciała, pociła się potem, który czuć było na parę kroków, mieszaniną samogonu, upału, octu, chleba i pożądania, parowała amokiem, wydzielając ciecz odpychającą dla niewtajemniczonych i prawiczków – narkotyk, za którego źródłem ze znanstwem oglądały się prawdziwe chłopcy i biegały psy. Wyrzucona za drzwi kościoła, bez prawa do spowiedzi i bez szansy na rozgrzeszenie, mogła sobie pozwolić na wszystko. Próbowowała świec, marchwi, własnych palców, siadywała pokracznie na krawędzi krzesła i na stylisku siekiery wbitej w pień, próbowała ze zdjęciem Smyczka (tym w mondurze, którego trochę się bała) i bez zdjęcia, próbowała, wachając jego rzeczy i słuchając *Tej ostatniej niedzieli*. Na nic, na próżno. Dla tej niepozornej ulgi nie warto było się tak gimnastykować.

Wandzie bez trudu przyszło ustalić, która samotność jest bardziej znośna, ta letnia czy ta zimowa. Zima, prawda, proponuje krótkie dni i idealne, długie noce, co pozwalają się wykochać do sucha bez uszczerbku dla ilości snu – bo nawet gdyby trafił się taki, co może przez dwie godziny pod rząd, to i tak zostanie jeszcze dwanaście na odpoczynek – ale jest zimno, ciemno i wszystkim jakby mniej się chce. Cała przyroda przysypia. Cała, ludzka też. Miłość zimą musi chować się w chałupie, pod pierzyną, zawija się w ciepłe nocne koszule, flanele i szlafmyce, musi długo rozgrzewać przemarznięte kutasy i zziębnięte kuciapy – przeszkoda, co i zniechęcić potrafi. Wszystko to pięknie odżywa wiosną, by stanąć w zenicie latem, gdy oddziela je od siebie tylko cienka warstwa lnu. Dzień wprawdzie jest

dłuższy i roboty znacznie więcej, ale za to kochać się można wszędzie i wszystko wkoło do tego popycha. I to dopiero jest nie do wytrzymania. Każdego samotnego dnia każdego upalnego lata Wanda powtarzała sobie: „Aby do zimy, aby do zimy...”.



Po sześciu miesiącach w stalagu, ku pogardzie współwięźniów, Uklejowe bliźniaki zgłosili się na ochotnika na roboty. Tłumaczyli dookoła, że to część planu ucieczki, ale nikt im nie wierzył, i słusznie. Zgłosili się przede wszystkim dlatego, że w obozie naprawdę nie było już nic do roboty. Przez pół roku wzmocnili ogrodzenie, opatrzyli baraki, postawili w nich solidne kaflowe piece, poobtykali okna i zwinklowali wszystkie nieszczelne drzwi. Co jeszcze mieli robić?

Na samym początku Niemiec dość chętnie godził się na zamianę jeńców w niewolników, bo wiadomo, że to gospodarny i skrzętny naród, brzydzi się darmozjadami, liczyć potrafi nie gorzej niż Żydzi, i w ogóle sama ekonomia, a bliźniaki mieli w ręku każdy fach, bo tego uczy życie w Piórkowie, że albo potrafisz, albo nie jesz, bo nie potrafisz się nauczyć. Najpierw trafili do bauera, daleko, pod duńską granicą, jak diabły zabrali się do roboty i w parę tygodni znów było po wszystkim, włącznie z postawieniem nowej stodoły i odmalowaną każdą sztachetą. Bauer sam nalegał w miejscowym Amcie, żeby ich albo zabrać, albo dać każdemu w okolicy takich, bo mu sąsiedzi żyć nie dają, jedni grożąc, że bliźniaków zastrzelą, inni pisząc donosy, że się z nimi brata, po zachodzie słońca piwo stawia i zigaretami częstuje. Potem trafili bliźniaki do tartaku, potem do cegielni i do garbarni, a nigdzie długo miejsca nie zagrzali, bo to ma do siebie ekonomia, że za mało – źle, ale za dużo – też niedobrze. Ani za to jak zapłacić, ani komu sprzedać, ani nawet gdzie przechować. Bałagan po prostu, a tego ekonomia nie lubi.

Skończyła się ich tułaczka, kiedy koniec końców trafili do fabryki butów dla Wehrmachtu. Tego towaru, jak wiadomo, nigdy nie dość

i nie ma takiej podaży, żeby jej popyt nie zaskoczył, bo buty są w każdym wojsku najważniejsze i tylko tak daleko dana armia zajdzie, na ile jej zelówek starczy, bo wojna to ciągle chodzenie w tę i nazad, a strzelanie tylko od czasu do czasu. Kto to rozumie, wygra każdą wojnę. A kto nie rozumie, że buty to nie tylko ekwipunek, ale towar na wymianę i twarda waluta, ten na żadnej wojnie nie był i nie wie, o co chodzi. Dosłownie.

Buty pakowano w wielkie wory po dwanaście par: jedna para ósemek, po trzy pary rozmiarów dziewięć, dziesięć i jedenaście, jedna para dwunastek i jedna trzynastek. Do każdego trzech tuzinów dokładano mniejszy worek z rozmiarami nietypowymi: jedna para siódemek i jedna para czternastek na trzydzieści sześć par typowych. Trzy takie komplety, sto czternaście par razem, umieszczano w jednej dużej, plombowanej skrzyni, skrzynię opatrywano adresem kwatermistrzostwa dywizji, by wkrótce załadować ją na ciężarówkę, z ciężarówki na wagon i koleją wysłać w świat.

Uklejowym bliźniakom od razu wyglądało to jak bilet do Piórkowa. Na Reichsbahnie można jeszcze było polegać. Bez zbędnych słów popatrzyli po sobie i pokiwali z aprobatą głowami. Wojskowe transporty zawsze mogły liczyć na pierwszeństwo, podróż do Krakowa albo Katowic, albo nawet Częstochowy nie powinna trwać dłużej niż dwie doby, a stamtąd już tylko krok. Jedyne kłopot stanowiło zdobycie plomb i zgromadzenie zapasów, ale jak się działa bez pośpiechu, wszystko da się załatwić. A bracia się nie śpieszyli, bo uznali, że najlepszą porą będzie późne lato albo wczesna jesień, żeby za gorąco ani za zimno nie było.

Spokojnie wystarali się o zamykane butelki na wodę i mocz, skombinowali siekiere i dwa łomy, na wypadek, gdyby trzeba wagon otworzyć od środka, odłożyli trochę konserw i ukradli cywilne ubrania, a przede wszystkim specjalnie podszykowali dwie skrzynie. Na pozór wyglądały, jakby niczym nie różniły się od dziesiątek innych czekających w magazynie, z tą różnicą, że po dwie

deski w ich wiekach dawały się wyjąć i włożyć od środka bez naruszania plomb, a szpary między nimi pozwalały na oddychanie.

W dniu, w którym w manifeście pojawił się krakowski garnizon Wehrmachtu, własnoręcznie szablonem nadrukowali nadawcę, adresata i gapę ze swastyką w szponach, a intendent przeliczył worki z butami i zacisnął oryginalne plomby na szarozielonych skrzyniach. Kiedy zniknął w kantorku, stemplując listy przewozowe, a ciężarówka już parkowała tyłem pod rampą, bliźniaki przerzucili dwieście dwadzieścia osiem par butów do pustych skrzyń oczekujących w magazynie, uścisnęli się, przeżegnali, wsiedli i zamknęli od środka. Pięć dni później pili już wódkę w Piórkowie. Baby patrzyły jak na bohaterów, a nicponie nie schodziły im z kolan. Cieszył się i Smyczek, że teraz to partyzantka zacznie się naprawdę, bo bliźniaki (pseudonim Turoń i pseudonim Śmierć) zostali bezzwłocznie przyjęci do oddziału. Nie żeby zaraz na ochotnika, ale słuchali się kiedyś, to i posłuchali teraz. Poza tym, jakie mieli wyjście, gdy Zerbst już o nich rozpytywał we wsi i groził szubienicą za pomoc uciekinierom? Może gdyby wiedzieli, jak się Niemcy rządzą w Piórkowie, byłiby zostali w Rzeszy i spokojnie doczekali końca wojny, bo na razie tak to wyglądało, że więcej szkody mogło być z ich powrotu niż pożytku. A może nie? Może wróciliby i tak, jak każdy, co kiedyś wraca, bo to mają do siebie powroty z daleka, że nie wraca się po coś, ale mimo wszystko.



Trudno przypuszczać, żeby Haham Gieskaner wiedział o nadejściu tych innych rozkazów. Raczej nie. Coś bardziej jak przecucie wysłało go najpierw do dziedzica, a potem do proboszcza. Haham nie prosił o wszystkich synów, sześciu czy siedmiu, bo większość z nich nie chciała nawet słyszeć o zgoleniu pejsów czy zdjęciu chałata, a trzech najstarszych w ogóle nie mówiło po polsku. Prosił tylko o najmłodszego, bo tylko Deleś miał szansę i tylko on nie stwarzał natychmiastowego zagrożenia dla opiekunów. Dziedzic grzecznie odmówił, dając do zrozumienia, że jest po uszy

zaangażowany w konspiracyjną robotę i nie wolno mu narażać na niebezpieczeństwo całej organizacji. A na odchodnym zażądał jeszcze zwrotu książek, które pożyczył kiedyś tam Delesiowi. Morga zaś postawił jeden warunek: chrzest. Proboszcz tak łatwo nie zapominał i tak szybko nie wybaczał. Pomóc w potrzebie ludzka rzecz, ale za mędrkowanie, za drwinę ze świętej wiary katolickiej i też w końcu za ukrzyżowanie Pana Jezusa kara być musi, i to sprawiedliwa – prawdziwy sakrament, a nie lipna metryka, po cichu i bez rozgłosu, ale serio i z rodzicami chrzestnymi z prawdziwego zdarzenia. Triumf Kościoła i jego, Morgi, mała satysfakcja nad przemądrzałym żydkiem. Dla dyskrecji na chrzestnych wyznaczył Smyczka i ślepą Walerkę. W godzinę było po wszystkim, bo Deleś rozumiał powagę sytuacji, miał już duże rozeznanie w kwestii wiary, a jeszcze większe w kwestii żydowskiej. I mimo wrodzonej przekory wierzył, że proboszcz wie, co mówi, gdy mówi o wspólnocie, o zbawieniu i o życiu wiecznym w przyszłym świecie. Na ile ta wiara była szczerą, a na ile podszyta przekupnym strachem, nie ma znaczenia, bo to ma ludzka istota do siebie, że niechętnie przyjmuje to, co objawione, a najgoręcej wierzy w to, czego się boi.

Wypisał Morga metrykę, z której wynikało, że Adam Zajonc ma lat dwanaście, chociaż Delesiowi szedł już piętnasty rok, ale tak było trzeba, bo został Deleś mianowany katolikiem i sierotą po rodzinie, co ostatniego przedwojennego lata zatrąła się grzybami. Małe to było, niewyrośnięte, mniejsze nawet od Hahama, takie, co to go nie widać z za najniższego piórkowskiego płotu, i więcej niż na dwanaście lat nie wyglądał. Nikt z Zajonców, z Adasiem włącznie, nie przeżył twardzioszka czosneczka, ale o tym w księdze parafialnej nic nie było i cała historia wyglądała wiarygodnie, jakby się kto pytał. Na taką też okoliczność wyćwiczył Morga Adasia, jak ma odpowiadać, jak się zachować, czego w żadnym razie nie mówić, i jeszcze zakazał ściągania spodni pod jakimkolwiek pozorem, grożąc, bez zbędnych szczegółów, że może go widok przyrodzenia kosztować życie własne i innych dobrych ludzi.

Deleś przeżegnał się, podziękował za cynowy medalik z Matką Boską, za chleb i słoninę, które dostał na drogę, podziękował za

wszystko i ruszył broniszewskim gościńcem. Z Hahamem i rodzeństwem pożegnał się już wcześniej, o ile gotycki uścisk braci, którzy wiedzą, że już więcej się nie zobaczą, można nazwać pożegnaniem. W jednej takiej chwili najbliżsi stają się dalekimi znajomymi, litościwie odchodzą w pradawne czasy („zaraz, zaraz, jak mu było, ten, no...”), stają za grubą kotarą, spod której wystają tylko czubki dawno niemodnych trzewików. Ktoś tam jest, to pewne. Idźmy do innej alkowy, bo ten tutaj może czyha ze sztyletem, może przyszedł prześladować, sączyć truciznę do ucha, może dzierży w ręku cyrograf, a w drugim gęsie pióro, a może tylko przyszedł biesiadować i wznosić toasty, z których każdy zaczyna się od słów „a pamiętasz...?”. To duży zamek, jest w nim dość komnat i lochów, by pomieścić każde wspomnienie i każdą winę. Zanim zabraknie w nim miejsca, zaczniemy budować nowy.

Nikogo w tych stronach nie dziwił widok dzieciaka z torbą i kijem, bo czasy pełne były sierot ciągnących ku mniej lub bardziej dalekim krewnym. Nie dziwił i Deleś. Początkowo, ilekroć przystawał dla naturalnej potrzeby, pomny przestróg Morgi starał się załatwiać z zamkniętymi oczami albo przynajmniej nie patrząc w dół, wyginając się i odwracając głowę, tak by jego wzrok nie padł na to niebezpieczeństwo, które trzymał w palcach. Ale przecież wiadomo, że ciekawość i przekora zawsze wezmą górę nad przestrogą i dobrą radą. Poniedługo, nie czekając nawet na potrzebę, przystawał Deleś tylko po to, żeby wnikliwie obejrzeć swoje przyrodzenie, doszukując się w nim jakichś zmian, które w tak krótkim czasie znajomy narząd uczyniły śmiertelnym zagrożeniem. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło, kielkujące włoski na podbrzuszu i zawartość rozporka wyglądały tak samo jak wtedy, kiedy jeszcze nie mogły sprowadzać nieszczęść. A może chodzi o to, że od niedawna rośnie i pęcznieje nad ranem, że czasem przez sen zbruka pośłanie i tak dziwnie, przyjemnie pulsuje przy wspinaniu się na drzewa? O tym proboszcz raczej nie mógł wiedzieć, bo Deleś nikomu się nie zwierzał z porannych objawów i zamięłowania do wspinaczki po pniach, a plamy na derkach były wspólną tajemnicą braci, bo moczyli sienniki wszyscy chłopcy Gieskanera, jedni w snach dojrzewania, inni własnoręcznie, a jeszcze inni amoniakiem bezsilnego strachu.

Winny wobec ojca i matki, wobec własnego wyznania i własnych wątpliwości, wobec braci i niosących pomoc gojów, wreszcie winny własnym ciałem. Na dobrą sprawę, w całym Piórkowie nie było nikogo, kto mógłby z ręką na sercu powiedzieć, że wie, co dzieje się w duszy dziecka, które czuje się winne wobec wszystkich i wszystkiego, wobec całego świata. Żaden człowiek, co dopiero dziecko, nie znajdzie odpowiedzi na pytanie, dlaczego ja, a nie oni. Żadne dziecko nie pojmie, dlaczego musi zmienić wiarę, tym bardziej rozgarnięty chłopak, który podejrzewa, że i tak prawdopodobnie już od dawna nie ma żadnego boga. Żaden uświadomiony, dorastający chłopak nie znajdzie odpowiedzi na pytanie o sens posiadania przyrodzenia, jeśli miałyby służyć tylko do ściągania największych nieszczęść na wszystkich, którzy się o tym fakcie dowiedzą. Nie znajdzie odpowiedzi, znajdzie odpowiedzialność. Ciut za wcześnie. Z takim to brzemieniem dotarł Deleś pod Bochnię z listem do sióstr, w którym prosił Morga o przyjęcie sieroty do przytułku. Siostry, gdyby nawet chciały odmówić proboszczowi, bratu odmówić nie mogły.

Haham, pierwszy raz w życiu szczęśliwy, że jego Chaja czegoś nie doczekała, uszykował do transportu swoich pozostałych pięciu czy sześciu synów. Sam nigdzie się nie wybierał. Ucieczka z getta nie była niczym trudnym, jeśli tylko miało się dokąd uciekać, a Haham myślał, że zna takie miejsce. Nie dlatego, że widział w oddziale Smyczka szansę na przeżycie, ale właśnie dlatego, że widział tam pewną śmierć. O obozach różni różnie gadali, pewne było tyle, że zwozili tysiące, a nie wyszedł jeszcze nikt. Gdzieś się to wszystko podziewało. Haham nie chciał się gdzieś podziać. Chciał mieć to szybko za sobą. Może nie był najlepszym ojcem.

Białobrzесki rabin nie rozwiązał wątpliwości targających Gieskanerem, zagadkowo pytał i odpowiadał metaforami.

– Umiesz liczyć? Dodawać umiesz, Hahamie? A odejmować? Masz głowę do interesów? Handlujesz, kupujesz, sprzedajesz? A gdzie jest interes? W tym, co zostanie pośrodku, na końcu strony,

między „Winien” i „Ma”. Może nie musisz koniecznie być cadykiem biegłym w rzeczach dobra i zła? Może arytmetyka wystarczy?

– Gdzie tu arytmetyka, rebe? To moje dzieci.

– Czy możesz ocalić wszystkich?

– Nie.

– A połowę?

– Nie.

– A dwóch?

– Też nie.

– A siebie?

– Jeżeli nie mogę uratować wszystkich, siebie nie chcę.

– Zatem możesz ocalić jednego. W rubryce „Ma” wpisz „jeden” i daj mi spokój. Ja się tu modłę nie o jedną stronę, ale o całą księgę.

Smyczek mianował Gieskanera szeregowym (pseudonim Hiob), pozwolił wykopać ziemiankę w tym samym lesie, kraść kury w kolonii Siwe, zbierać niewypały i wydłubywać dynamit z niemieckich min. Szanse Hahama, że nie przeżyje własnych dzieci, rosły z dnia na dzień, a tylko to go obchodziło. Może i nie był najlepszym ojcem, ale przynajmniej umiał liczyć.



Dla odśpiewania *Kyrie eleison*, wołania o miłosierdzie, co powtarza się trzy razy na cześć trzech osób Trójcy Przenajświętszej, Morga wrócił na środek ołtarza i wznosił oczy na obraz Ukrzyżowanego Zbawiciela. W dni uroczyste we mszach śpiewanych byłby teraz intonował *Glorię*, Hymnem Anielskim zwaną z tego powodu, iż ją pierwsi Aniołowie w Betlejem przy narodzeniu Jezusa śpiewali. We mszy żałobnej, podobnie jak w dni pokuty i posty, nie było jednak miejsca dla *in excelsis Deo*, na znak, iż dusze zmarłych w czyśćcu zostające nie mogą jeszcze swych głosów połączyć z głosami Aniołów przed obliczem Pana stojących. Żal było proboszczowi Hymnu Anielskiego, bo jego następny wers nadzwyczajnie by się nadał do takiego pogrzebu: *...et in terra pax hominibus bonae voluntatis*.

Przyjrzał się Morga bez większej nadziei twarzom najbliższym siedzącym ludzi dobrej woli. Czasami ważniejsze jest nie to, kto przyszedł, ale to, komu zabrakło dobrej woli. „Pan z wami” – pozdrowił ich słowami Apostołów, a piórkowscy odpowiedzieli: „I z duchem twoim”. Przy tym pozdrowieniu rozłożył ręce i ponownie złożył je przed piersiami na znak, że życzenie jego pochodzi z serca i że świętą miłością kocha wszystkich. Wszystkich, bo tak wiara święta zaleca i Pismo nakazuje, ale kto powiedział, że po równo?

A dziedzica tymczasem nie było ani w kondukcji, ani na nabożeństwie, i na cmentarz też się chyba nie wybierał, pewnie dlatego, że znów był po uszy zaangażowany w konspiracyjną robotę i nie wolno mu było narażać na niebezpieczeństwo całej organizacji. Że Smyczka nie cierpiał, to inna sprawa, że wiary wielkiej nie miał – jeszcze inna. Już dawno temu oświadczył Mordze, że parafię chętnie wesprze, i rad przyjmował proboszcza krążącego po kołędzie, i nawet hojny się okazywał przez te wszystkie lata, ale w kościele nie był ani razu. Próbował ksiądz dobrodziej nawracania, próbował wszelkich dogmatów, sofizmatów i sztuczek retorycznych według najlepszych jezuickich wzorów, o których w seminarium uczyli, próbował dowieść, że nie da się być shintoistą w Piórkowie, tak jak nie da się jeść kapuśniaku pałeczkami, wszystko na nic. We dworze wprawdzie jadało się po polsku, ale między domownikami rozmawiało po japońsku, w stołowym wisiały obok siebie reprodukcje Grottgera i portret Cesarza, zdjęcie pancernika z banderą jak wschodzące słońce i fotografia Marszałka wspartego na szabli, pszeniczne pejzaże z płaczącą wierzwą i malowane na jedwabiu haiku; wprawdzie paliła się lampka przed Najświętszą Panią, ale też tliły się kadzidełka na domowym ołtarzyku przodków; wprawdzie na kominku wisiał rynngraf z herbem Krzywda, ale tuż pod nim na stojaku z egzotycznego, czarnego drewna spoczywały katana i wakizashi, niepodobne do niczego, czym szlachta wojowała, wprawdzie paniczki bawili się z okoliczną dzieciarnią w Indian i kombojów, ale większość dnia spędzali na odrabianiu lekcji, siedząc w kucki przed wymagającą matką;

wprawdzie kapani byli raz na dwa dni, ale spali wprost na podłodze, na bambusowych matach, przy oknach otwartych w najsrozsza zimę.

Chowani na japońska modłę, przy całkowitej obojętności dziedzica wyrosli na dobrych poddanych Cesarza. Zajętemu wyrażaniem siebie panu Radeckiemu było doskonale wszystko jedno, co będą wyrażali jego synowie, gdy dorosną, byleby mieli z tym mniejszy kłopot niż on sam. Gdzie spojrzeć, z dziedzica wystawało coś, co nie pasowało do całej reszty. Od kultury oddzielony rasą, od własnej rasy oddzielony doświadczeniem, od doświadczenia oddzielony geografją, od geografii – kulturą. Błędne koło alienacji. Żeby umieć wyrazić siebie, najpierw trzeba wiedzieć kto to. Żeby wiedzieć kto to, najpierw trzeba umieć siebie wyrazić.

Nie udała się dziedzicowi ta sztuka w wychowaniu dzieci również dlatego, że w odróżnieniu od męża, pani Tasuko Radecki doskonale wiedziała, kim jest i czego chce dla swoich synów. Utuczona kapustą, kaszą i gęsiami do niezwykłych rozmiarów, pozostała sobą. Dorastających chłopców wywozi do szkół, najpierw do Breslau, a potem do Berlina. Starszy z chłopców, błękitnooki, jasnowłosy Stanisław Kato Radecki, po studiach inżynierskich wróci z matką do Japonii, zaciągnie się do cesarskiego lotnictwa morskiego, przez całą wojnę dzielnie walczy na Pacyfiku, nawet dzielniej niż jego rodacy, którzy nic nikomu nie musieli udowadniać, bo sam ich wygląd świadczył za nich. Zginie boską śmiercią tuż przed kapitulacją. Młodszy, kruczowłosy, ciemny i skośnooki Krystian Ali, wprost z korpusu kadetów Kriegsmarine wstąpi do dywizji SS Herman Goering. Przez pierwsze lata służby w charakterze oficera łącznikowego japońskiego sztabu oraz egzotycznej maskotki cieszy się wielkim zainteresowaniem żołnierskich gazet i osobiście Goebbelsa. Podróżuje od jednostki do jednostki, wygłasza motywujące pogadanki na froncie i na tyłach, przemawia do oficerów Afrika Korps i do rezerwistów Volkssturmu, a nawet raz podczas defilady stoi na trybunie tuż za Fuehrerem – tak trafi do kroniki filmowej. Zginie pod Stalingradem, gdy podczas przejażdżki w gronie wysokiej rangi oficerów włoskich załamie się pod nimi lód.

Weźmie i utonie, jakby to nie była najstraszniejsza z bitew, tylko łyżwiarskie harce na piórkowskim stawie. Pośmiertnie odznaczonego ciała nie odnajdą. Może jednak nie każdy wraca? Może wracają tylko ci napowrotnie pożegnani i ci, na których ktoś czeka? Nie daj się zabić, powiedziała Matylda do Smyczka na pożegnanie. Idź, zgiń za Cesarza, mawiała pani Tasuko. Sama zginie w Nagasaki, nie wiadomo dokładnie za kogo.



Cisza to nie jest pięciogwiazdkowy miejski luksus, co na niego stać nielicznych, co na nim można zarabiać, inwestować, obracać albo oszczędzać, jak w jakich bankach ciszy. W Piórkowie cisza to jest żywioł, taki sam jak błoto i kurz, tylko inny, bo nie uderza tu i teraz, ale zapowiada i kwituje, występuje przed i po. Błoto se wyschnie, kurz się wytrze, ale ciszy przed biblijnym potopem nie rozproszy żadna modlitwa, ciszy pogorzelniska nie przekupi najszczęsza skrucha podpalacza, ciszy martwego noworodka nie wygonisz, bo nie ma takiego precz, do którego mogłaby pójść. Groźna nie dlatego, że coś kończy, ale dlatego, że zaś nic nie zaczyna.

Taka cisza to ma własne oczy, bo przecież uszy nie są jej do niczego potrzebne, bo nie słucha, tylko patrzy, bo może i głucha jest, ale nie ślepa. Piórkowską ciszę widać i widać, że nic dobrego z tego nie będzie, i dlatego każdy dźwięk jest cenny, i wiatr w trzech wierzbach, i wrzask nicponiów, i klekot bocianów, i nawet skrzyp kół karawanu na broniszewskim gościńcu jest na wagę życia, bo każdy jeden trwa tyle, ile może, a nie ile powinien.

Piórkowscy, nim przedsięwzięli jakie inne kroki, wpierw zorganizowali sobie źródła dźwięku – wiatry, deszcze, ogień trzaskający w kafłowej kuchni, a także studzienne żurawie, kuźnie, młyny, inwentarz i potomstwo oraz inne przemysłne sposoby na ciszę, bo dobrze wiedzieli, że cisza jest nieszczęściem, inaczej chętnie by sami pogłuchli. Człek myśli, jak zabić ciszę, a to cisza go zabija, wielkie epidemie ciszy, co wyludniają całe wsie, dziesiątkują

narody i dumne cywilizacje cofają w rozwoju, i te małe cisze kliniczne, co udając zaproszenie do spoczynku, zmuszają do wsłuchiwania się we własny oddech, bicie serca i łamanie w kościach. I myśli człek, że uczy się słuchać, a tu tymczasem zaledwie sposobi się do milczenia. Żyje jako dźwięk, umiera jako cisza.

Cisza ludzka rzecz, Pan u zarania dał każdemu własną i od tej pory jedna cisza wypada na jednego człowieka, i nie zmieni tego faktu nawet nadejście patefonu ani radia, bo hałas jest przyczyną ciszy dokładnie w takim samym stopniu, w jakim narodziny są przyczyną śmierci. Słyszał śmierć, kto spojrział w oczy ciszy. Słyszał wszystko, kto słyszał ciszę.



Pierwsza akcja bojowa oddziału „Kapela” nie zwróciła większej uwagi faszystowskiego okupanta. Nikt już z Czynastym nie mógł wytrzymać, ani we wsi, ani w okolicy. Chodził z siekierą i zaczął wszystkich, znajomych i obcych, bez różnicy. Księdzu naurągał, groził Kaczorowi, córkę głodził i ponoć gwałcił, ale nie na pewno, babę tłukł ponad wszelką potrzebę, szwabom wygrażał, wprowadził z daleka, ale to nic nie wiadomo, jakie nieszczęście z tego być może, psa skopał na śmierć, i to własnego, wolną chwilą żydków, co zbiegli z białobrzeskiego getta, po okolicznych lasach dla uciechy widłami macał. Tylko z Siwymi nie zadzierał, aż taki odważny to nie był, bo towarzystwo było z tej samej gliny i wiedział Czynasty, co go czeka, w razie jakby co, bo podłe to było nasienie i nawzajem. Do tego bali się piórkowscy, że naprawdę jeszcze jakiegoś szkopa zabije i ściągnie gniew na całą wieś, jak w Bołtuciach się zdarzyło, że jednego feldfebla, co kiszki rekwirował, gospodyni wrzątkiem oblała, a może nawet i niechcący, a drugiego dnia całą rodzinę z psem i kotami włącznie Zerbst osobiście na gumnie zastrzelił.

Miarka się przebrała, kiedy Czynasta Ania, półżywa i na nogach się słaniająca do Morgi przyszła z prośbą, żeby matce felczera

sprowadzić albo i księdza, bo coś zaniemogła. Nim Kazimierz dowiózł Uczciwka z Białobrzegów, proboszcz zdążył już Anię powierzyć opiece Kaczorów, a starą Czynastą wyspowiadać i namaścić. Wszystko, co panu felczerowi zostało do zrobienia, to kopiowym ołówkiem na pakowym papierze wypisać nikomu na świecie niepotrzebny akt zgonu. Widział trupy pomordowanych jeńców rozkładające się w katalońskim słońcu, widział wisielców i topielców, widział ofiarę pojedynku na kłonicie i smarkacza wyciągniętego z sieczkarni, widział syjamskie bliźniaki rozdzielone domowym sposobem i Cygana pozbieranego na polu minowym, słowem, widział już to i owo, ale tak pobitego człowieka, nie mówiąc o babie, jeszcze nie widział.

Trudno powiedzieć, czy miał Czynasty szczęście, że go naówczas nie było w obejściu, czy może raczej pecha. Nie jest pewne, czy Kazimierz współ z Uczciwkiem daliby mu radę, pewne jest, że gdyby dali, kara byłaby natychmiastowa. A tak, musiał Morga wrócić na plebanie, w dzwon raz uderzyć i czekać na Smyczka, a Czynasty musiał poczekać na swoją mękę. Może jednak miał pecha, bo kara tymczasem zdążyła sobie dojrzeć, zarumienić się i tak wyrosnąć, że gdyby był wiedział, pewnie wolałby wyrok na miejscu.

W godzinę oddział stawił się w komplecie na cmentarzu, z przygłupim niemową włącznie.

- Zastrzelić – powiedział Smyczek, bo miał karabin.
- Powiesić – powiedział podchorąży Szogun, bo miał duże drzewa w parkowej alei.
- Zakopać żywcem – powiedział szeregowy Luter, bo mu nic innego do głowy nie przyszło.
- Rzucić o brnę – powiedzieli bliźniacy, bo Szymka Niedołęgę lubili i pamiętali.
- Utopić w wychodku – powiedział szeregowy Hiob, bo kiedyś Czynastemu zasraną śmierć obiecał.

Łącznik Gaduła nic nie powiedział, bo wiadomo.

Niestety, trzeba było Czynastego najpierw zastrzelić, nie całkiem, tylko w brzuch, bo chamisko było silne, wściekłe i przerażone, a do tego zręczne ciesielską siekierą i nawet w kilku by go nie zaciągnęli za oborę. Dopiero ranionemu – i to dwa razy – udało się skrepować ręce na plecach, związać nogi, zakneblować i spuścić do wychodka głową w dół. Utyrali się partyzanci po łokcie, we krwi i gównie.

Najpierw porzygał się podchorąży Szogun, wraz po nim kapral Luter i łącznik Gaduła. Cofnęło się i bliźniakom. Nie żeby ich widok Czynastego, któremu już tylko podrygujące nogi wystawały, o mdłości przyprawił, nie, raczej dlatego, że rzygali wszyscy dookoła, a taki widok zemgli najmocniejszego. Smyczek przeszukiwał chałupę, czy się co w lesie nie przyda. Usiadłszy w kucki, Hiob zastanawiał się, jaką to hebrajską literę przypomina mu znak na drzwiach.

Pierwsza akcja bojowa oddziału „Kapela” zakończyła się pełnym sukcesem taktycznym i politycznym, ustanawiając przykład dla całej okolicy, że partyzantka nie żartuje, że nawet jeśli faszystowskiego okupanta mało co obchodzi, to jednak jakiś porządek musi być i jakaś sprawiedliwość również też. Jakby się kto pytał „kto tu rządzi?”, to przykładowie utopiony w gównie Czynasty rozproszy wszelkie wątpliwości, a klucz wiolinowy kredą wymalowany na drzwiach jego chałupy na długo stanie się znakiem niechybnej kary, symbolem piętna, przestrogi i przekleństwem.



Morga nie lubił ministrantów, żadnych, ani tych zdolnych, ani tych niezdolnych. Wydawało mu się, że jedni i drudzy odwracają uwagę ludu od niego samego, ci zdolni swoją gracją i biegłością w posłudze, ci tępawi swoją nieudolnością i zagrożeniem dla dostojęstwa obrządku. Rozleje? Nie rozleje? Potknie się na stopniach ołtarza? Uświni komzę? Nabożeństwo to złożona sztuka, prawie jak opera, i tak wiele rzeczy może pójść wbrew, uwagę

rozproszyć, i po co się Mordze tak trudzić, kiedy lud nie słucha albo słucha, ale nie za bardzo?

Nie przypominał sobie proboszcz, żeby kiedykolwiek chciał być księdzem. Jeszcze przed pamiętną radzymińską bitwą myślał, że jego prawdziwym powołaniem jest służba, ale wojskowa, a doświadczenie wojny bolszewickiej tylko go w tym przekonaniu utwierdziło. I braterstwo broni, i niemal intymna bliskość rówieśników, rubaszna komitywa i żelazna dyscyplina, poświęcenie i nonszalancja, wszystko to miało swoje nieodparte uroki, z których największym była pewność posłuchu, a nie tylko jego ciężko zapracowane prawdopodobieństwo.

Nie wiedział, za co i jakim sposobem trafił do seminarium, a przede wszystkim nie wiedział – po co? Czasy były takie, że jak kto już umiał czytać i pisać, to prędzej sprzyjały światopoglądowym szpagatom niż kapłańskim ślubom i nierzadkie wśród kleryków było, że z tymi samymi wypiekami na twarzy potajemnie czytali Trockiego, co oglądali przemycane z Francji świńskie odkrytki. Pociągająca w kościele i we wojsku była siła posłuchu – tu od biskupa, tam od generała w górę. Reszta była kwestią priorytetów i metod dochodzenia do biskupich pierścieni i generalskich wężyków. Tu i tam, jak wszędzie, rządził serwilizm, nepotyzm, donos i przypadek. Morga był na to całkowicie przygotowany, miał tylko mniej szczęścia. Własne probostwo, choćby w Piórkowie, przybliża do jakichkolwiek godności, jak szczebel w drabinie, bez którego nie da się zrobić kroku w stronę pierścienia, a kto wie, może nawet kapelusza. Niestety, szybko uczy się Morga, że własne probostwo w Piórkowie oddala od godności prawdziwych, czyli takich, co odpowiadałyby jego aspiracjom, bo wprawdzie kościół duży, ale Piórków mały i do kurii stąd dalej niż skądinąd. I szybko połapał się dobrodziej, że ojciec kolejarz w swej prawości skierował go na boczny tor, a Ojciec Wszechmogący pomylił podstawowe symbole i dał mu drabinkę zamiast trampoliny.

I nawet nie ma jak zaprotestować, bo skarżyć się na Wszechmogącego u jego własnego ołtarza to zgrzyt-nietakt jakiś

i w dodatku grzech poważny. Rodzony ojciec, co zszedł, jeszcze nim Morga otrzymał święcenia, też się nie nadawał do zanoszenia skarg. Proboszcz nigdy się nie dowiedział, na co umarł, słyszał tylko, że ociemniały i że na mózg mu się rzuciło, więc i tak pożytek byłby z niego niewielki. Siostry, może i dobre, ale głupie, nie wiedziałyby, skąd skarga wszelaka. Co one mogą wiedzieć o życiu, kiedy z bolszewikiem nie wojowały, wszystko w ich świecie miało sens, a wszystko, co miało sens, zastały już na świecie, jakby ktoś to specjalnie dla nich tam podrzucił, bez zbędnych i zawiłych wyjaśnień. *Życie. Instrukcja obsługi dla nowicjuszek*, z której cenzor usunął znaki zapytania i zastąpił je wykrzyknikami. Niewinna była tylko matka, ale tej nie spotkał później już nigdy i nigdy nie dowiedział się dlaczego. Kartki z Palestyny odsyłał ojciec z dopiskiem „adresat nieznany” aż do późnego stadium syfilisu, potem w ogóle przestały przychodzić, a jeszcze trochę potem nie było i Palestyny, i kartki już nawet nie miały skąd przychodzić.

Nieczęsto się Morga spowiadał, bo raz, myślał, że nie ma z czego, a dwa, że nie miał komu i każda spowiedź wymagała całej wyprawy z pakowaniem, jedzeniem na drogę, bielizną na zmianę i podlewaniem fikusów na zaś. Piórkowscy, jak już przychodzili do spowiedzi, to nie z wyznaniem grzechów, ale ze skargą na podły los, na pogodę, na nieurodzaj, na sąsiada. A kiedy już się zdarzyło, że jaki grzech wyznali, zaraz mieli dlań wytłumaczenie i sto powodów, dla których nie dało się inaczej, bo sąsiad, pogoda, nieurodzaj, podły los. Nie chciał dobrodziej, aby i jego spowiedź święta podobnie brzmiała, bo i miał tego dość na co dzień, i z szacunku dla słuchacza, i ze zdrowego rozsądku, co nie dawał obwiniać piórkowskich za to, że nie zostanie biskupem. Albo generałem.

W kościele pociemniało, czy dlatego, że zmierzch nadciągał, czy dlatego, że kolejny deszcz wbijał ziemi do głowy swoją wersję wiosny. Na twarze piórkowskich powoli wypełzało znudzenie i senność, jak zawsze w tym samym momencie nabożeństwa, kiedy stawało się jasne, że już nic się nie stanie. Morga położył rękę na mszale, na znak, że w miejscu modlitwy przystąpi do nauki, której nie dość jest słuchać, lecz do jej wypełnienia trzeba i rękę przyłożyć,

to jest wypełnić, co Pan nakazuje. W słabnącym świetle wiosennego popołudnia przelotnych burz i ostatecznych gestów brakowało mu odświętności, tej opery, o której wiedział, że nie obywa się bez niej ani życie, ani śmierć, ani żadna inna ludzka rzecz. W każdym innym probostwie, domniemywał, byłby miał lektora do czytania Lekcyi, aby tym pilniej on i lud mogli słuchać nauki, i byłby taki lektor przychodził z Księgą prosić o jego błogosławieństwo, i otrzymawszy je, byłby całował błogosławiącą rękę jako narzędzie miłosierdzia boskiego, jak to ma miejsce we mszach celebrowanych z asystencją, a podziękowanie Graduatu odbywałoby się daleko uroczyściej, gdyby mógł spomiędzy ludu wybrać śpiewaków, co wszedłszy aż na stopnie ołtarza, skąd Lekcja czytana bywa, byliby śpiewali modlitwy dziękczynne wyjęte z Psalmów Dawida. W Piórkowie wszystko musiał zrobić sam.

I patrzył proboszcz na swoją trzódkę. Twarze jak nieposłane barłogi, kaprawe oczka zapłynięte smalcem i gorzałką, oddechy jak z dna beczki po kapuście, niskie czoła i wągry jak tatuaże, patrzył ze swojej drabinki bez większej nadziei. Grzeszył pychą, było jasne nawet dla niego samego, i nie raz na jakiś czas, tylko na ogół. Nijak się z tego wypowiedać ani odkupić, chyba że wyrozumieniem, dobrocią i miłością najtrudniejszą z trudnych. Jeśli bowiem kogo w tej wsi kochał prawdziwie, to złoczyńców, cudzołózców i straceńców. Chyba nie o takich jak oni, przeczuwał, była ta modlitwa, co podług brewiarza teraz nastąpić miała. Boże, który winy przebaczasz i zbawienia ludzkiego pragniesz, błagamy łaskawości Twojej, abyś braci naszych, krewnych i dobroczyńców, którzy już z tego świata zeszedli, za przyczyną Najświętszej Maryi zawsze Dziewicy i wszystkich Świętych do wiecznego błogosławieństwa doprowadzić raczył. Z wolna tracąc wiarę, Morga zyskiwał pewność, że na inne czasy i innych zmarłych – na inną miarę – wszelkie Pismem znane modlitwy spisane zostały. Zostawiał ten problem Panu, ilekroć proste słowa wiary rozmijały się z nieprostą materią życia. Modlitwa ludzka rzecz i po ludzku na ziemi zostaje. Wszechmogącego już kłopot w tym, żeby co bojaźliwie na ziemi zostało, niebo w spiż sprawiedliwości przyoblekło.

Dobrodziej tymczasem miał ale inne zmartwienie. Czytanie, co mogłoby dla kazania być natchnieniem i kwestię słowa na pożegnanie Smyczka rozwiązać, co pozwoliłoby nagłą śmierć odziać w szaty światłości wiekuistej, co dałoby błysnąć morałem, a na koniec zagrzmieć przestrogą, czytanie, czyli Lekcja, co ją każda niedziela miała i każde święto, była przecież zastrzeżona dla pogrzebowego obrządku. We mszy zwykłej lub śpiewanej nauka ta wyjęta jest pospolicie z Pisma Świętego Starego Zakonu lub z Listów Apostolskich. We mszy żałobnej codziennej Epistoła jest zawsze ta sama, wyjęta z samego Objawienia Świętego Jana. Usłyszałem głos z Nieba, mówiący mi: napisz. Błogosławieni umarli, którzy umierają w Panu. Odtąd już, mówi Duch, aby odpoczęli od prac swoich, albowiem uczynki ich idą za nimi. Gdzie tu szukać natchnienia do górnolotnej improwizacji, do mowy wzniosłej a uroczystej, kiedy wszystko już zostało powiedziane, i tak, że nic dodać, nic ująć? Napisz? Przecież piszę...



No więc siostry nie były takie głupie. Jakimś sposobem nikt w sierocińcu nie chodził głodny, każdy przybłęda miał jaką taką kapotę i buty, a Niemcy nie tylko, że nie czepiali się metryk, ale zdarzyło się, że dali naftę albo kajety, a raz nawet kakało w proszku, z którym nikt nie wiedział, co zrobić, bo do przytułków nie trafiali ci, co przed wojną pijali takie cuda, tylko ci, co raczej nie. Resztę, pradawnym obyczajem, dostarczali okoliczni chłopci. Morga mógłby przysiąc, że siostry, którym na chrzcie dano Anna, Teresa i Ludwika, nadal nosiły te same imiona, tylko inaczej. Najstarsza Anna przybrała chyba imię Teresy, Teresa Ludwika, a Ludwika Anny. Albo jakoś tak.

Położony o godzinę furmanką od Bochni sierociniec wcześniej był Domem Miłosierdzia, instytucją dla trudnych dziewcząt prowadzoną przez Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. W spokojnych czasach liczył najwyżej dwadzieścia sióstr i tyleż podopiecznych. Mógłby kto pomyśleć, że trudne dziewczęta to te, co otarły się o nałogi, rozpustę, występki i zbrodnie. W pewnym sensie tak. Gwałcone, zmuszane do kazirodztwa, prostytutki, kradzieży były na najlepszej z dróg do najgorszej z przepaści. Klasztorny zakład miał je ocalić od upadku, wykorzenić z nich oczywisty pierwiastek zła, co ściągnął na nie grzechy, których oszczędził innym, przyzwoitym pannom. Inaczej niż obecnością złego nasienia nie daje się wytłumaczyć, dlaczego podobny los spotyka tylko niektóre, a nie wszystkie dziewczęta, dlaczego jedne są jak kręty ściek, którego żaden śmieć nie ominie, a inne jak ten górski potok, czysty kryształowo i beztroski. Przy okazji zakład miał też oszczędzić zakłopotania i plotek zacnym rodzinom, pijanym ojcom, dojrzewającym braciom, czułym wujkom.

Siostry prowadziły przybytek żelazną ręką, w której czuć było kolejarские chowanie i cierpliwą mizериę własnego dzieciństwa. Absolutne posłuszeństwo i absolutna niedopuszczalność wszelkiej poufałości, prostota nagród (sen i pożywienie) oraz wyszukany, wielostopniowy system kar, nieskomplikowana nauka i ciężka praca, wreszcie reglamentacja snu i pożywienia (post i modlitwa), a także osobiste przymioty sióstr, jak poczucie odpowiedzialności za powierzone im nieszczęsne istoty i historyczna punktualność, legły u podstaw pedagogicznego sukcesu instytucji. Pan zawiadowca, gdyby je choć trochę kochał albo gdyby chociaż żył, byłby z nich dumny, bo podopieczne jego córek o czasie wsiadały i o czasie wysiadały, bezpiecznie dostarczone na brzeg dorosłości, wyminawszy pułapki grzechu i wykolejenia. Zdolniejsze dziewczęta prosto z zakładu szły w nowicjat do innych klasztorów albo do hospicjów, albo za mąż – najlepszy dowód na potęgę modlitwy i pracy. Nieliczne, naprawdę tylko nieliczne wracały na ulicę lub zachodziły w bezpieczeństwa ciężę, lub rzucały się pod pociąg, najwyżej kilka w każdym roczniku. Najlepszy dowód, jakby kto wątpił, na istnienie złęgo nasienia.

Najstarsza z sióstr, Anna (Teresa), została przełożoną jeszcze przed wojną. I dobrze, młodsze siostry i tak jej nie lubiły, a teraz jeszcze nawet miały za co i mogły jej nie lubić mniej skrycie, to znaczy nie musiały nic udawać przynajmniej między sobą. Ukradkiem łagodziły wymierzane przez nią kary lub zaostrzały jej wyroki, bez wielkiego związku z naturą samego wykroczenia czy osobą sprawcy, i nie z przekory, ale z żarliwej wiary w naukę Kościoła, że nieomylny jest tylko Papież, a Ania mylić się musi, bo to ludzka rzecz, i grzeszy, kto myśli, że zawsze ma rację. A poza tym niemożliwością jest, żeby jeden człowiek znał się lepiej na wszystkim, od pedagogiki, przez gotowanie, uprawę ogrodu i haftowanie, po nauki Matki Teresy Rondeau de Laval.

Nie ma wojny bez sierot i jakby z dnia na dzień ubyło trudnych dziewcząt, a zaczęły pojawiać się pierwsze obdarte, zasmarkane i wygłodzone przybłędy. Dom Miłosierdzia, chcąc nie chcąc, w ciągu kilku tygodni tamtej jesieni zmienił oblicze. Nagle stał się

koedukacyjny, wszędzie poczęły się walać sienniki, solidną klasztorną ciszę wypełnił wrzask chłopców grających w piłkę i brzęk szkła pierwszego wybitego witraża, szybko zabrakło misek, kubków i łyżek, do wychodka ustawiała się kolejka i trzeba było zbudować nowy. Zmieniło się wszystko – godziny nauki i sama nauka, bo ileż mogły nauczyć zakonnice? Czytać i pisać? Rachunków? Rzemiosła? Tego, co same umiały z domu albo rozwinęły w zakładzie, nie mogło starczyć na cały rok trzymania w ryzach dyscypliny. Na klasztorną bibliotekę nie można było liczyć, bo składała się głównie z Pisma, książeczek do nabożeństwa i żywotów świętych. Po pierwszej lekcji szydełkowania chłopcy, od najmłodszych po najstarszych, co im się zarost już sypał, podnieśli bunt, pozawiazywali sobie dziewczęce chustki na głowach, zajęli ich miejsce w refektarzu i ich kwatery. Wrócili na swoje sienniki, dopiero wywalczywszy zwrot prawdziwej skórzanej piłki skonfiskowanej po wybiciu witraża i obietnicę, że siostra przełożona będzie sędziować niedzielne mecze.

Wszystko się zmieniło, czas modlitwy i czas pracy, jadłospis i spis lektur, obrazy świętych obróciły się w zgorszonych świadków świętej obrazy, aprowizację zastąpiła improwizacja, porządek ustąpił przed chaosem przeludnienia. Ilość przechodziła w jakość, a punktualność zmieniła się w regularne potyczki dzieci i zegarów. Siostry nawet nie zauważyły, kto, kiedy i jak. Samo się zmieniło.

Nie zmieniły się tylko siostry. Wszystkie trzy nadal były bezzębne, miały końskoszpotawe stopy i siodełkowate nosy, tyle było widać pomimo habitów. Kto wie, jakie jeszcze felery wyszłyby na jaw, gdyby rozwinąć zwoje płótna i krochmalu. Kto wie, jakie emocje wyszłyby na jaw, gdyby rozwinąć ich zwoje mózgowie. Może siostry skrycie zazdrościłyby swoim nad wiek rozwiniętym podopiecznym, cycatym i dupiastym dziewczuchom, co zaczęły miesiączkować w jedenastym roku życia, może wolałyby zamienić się na ich los i zamiast zamiatać, polatałyby sobie na miotle, może okazałoby się, że potrzebują choć odrobiny złego nasienia, którego tak łatwo dowieść, a tak trudno dotknąć. Nigdy o tym nie rozmawiały. Im raźniej milczały, tym chętniej podsłuchiwały rozmowy dziewcząt – z poczucia obowiązku przecież, a nie z niezdrowej ciekawości –

zawsze z osobna, zawsze z wypiekami na twarzy, ale bez poczucia grzechu, bo nie ma musu, żeby się spowiadać z wykonywania obowiązków, a jak się z czego spowiadać nie trzeba, to znaczy, że to grzech nie jest. A poza tym to nie były ich nieczyste myśli, tylko podopiecznych, więc niby kto tu grzeszy?

Siostry nie były takie głupie, ale też nie były takie dobre, a nawet raz na jakiś czas bywały jednomyślne w sprawach kary, o czym najlepiej przekonał się Adaś Zajonc, co niedługo zagrzał miejsca w przytułku i w trochę ponad rok znalazł się był z powrotem na drodze do Piórkowa, tyle że tym razem bez chleba i bez słoniny, za to z mocnym przekonaniem, że nie ma równowagi emocjonalnej bez równowagi hormonalnej, a za każdym dobrem i za każdym złem stoi chemia. Zabrało siostrą wszystkiego kilkanaście miesięcy, by z obrzezanego, odcytanego i ochrzczonego Dełesia uczynić prostego materialistę.



Dziedzic spóźnił się na wojnę, no nie zdążył, bo i zajęty był swoimi sprawami, i chyba za stary na mobilizację. Kiedy się połapał, było już po wszystkim i do drzwi łomotał Zerbst, żeby zabrać radio, dubeltówki i sztucer. Pożegnanie z bronią, a ściślej, pożegnanie z dziczyzną. Pan Radecki, który cierpieć wprost uwielbiał, miał przynajmniej dwa nowe ku temu powody i jeden stary. Raz, bo wojnę jak jaki tchórz przegapił, a dwa, bo wszyscy wiedzieli, że własne potomstwo się od niego odwróciło i po stronie odwiecznego wroga opowiedziało. Ale najbardziej cierpiał dlatego, że mu podziemie w osobie Smyczka nie chciało dać stopnia oficerskiego i musiał się zadowolić mizerną rangą, on, szlachcic, poliglota i erudyta. Przecież to nie wypada.

Zapisał się do partyzantów, bo jeden syn w SS, a drugi w cesarskim lotnictwie morskim do czegoś w końcu zobowiązują, i przecież ostatecznie nie tyle się zapisał, ile został wpisany, bo nikt go zaś nie pytał, tylko z zaskoczenia oznajmił, i tak już miało zostać, bo inaczej

nie wypadalo. Poza tym nie mial lepszych propozycji, wiec konspirowal, ale bez przekonania, i w akcjach bojowych, oprócz tamtego jednego razu, udziału nie brał, bez żalu, i nie można mieć o to do niego pretensji. Rzygał przez trzy dni; i krwi się brzydził, i strzelać nie umiał, a najmniej mu się chciało słuchać rozkazów, Smyczkowych to już zwłaszcza. Przy tym wszystkim dziedzie nie uchylał się od patriotycznych obowiązków, chętnie dzielił się stołem, piwnicą i srebrem, czego potrzebuje każda konspiracja. Wzdragał się tylko dzielić czasem, co go potrzebował do wyrażania siebie.

W pierwszym odruchu chciał przegnać Uczciwka, no, może raczej uprzejmie pożegnać, udając, że nie rozumie, o czym pan felczer mówi, kiedy mówi o historycznej sposobności, o tym, że nic po wojnie nie będzie już takie samo, że tylko Sowietci są w stanie pokonać faszystowskiego najeźdźcę i wyzwolić umęczoną ojczyznę. Z jakiegoś powodu dziedzie miał więcej wiary w to, co mówił pan felczer, niż w zapewnienia Smyczka i westchnienia Morgi, chociaż mówca i agitator był z Uczciwka żaden. Z jakiegoś powodu bliższa mu była melancholijna, tragiczna megalomania Rosji niż pełna krzepiących frazesów, budująca megalomania aliantów. Odwagi bał się u jednych i drugich. Przy tym wszystkim, w jakiś neurotyczny i filantropijny – głęboko arystokratyczny – sposób pociągała go wizja sprawiedliwości społecznej i wielkiego eksperymentu z pogranicza ekonomii i socjologii.

O praktycznym obliczu tego eksperymentu wiedział niewiele, więc wahał się jeszcze przez czas jakiś. Nie bez znaczenia też były aluzje do wyboru dokonanego przez młodych paniczów i zawołowana pogróżka, że przecież kiedyś coś z tym trzeba będzie zrobić. Ulegał po trochu, aż do którejś z kolei wizyty Uczciwka, kiedy ten oznajmił, że wie o AK i że proponuje stopień podporucznika bez żadnych warunków wstępnych.

– Przecież to nie wypada – przekonywał felczer – żeby szlachcic, poliglota i erudyta służył u nieuka i kryminalisty.

– Nie za dużo wiecie, Uczciwek? – Radecki próbował bronić powagi konspiracji.

- Ja, proszę obywatela dziedzica, pamiętam jeszcze sprzed wojny, kto się kluczem wiolinowym kreślił.
- Patrzcie, Uczciwek, czym wy się zajmujecie. Wkoło wojna...
- Staramy się, obywatelu. Musimy być dobrze poinformowani, żeby wiedzieć, kto jest kto, jak przyjdzie co do czego.
- Nie za wcześnie trochę?
- A co obywatel dziedzic ryzykuje?

Rzeczywiście, może i tak. Że Hitler wojnę przegra, pan Radecki przez chwilę nie wątpił, tylko jeszcze nie wiedział z kim. Zasadniczo, odpowiadała mu sytuacja zakładu. Mógł sobie poczekać na aliantów jako podchorąży lub na Ruskich jako podporucznik, spokojnie popatrzeć, kto przybiegnie pierwszy i z której strony. Mniej mu przeszkadzał Uczciwek jako kapitan niż Smyczek jako chorąży, bo felczer to w końcu prawie doktor, a częściej ziemianie lekarzami zostawali niż podoficerami, więc się brzemień klasowej zdrady zmniejsza. Poza tym porucznik to zawsze porucznik. Chciał jeszcze tylko pewności, że się Smyczek o niczym nie dowie.

- Ode mnie na pewno nie – zapewnił felczer.
- No dobrze. To jak idzie ta wasza przysięga?

I przecież cały czas dziedzicowi, co kochał się w Wandzie, jeszcze kinematograf wyświetlał w głowie różne takie, bo i w to pan Radecki nie wątpił, że Smyczek końca wojny nie doczeka, tylko nie wiedział z czyjej ręki. Roilo mu się, że Wanda, co nie chciała dać szlachcicowi, malarzowi i poecie, może ulegnie oficerowi i bohaterowi ruchu oporu. Nigdy nie wiadomo, czego tak naprawdę chce kobieta, i upatrywał dziedzic szansy w heroicznej wersji samego siebie, koniecznie w jakimś twarzowym mundurze. Nie przeszło mu przez myśl, że Wanda może go zwyczajnie nie chcieć, był pewien, że gdzieś musiał popełnić błąd, i zastanawiał się nad wyborem takiego wcielenia, które okaże się nieodparte. To nie ona była winna, że wiedziała, czego nie chce. To dziedzic był winien, że nie wiedziała, czego chce. Kobieta ludzka rzecz, jak bogactwo czy władza, nie przychodzi sama, mało kto zdobywa ją uczciwie, a i sprawiedliwie też podzielić się jej nie da.

Ale najbardziej winny był Smyczek, który nie chciał zniknąć i nawet jak był daleko, we więźniu, we wojsku, w lesie, to zawsze jednak jakoś był i wojna dawała nadzieję, że to się wreszcie skończy. Bez Smyczka życie będzie lepsze i piękniejsze, i dziedzic był gotów na nie poczekać, choćby w GL. Nie przeszkadzało mu w niczym dwóch dowódców ani dwa pseudonimy, tym bardziej że ten drugi pseudonim też mu się podobał, i jeszcze to było dogodne, że Uczciwek oczekiwał nawet mniej niż Smyczek – tak po prawdzie, chciał tylko wiadomości o poczynaniach „Kapeli”.

Kiedy kapitan Doktor odbierał od podporucznika Krzywdy przysięgę na wierność ludowi pracującemu miast i wsi, w klonowej alei prowadzącej do dworu zamajaczył kuebelwagen Zerbsta. Dziwnie wyglądał Zerbst w paradnym mundurze, dziwnie i pokraccie, jakby odzienie poruszało człowiekiem, i podejrzenie, bo kiedy ostatni raz widziano go tak ubranego, całe Krostki poszły z dymem. Nie, żeby umyślnie, tak się z ręką na sercu powiedzieć nie da, ale jakoś tak wyszło, że jak się już wszyscy chłopci w sile wieku w jednej benzynie podlanej stodole zawarci znaleźli – w tej liczbie jeden volksdeutsch, ale niechący – wziął się ogień rozprzestrzenił, rozszalał i rozpanoszył na okoliczne chałupy, a potem na dalsze i dalsze, i zaś ze wsi zostało dymiące pogorzelsko. Sucho widać było i upalnie, to i o nieszczęście nietrudno. Kiedy paradny mundur z Zerbstem w środku wszedł do dworu, jeszcze załatywał dymem.

Uczciwek, zobaczywszy Zerbsta przez okno, wpierw chwycił za pistolet, ale zaraz wykalkulował, że szkopów jest czterech i ze szmajserami, a on jeden i z naganem, bo na dziedzica przecież liczyć nie mógł. Poza tym wyszło mu na to, że nie opłaca się Radeckiego dekonspirować i nawet gdyby mu się nagan nie zaciął, jak miał we zwyczaju, cztery trupy na ganku i odwet w całej okolicy na nieznaną skalę to nie było dokładnie to, po co przyszedł. W następnym odruchu chciał uciec przez kuchnię albo ogrodowe wyjście, ale go dziedzic z dziwnie zimną krwią powstrzymał. I miał rację, bo na nic tak Wehrmacht nie reagował, jak na widok uciekających na ich widok. Wyżyły mają tak samo, wie o tym każdy myśliwy. Gdyby taki zając był odrobinę mądrzejszy i nie wyrywał w przód i na boki,

tylko zastygł nieruchomo, przechytrzyłby każdego wyżła, a niejednego może i nastraszył.

Jak na myśliwego przystało, dziedzic był mądrzejszym zającem niż Uczciwek. Rozwarł jego skórzaną torbę, jaką prawdziwi doktorzy noszą, wydobyl stetoskop, jakieś metalowe pudełko i niedbale położył je na stoliku do kart. Prędko rozwiązał muszkę, rozpiął bonzurkę i koszulę, zawinął rękawy i ciężko chory osunął się na szezlong w bibliotece. Pana felczera, swojego dowódcę, lakonicznym gestem posłał, żeby otworzył drzwi.

Zerbst wkroczył do dworu sam, zostawiwszy obstawę na podjeździe. Trzymając w lewej ręce elegancką szkatułkę z czarnego dębu, prawą zasalutował dziedzicowi, nie żadne *Heil*, tylko normalnie, po wojskowemu. Grzecznie zapytał, czy nie przeszkadza, i zaproponował, że może przyjdzie innym razem, bo *Herr* Radecki widać niezdrów.

Właściwie to była pierwsza wizyta we dworze, nie licząc rewizji z tamtej jesieni, i dla Zerbsta pierwsza sposobność, żeby obejrzeć sobie polskie siedlisko, a nie tylko wnętrza jego szaf, skrzyń i kredensów. Książki, fortepian w pokrowcu, czarne miecze na kominku, blejtram z niedokończonym aktem młodego chłopca, niby wszystko na swoim miejscu, ale tak rozrzucone po licznych galaktykach, jakby bibliotekę zamieszkiwało jednocześnie kilku pięknoduchów, a żaden nie stronił od podejrzanych substancji. Nie po to jednak Zerbst przyszedł, żeby się dziwić tomom Marksa, kazaniom Mistrza Eckharta i traktatom konfucjańskim w oryginałach, fotografii Marszałka wspartego na szabli ani nawet aktowi, chociaż nie opuszczało go wrażenie, że już gdzieś widział tego żydka. Dziedzic mógłby być nawet kosmitą – poniekąd zresztą był – a i tak Zerbst nie byłby sobie pozwolił na najmniejszy komentarz. Nie tym razem.

– Wołą generała Friedricha Wilhelma Ernsta Paulusa za nadludzką odwagę w obliczu wroga, za najwyższą ofiarę w walce z bolszewizmem, za niezłomną wierność wielkiemu narodowi niemieckiemu, za dumną i niestrudzoną służbę wielkości Rzeszy, za

czystość krwi i ducha, za frontową waleczność i niepowszednie bohaterstwo, Hauptsturmfuehrer Christian Ali Radetzky, dumny syn dumnego narodu, pośmiertnie odznaczony będzie Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego z liśćmi dębu. Chwała poległym niepokonanym. Podpisano /-/ von Paulus.

Zerbst otworzył wyściełane karminowym aksamitem kwadratowe etui z czarnego dębu, nachylił się nad boleściwie rozpartym dziedzicem i wręczył mu śliczny czarny drobiazg, biżuterię ze srebra, złota i szorstkiego żelaza, męską, arcymęską kameę na czerwonej wstążce z czarno-białymi paskami. Aż się dziedzic wzruszył, takie to było ładne.

Uczciwek, który obserwował całą scenę, stojąc w drzwiach biblioteki, aż taki wzruszony nie był. Ze splecionymi z tyłu dłońmi kiwał się, miarowo przenosząc ciężar z pięt na palce u nóg. Przestał dopiero, kiedy trzeszcząca pod nim podłoga, jedyny dźwięk w bibliotece tamtego popołudnia, ściągnęła nań nieprzyjazne spojrzenia głównych uczestników akademii. Starał się zrozumieć uczucia dziedzica, że w końcu to jednak rodzony syn i że nie żyje, i że Ritterkreuz des Eisernen Kreuzes mit Eichenlaub (nadany tylko 883 razy) to w każdej sytuacji wielka rzecz, bo chociaż to wszystko faszyści, to nielecho wojowali. I nie żałował, że nie uciekł kuchennymi drzwiami, żałował tylko, że nie wiedział o wszystkim wcześniej, bo byłby z dziedzicem inaczej rozmawiał.

Zerbst nie żałował dziedzica, bo i dla czego, ani to jego rodzina, ani nawet Niemiec, żałował za to, że solidność poczty polowej wzięła górę nad chaosem klęski i odwrotu, żałował, że Kreuz nie zaginął gdzieś po drodze między Stalingradem a Piórkowem, bo wiedział, że tych kilka miesięcy opóźnienia wystawia go na pośmiewisko wśród obcych i na niebezpieczeństwo wśród swoich. Każdy akt dekoracji Ritterkreuzem, przed- i pośmiertny, wymagał sprawozdania na specjalnym formularzu dla Sztabu Generalnego, z kopią dla „Völkischer Beobachter”, ze zdjęciem odnanzonego i odpisem rozkazu. Zastanawiał się Zerbst, co ma napisać w swoim raporcie, bo jedyne zdjęcie, jakim dysponował dziedzic, przedstawiało

skośnookiego chłopca w indiańskim pióropuszu, a Paulus, żaden tam „von” Paulus, tylko zwykły Paulus, mieszczanin z Breitenau, który Christiana Alego odznaczył, siedział w sowieckiej niewoli, okrzyknięty zdrajcą przez samego Fuehrera. A feldmarszałkiem to w ogóle został w przededniu kapitulacji, co miało go zmotywować do honorowego wyjścia, bo się żaden niemiecki feldmarszałek nie poddał od 1871 roku, ale mimo czytelnej sugestii Paulus samobójstwa nie popełnił i miał Fuehrer rację, nazywając go tchórzem. Zerbst mógł mieć z tego tytułu powody do niepokoju, ale rozkaz to rozkaz, a nie jakiś dylemat i w raporcie nie napisał, że Paulus, tylko że dowódca VI Armii.

Jak na zająca, Uczciwek był bardzo pojętny i bez wahania przyjął propozycję podwojny do Białostrzegów. Wciśnięty na trzeciego między rosłych wojaków na tylnym siedzeniu kuebelwagena bardziej wyglądał na aresztanta niż pasażera. Lufa nagana wetkniętego za pasek u spodni boleśnie uwierała go w przyrodzenie, ale pan felczer bohatersko zniósł całą drogę przez wieś, odprowadzany współczującymi spojrzeniami piórkowskich, dla których niemożliwa kurtuazja Zerbsta mogła oznaczać tylko jedno – że w razie jakby co, teraz zostaną im już tylko stawianie baniek, pijawki i ślepa Walerka.

Gdzieś między wsią a kolonią Uczciwek przypomniał sobie, że zostawił u dziedzica na stoliku do kart torbę i instrumenta. Łamaną niemczyzną wytłumaczył, że musi wrócić do dworu. Zerbst zanadto się spieszył, żeby zdążyć na kwatery przed zmierzchem, a poza tym to byłaby doprawdy zbyt daleko posunięta uprzejmość. Wracającemu piechotą przez wieś felczerowi nie towarzyszyło już współczucie, ale radość też nie. Spojrzenia piórkowskich stały się pytające i podejrzliwe, bo za ich pamięci nie zdarzyło się jeszcze, żeby Zerbst kogo wypuścił. A jak już, to chyba że. Tymczasem Uczciwek był całkiem żywy, ani pobity, ani nawet nadwyreżony.

Na wysokości kościoła, niby to przypadkiem, na wędrującego błotnistą drogą felczera natknął się Morga.

– Pochwalony. Dokąd to Bóg prowadzi?

- Do dworu, na wieki wieków. Torby zapomniałem.
- O niedzieli też jakoś nie pamiętacie.
- Moja parafia w Białobrzegach.
- Taaak? A nie w... Moskwie?

Jakim cudem, nie wiadomo. Nie ma ludzkiej siły, żeby dziedzic zdążył, choćby nie wiem jak chciał, do zakrystii dotrzeć i proboszczowi donieść. Chyba że tak, jak Uczciwek postarał się o wtyczkę w „Kapeli”, tak Smyczek miał kogoś w „Lazarecie”, co pomieścić się w głowie nie chciało, bo niby kogo? Siwych Kacpra i Melchiora był pewien, a Kaczor nie tylko zaprzysiężony, ale nawet wtajemniczony nie był, tylko z lekka postraszony.

Pan felczer, co ostatni raz w kościele był gdzieś nad Ebro, opatrując rannych republikanów, zapomniał, że Morga spowiadał jednych i drugich, a właściwie tylko jednych, bo żadnych drugich jeszcze naonczas w Piórkowie nie było, spowiadał, znaczy, wszystkich, i to ciekawie spowiadał, dociekał, indagował i dopytywał, a nie tylko cierpliwie słuchał wynarzeków o sąsiadach, pogodzie, nieurodzaju i podłym losie. Czego się nie dowiedział od chłopca, to wraz baba wygadała, co baba skrycie zmilczała, chętne potomstwo wypaplało, o co nie umiał zapytać – potrafił się domyślić. Nawet mimo reakcyjnych poglądów byłby dla „Lazaretu” idealnym agentem wywiadu, gdyby Smyczek pierwszy o tym nie pomyślał i gdyby pan felczer umiał zapomnieć widok czarnej flagi anarchistów powiewającej nad białym, wpółzrujnowanym kościołem na kamienistym wzgórzu, pełnym zwłok, krwi i amoku dobijania rannych w takt *Międzynarodówki* zaaranżowanej na organy, karabin maszynowy i podrzynane gardła, którą (według świadków egzekucji) miejscowy *padre* z obłędem w oczach akompaniował znajdującym się na swej robocie falangistom.

Komunizować zaczął Uczciwek jeszcze na sanitarnych kursach, kiedy stał na stacji w Kielcach u wdowy po farmaceutce Winklerze, co nie przeżył Berezy. Nie, nie o wdowę chodziło, lecz o córkę Hortensję, rzeźbiarkę i malarzkę, co paliła papieroski, nosiła spodnie z szelkami, słuchała moskiewskiego radia, a co najważniejsze –

sypiała, z kim chciała i kiedy chciała, i jeszcze nazywała to jakoś tajemniczo, zmysłowo, egzotycznie, jednym takim krótkim słowem, które zawierało w sobie wszystkie dźwięki dochodzące zza przepierzenia, wszystko, co było słycać, i wszystko, czego nie było widać, a nawet więcej. Pierwsza i ostatnia spółgłoska uwieczona między rozchylonymi wargami, jak westchnienie ulgi, jak świst powietrza schodzącego z kół, z których ktoś właśnie wykręcił wentyle, jak syk ekspresu do kawy: seks, nazywała to Hortensja, czy jakoś tak.

Młody Uczciwek nie wiedział, jak nazwać dźwięki dochodzące zza tekturowej ściany dzielącej ich pokoiki. Cokolwiek to było, miał na to ochotę, coraz większą, coraz straszniejszą, fantastyczną i wreszcie obsesyjną. Uczył się na felczera, więc wiedział to i owo o anatomii, ale co innego wiedzieć, co innego słyszeć, a jeszcze co innego zobaczyć. Pierwsze dwa otworki wydłubane w przepierzeniu nie dały nic, co nakarmiłoby taki głód. Trzeci niechcący wyszedł tak duży, że Hortensja nie mogła go nie zauważyć. Uczciwek z przerażenia i wstydu chciał rzucić stancję, na tydzień przed egzaminem rzucić kursy, uciec do diabła i właśnie się pakował, gdy do jego pokoiku z furją wtargnęła panna Winkler.

Też się akurat pakowała. Trudno powiedzieć, co ją rozsierdziło bardziej: bezczelność Uczciwka czy hydra reakcji bezczelnie podnosząca łeb. Raczej to drugie, bo nie chciała przeprosin, skruchy czy reperacji ścianki, lecz zażądała, żeby Uczciwek, skoro jest już spakowany, udał się z nią na odsiecz republice. Towarzysze w potrzebie i sanitariusz zawsze się przyda.

Prawiczek wie mniej, niż mówi, że wie, bo za wszelką cenę musi coś obiecać. Dojrzały mężczyzna mówi więcej, niż wie, że mówi, nieważne, czy akurat milczy, czy peroruje. (Niewiasty, nawiasem mówiąc, potrafią nieomylnie i w mgnieniu oka odróżnić jednych od drugich). Chłopcy zawsze marzyli i marzyć będą o dojrzałych kobietach, bo nikt tak bardzo nie łaknie obietnic jak one, będąc zarazem całkowicie na nie uodpornione. Na tym polega ich dojrzałość, że wcale nie chcą, by się spełniły, ale bez nich nie

zdejną nawet kapelusza. Młodzieniec wszystko obieca, bo chce coś dostać. Dojrzały mężczyzna będzie nawet gotów coś dać, byle tylko nie musiał nic obiecywać. One zaś nie obiecują nic – one są obietnicą.

Tymże niepojętym sposobem Uczciwek wydestylował ze słów Hortensji zapowiedź wszystkiego, co słyszał, a nie widział, i nawet więcej, w głowie syczały mu wentyle i ekspresy do kawy, ze szczęścia zapomniał o wojnie domowej i – niepalący – poprosił o papieroska, wreszcie kłamliwie wyznał, że podziurawił ścianę, by móc lepiej słyszeć radio Komintern. Podziałało. Hortensja przyjrzała mu się z zainteresowaniem, objęła, odebrała papieroska, zaciągnęła się i pocałowała go tak głęboko, jak się zaciągnęła, niemal dławiąc go odorem tytoniu pośledniej jakości i językiem wielkim jak mięsień kruczo-ramienny (*musculus coracobrachialis*). W przekonaniu, że ociera się o śmierć, Uczciwek pierwszy raz poczuł nagana w spodniach. Hortensja też to poczuła, zwolniła uścisk i obiecała, że owszem, ale dopiero na miejscu.

Towarzyszka Winkler wielkodusznie zgodziła się odłożyć wyjazd do ostatniego egzaminu na felczera. Po tygodniowym rejsie z Gdyni przez Amsterdam do Bayonne węglowcem pod sowiecką banderą, mieniącym się wszystkimi odcieniami rdzy i minii, po kilkudniowej przeprawie przez śniegi Pirenejów i wypalone słońcem wiejskie drogi Asturii, po udreće choroby morskiej, odmrożeń i upału, nazajutrz po przybyciu do Madrytu Hortensja odeszła z radzieckim doradcą, pewnym ważnym towarzyszem w skórzanej kurtce i leninowskiej czapce. Tyle, jeśli chodzi o sukcesy Uczciwka w dojrzewaniu, grze obietnic, których nikt nie składa, nikt nie dotrzymuje i w które nikt nie wierzy.



Kilka pogrzebów potem Smyczek miał pewność, że prędzej czy później ta wojna jednak się skończy. Szkopu, odwiecznemu wrogowi, kończyli się poborowi, kończyli się Żydzi, kończyła się

benzyna, słonina i motywacja. Rozhasały się różne „Kapele” i „Lazarety”, bo okupacja kończyła się tuż za rogatkami lub wraz po zapadnięciu zmroku. Zerbst zakazał wydawania nowych butów wyruszającym na patrole – zbyt często ginęły.

Nawet nie było się jak mścić, bo i na kim? Ci, których dało się z pożytkiem rozstrzelać, mieli to już za sobą, a bandyci pochowani po lasach byli nieuchwytni i nikt się nie kwapił, żeby ich tam szukać, bo niebezpieczne to i nigdy nie obywa się bez strat. Jeśli komu służyło ganianie partyzantów po lesie, to piórkowskim, bo szkopu może partyzant zabrać tylko tyle, ile udźwignie, ile da się unieść i zmagazynować, a jeszcze trzeba się przy tym namęczyć i karku nadstawić, podczas gdy chłopu można zabrać wszystko, powoli i bez pośpiechu, w patriotycznej atmosferze wyrzeczeń i skłonności do poświęceń. Broni i amunicji potrzeba tylko tyle, ile potrzeba, bo wojuje się od czasu do czasu, a jeść trzeba co dzień albo i parę razy dziennie. Zerbst, rekwirując to i owo, przynajmniej wydawał jakieś kwity, bezużyteczne i po niemiecku, ale zawsze, czasem za te kwity w białobrzeskim Amcie dawali sól i karbid. Smyczek kwitował daninę uśmiechem, czasem poklepał po plecach i zapytał o zdrowie. Nie, żeby mu kto żałował, bo wiadomo, ojczyzna w potrzebie, ale ile można zreć?

Zerbst powoli tracił motywację, bo wyszło mu na to, że uganiania się po lasach tylko po to, żeby piórkowscy jadali do syta, a bandyci mieli z czego strzelać do jego ludzi. Nawet Haham dostał własny karabin, bo bronie Smyczek miał tyle, że starczyłoby dla dwóch plutonów i pewnie jeszcze zostało. W licznych ziemiankach, bo Jasiu często je zmieniał, wszędzie były żelazne kozy, nad którymi dosychały pęta kiełbasy i połcie słoniny, sienniki były suche i puchate, płonęły prawdziwe woskowe świece, pachniało kapustą z grzybami i zawsze znalazła się bańka samogonu. Jasiu miał własną balię i mydło, dwie pary butów, porządny kozuch, prawdziwego solingena w oprawce z masy perłowej i holenderski rower. Gdyby tylko chciał, miałby i własny samochód, tylko po co? Krucho z częściami, o benzynę trzeba się zabijać i jeszcze kłopot z parkowaniem.

Smyczkowi tylko Wandy brakowało w tym lesie. Nie mógł jej sprowadzać na kwatery, bo w każdej konspiracji pierwsza reguła powiada, żeby nie angażować rodziny i bliskich, a druga mówi, że im mniej wiedzą, tym dłużej żyją. Sam też nie mógł zbyt często bywać w piekarni, nie dlatego że to niebezpieczne, choć istotnie było, bo za każdym razem Jasiu przemierzał otwarte pole i łąki, wystawiony na strzał z czterech stron świata, i mógł go kropnąć doprawdy ktokolwiek bez urządzania szczególnej zasadzki. Nie, przeciwnie, ryzyko dodawało tym krótkim popasom specjalnego dreszczu, za którym Wanda chyba przepadała, bo nigdy nie przychodziła z taką mocą jak wtedy. Jeśli Smyczek bywał w piekarni rzadziej, niż mu czas i wojna rzeczywiście pozwalały, to nie dlatego że sam nie lubił albo Wandzie żałował, ale dlatego żeby nie dawać gorszącego przykładu Uklejowym bliźniakom, co obaj byli żonaci i też mieli swoje potrzeby. I w ogóle, co to za wojna, na którą się idzie wprost spod pierzyny i z której się wraca do jeszcze ciepłych łóżek z wilgotnymi babami.

No i rzadziej wcale nie znaczy, że rzadko. Czasami „rzadko” to jest raz na rok albo wcale przez kilka lat, jak wtedy gdy Jasia do wojska zaniósł. Kiedy indziej raz dziennie będzie za mało, jak upalnym latem, kiedy dzień jest dłuższy i roboty znacznie więcej, ale za to kochać się można wszędzie i wszystko wkoło do tego popycha. „Rzadko” to nie jest częstotliwość, rzadko nie jest wtedy, gdy nie ma dość – rzadko jest wtedy, gdy istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że każdy raz może być ostatni. „Za mało” zaczyna się tam, gdzie za chwilę może nie być wcale. Obawa biegnie sobie o jedno okrążenie przed namiętnością i wywija paradoksem – człek pożąda, bo lęka się, że mu kiedyś zabraknie, tęskni, zanim jeszcze zacznie tęsknić.

Wiedziona sobie tylko znanym przecuciem Wanda zaczynała trzeźwieć już na dobę przed odwiedzinami Smyczka, potem skręcała z pół tuzina papierosków, żeby później na nic nie tracić czasu, podmywała się co godzinę, nerwowo krążyła po izbie, ocierając się o meble i przestraszone przedmioty codziennego użytku, oleście nawilżając zdziwione ławy i krzesła, rozsiewając tę woń, która

oderwie od pług orzącego chłopca i osadzi w miejscu pędzącego psa. Potrafiła nawet powstrzymać miesięczną krew, przełożyć ją albo przerwać i dokończyć wraz po wyjściu Jasia, z obawy, że mógłby jej broczącej nie tknąć. A kiedy już tknął, przychodziła od pierwszej chwili, przychodziła jak wściekła, zaciskała się na nim jak prasa hydrauliczna, mdlała i wyła, przychodziła jak w epilepsji, jakby chciała przyjść raz na zawsze. Wanda już tęskniła za Smyczkiem, kiedy ten jeszcze był w niej, znów chciała się kochać, wciąż się z nim kochając, bo Jasiu jeszcze nie przyszedł, a już odchodził, i za każdym razem właściwie na dobre. Mieć. Nie mieć. Mieć. Móc mieć. Móc nie mieć. Nie móc mieć. Kto mówi „rzadko”, mówi o strachu, nie statystyce.

Jasiu kochał prościej, rzecz można – nieświadomie, bo jako jedyny w całej opowieści myślał, że doczeka końca wojny, podczas gdy wszyscy pozostali albo wróżyli mu rychłą śmierć, albo jej życzyli, albo starali się o nią, albo, jak Kazimierz, jakimś sposobem po prostu wiedzieli i nikt, doprawdy nikt, nie był w stanie jej zapobiec, bo gdzieś daleko, w jakiejś fabryce amunicji w jakimś zapomnianym przez bombowce zakątku zszedł już z taśmy nabój z jego imieniem, z końcem świata, z ostatecznym zdziwieniem, że to już, że teraz i że właśnie tak. Nieświadomy Smyczek kochał jak postać z noweli, co jeszcze nie wie, że skończy jak bohater ballady.

Bezpieczny był, póki drzew, cienia, wykrotów i jarów, póki osłony lasu, co go miał we krwi. Krostkowe łąki dzielące piekarnię od najbliższego zagajnika zapraszały do spaceru po strzelnicy – z tej drugiej strony. Otwarta przestrzeń trawy do kostek, chlupiąca podmokle z każdym krokiem, zagłębiona pośrodku stojącą wodą, stanowiła idealną pułapkę i nie trzeba było tchórza, żeby się bać tamtędy łązić. Gdzie, jak nie tu, Jasiu strzelał dziedzicowi zajęcy, dzików i saren z tą samą łatwością, z jaką kiedyś pluszowymi misiami i gumowymi kaczuszkami zdobywał odpustowe serca wiejskich dziewczuch, odbijając wiatrówką zakładników w objazdowym lunaparku?

Jedyną osłonę na krostkowych łąkach dawały trzy wierzby i właśnie dlatego należało się ich obawiać, że tak samo dobrze mogły chronić również napastnika. Żeby tam właśnie urządzić zasadzkę na Smyczka, nie trzeba było taktycznego doświadczenia Zerbsta, co już go klucz wiolinowy zgniewał, bo zaczął się pojawiać nachalnie i coraz bliżej, aż któregoś nocy znaleziono taki na drzwiach domu obok jego własnej kwatery w białobrzeskim rynku. Mógł na to wpaść nie tylko cwany Uczciwek, który znał, kto w lesie rządzi i do kogo przez łąkę w odwiedziny chadza, bo wiedział już, kto wojnę wygra i kto nowej władzy najwięcej kłopotów przysporzyć zechce, a mógł nie chcieć odkładać rozwiązania problemu do przybycia sądów i Armii Czerwonej, bo na co komu taka mitręga, gdzie klasowe sumienie wystarcza. Takie były te trzy wierzby oczywiste, że nawet dziedzic – choć żaden z niego wojak, tylko fiksat i maniak, co mu kinematograf w głowie się zaciął i różne zakończenia uparcie wyświetlał – sam mógł być wyreżyserować koniec tej ballady, bo nawet jak kto nie trafi w zająca z dziesięciu kroków, trafi w dużego chłopa z trzech. Na chłopski rozum, to i Haham mógł się u wierzby zasadzić, bo Smyczka szczerze nienawidził, że nim poniewierał, każąc pośledniejsze zajęcia wykonywać, i zginąć mu nie dawał.

Najbardziej Jasiu lubił słuchać o miłości. Oprócz tego, co wiadomo, lubił, kiedy Wanda mówiła, że jest jedna, niepodzielna, wielka i wieczna, że naprawdę kocha się tylko raz w życiu, bo tej prawdziwej jest w świecie tylko tak mało, że jej starcza na raz, a i to nie dla wszystkich. Że potrafi być nieludzka, gdy jest nieśmiertelna, bo nie daje wytchnienia nawet po śmierci i zamiast ulgi, letargu i ośpienia szarpie trzewia, wyżera oczy i mózg, i nie widzisz już nic, i nie czujesz już nic, tylko ją, i nie ma dla ciebie nadziei, i musisz z tym żyć. Że można kochać za bardzo, że inaczej może nawet w ogóle nie warto, bo to naczynie jest tak głębokie, że pełne jest tylko wtedy, gdy się przelewa, a takie jest płytkie, że gdy się nie przelewa, wraz wysycha, ukazując pustkę i dno. Wszystko albo nic. Większej prawdy Wanda nie znała.

A Wanda lubiła mówić o miłości, bo lubiła miłość. Oczytana mądrością kalendarzy z lichego papieru, sprzedawanych po wsiach

przez domokrażców, mówiła, że przenosi góry, z pustego naleje, mądrą jest szkoda i że piekłem wybrukowana, pochyłym jest drzewem i garnki lepi. Przypuszczała też, że jest machiną czasu – jedyną zdolną go zatrzymać, tak jak machiną czasu są fotografie (a na nich para staruszków, już w formalinie, ale jeszcze trzymają się za ręce), albo jak ławeczki wzdłuż piórkowskich płotów, te do ćmienia cybucha i oglądania zachodu słońca po pracowitym dniu. Nie wiedząc zgoła nic o mantrach, lubiła powtarzać „kocham cię, jak nikt nigdy nikogo nie kochał”, głęboko wierząc, że pewne dźwięki czynią człowieka bardziej człowieczym, szczęśliwym, a nawet zdrowszym.

Prawda, że kiedy w lesie, Smyczek niewiele myślał o miłości, choć dużo myślał o Wandzie. Po wierzchu kochał ją za to, że była na skinienie, ciepła, miękka i wilgotna, za to, że karmiła i poila, za papiroski, za tę woń piękną a straszną, za włosy pod pachami i skurcz zaspokojenia o tektonicznej sile, jakiej nie zaznał nigdy przedtem. Kochał za to, co mówiła przed i po, i za dźwięki, jakie wydawała z siebie podczas. We środku, pewnie nawet o tym nie wiedząc, kochał za to, że dowiedział się od niej czegoś bardzo ważnego o sobie, a mianowicie, że jest jeszcze zdolny do kochania. Kochał ją za to, że ją kochał.

A Wanda kochała pomimo smrodu, bo Smyczek nie zawsze zdążył się umyć, kochała pomimo odoru machorki, którego szczerze nie znosiła, kochała, mimo że nie był tak do końca jej i zawsze coś go od niej odciągało, a to więzień, a to wojsko, a teraz jeszcze i wojna, kochała, pomimo że za każdym razem odchodził właściwie na zawsze. Powiada się, że mężczyźni kochają za coś, a kobiety mimo wszystko. O, wcale się tak nie powiada? Pierwsze słyszę! Naprawdę? Przykre, ale da się szybko naprawić.

– Mężczyźni kochają za coś, a kobiety mimo wszystko – powiedział dziedzic, odkładając na półkę tom Lautréamonta. – Tak natura wymyśliła. Dała im kształty, przymioty i talenty, za które można kochać, nas wyposażając w cechy, rekwizyty i owłosienie, za które kochać się nie da. Jesteśmy w sumie dość obrzydliwi. Jako

zadośćuczynienie za partactwo natury dostaliśmy od kultury prawo do wybrania sobie kobiety. One takiego prawa nie mają, ale to pewnie tylko kwestia czasu. Ewolucja trwa.

– Za co ty kochałeś, Grzegorzu? – ksiądz Morga chwycił się bezpieczniejszego wątku, inaczej musiałby się rzucić na ewolucję, kulturę i emancypację, a nie chciał, bo na znak protestu musiałby wyjść przed deserem, jak to się już zdarzało.

– Nie wiem. Mówiłem, że kochałem? Kiedy? Co ksiądz może o tym wiedzieć? A właściwie dlaczego my o tym rozmawiamy?

Morga rzewnie spojrzął na wniesiony właśnie do biblioteki sernik o średnicy rowerowego koła, grubości cegły i zapachu skórki pomarańczowej dzieciństwa.

– Widocznie tak nam pisano – westchnął.



Mierzone rozmiarem i głębokością kałuży, nasze deszcze mniej miały wspólnego z wodą niż z ziemią. W Piórkowie deszcz, zanim padnie na głowy i piach, bywa ledwie wodą w powietrzu. Leci taka woda z góry w dół, czasem z lewa na prawo i z prawa na lewo, a jak dobrze powieje, potrafi jeszcze padać z dołu do góry i marnuje się żywioł bez nijakiego pożytku. Sensu deszcz nabiera dopiero w zetknięciu z ziemią, deszczowej wodzie nie chodzi tylko o miejsce do lądowania, ale o głębszy ład-porządek. Nie po to przecież pada, żeby popsuć wesela i chrzciny, ale dlatego, że żywioły, zupełnie jak ludzie, też muszą żyć w jakiej takiej zgodzie, a ze wszystkich najbardziej kapryśna jest ziemia, piórkowska to już zwłaszcza, co jej żaden deszcz nie dogodzi, bo zawsze ma za mało albo za dużo, a nigdy w sam raz.

Człek może deszcz lubić lub nie, ma się gdzie schować, ma kalosze, parasol, wymyślił irygację, meliorację, rynny i nierdzewną stal. Ziemia, jak chciwa dziwka z gromadką bękartów na utrzymaniu, nie ma wyjścia, musi przyjąć każdego. I przychodzą do niej kochankowie wszelkiej wody i wszelkiego autoramentu, deszcz

liryczny, co trochę wzrusza, i deszczyk markotny, co tylko irytuje; deszcz gawędziarz pogada, co to on nie potrafi, napnie się, napręży, zachmurzy i rozczaruje; albo nieśmiały prawiczek, co uroni kropelkę tu i kropelkę tam i szybko zabiera się do odejścia. Kiedy indziej spadnie z nieba gość jesienny, typ spod ciemnej gwiazdy, dojrzały i wezbrany jak marynarz na przepustce, co nocą wyźłobi nowe zmarszczki na polnej drodze i rano dołoży dwa kręgi wody w studni więcej. Albo ten seryjny morderca, co nie może przestać przez tydzień, przez dwa, przez miesiąc, co krostkowe łąki zamieni w staw, piórkowski staw w jezioro, zboże zostawi wyłożone i gnijące strzechy.

Kazimierz nie cierpiał deszczu. Ciężki karawan tonął w piórkowskim błocie, czyszczenie jego czarnych lusterek trwało dłużej niż sam pogrzeb i nie tylko odbierało sens życia, ale również śmierci. Po każdym zmoknięciu frak zbiegał się nieco, tak że wysoki i chudy Kazimierz w końcu wyglądał jak pasikonik przebrany we wdzianko pożyczone od niewyrośniętego świerszcza – poły surduta nawet nie udawały, że zakrywają pośladki, nogawki do kostek, rękawy trochę za łokieć. Nic dziwnego, że dzieciarnia w kondukcje zanosila się śmiechem, baby starały się nie patrzeć, a chłopcy udawali, że nie widzą.

Nie rozumiał Kazimierz, dlaczego ci sami ludzie, co potrafią tak ofiarnie bawić się na weselach, tak niewielką uwagą darzą pogrzeby. Poprawiny lubią trwać i trzy dni, a na stypie wszystkim dokądś spieszą i myślą tylko, żeby mieć to szybko za sobą. Niby co? Życie? Przecież się właśnie dokonało. Może śmierć? *Rigor mortis* dopiero wkracza i nic ponaglić się tu nie da. A może tylko nie chcą widzieć, jak inni cierpią po odejściu bliskich, z obawy, że sami nigdy nie byli tak kochani i na stypach nie będą tak opłakiwani? Nie mogą na to patrzeć, powiedzą. Nie ze współczucia. Z zawiści. Ku ich pocieszeniu należy powiedzieć, że nigdy nie jest za późno, by zapracować na tęsknotę i żal, ale zacząć trzeba już. Pogrzebem nic się nie kończy i weselem nic nie zaczyna. Wszystko jest jeno droga od ołtarza do cmentarza i z powrotem.

Na czym jak na czym, ale na śmierci Kazimierz znał się jak mało kto. Znał się tak dobrze, że wiedział, kiedy nadciąga, nawet jeśli nie wiedział, kogo akurat tym razem dosięgnie. Zaprzęgał i czekał, wyfraczony, w cylindrze i białych rękawiczkach. Patrzył, jak przemierza gościńce, nawiedza domy biedne i bogate, zamyka powieki niewiastom w połogu, starcom pochylonym nad strawą wytrąca z rąk łyżkę, liczy potomstwo, rachuje powicia i poronienia, kalkuluje szanse smarkaczy wyciągniętych z sieczkarni, syjamskich bliźniaków i Cyganów na polu minowym. Nie widział tylko, jak zagląda krematoriom w kominy, ale to może i nic dziwnego, bo mało kto to widział, a kto widział – nie mógł uwierzyć, w co widzi. Kazimierz opiekował się śmiercią, szanował i wierzył, że ilekroć umiera człowiek, tylekroć rodzi się coś nieśmiertelnego. Życie jest dłuższe niż piórkowska droga, co łączy dzwonnice z cmentarną bramą, nie jest też tak proste jak ona, od–do. Zatacza się i zatacza koła, wybiega w tył, zawraca, cofa się do przodu, w końcu karawan, jak wehikuł czasu, wraca do punktu wyjścia, bo koniec jest zawsze na początku. Stąd ten ból, że najbliżsi zawsze odchodzą na początku czegoś, choćby to był tylko początek końca. Gdyby śmierć przychodziła na końcu, rozpacz byłaby mniejsza. Naoglądał się Kazimierz tyle wdowiego bólu i przetrąconych na całe życie sierot, że uwierzył, iż końca nie ma, że póki boli, póty nieśmiertelności. Tyle życia, ile rozpaczy.

Jak na lutra Kazimierza, co nigdy nie słyszał o zasadach sprzeczności i wyłączonego środka, oryginalne to były dowody na życie wiekuiste, oryginalne nawet jak na samego Pana Boga, co podobno wszystko to zaplanował, z logiką włącznie. Gdyby śmierć istniała, to umarli przestawaliby istnieć. Gdyby przestawali istnieć, zniknęłoby źródło bólu – wszak nie boli coś, czego nie ma. A przecież boli. *Ergo*, śmierci nie ma. I jeszcze ten: kiedy przestajemy rozpaczać, przyznajemy rację śmierci i uznajemy jej istnienie. Uznajemy istnienie nieistnienia. Śmierć jest wewnętrznie sprzeczna. Nie ma rzeczy wewnętrznie sprzecznych. *Ergo*, śmierci nie ma. Istnieje tylko jako środek transportu między absurdami, pomiędzy jedną a drugą rozpaczą. *Ex dolor, ex desperatio*.

Kazimierz widział w śmierci osobliwe piękno i przez to lubił swoją pracę. Jeden rzut oka na kondukt pozwalał mu odróżnić, czy śmierć, którą właśnie wiozł, była aktem łaski, karą czy zbiegiem okoliczności. Z zasady odmawiał tylko wożenia samobójców, właściwie dla ich własnego dobra, bo i tak odmawiano im pochówku w poświęconej ziemi – po co to jeszcze podkreślać widokiem karawanu pod cmentarnym murem albo, nie daj Boże, w szczerym polu. Odmawiał i dlatego, że samobójstwo, jak każdy samosąd, ma w sobie coś z zemsty, a zemsta nigdy sprawiedliwa nie jest, bo zamiast wagi i przewiązanych oczu dzierży odbezpieczony pistolet i patrzy błędnym, przekrwionym wzrokiem. Myślenie nie myśli, filozofował w wolnych chwilach, chodzenie nie chodzi, ale zemsta się mści.

Żył ze śmierci, prawda, ale nie na jej rachunek. Nigdy też nie chwycił za szpadel, bo mu na to nie pozwalała zawodowa duma – woźnica to zaś nie grabarz. Nie prowadząc żadnych statystyk, pamiętał każdy pogrzeb, od arcyksięcia Ferdynanda po chorążego Smyczka, jak kronikarz, nie jak buchalter. Do pewnego stopnia beneficjent, z pewnością nie był współnikiem w interesach. Zawodowiec, ale nie przemysłowiec; przedsiębiorca, ale nie technokrata. Obsuwając ze śmiercią napowszednio, z wielkim doświadczeniem w rzeczach umierania, absurdów i rozpacz, byłby tak samo bezradny wobec dymiących kominów jak ci, dla których śmierć nie była profesją. O ile ci ostatni mieli prawo nie rozumieć samego konceptu, o tyle Kazimierz dodatkowo nie miał prawa zrozumieć, co to znaczy, że wożąc jednego zgłodzonego dziennie, przez cały rok, świątek piątek, jeździłby przez cztery, pięć, sześć tysięcy lat. Dłużej niż cała znana rodzajowi ludzkiemu spisana historia. Gdyby potrafił sobie wyobrazić, że ludzi można nakładać łopata, wiedziałby, że *rigor mortis* przydarza się i żywym.



Pierwsza akcja oddziału „Lazaret” nie była aż takim fiaskiem, jak to się mogło z początku wydawać, mimo że ludność

nieodpowiedzialnie śmiała się jeszcze długo potem, a co odważniejsi dowcipnisie nawet po przyjsciu Ruskich pytali, czy to prawda, że GL użyło w tej akcji pistoletów na wodę. Wraz nikt nie pamiętał, że akcja unieruchomiła Zerbsta i jego ludzi na dobre dwa tygodnie, za to jeszcze nie dogasł pożar, kiedy już przyłgnęły do niej różne prześmiewcze nazwy, jako to: Pluszowa Noc, Masakra Lanego Poniedziałku, Dzień Uszatyh Męczenników, albo krócej: Uszatierra, Uszaterlitz i Uszaterloo, albo po prostu Uszatygrad. Potem już tak chętnie nie żartowano, bo UB nie miało poczucia humoru, ale miało długie ręce i niejeden siedział za kawały. I jak to zwykle bywa, kiedy słowa stają się zbyt niebezpieczne, wnet robią się zbędne. Jeszcze w parę lat po referendum malowane kredą na murach uszy, jak dwie odwrócone litery „u”, miały tyleż symbolicznej siły, co klucz wiolinowy albo kotwica Polski Walczącej.

W najlepszych latach zakład wyrobu zabawek pluszowych Fabera zatrudniał dziesięć Żydówek do szycia, dwóch Żydów do roboty i jednego goja do akwizycji (wśród gojów). Interes szedł pięknie, przed samą wojną zakład przeniósł się do nowego, murowanego, bielonego baraku z dużymi oknami i blaszanym dachem, a wykształcony w Anglii i wrażliwy na piękno Ben Faber był największym pracodawcą i najbogatszym Żydem w Białobrzegach. Dość bogatym, by produkować do samego końca, do ostatniej szwaczki, do wyczerpania zapasów pluszu, trocin, kauczukowych nosków i szklanych oczków, a przy tym wciąż wypłacać akord, początkowo jeszcze złotymi i markami, potem dolarami, wreszcie srebrem posagu córek, a w końcu biżuterią żony, bez sensu, ale sprawiedliwie i przyzwoicie, perła za perłą odcinaną z naszyjnika, kolczykami pozbawianymi pary, złotymi łańcuszkami dzielonymi gilotyną na centymetrowe kawałki. Porządny człowiek ten nasz Mister Faberek, mówili. Może nie miał racji, może mógł za te skarby kogo uratować. A może miał rację, bo jak powieźli i Faberów, każdy już rozumiał, że sens stracił na znaczeniu, bo nie ma go nigdzie wkoło, a przyzwoitość okazała się bezcenna, bo nie ma jej nigdzie wkoło.

Rozkazy Uczciwek dostał proste i jasne: być dobrze poinformowanym, nie wdawać się w potyczki z Niemcami, nie ganiać po lasach, nie wymierzać sprawiedliwości (póki co), nie afiszować się nazwą, proweniencją ani innymi znakami. Trzymać się z boku, patrzeć dookoła, myśleć kto, co i dlaczego, a od czasu do czasu wysadzić jakiś pociąg, najlepiej jadący na wschód. Raz był to pociąg z węglem, innym razem pociąg z rannymi albo i transport sowieckich jeńców, bo tory koło Białostrzegów biegły jakoś tak bardziej z północy na południe, a nie akuratnie z zachodu na wschód, i węgiel, bywało, jeździł w obie strony, i łatwo się było pomylić, i wywiad był słaby, bo lud nie chciał narażać się ani Niemcom, ani prawdziwym partyzantom.

Za to zakład Fabera był celem idealnym – nie ruszał się i wiadomo, co było w środku, nie tylko stał w miejscu, ale to, co było w środku, było materiałem strategicznym, co go każdy ruch oporu uważa za śmiertelnego wroga. No bo broń, dla bezpieczeństwa, trzymali Niemcy po odwachach, ale amunicję, benzynę i materiały wybuchowe, też dla bezpieczeństwa, trzymali osobno, u Lorda Fabera właśnie, bo ogrodzone, zamykane, sucho zadaszzone i bezpiecznie murowane, a samemu Faberowi już naprawdę do niczego niepotrzebne. Składu pełnego paliw, smarów, nabojów, min, dynamitu i tysięcy niesprzedanych pluszowych misiów pilnował jeden senny szkop.

W Lany Poniedziałek nad ranem żołnierze „Lazaretu” ogłuszyli sennego i podłożyli ogień z czterech stron manufaktury. Hałda pluszowych misiów wyleciała w powietrze, jeszcze zanim zdążyły na dobre zająć się płomieniem. Materiały strategiczne wybuchyły sobie do południa, łunę było widać aż w Piórkowie i nikt nie myślał o gaszeniu pożaru, bo strach było podejść bliżej niż na sto kroków. Oprócz jednego sennego cudem tylko nikt nie zginął, chociaż spłonęło ze szczętem kilka najbliższych budynków, w tym remiza, okoliczne domy co do jednego straciły szyby w oknach, poraniło jakieś dzieciaki, ale to wszystko nic w porównaniu z widokiem białostrzeskich uliczek usłanych gęstym trupem pluszowych misiów, nadpalonych, osmalonych, broczących trocinami, ładowanych szuflą

na taczki przy akompaniamencie chrzęstu szklanych oczek pod podszwami.

Dziedzic, zgodnie z daną sobie obietnicą, w akcji udziału nie brał, ale łunę widział, dudnienie eksplozji słyszał i opis znał od naocznych świadków. Miał i on swój wkład światowca i erudyty w upamiętnienie tego wydarzenia, nie mógł sobie tego odmówić: Las Uszatoburski, Uchalons-sur-Marne, Uszaterdun, Uszo Jima i Plusz Harbor.



Jako saper szeregowy Hiob z czasem osiągnął kunszt niesłychany i nieosiągalny dla kogokolwiek wyposażonego w instynkt samozachowawczy. Potrafił znaleźć dowolną minę, nawet się nie schylając, jakby za każdym razem przywiódł go do niej jakiś specjalny węch albo jakiś kompas śmierci, który nosił w duszy, albo diabli wiedzą co. Wyszedłszy na zagon, czy leśną przecinkę, nieomylnie podążał od jednej do drugiej, zygzakiem albo po prostej, z taką pewnością, jakby je sam rozmieścił. Nogą rozgarniał ściółkę wkoło znaleźziska, nonszalancko trącał butem, odchodził o krok, brał się pod boki albo kręcił młynka frędzlami kamizeli, jakby chciał zapytać „i kto tu jest parch?”. Albo nachylał się i urągał żelastwu, gwałtownie przy tym gestykułując, grożąc palcem, potrząsając pięścią, wrzeszcząc i śmiejąc się na przemian, bywało, że wykonywał swój żydowski taniec, wydreptując coraz węższe kręgi wokół zapalnika. Potrafił rozbroić każdą minę, a tak przemyślnie, że po wytopieniu trotylu dawała się ponownie złożyć do kupy i zakopać z powrotem na swoim miejscu (jego własny pomysł i oryginalny wkład do taktyki wojny partyzanckiej) i żaden szkop, nawet rozgarnięty, nie poznałby się, że ich pola minowe są tyleż niebezpieczne, co łąki upstrzone krowimi plackami.

Że Haham postradał rozum, było pewne i nawet nieszczególnie dziwne. Nikt przy zdrowych zmysłach nie byłby zdolny do takich igraszek, jak turlanie niewypałów czy podkładanie Niemcom ich

własnych nierozbrojonych min w najmniej oczekiwanych miejscach, bo tak już jest świat pomyślany, że człek rozsądny, bojaźliwy i bogobojny zginie sto razy, gdzie szaleńcowi nawet włos z głowy nie spadnie. Przypuszczalnie żydowski Pan Bóg też ma w swej opiece straceńców, bo wariatów to na pewno.

Kląć Haham nauczył się nie wiadomo jak. Z tych, co z nimi przebywał na co dzień, Smyczek wyrażał się rzadko, Kazimierz wcale, Uklejowe bliźniaki w ogóle mało co się odzywali, a łącznik Gaduła – wiadomo. Trudno dociec, skąd znał te wszystkie plugawe słowa, z których wiele nawet nie miało odpowiedników w jidysz, kiedy wprawdzie po polsku rozumiał wszystko, ale mówił nie za bardzo i mowa jego pełna była tegesów, szmegesów i cwancygierów. Najczystsza polszczyzną, gramatycznie, bez jojczenia i bez akcentu mówił tylko, kiedy klął, a klął tylko przy robocie. I komu tak złorzeczył?

Oczywiście, że szeregowy Hiob chciał zginąć, ale w uczciwy sposób, nie z własnej ręki, bo to byłaby ucieczka, kara i zemsta zarazem. Nie chciał w pojedynkę odjechać karawanem, co wozi od rozpaczy do rozpaczy, bo to nie jest śmierć, tylko logiczna konkluzja. Nie chciał też odejść jak wszyscy dookoła, bydłęcym wagonem, wieziony na taczkach, z których zwisają bezwładne, rachityczne kończyny, a ogolona czaszka podskakuje na wybojach, bo to nie jest śmierć, tylko czarno-białe zdjęcie, które obiegnie świat, zanim stanie się olejnym obrazem. Haham nie chciał odejść bez pożegnania, marzył o pożegnaniu oprawców, ale takim, po którym ani logika, ani rozpacz, ani świat nie będą już takie same. Chciał wyroku w trybie doraźnym, takiego, co ma sens, bo kiedy widziałeś już, jak z twojej ręki zginął twój najlepszy wróg, widok mokrego dołu, który kopiesz sobie sam, ponaglany przez kata, jest wyzwoleniem, a nie koszmarem.

Z jednej strony właściwie już nie żył, bo nie miał nic, dla czego warto byłoby żyć, a z drugiej strony nadal żył utrzymywany przy życiu rachunkiem prawdopodobieństwa i magią wyliczanki do trzech razy sztuka. Szczerze i po równo nienawidził tych, przez

których nie żył, i tych, przez których jeszcze żył, nie wyłączając Smyczka, kaprysów wielkich liczb i żydowskiego Pana Boga. Miało być uczciwie, szybko i na pewno, tymczasem przez nich był załedwie w forpoczcie wysokiego ryzyka, zamiast w zgiełku bitwy i walki wręcz był załedwie w strefie malejących szans: jeden do miliona, jeden do stu, jeden do dziesięciu, jeden do..., jeden..., jeden...

Klnąc, żądał interwencji losu, co położy kres temu wszystkiemu, i doczekał się, ale cudu. Trzy razy – nie raz, nie dwa, ale trzy razy! – usłyszał metaliczny szcęk zapalnika, dźwięk, po którym większość saperów nie spodziewa się usłyszeć już nic. Raz – to jest jeszcze do pomyślenia, przypadek, wada fabryczna i zbieg okoliczności. Dwa – to już jest statystyczna anomalia, aberracja i klęska, co nie daje się wytłumaczyć inaczej niż upadkiem niemieckiej jakości i solidności. Ale trzy?! Trzy felerne miny?! To jest już jakiś zasrany żydowski pech!

Żebyś, skurwysynu, miał dzieci z wodogłowiec, same córki, i żeby do szkół poszły w Sodomie, a do pracy w burdelach Gomory. Żeby twojej matce rozkopali grób i wyskrobali łopata, i żeby kazali jej jeszcze raz umrzeć ze wstydu, i żebyś następnym razem umarł przy porodzie, kurwa twoja mać. Żeby się wszystko, czego dotkniesz, zamieniało w rzadkie gówno i żebyś się do tego przyzwyczaił. Żebyś miał rozedmę w płucach i ból w krzyżach, żeby jak se odmroziś dziurę w dupie i będą ci wisały brązowe sopele, to żebyś nie mógł ich se odchuchać, i żebyś musiał czekać do wiosny, żeby się podetrzeć. I żebyś miał ueberrozwolnienie, i żebyś usiadł na kaktusie, co ma takie kolce, żebyś nie mógł sobie dupy odkorkować, i żeby ci to rzadkie gówno zalało ten twój aryjski mózg. Żebyś popuszczał kocimi szczynami i żeby twój aryjski owczarek nie mógł wytrzymać tego smrodu, i żeby ci odgryzł kutasa, i żeby go turlał nosem po ziemi, aż sobie znajdzie lepszą zabawę i zostawi go nutriom. Żebyś miał łeb w kobylić zadzie i podziwiał widoki, i żebyś tam zasmakował w jarskich cymesach, i żeby się aryjska kobyła cieszyła, że nareszcie ma po francusku. Żeby twój cień się ciebie wstydził i chował przed tobą do dziury w dupie, i żebyś się

dziwił jak nieobrzezany chuj w pełnym słońcu. Żeby ci jaja wpełznąły do dupy i kazali wysiadywać, i żeby czekali, co się wylęgnie, i żeby się wylęgłi zbuki, co ich nawet nutrie nie zechcą. Żeby ci chuja wygięło w swastykę i żeby żydowskie krawce na całym świecie konali ze śmiechu na myśl o kalesonach z sześcioma nogawkami. Żeby ci włosy z nosa wyrosły na kutasie i żebyś cierpiał przy ich wyrywaniu, i żebyś kichał, szczając. Żeby ci na kładce nad przepaścią nasrało w same oczy i urwało rękę. Żeby ci szpary między zębami zarosły kozim serem, i żeby ci pod pachami kisili kapustę, i żeby ci z ust śmierdziało jak sardynce z pizdy. Żeby cię codziennie rżnęła babilońska kurwa, co ma w dupie gwoździe, sztuczną szczękę, łapkę na myszy, drut kolczasty, kwas siarkowy i tłuczone szkło. Żebyś miał taką kiłę, jakiej wszy łonowe jeszcze nie widzieli, i żeby ci na aryjskim chuju wyrósł czyrak z koszernym majonezem. I żeby twojej własnej babie w piździe wyrosłi pokrzywy. Żeby ci stawało do środka i łachotało w przelyku, i żebyś rzygał za każdym razem, jak pomyślisz o swoich aryjskich kurwach. Żeby ci wąsik wyrósł na podniebieniu, żeby cię nie chciał nawet najgorszy pedał po powrocie z samotnego rejsu dookoła świata. I żebyś dostał biegunki na defiladzie, i żeby ci gównno w bryczesach bulgotało, i żeby szelki nie wytrzymały. I żeby ci się żarówka w kiblu przepaliła, i żebyś nie mógł trafić ręką do dupy ani dupą do obręczy, i żebyś musiał wołać o pomoc, i żeby nikt nie usłyszał, i żebyś musiał rozstrzelać wszystkich twoich pierdolonych Aryjczyków we wszystkich twoich pierdolonych bunkrach, i żeby raczej wszyscy zginęli za żarówkę w kiblu, niż żebyś ty umarł ze wstydu, i żebyś już zawsze musiał nosić przy sobie pistolet, amunicję, latarkę, dynamo, świeczkę, zapalniczki i bańkę nafty, cały, kurwa, plecak, tylko po to, żebyś mógł się wysrać. I jak się już zaryglujesz w tym swoim wychodku, rozsiądziesz i napniesz, to żeby ci z wysiłku oko wyskoczyło z oczodołu i wpadło w gównno, i żebyś nie mógł znaleźć okulisty przez sześć pierdolonych miesięcy, a w tym czasie żeby ci z dupy zrobili front wschodni i żeby ci wyjebali nową dziurę, jedną koło drugiej, i żebyś musiał srać przez lornetkę. I żebyś dostał takich hemoroidów, żeby cię własny sracz nie poznał. I żeby ci na dupie wyrosły oczy i uszy, żebyś gównno widział i gównno słyszał. I żeby ci głowa chujami porosła.

Niestety, nic takiego się nie wydarzyło i Adolf Hitler, ciesząc się względnie dobrym zdrowiem, dożył niemal sześćdziesiątki. Zdążył się jeszcze szczęśliwie ożenić i spędziwszy krótki, ale frapujący miesiąc miodowy w zaciszu bunkra, dokonał żywota u boku kochającej małżonki i wiernego psa, w płytkim dole polany ropą.



Organista musiał przysnąć albo przyzagapić się na plafon, jak to się już zdarzało, bo po „Panie Jezu Chryste, Królu chwały, uwolnij dusze wszystkich wiernych zmarłych od kar piekielnych i z głębokości otchłani...” organy milczały, mimo że, jak było nieraz wyćwiczone, w tym miejscu przed Ofiarowaniem rozbrzmiewały pierwsze takty *W duchu pokory*. Ołtarz, trumna i katafalk już okadzone, na polu wczesny zmierzch i spieszyć się trzeba, żeby zdążyć na cmentarz i z powrotem przed zmrokiem, a organy milczą. Morga chrząknął znacząco, jakby chciał obudzić wałkonía, i podjął liturgię głośniej, niż ją zaczął: „...wyrwij je z paszczęki lwiej, aby ich nie pochłonęło piekło, aby nie wpadli w ciemności...”. A może pijaczyna umknął ze strachu, zobaczywszy kogo i jak chowają? „... lecz Chorąży Święty Michał niech je wprowadzi do wiecznej światłości, którą obiecywałeś niegdyś Abrahamowi i potomstwu jego...” – powiedział proboszcz już tak głośno, że piórkowskim się wydało, iż Morga celowo porównał Smyczka do świętego Michała, że niby to chorąży i to chorąży, jakby to patriotyczna aluzja była, w jakich duchowieństwo od pierwszego rozbioru celowało, a to tylko tak w liturgii było napisane.

„Ofiary i uwielbienia modlitwy składamy ci, Panie!...” – wzniosło się aż pod sklepienie kościoła i pomogło, bo ocknął się organista z letargu i zagrał w szalonym tempie brakujące akordy *W duchu pokory*, jakby próbował dogonić proboszcza, i przecież dogonił, przeskakując po kilka taktów, a potem zwolnił i melodia odzyskała swoje normalne tempo i smutne dostojęństwo, i Morga mógł dokończyć: „...przyjmij je za duszę tą, którą dziś wspominamy, a od śmierci przeprowadź ją, Panie, do życia, które niegdyś obiecałeś Abrahamowi i potomstwu jego”, a organista w poczuciu skruchy zakończył tak cudnym zawijasem, że proboszczowi złość przeszła i wszystko wróciło na właściwe miejsce, liturgia, dostojęństwo

i powaga, bo w pogrzebie, jeśli ma być udany, musi być jakaś elegancja. I odstąpił Morga od kary, co już ją organiście w myślach wymierzał, bo muzyka łagodzi obyczaje, i dobrze, bo wiadomo, obyczaj ludzka rzecz, u każdego inny, a u wszystkich ten sam, i każdy komuś karę wymierza, chłopom babom, baby dzieciom, a dzieci drobnemu inwentarzowi, i jeśli muzyka karzącą dłoń umie w powietrzu zatrzymać, to daj, Panie, każdemu oprócz Anioła Stróża jeszcze i organistę.

Morga nie tylko, że śpiewać nie umiał, ale jeszcze lubił. Słuch, podobnie jak poczucie sprawiedliwości i chorobę weneryczną, miał po ojcu, co tak lubił kolędy, podkłady kolejowe i brzęk tłuczonego szkła, tylko że w Piórkowie nie było takiego, co by powiedział „lepiej niech nam to ksiądz proboszcz opowie”. Z dwojga złego piórkowscy woleli, żeby Morga już śpiewał, bo przecież kiedyś zabraknie zwrotek i każda pieśń prędzej czy później się skończy, a kazanie może trwać tyle, ile natchnienie kaznodziei, czyli nie wiadomo ile, a robota czeka.

Pogodziwszy się, że nie jemu pisane chowanie ministrów, generałów i pisarzy, że nie dla niego katedry i bazyliki, pożegnawszy się z sakrą biskupią, Morga przeczuwał, że obrządek Smyczka może być szczytem jego kariery, pogrzebem życia. Jak na ironię, ze wszystkich trumien, co je za swej posługi okadził, tak bardzo nie wiedział, co powiedzieć akurat nad tą jedną, tyle mądrych a wzniosłych słów uparcie nie chciało się ułożyć w mądre, wzniosłe zdania, bez sensu błakając się w głowie proboszcza, jak anarchiści u jubilera. Slogany i litanie, retoryka i dialektyka, patos, etos i chaos. Taki wstyd.

Umiłowani bracia i siostry! Panem i sługą jest każdy z nas. Panem siebie i sługą bliźnich. Panem, gdy w pokorze słucha głosu zbawienia, i sługą, gdy dumnie głosi miłosierdzie. Panem, gdy służy, i sługą, gdy włada. Wolność jest gotowością zrezygnowania z niej, poddanie jest władzą wiary nad wolnością. Pan i sługa to jeden człowiek, człowiek na drodze zbawienia, człowiek wolny wiarą i wierny wolności, bo ze wszystkich ludzkich rzeczy we świecie te

dwie są arcyludzkie: wolność i wiara. Arcyludzkie, czyli boskie, bo wolność i wiara wiodą się z tego samego źródła, a ono jest człowiecze i boże zarazem. Wolność, prawdziwa wolność, istnieje. Uwierzcie mi.

Źle, gdy jest odwrotnie – żeście panami bliźnich i sługami samych siebie, bo oddała się od źródła zbawienia, kto gardzi innymi, i błądzi, kto syci jeno własny głód. Któż nie zna głupich, biednych, brzydkich czy też w inny sposób godnych pogardy? Któż nie zna namiętności strzelistych jak góry i żądy niszczycielskich jak lawiny, co z nich schodzą? Grzech pychy, zachłanności i porubstwa ma legion zauszników i jednego wroga, a jest nim miłość. Ona jest siewem i plonem, żniwem i biesiadą radosnych żniwiarzy, jest lekarstwem na ugór i ziarnem na bezpłodność, jest trudnym pięknem w tem, co boże, i pięknym trudem w tem, co człowiecze. Jest, i jest najważniejsza, uwierzcie mi.

Komu dziesięć przykazań za wiele do spamiętania, niech sobie te dwa w duszy zakarbuje: nie wolno kłamać i nie wolno się bać. Bo prawda istnieje. Przeganiana zuczonych ksiąg do frywolnych pisemek i z powrotem, zsyłana do krucht i palona na stosach, uwikłana w logikę i zdrowy rozsądek, wyszydzana i relatywizowana, zadyskutowana i przefilozofowana – istnieje, ponieważ tajemniczym sposobem każdy wie, kiedy kłamie. Prawda?

A gdyby i tych dwóch było komu za wiele, to niechże jedno przykazanie wystarczy za cały dekalog i rozum cały, że nie wolno się bać, bo kłamstwo jest postacią strachu, a z grzechów najcięższym jest strach, bo w nim każdy występki i nikczemność każda ma przyczynę swą i swój skutek. Jesteś dobrym człowiekiem, gdy wierzysz, miłujesz i nie kłamiesz. Będziesz wierzył, będziesz miłował i mówił będziesz prawdziwie, gdy nie będziesz się bał. Wszelkie zło ze strachu pochodzi, a dobro naprawdę istnieje, uwierzcie mi.

Wracam w proch, bo tam każdy kiedyś wraca. Wszelako zawsze tu wrócę, ilekroć zapomnicie o miłości, prawdzie i wolności. Wrócę popiołem waszych słabości i wrócę spizem prawdziwej wiary. Wrócę

piachem kłamstw w waszych ustach i granitem prawdy oświeconych serc. Wróć do łękliwych, gdy załkają, i do nieustraszonych, gdy się przelęką. Wróć zgorszony, nieproszony i nieoczekiwany, lecz nie po to, by sądzić, ale by rozewrzeć powieki ociemniałym i wpuścić promień światła w mroczne dusze. Wróć, bom sługa waszej wiary, powiernik waszej prawdy i stróż waszej wolności. Wróć, bom was umiłował, uwierzcie mi. Uwierzcie mi. Na początek to wystarczy. Amen.

Dla siebie to miał kazanie! Nikt nigdy nie słyszał, żeby proboszczowie zostawiali duchowe testamenta i posłania dla swej trzódki. Kardynałowie albo papieże – owszem, ale kto słyszał, żeby prosty wiejski ksiądz równał się z książętami Kościoła, a owieczki purpuratów z kosmatym piórkowskim chłopstwem? I nie warto, i nawet nie wypada, ale gdy się komu, jak Mordze, całe życie wydaje, że ma co ważnego do powiedzenia, to go ani skromność, ani duma nie powstrzymają i bez pożegnania nie odejdzie, bo a nuż nie zauważą, że odszedł. Aż dziw, że co się całe życie wydaje, potrafi się zmieścić na jednej kartce papieru w linię.



W Piórkowie były trzy pory dnia: do obiadu, po obiedzie i wieczorem, chyba że pogoda, nieurodzaj i podły los wyгнаły obiad z cyferblatu. Każdemu się zdarza, i dobrym gospodarzom, i złym, i nawet Siwym, bo to ma do siebie przednówek, że jest sprawką natury, a nie aktem sprawiedliwości. Gdyby to sprawiedliwość miała każdemu układać jadłospis, toby Siwych u zarania dziejów głód wytłukł i wraz byłby spokój. Na długo nim we świecie zaczęto przestawiać zegary, w Piórkowie obiad zwiastował przejście na czas letni. W czas zimowy we wszystkich chałupach dzień powszedni dzielił się na do wieczora i wieczór. Niedziela zaś dzieliła się na przed i po. Przed niedzielą i po niedzieli.

Obiad w Piórkowie to kwestia nadzwyczajnej wagi, jak pory roku, żywioły i żniwa, to wczesny prototyp maszyny czasu, jak fotografia,

ławeczki i karawan, co potrafi go znacznie skrócić albo wydłużyć w nieskończoność. Kto by pomyślał, do czego jest zdolna kapusta, ziemniaki, skwarki, zsiadłe mleko, szczaw, smalec, grzyby, kto by pomyślał, że co według uczonych jest fizyczną niemożliwością, udaje się pierogom, słoninie, burakom, ogórkom i pajdzie chleba.

Zegar słoneczny nie działa bez słońca, inne chronometry potrzebują regulowania, nakręcania, podciągania ciężarków, a kukułka dodatkowo wymaga stalowych nerwów. Kosztowne to, zawodne i hałaśliwe, znać się trzeba na cyfrach i wskazówkach. Zegary to czasochłonne urządzenia, również dlatego, że jeszcze się nie zdarzyło, by ten kluczyk do nakręcania choć raz był na swoim miejscu. Głód ludzka rzecz, jedyny powszechnie dostępny zegar jest tani, niezawodny i w miarę punktualny. I zawsze na miejscu.

Piórków jest wygodny i poręczny, bo na wsi metaforą losu może być doprawdy wszystko, nie trzeba daleko szukać. Pory roku, cykl wegetacyjny, susze i powodzie, wschody i zachody, a nawet obiad we wspólnej misce i kolejność jego spożywania (ojciec, synowie, matka, córki) są od razu gotowe do występów, a wszystko to, od pełni księżyca aż do żdźbła trawy i spacerującego po nim żuczka włącznie, przychodzi z wpisaną od razu koda, z gotową parabolą, z przedustawną puentą, której nikt nie musiał wykoncypować, bo zawsze tam była, od początku, jak nieskończoność. Miasto musi wystąpić w kostiumie i charakteryzacji, trzeba mu dopisać duszę, dialogi i poglądy, trzeba przestudiować topografię, knajpy i kościoły. Miasto stoi odświętnie na serwantce w kwaterunkowym mieszkaniu, żeby było na widoku. Wieś każdy nosi przy sobie, bo zawsze może się przydać.

Dziewięć na dziesięć przysłów dotyczy pogody, czyli w istocie zbiorów, bo nigdzie tak jak na wsi pogoda nie jest częścią ekonomii oraz pracy, gospodarskich cnót, przyziemnej mądrości albo logiki siewu i plonu. Najcelniejsze są niezaprzeczalnie i solennie chłopskie. Jeśli jest choć trochę prawdy w powiedzeniu, że przysłowia są mądrością narodu, to miejskie fraszki, bon moty i kalambury zaledwie udają mądrość, z którą ta głupia wieś się urodziła.



Po kilku dniach spędzonych u Kaczorów i kilku następnych spędzonych w drodze Ania Czynasta dotarła do Domu Miłosierdzia, bo Siwi nie przygarniali sierot, nawet własnych. Bez listu od proboszcza, indagowana przez niechętne i podejrzliwe siostry, musiała opowiedzieć swój sierocy los. Może niecały, bo jakiemu dziecku przejdzie przez gardło wyznanie, że tatuś skatował mamusię na śmierć, za co został utopiony w gównie przez partyzantów? Siostry, co już niejedną sierocą historię słyszały, mogłyby po prostu nie dać wiary i odprawić precz spod klasztornej furty, wprost do zakładu dla obłąkanych, bo zdrowy rozum ma swoje granice pojmowania, a co się w nich nie mieści, wiąże się w kaftan bezpieczeństwa. Mogłyby przecież pomyśleć, że jeśli dziewczynka potrafi taką opowieść zmyślić, to coś głęboko chorego tkwi w jej umyśle i jej miejsce jest wśród szalonych, a nie wśród pokrzywdzonych. Jeśli zaś jej historia jest prawdziwa, to biedne dziecko musiało przejść tak straszny wstrząs, że kto wie, czy nie kwalifikuje się prędzej do zakładu dla obłąkanych niż do zakładu dla sierot. Może Morga wcale o liście nie zapomniał, tylko wiedział, że na razie nie istnieją jeszcze zakłady dla obłąkanych sierot. A może nadto dobrze znał swoje siostry i jeszcze lepiej granice ludzkiego pojmowania? Albo może chciał taktownie pozwolić, by Ania sama uznała, jaką częścią swego losu zechce się podzielić z obcymi?

W krótkim dochodzeniu Ania przekonała siostry, że przysyła ją Morga. Starczyło, że opowiedziała o paru kazaniach i trudnościach z noszeniem monstrancji, by końskoszpotałe zakonnice ponad wszelką wątpliwość rozpoznały swego brata. Garść piórkowskich szczegółów, takich jak dzwon, karawan i dwór, co je siostry znały z listów proboszcza (z czasów, kiedy ten jeszcze pisywał do nich o dziwach i dziwakach jego pierwszej parafii), utwierdziła w ich oczach wiarygodność dziewczynki. W odpowiedziach Ani na bardziej osobiste pytania dolna granica prawdy i górna granica prawdomówności spotykają się w dyskretnej równowadze

niedomówień, wzroku wbitego w ziemię i cichego szeptu: tatuś zginęli na wojnie, a mamusi się zmarło. No, poniekąd.

W tym czasie w zakładzie władza przechodzi z rąk do rąk w cyklu dobowym. Za dnia panują siostry, po zapadnięciu ciszy nocnej rządzi Deleś. Mimo że w piłkę gra słabo, a w pikuty wcale, cieszy się popularnością wśród chłopców, nawet tych starszych, i zainteresowaniem dziewcząt, zwłaszcza tych starszych. Bo w sierocińcu naprawdę nie ma co robić po zgaszeniu światła i zostaje albo samotność w objęciach spoconego siennika, albo sztuka.

W opowieściach Delesia to Smyczek ocali cześć królowej, przechytrzy Kardynała, uratuje Nel, porwie księcia Bogusława, to Smyczek własną pierśią zasłania króla, broni Częstochowy i walczy ramię w ramię z Old Surehandem. Bohuna też usiecze Smyczek. Każdy bohater wieczoru wprowadzie nazywa się jakoś po swojemu, Kmicic, d'Artagnan, Winnetou, Zorro, ale w ciemnościach dormitorium wszyscy wyglądają tak samo – wysocy, ciemnowłosi, smagli i z nożami w cholewach. A niby jak mieli wyglądać? Biblioteka dziedzica, choć zasobna i eklektyczna, nie miała wielu wydań z rycinami, a poza tym jest jeszcze *licentia poetica* i prawo artysty do interpretacji.

Nie wszystkie tomy zdążył Deleś zwrócić na czas, a jeden nawet zamieszkał w chlebaku tak głęboko, że dotarł z nim aż pod Bochnię. Czytał zeń na głos młodocianym futbolistom i upadłym dziewczętom, ilekroć nie miał weny do opowiadania. Nie wiedząc zgoła nic o konkursach recytatorskich ani o lekcjach polskiego, czytał z uczuciem te same ustępy po wiele razy, czytał wiedziony kadencją, melodią i własną melancholią, a nie pod dyktando jakiegoś niespełnionego belfra w trzynastozgłoskowym stuporze, machinalnie odmierzającego metrum ruchem linijki w powietrzu pełnym natchnionych rymów albo bębnieniem tłusciutkich, upapranych kredą paluchów w ławkę. Wskazówki, na jakie może liczyć gimnazjalista, nie wychodzą poza szybciej-wolniej, ciszej-głośniej, z zadumą, proszę, przy opisach przyrody, a teraz

wzruszenie, wzruszenie słyszę, więcej humoru, śmiesznie ma być. Artysta ich nie potrzebuje. Artysta, duch wolny i spełniony, ma mówić, a nie recytować.

Prawdziwa sztuka miewa swoje ograniczenia. Jednym z nich jest, że wszyscy muszą być na swoich posłaniach po komplecie, a po następnych piętnastu minutach gaśnie światło i ma zapaść cisza – artyście wyłącza się obraz i dźwięk. „Przed burzą bywa chwila cicha i ponura: / Kiedy nad głowy ludzi przyleciawszy chmura / Stanie i grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma...” Deleś zaczął czytać kolejną księgę. Odgrywał zadumę, wzruszenie i humor podług własnego wyczucia i podług własnej wiary w sens sztuki. Tamtego wieczora czytał cicho, kiedy należy, ale tak, że było słychać każdą zgłoskę. Czytał głośno, kiedy trzeba, ale tak, że trzeba było nadstawiać uszu. Kiedy w kwadrans później rozległ się dzwonek obwieszczający ciszę nocną i chłopcy leżący najbliżej zdmuchnęli świece, Deleś objawił słuchaczom swoją sztukę. Intonacja, rytm, melodia, wszystko to pozostało na swoim miejscu, poemat płynnie i bez zawahania podążał od rymu do rymu, jakby brak światła nie był w stanie wytrącić natchnionego artysty z frazy. Bo w sztuce liczy się wiara w jej sens, co nie zależy od nikogo, ponieważ zawsze znajdzie się ktoś gotów wyłączyć obraz i dźwięk. Co wtedy?

I przeniósł Deleś cały swój teatr w inny wymiar, razem z publicznością, sceną i siennikami, a tak aksamitnie, że słuchacze nie od razu to zauważyli. Może istotnie zgasło światło, a może tylko przymknęli powieki? Nie jest pewne, czy zauważył to sam Deleś, który w uniesieniu stawał się częścią czegoś większego niż cisza nocna, tak jak młyńskie koło nie wie, że coś miele, a jedynie bierze udział w energii strumienia. I jakaż to różnica, czy miał otwartą księgę i zamknięte oczy, czy otwarte oczy i zamkniętą księgę?

W pierwszej chwili nikt się chyba nawet nie zdziwił, że mimo kompletnych ciemności Deleś czytał dalej. Dopiero po dłuższej chwili podniósł się szmer niedowierzania i szept podziwu, za które artysta skarcił publiczność bez podnoszenia głosu, samą tylko melodią, która na ostatnich sylabach wersu wzniosła się do

wyższych rejestrów, jak oburzony znak zapytania, jak uniesiona brew.

„Oko gaśnie za okiem, i cała gromada / Kiwa głowami, każdy, gdzie siedział, tam pada...”. Przerwał dopiero, kiedy wszyscy wokół już spali. I mogło się wydawać, że to Deleś czyta jeszcze, a to nim czytało. Sztuka miewa ograniczenia, ale prawdziwy artysta umie pokonać wszelkie bariery, w tym bariery światła i dźwięku.

Kaprysem języka lub języka geniuszem, sierota jest rodzaju żeńskiego. Bez względu na płeć, nikt nie powie ten sierota. Rodzaj żeński tego rzeczownika jest tak rozległy, że ulega mu podążający przodem, rozczulony przymiotnik: nieszczęsn-a sierota. Wszechwładza rodzaju rozciąga się również na czasowniki (nieszczęsn-a sierota zamieszkał-a w przytułku), chociaż tylko w czasie przeszłym, czas teraźniejszy zostawiając w spokoju.

Płeć rządzi językiem, czyli myśleniem, czyli poznaniem, czyli światem. Nieszczęsna – pogmatwany, zaborcza – zawily, odważna – niewczesny. Od *a* do *y*. Ileż się mieści między dwiema głoskami i jakaż prawda tkwi w tym, co je różni! *A* jest rozwarte i żyzne, jest przy tym krótkie, dobitne i na ogół ma rację. *Y* ma kształt narzędzia tortur, co się waha, jąka i jeszcze nikogo nie przekonało. Z kształtu liter czyta się jak z języka ciała: *a* jest otwarte, gościnne i pewne siebie, *y* odpycha samym swoim widokiem, nastroszone w pozycji obronnej, sylwetka uciekającego w popłochu, a może tylko klęczącego. Dwie samogłoski z początku i końca alfabetu, a pośrodku odkłamana księga rodzaju.

Płeć, nawiasem mówiąc, też jest rodzaju żeńskiego, podobnie jak miłość, prawda, mądrość i śmierć. Ta miłość, tę prawdę, tą mądrością, taka śmierć. Nie tylko słowa mają płeć, mają ją również te najtrudniejsze momenty świata, które nazywają. Jeśli coś jest boleśnie trudne – jest kobiece. Co współczuje i wywołuje współczucie – jest kobiece. Wzrusza – kobiece. Kobiece kocha, rodzi i umiera. Zostać sierotą to wpaść w objęcia kobiecości świata.

Siostrzom autorytet Dełesia nie przeszkadza, bo za dnia jest karny, pilny, usłużny i, co najważniejsze, punktualny. Nocny nasłuch też nie przynosi nic niepokojącego, bo chłopczyzna opowiada o Indianach i kombojach lub deklamuje nieszkodliwe wiersze, bez sprośności i brzydkich wyrazów. Jest sierotą idealną: gorliwie pokorny, wytrwały w oportunistycznym i ręce zawsze trzyma na kołdrze. Siostry nie oczekują nic więcej, bo za „więcej” musiałyby już nagradzać, a nagród nie było. Dobrym słowem z kolei lub czułym gestem to nie umiały, bo i skąd, kiedy same były sierotami. Poniekąd.

Sekret popularności Dełesia wśród chłopców nie tkwi w mięśniach, wzroście i zaroście, ale we władzy, co wiedzie się wprost z biblioteki dziedzica. Rządzi, kto zna całą opowieść i zakończenie. Nikt nie chce być Bogusławem, Bohunem, Azją Tuhaj-bejem, każdy chce być Kmicicem lub Wołodyjowskim, w najgorszym przypadku Skrzetuskim lub Ketlingiem. W okolicznościach, w których pod dostatkiem jest tylko Kiemliczów, nawet Rzędzian czy Luśnia jest nagrodą i wyróżnieniem. Może i zabawa jest na niby, ale władza prawdziwa: budzi prawdziwe emocje, prawdziwe namiętności, a przede wszystkim naprawdę rozdziela piękne a szlachetne życiowe role, których i tak nie starczy dla wszystkich, a które głównie z tego właśnie powodu są w tak wielkim pożądanym. Dokładnie tak samo jak w świecie dorosłych, tylko na odwrót, bo tam bez żadnego rozdzielania prawie zawsze wygrywa Richelieu, a Winnetou za każdym razem umiera z przepicia w rezerwacie. Władza, co wiedzie swój mandat z wiedzy, jak w snach filozofów. No a kto w sierocińcu zna całą opowieść i zna zakończenie?

Deleś nie stroni przy tym od ról podłych, parszywych i nikczemnych, wielkodusznie przystaje, by to inni wygrywali pojedynki i wygłaszali tyrady. Gotów być nawet Kuklinowskim, choć w zasadzie nikt nie wkracza w zabawę lub w dorosłość po to, żeby zostać świnią. Godzą się na to jedynie dojrzały artyści, bo tylko u nich zabawa jest naprawdę. Wszyscy inni na początku pragną ról pięknych a szlachetnych i dopiero kiedy ich zabraknie, okaże się, że zabawa dzieli świat na artystów i artystów kompromisu.

Zainteresowanie dziewcząt ma nieco inne źródło. Wprawdzie Adaś Zajonc ma w sprokurowanej przez księdza Morgę metryce lat dwanaście, ale Deleś ma piętnaście albo i więcej, i one to nieomylnie czują. Urodą, karnacją i kolorem włosów przypomina Smyczka, zbiorowego bohatera swoich opowieści. Nie szczypie, nie ciągnie za włosy i nie robi głupich min. Ma smutną twarz i melancholijne spojrzenie, trzyma się na dystans, który mógłby uchodzić i za nieśmiałość, i za bezradność, a to cudnie działa na niewiasty w każdym wieku, bo instynkt macierzyński nie zaczyna się miesiączką i nie kończy menopauzą. Może i słabo gra w piłkę, ale tak ładnie mówi, i nie tylko pacierze, ale całe historie, i wiersze umie na pamięć, i z takim uczuciem recytuje. Nosząc w sobie zgodę na kobiecość świata, Deleś ma to coś, co podoba się dziewczętom. Gdyby tylko zechciał, miałby nie tylko to coś, miałby również dziewczęta. Ach, sztuka! Ach, artyści!

Ania poznała Delesia od razu, jemu zabrało to trochę więcej. Nic dziwnego, ona, nowo przybyła, szukała czegoś swojskiego, znajomego, rozpoznawalnego, on wypierał zagrożenie, które tkwiło we wszystkim, co swojskie i znajome. Rozpoznawalnego bał się najbardziej. Ludzie rozpoznają się w mgnieniu oka, w ułamku sekundy, i tyleż samo dzieli żydowską potylicę od kuli wystrzelonej przez rozsierdzonego żandarma, którego ktoś, kto właśnie odkrył coś swojskiego i znajomego, wyciągnął z posterunku na siarczysty mróz. Żandarm, ludzka rzecz, też się nie pali do roboty i nie pofatyguje się dalej niż za najbliższy węgiel, za wychodek, stodołę, pod płot, i szybko wróci do swojskiego i znajomego odwachu, cuchnącego wilgocią krochmalu, oparów gotowanej bielizny, onuc i szarego mydła. Mgnienie oka. Zamknięcie powiek. Moment. Na zawsze.

- Ja cię znam – pstiuuumm, świsnęła pierwsza kula.
- Nazywam się Adam Zajonc?
- Jesteś z Białoobrzegów – pstiuuumm, pstiuuumm.
- Z Piórkowa?
- Ja jestem z Piórkowa – tra ta ta ta ta, cała seria.
- Wiem.

- No to wiesz...
- Wiem.
- Tata, bracia?
- Tata – nie wiem, bracia tak.
- Boisz się?
- Ciebie?
- Nas.
- Ciebie.
- Też ich nie lubię.
- Mam kakało w proszku.
- To jak ci na imię?

Deleś jeszcze nie wie, czy Ania odsunęła lufę od głowy, czy złożyła broń, czy tylko zmienia magazynek. Na chwilę przestały świstać kule i ustał brzęk pustych łusek. Jak poranna mgła w portowym mieście, świat spowiała bezradność. Ile dźwięków, tyle onomatopei. Oprócz tego jednego, niemożliwego do zapisania, bo wszyscy potencjalni autorzy, którzy go usłyszeli, nie żyją. Jak zapisać dźwięk repetowanego karabinu? Nie, nie ten, nie myśliwskiego sztucera czy karabinka sportowego na junackiej strzelnicy, tymi się nawet nie warto zajmować. Jak zamienić w litery *staccato* plutonu egzekucyjnego lub podwójny, metaliczny szcęk zamka w łapach spasionego, leniwego żandarma? Klang-klang? Czy tak wypada zapisać dźwięk, który tysiące tysięcy zastrzelonych w lesie, nad mokrym dołem, na środku ulicy, w szpitalu, na dziedzińcu więzienia słyszy w ostatniej chwili? Klang-klang? Onomatopejo, powagi!



Gdyby tylko chciała, Wanda mogła ułożyć sobie życie wszędzie, w Białobrzegach, w Częstochowie, a nawet gdzie dalej. Ludziska najpierw nie rozumieli, co ją do Piórkowa przywiodło, a potem nie rozumieli, co ją tu trzyma. Dobry chleb dobrzy ludzie kupią zawsze, a starowna, nieleciwa wdowa z własnym interesem wszędzie znajdzie i szacunek, i życzliwość, i możliwość. Zanim się piórkowscy połapali, że ze Smyczkiem się parzy, to długo myśleli, że na wsi

piekarczowa musi być wdową, a w mieście mogłaby być wdówką, i aż szkoda, żeby taka baba leżała odłogiem-ugorem. Na chwilę nawet może i współczuli, póki się nie okazało, że Wanda ma życie całkiem ułożone, i w dzień, i w nocy. I jak ręką odjął. Wszystko wróciło na swoje miejsce, obmowa, zawiść i krzywopatrzenie. To, czego jej z serca życzyli – żeby bez chłopca nie zmarniała – ledwie się spełniło, zaś obrócili przeciwko niej.

Bo i niby za co tu było ją lubić? Jasnowłosa, niebieskooka, z dużymi cycami, zdrowymi zębami, murowanym domem i własną bryczką, miała więcej, niż potrzeba, żeby ludzie mieli za złe. I jeszcze nie wiadomo, komu daje, a przecież komuś dawać musi, bo to przecież widać, że baba ocieka każdą częścią dorodnego ciała, paruje amokiem, wydziela ciec, którą czują nie tylko chłopcy i psy, ale, co gorsza, nawet inne baby.

Za dużo tego. Starej, brzydkiej, a najlepiej kulawej i garbatej toby nawet złote zęby darowali. A tak, to tylko szemrali i kłaniali się z daleka, nie mogąc się zdobyć na bardziej otwartą zawiść, wpiern z szacunku dla pracowitości i wierności, a potem to już głównie z lęku przed Smyczkiem.

Różnie gadali, ale na pewno wiadomo było tyle, że jak Franciszek, niech mu cisza lekką będzie, brał ją za żonę, to panią już nie była ani nawet starą panną, ale babą co się zowie, i gdyby nie piekarnia, co zmienia przerośnięcie w niezamierzony witz, godziłoby się wspomnieć o chlebie z niejednego pieca, a i to jeszcze byłby grzeczny i pełen taktu komentarz do jej lat panieńskich. Nie żeby się wycierała gdzie popadnie, jak popadnie i z kim popadnie, ale w mieście już była, żyła jak wdówka i parę rzeczy o chłopach wie.

I chyba tego nie mógł jej Smyczek darować, tenże Smyczek, co przez całe lata sam wycierał się gdzie popadnie i z kim popadnie, a jeszcze zdobył tym podziw, szacunek i sympatię. Nie tego, że Wanda zdradza albo zdradzi. Zdrada nie ma tu nic do rzeczy, bo Wanda była wierna jak grawitacja, reputacja i astma. Zazdrość Smyczka świetnie obywatela się bez zdrady. W popularnej wersji ta piękna

a subtelna tortura raz jest cierpieniem ofiary wiarołomstwa, kiedy indziej zaś będzie bólem zadawanym przez wyobraźnię, widmem zdrady możliwej. Prawdziwa wielka zazdrość nie zadowala się władzą częściową, władzą nad czasem teraźniejszym i przyszłym. Prawdziwa wielka zazdrość musi zawładnąć również przeszłością: robi scenę o przyjaciela z dzieciństwa, nie wybaczy pierwszej schadzki nastolatków i pierwszego pocałunku sprzed ćwierć wieku, gotowa zabić za tyleż przypadkową, co mimowolną utratę cnoty w upalne popołudnie w tataraku nad leniwą rzeczką. Zazdrość idealna, nic nie tłumacząc i nie mając wytłumaczenia, karmi się przeszłością i wciąż próbuje za nią karać. Zazdrość ludzka rzecz, co jak każde wielkie uczucie boli i zadaje ból.

Nie żeby Smyczek bił albo wrzeszczał, albo odchodził i wracał, albo miał za złe, raczej nie. Indagował i dokuczał, szczypał i łapał za słowa, a najgorzej, że w ogóle pytał. Po czym natychmiast chłostał za każdą szczerość, bo nie interesowała go ani odpowiedź, ani nawet pytanie, a jedynie miejsce na skali. Gdy do kuchennego stołu dosiadała się przeszłość, czuł się zaledwie jak punkt odniesienia, element zbioru stale porównywany i umieszczany w kontekście, biegun pogniewany na resztę globusa, ale taki, co to wie, że jest na samym czubku świata. Boli? Było nie pytać!

A Wandzie też chyba się pomieszało z tego bólu, że Smyczka bardziej zaprzęta coś tam kiedyś niż gotowe na wszystko, parujące ciało, bolała każda kara za każdą szczerość, bolało tak, że poniechała wszelkiej obrony. A przecież zamiast uczciwie odpowiadać na wścibstwo i dociekania, wystarczyłoby samej trochę popytać o te wszystkie druhny dupcone po krzakach wokół weselnego domu, te wszystkie Żydóweczki, Cyganeczki i wiejskie dziewczuchy, te miastowe baby i dziewczęta z dobrych domów publicznych na wychodnym. Nie z zemsty, tylko dla świętego spokoju. A tak, to zostaje zgryzota, gorzałka i zgrzytanie zębów. Boli? Było pytać!

Bo mimo że dociekliwa jest i wścibska, zazdrość platoniczna chowa się w odpowiedziach, nie w pytaniach, a poznać ją po pysze

zazdrośnika („ależ ja to co innego”), jego wierze we własną niewinność („to naprawdę bez znaczenia”) i stosunku do algebry („tamto się nie liczy”).

Nie ma dobrej odpowiedzi na pytanie, dlaczego niewiasta bardziej będzie zainteresowana chłopem srodze powycieranym niż cichym a spokojnym, świątobliwym niemal, co całe życie zalegał z tą samą kobietą i z tą samą wstawał. Ciekawość? Ciekawość, jak to jest z chłopem, co miał tę i tę, i jeszcze tamtą, i jeszcze parę innych, nic nie tłumaczy, a wręcz przeciwnie, wie ledwie do następnej ciekawości – co one w nim widziały? Nie ma zgody, czy tak jest w istocie, chociaż wszystko wskazuje na to, że chłop, co miał wiele bab, właśnie dlatego cieszy się ich ciekawością, że miał ich wiele, chociaż jest to powód, który, na zdrowy rozum, powinien działać odpychająco. Oto jak zdrowy rozum prowadzi wprost do błędnego koła, pozornej tautologii i fałszywej dialektyki: im więcej bab, tym więcej bab. Ilość przechodzi w ilość.

Inną hipotezą może być rachuba na udane tarło, które znacznie bardziej skomplikowane jest niż tylko włożyć, trochę poruszać i w porę wyjąć, i żeby to wiedzieć, potrzebne jest jakieś doświadczenie, i mądra baba przecież to wie. Albo oczekuje. Albo przeczuwa. Jeśli to prawda, że tylko mądrzejsze z niewiast będą mieć skłonność do smyczka, co weselił z wieloma basetlami, to błędne koło opuszcza swoje miejsce w łożu, a jego miejsce zajmie sprawdzona, klasyczna dialektyka: im więcej bab, tym mądrzejsze ci one będą. Ilość przechodzi w jakość.

W wariacie najsurowszym dla męża doświadczonego – niewieście też chodzi o miejsce na skali, zupełnie tak jak chłopu, tylko całkiem inaczej, bo tak naprawdę nie chodzi o miejsce na skali, tylko o samą skalę, a właściwie to chodzi nawet o to, żeby żadnej skali nie było. Baba tak usposobiona wygraża, że ona to będzie ostatnia, że będzie najlepsza, że jedyna, że zaspokoi, poskromi i okiełzna, że po niej już nic nie będzie. Potrząsa piąstką, chwyta za serce, gromi konkurencję, pierze, gotuje, sprząta, zawsze gotowa wziąć do buzi, zdeklasuje wszystkie basetle oraz inne instrumenty, zostawi

pokonaną w alkowie i w kuchni całą orkiestrę, słowem – rozsiada się na końcu skali i ani obejść, ani przeskoczyć żarłocznego jamochłona. Koniec świata. Taka baba okaże zainteresowanie chłopem srodze powycieranym nie dla tarła, nie dla własnego szczęścia, nie dla samego chłopca nawet, ale przeważnie dla innych bab, żeby zaś zniknęły. Dialektyka ustępuje fenomenologii. Im więcej bab, tym mniej bab. Ilość przechodzi w nicość.

Kto wie, czy nie trudniej jeszcze będzie ustalić, dlaczego mężczyźni tak bardzo interesuje przeszłość ich kobiet. I przecież nie cała przeszłość, pranie, gotowanie, sprząatanie, ale tej przeszłości brewerie i ekscesy. Z kim? Gdzie? Kiedy? A nawet – jak? I z detalami, proszę...

Hipotezy, jak gracje, parki, harpie i policjanci z obyczajówki, chodzą trójkami. Pierwsza: z pewnością niejeden chłop dopyta prawdy tylko po to, by następnie ukarać za każdą szczerą odpowiedź przy pierwszej nadarzającej się okazji, ukarać nie za miejsce na skali, nawet nie za samo istnienie skali, bo przecież tak naprawdę nie szukał sobie dziewczyny. Okrada z przeszłości, bo kocha, karze za doskonale zbędną prawdę, co zamiast dać autentyczną władzę, proponuje ledwie iluzoryczną kontrolę nad tym, co już było. Powie, nieszczęsna, zgodnie z prawdą, „było bosko”, i już po niej – nie będziesz brała imienia Pana Boga twego nadaremno. Powie, nierozważnie i nieszczerze, „było beznadziejnie”, i już mówi fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu. Rezolutna powie „nie pamiętam” i może ujdzie karze, bo na to jeszcze nie ma przykazania.

Druga: odczytanym a biegłym w terapiach może zaświta w głowach myśl, że owo chytre, a czasem brutalne dobywanie pamięci o innych mężczyznach i poprzednich związkach nie ma nic wspólnego ze szczerym zainteresowaniem okazywanym babie przez chłopca, bo nic takiego nie istnieje i tylko tyle jest prawdy w tym zainteresowaniu, ile nadziei na figle i pocieranie. Z kim, gdzie, kiedy, jak to nic więcej niż łagodnie stymulujący voyeuryzm, a w przypadku bujniejszych wspomnień – zwyczajna pornografia. Nie trzeba wielkiej bystrości, żeby wiedzieć, do czego chłopca pornografia. Nie

trzeba wielkiej przenikliwości, by zrozumieć, jak obraża niewiasty. Nie tym, że je uprzedmiotowia, ale tym, że dopuszcza inne bodźce niż one same. Nie będziesz miał bodźców cudzych przede mną.

Trzecia: w bok od zazdrości platonicznej, o jeden odważny, męski krok dalej od pornografii, wstydliva i zbędna ponieważ się radykalna interpretacja, która powiada, że męska dociekliwość i zachłanność obrazowych szczegółów to namiastka *ménage à trois*, najpopularniejsza męska fantazja, co skrycie ją żywi dwunastu na dziesięciu, a tylko nieliczni jej dostąpią, może nawet i nie jeden na tysiąc. Każdej innej zdrady można się zaprzeczyć oprócz tej, która tylko w fantazjach się odbywa, a w której własna baba występuje. Pocieraj do woli, z kim chcesz, ale z własną babą – nie cudzołóż.

Kontrola, pornografia i lekkie zboczenie. Opera za trzy zgorzenia. Pomyśleć tylko – jak kochana, karana i okradana, pożądana i obrażana, wierna i zdradzana – jak miała Wanda nie pić? Jak poradzić sobie bez gorzałki, gdy ma się przeciwko sobie dialektykę i fenomenologię, a także gracje, parki i harpie, a ponadto reputację, męskie fantazje i święty Kościół, a do tego jeszcze tautologie, platonizm i analizę psychodynamiczną? No jak? Nawet Morga, co z Wandą słowa nie zamienił od tamtej spowiedzi, kiedyś nie zdzierzył.

– I czemuż tak, Wando, pijecie? Nie za staraście na szukanie takiej pociechy? Przecie to nic nie pomoże...

– Właśnie dlatego piję...



Każda wieś ma swego demona. Siwi nie byli tacy źli, tylko mało kto o tym wiedział. W Piórkowie padło na Siwych i taka już została krzywda-niesprawiedliwość. Ze cieśle z nich tędzy i dzwonnice w mig zbudowali, a taką, że stać będzie, póty kościół, choć kościół murowany, a dzwonnica drewniana, i pieniądze wzięli tylko za materiał, bo im sama дума wystarczyła, że nie gorzej od dziedziców budują, a własnymi rękoma. Ze studnie kopali jak nikt inny, szybko

i porządnie, i zawsze na żyłę obfitej a czystej, możliwie blisko chałupy i warzywnego ogródka, a daleko od wychodka, ale w zgodzie z całą resztą obejścia, żeby koryto w drogę nie włożyło, a z koromysłem nie trzeba było do obory kawał biegać, no z głową po prostu. Że gorzałkę pędzili najlepszą w okolicy, destylowali w miedzi i węglem drzewnym czyścili, a nie raz, nie dwa, ale cztery, bo nie lubili pić byle czego, i co z tego, że dzielić się też nie lubili i obcych nie częstowali, kiedy pośród cnót od gościnności ważniejsza jest cierpliwość, co pozwala doczekać, aż trunek odór wyzionie i nabierze powagi, a nie wraz zwoływać sąsiadów i chłeptać ciepły bimber – już nie zaciera, a jeszcze nie gorzałka – jak to się u piórkowskich widuje. Że z wyrobami podobnie, bo dobra kiełbasa i dwa dni się wędzić powinna, a dobra słonina i dwa lata obsycha. Policzyć im trzeba, że czapki zdejmowali na widok karawanu, możliwym zaś nie czapkowali, a proboszcza to nawet przezywali Morda. Że Smyczka omal nie utłukli, to się dziwić nie można, bo im na nerwy działał, jak zresztą wszystkim w okolicy; och, że żydków czasem widłami zmacali, to przecie nie grzech, a poza tym nie oni jedni, bo ludziska potrzebują rozrywki, i kto by tam do Zerbsta z każdym Żydem latał. Że Czynastego z dymem puścili, to się samo przez się rozumie, a jak kto nie pojmie, czemu Ania przygarnąć się nie pokwapili, chociaż swoją, to nie podłość charakteru się tu objawia, ale poważanie dla bab i równouprawnienie, bo Ania jak na Czynastą nawet urodziwa była, górą cycata i dołem też wyokrąglona, a do obcowania nawykła, to i nie można się dziwić, że jej żadna Siwa baba pod swój dach nie chciała, a Siwe chłopcy zdanie babskie poważają. Że płozy do karawanu wprowadzie sam Kazimierz, inżynierska głowa, obmyślił, ale wykonali Siwi, bo choć łby tępe i dusze upiorne, to cieśle tędzy i siekierą zręczni, a we wsi fach zawsze liczy się przed charakterem.

Nikt dokładnie nie wiedział, ilu było Siwych, bo nikt nigdy nie widział więcej niż trzech jednocześnie i poza tym zawsze jacyś byli gdzieś – za chlebem, za groszem, za wodą, a potem jeszcze i na robotach, i mimo że podobno każdy kiedyś wraca, to raczej nie wszyscy naraz, i doliczyć się ich było nie sposób. W co dokładnie wierzyli, a w co nie, nie bardzo było wiadomo, bo Siwi mówili mało

i niechętnie, a i sąsiedztwo nie dociekali. Wprawdzie chowali swoich na piórkowskim cmentarzu, ale skąd się brali, też było zagadką, bo żeniło się toto tylko między sobą, a po cichu i także mnożyło, i skąd tego cała kolonia nie wiadomo, bo chałup kilka, a ludzi gromada, a każdy każdemu krewny, a w parafialnej księdze śladu po nich nie ma, no to skąd? Chrzcili się sami czy co? Żyli sobie opodal, rzut kamieniem, nie w Egipcie ani Babilonie, ale wraz za górką, podle zwirowiska, a wiadomo o nich było tyle, co o Scytach, Trakach czy Sumerach.



Piórkowskie zimy miały wszystkie wady krótkich dni i wszystkie wady długich nocy. Jak kto lubi narzekać, to w taką zimę z łatwością znajdzie coś dla siebie. Nawet nie trzeba znajdować, samo przyjdzie, przyjdzie i siądzie spasioną bielą w odcieniach sińców, i nie popuści, aż wszystko wokół nasączy się podobną barwą, kroplą atramentu w szklance mleka. Niebo przestanie się stykać na horyzoncie z ziemią, w widoczny sposób dając do zrozumienia, że z tą krągłością ziemi to przesada, a światło rozłoży się między pagórkami z taką równomiernością, że nie wiadomo, czy to w śniegu odbija się bura baranica chmur, czy też w chmurze odbija się biała sukienka śniegu, jak w posiwiałych lustrach ślących sobie srebrne fatamorgany. Niby jasno, ale nic nie widać. Niby ciemno, ale tak, że aż oczy bołą.

Zima zaprowadzi równość. Ten sam deszcz, co jednych podtopi, innym zostawi ledwie kałużę, a śnieg nie zważa, czy kto na górce mieszka, czy w dołku, tylko sypie równo, każdemu podaruje jego zaspę w drzwiach i czapę na kominie, zasypie płoty i zatrze miedze, i wraz z pierwszą zadymką nie wiadomo, czyje co jest, i własna będzie tylko dróżka do wychodka, co ją każdy sobie sam wydreptać musi, i wszyscy wokół równo kłąć będą, brodząc w puchu po kolana między chałupą, stodołą a oborą, i patrzeć będą z niepokojem na niknące sztaple opału, bo się końmi do lasu dotrzeć nie da wcześniej, jak z przedwiośnią, a na piechotę to można najwyżej

baby i dzieciarnię po chrust posłać, i taka to równość wobec śniegu i mrozu, że wszyscy od nich cierpieli i nikt ich nie cierpiał.

W Piórkowie to coś więcej niż pora roku, karakułowa czapka księdza, płozy u karawanu i ślizgawka na stawie. Nawet jak się taka rozpanoszy na długie trzy, cztery, pięć miesięcy, to jednak w końcu przyjdą roztopy i niejeden się zaduma, że znowu wiosna, znów rok minął i znowu nie wiadomo kiedy. Wehikuł czasu (jak prawie wszystko na wsi), co miesza szyki logice, wyśmiewa więzi przyczyn i skutków, zakłóca rytmy pierwszeństwa i następstwa, kropkę stawia na początku i kończy dużą literą. Ten wehikuł pędzi, ale tylko w jedną stronę, na skrót, przez sine od mrozu dni i przez zawzięcie mroczne noce, najkrótszą drogą do błota odwilży, ciepłego wiatru i zdumionego westchnienia „ależ zleciało”. Nie dlatego zima jest ważna dla chłopskich rozważań o istocie czasu, że Nowy Rok wypada w styczniu, ale dlatego, że dopiero ona wieńczy cykl i go uruchamia, bo chłopski rok zaczyna się końcem zimy, a kończy jej początkiem.

Zimą po chałupach lęgną się diabły i diablęta, bo co dobrego może się urodzić w zaduchu izby zaludnionej przez tuzin przewodów pokarmowych, liczne gruczoły trawienne, popsute zęby, niemyte krocza i łby, gdzie komin coś słabo ciągnie, gospodarz pali skręty z trawy, trocin i psiego gówna z niewielką domieszką tytoniu, baba karmi gotowaną kapustą, a w wydychanym powietrzu jest pięć promili czosnku i pięć promili cebuli? Do tego stęchlizna rozhasanych myszy, nafta, zajzajer i kocie szczyny. No nic dobrego się nie urodzi, cud, jak się nie pozabijają. Kakofonia smrodów, klaustrofobia zaduchu, woń agresji, esencja zimy tak zagęszczona, że niemal dotykalna. Jak pani Tasuko, nienormalna jakaś, raz uprosiła dziedzica, żeby jej pokazać wiejską chałupę, to weszła, pisnęła i zemdląła, jakby zobaczyła diabła, mimo że już dobrze ku wiosnie się miało, okna były od tygodnia łódekane i drzwi częściej rozwarte. Wrażliwa widocznie, dwa dni dochodziła do siebie, a wietrzyć i tak nie będziemy, bo opału mało, a zima piekielna i długa. Przyjdzie pora, samo się wywietrzy. Póki co, narzekamy jeszcze na zimę, a nie na przeciągi.

Zima to jest sezon dla pięknoduchów. Nie ma nic powabnego w rozgwieżdżonym niebie i chrzęszczącym śniegu, bo to zawsze znak trzaskającego mrozu, namacalnego, jakby powietrze wypełniło się szkłem w trzech jednocześnie niemożliwych postaciach: gazu, płynu i ciała stałego. Oddychać tym ciężko, opór stawia jak woda w strumieniu, a gęste takie, że można widły wbić w powietrze i zostawić, będą tak tkwiły do pierwszego ciepłego podmuchu. Zima jest dla zdrowych i zasobnych, a także trochę dla partyzantów, bo trudno dopatrzeć się urody w zaspach nie do przebycia, kiedy potrzeba felczera, księdza albo i karawanu, ale przynajmniej leśnym Wehrmacht głowy nie zawraca. Za to oni potrzebują więcej kalorii i chętniejsi są do rekwiracji, i lepiej, żeby dostali żreć, bo od ich głodu gorszy jest już tylko gniew Zerbsta. Zima jest dla leniwych, bo co tu zaczynać, skoro za dnia i tak się nie skończy, i co tu kończyć, kiedy dzień się właściwie nie zaczyna.



– Wszystko to łgarze, mitomani, patologiczni kłamcy, ci wszyscy artyści... To ma być sztuka? *Pseudologia fantastica*, w najlepszym wypadku. Ci wszyscy poeci, ci malarze, muzycy, aktorzy, uwodziciele... Towarzystwo łże jak najęte, nawet nie za pieniądze, przynajmniej nie na początku. Potem owszem, ale najpierw kłamią dla samej urody kłamstwa.... Tupet jakiś niepojęty... Tylko prawda jest piękna... Ale oni nie... Muszą tej prawdzie koniecznie dopisać rymy, rytmy i harmonie, dorysować perspektywę, drugie dno, trzeci i czwarty plan, wijącą się drogę w górnym lewym rogu, wykoncypować nieskończoność z czegoś, co nawet porządnie zacząć się nie chce... Musi toto koniecznie powiedzieć, co wypowiedzieć się nie da... Namalować, co namalować się nie daje... Bezradne to, ale zawzięte... A jakie niezdolne... I gotowe zabić za talent, za jakikolwiek, za namiastkę talentu, za jego cień, w dowolnej ze sztuk, które uprawiać wypada. I co z tego, że znają nuty, kiedy nie potrafią zagrać na żadnym instrumencie? Mogą najwyżej przewracać kartki i rozstawiać pulpity... Co z tego, że teoretycznie słowa są równie

dostępne głuchym i ślepy, a znaczenia sprawiedliwie podzielone pomiędzy wszystkich władających pismem? I tak zawsze zgubi ich skłonność do puentowania, a ich frazy i rymy zawsze będą brzmiały łatwym echem emaliowanego wiadra... Co z tego, że nawet potrafią coś tam namalować? Ich obrazy wyglądają, jakby malował je dalekowiedz, coś się w nich wydarza, ale trzeba stanąć cztery kroki od płótna, żeby zobaczyć kształty i kolory, bo z bliska to tylko kreski, plamy i atomy farby... I tak wiadomo, o co tu chodzi... Jaka tam wewnętrzna potrzeba. Litości! Pycha i strach... Ten strach to jeszcze jest w miarę wiarygodny, ale ta pycha już ich tylko kompromituje. Że niby wiedzą coś więcej... Kłamcy... Łatwowiernym powiedzą, że sztuka ma tylko dwa źródła – przemilczą, że jest jeszcze wersja dla wtajemniczonych... I nie chcą wyznać, co ich do tego popycha... Nie chcą przyznać, że za tymi wszystkimi obrazami, sinfoniami i tomami wierszy stoi beznadziejne odkrycie, że jedno życie to za mało... To jest dopiero pycha i to jest dopiero bojaźń... Pycha, bo niby skąd ta pewność, że jest tylko jedno, a bojaźń, że to może być prawda. No więc jest, i żadna sztuka na to nie poradzi. I zatacza się taki łgarz od lękliwej pewności do lęku zwątpienia... I pokornieje z każdym kolejnym utworem, i nie ma dla niego nadziei, i na zawsze mu zostanie albo ta przekłeta pusta kartka, albo kradzież na wielką skalę... Bo to wszystko jest kradzież, cała ta sztuka to jedno wielkie złodziejstwo. Każdy kradnie od każdego, kradną, co popadnie a bezwstydnie... Kleptomuzyka... Kleptosztuka... Kleptoliteratura... Jedni z nienawiści do pustej kartki, a inni ze strachu przed nią... A jak się trafi taki, co nie kradnie, to znaczy, że nic nie czyta, nie słucha i nie ogląda. Z obawy, żeby nie być posądzonym o kradzież, stacza się w ignorancję i ciemnotę... Kleptofob... Tępieje z każdą nieprzeczytaną książką. Fabrek nazwie to z wdziękiem *influence anxiety*... Najrozumniejsi w ogóle rzucą pióro, pędzel, dętkę w przekonaniu, że trzeba bezbrzeżnej pychy, by się mierzyć z Leonardem, Szekspirem, Bachem... Kontredans pokory i brawury... Przyzwoici popatrzą na to zuchwałe wysypisko przeciętności i powściągną swoje rzemieślnicze talenty, uznawszy, że tego wszystkiego i tak jest już za dużo... Więcej, niż można poznać, co tam poznać, więcej, niż można bezpiecznie

przechować... Natura zna umiar, artysta nie... Wulkan, powódź, trzęsienie ziemi, dzuma, zawsze trochę tego ubędzie... Artysta powściągliwy nie jest, dostarcza, produkuje, mnoży ponad wszelką potrzebę... Trucizna w małych dozach leczy, przedawkowane lekarstwo zabija. Małe kłamstwo pomaga przetrwać wielkie prawdy, wielkie kłamstwo po prostu trwa... Niepohamowanie i niepowściągliwie... Tylko kreacja, kłamstwo i nadpodaż są specyficznie człowiecze, cała reszta, te popędy, te instynkty, te psychologie, wszystko występuje w przyrodzie. Sztuka, tyleż ludzka rzecz, co wielkie kłamstwo, brak umiaru i inflacja, samym trwaniem bardziej szkodzi, niż pomaga... Nic tak ludziom nie szkodzi, jak te wszystkie bardzo ludzkie rzeczy... A po co nam tyle, po co nam to wszystko, po co nam Beethoven po Mozarcie, a zwłaszcza po co nam Mozart po Bachu, i właściwie po co nam tyle Bacha? Gdyby nie pycha, to w zupełności wystarczyłaby *Toccata und Fuga*, BWV 565... Gdzie tam, nawet nie, same kolędy, bezimienne jak prosty lud, co je śpiewa... Niby dlaczego nam to nie wystarcza? Muzyka nie bywa ani piękniejsza, ani doskonalsza, bywa tylko bardziej pyszna... A już poezja to w ogóle, no bez sensu... Co ewentualnie może konkurować z *Pieśnią nad pieśniami*, chyba tylko kolędy... „Ogień krzepnie, blask ciemnieje...” Co za skromny geniusz to pisał albo co nim pisało? Bo tak już jest, że geniusz jest skromny, a pyszne są zaledwie talenty... Człek zdolny powie „napisałem”, gdy genialny nawet nie będzie wiedział, jak to się stało... Napisało się i tyle... Może nawet są wierszyki wpadające w ucho, ale nie ma lepszej poezji, jest tylko mniej trwożliwa... Klękające bydłota i śpiewający pasterze... No przecież nawet sobie tego wyobrazić nie można... Że niby jak? Że wstaje taki kłamca rano z postanowieniem, że zaraz po śniadaniu coś napiszę, i to koniecznie coś piękniejszego niż *Wśród nocnej ciszy*... I dlaczego nikt go nie powstrzyma? Dlaczego nikt przynajmniej nie zapyta, co jest piękno? Z tym pięknem to dopiero mają kłopot! A myślą, a filozofują, a kombinują, i obiektywnie, i subiektywnie, i tak, i siak... A taki mały żydek, siedział tam gdzie wy, urodziwy szczeniak, gapi się na fortepian, na ryciny, na haiku, wzroku oderwać nie może i mówi mi, że lubi takie piękne rzeczy. Pytam go, któreż są te piękne, a on na to, że to są te, które lubią Dełesia... Taka prawda... Piękno to miłość rzeczy do ludzi... Żebyż

to jeszcze mędrzec Wschodu, ale to dziecko mówi, tak mu się powiedziało... Tao... A innych to się albo omija, albo ośmiesza... Toną w definicjach, odmrażają sobie członki, zdobywając szczyty pretensjonalności, duszą się własną uczonością, sparaliżowani misternymi figurami, wyszukany konceptem, za wszelką cenę wyszukany... A pomyślcie tylko, jest sto fortepianów, jak ten tutaj, porządny instrument, należał do Paderewskiego, nic wam to nie mówi, prawda?, i jest tysiąc pianistów, słynne sale koncertowe, wyrafinowana publiczność, ale nie wyda żadnego czystego dźwięku, dopóki nie przyjdzie nikomu nieznany człowieczek z kawałkiem metalu, co w pojedynkę, przed oklaskami, nawet przed samym recitalem ustala, co prawda, co fałsz, na własną anonimową odpowiedzialność, mały anonimowy stroiciel z małym kawałkiem metalu... I pomyślałby kto, że ktoś tak ważny podróżuje karetą z hebanową szkatułką na aksamitnej poduszce... A gdzie tam... Zdarte trzewiki na piaszczystych drogach i kamerton w kieszeni wytartego surduta, posiadacz pierwszej prawdy, z której dopiero wszystkie inne prawdy się wiodą... I pierwsza lepsza kołęda będzie takim kamertonem, a cała ta muzyka, poezja i filozofia tylko próbują dorosnąć do jej prawdy i posępnej urody... Albo się na złość wyemancypować... Znowu to przykre się... I w dodatku tchórze, bo nie chcą się z tym pogodzić. Pojednanie jest przywilejem silnych, tylko słabeusze podskakują, ważą, analizują, piszą doktoraty, tworzą skale i hierarchie... Jakby nie wiedzieli, że cała ta sztuka to jedno wielkie kłamstwo... Albo nieporozumienie w najlepszym przypadku, pełne podejrzanego logiki, bo najpierw myśli się, jak tu wyrazić siebie, potem się odkrywa, że aby wyrazić siebie, trzeba wiedzieć kto to, a kończy się atakiem paniki, że udana próba bycia sobą to pewna śmierć i że sukces w tej dziedzinie odnosi się tylko raz, raz na zawsze, a przecież jedno życie to za mało... I co innego jest nie bać się śmierci, a co innego zdawać sobie sprawę, że aby o niej deliberować, najpierw trzeba naprawdę umrzeć... A to już nie jest takie proste i trzeba się solidnie umęczyć... Chociaż czasem myślę, że akurat wam przyjdzie to bez trudu, bo jakoś was za dużo, a żyć na zapas się nie da... No nie da się powiedzieć zdania, tfu, nie można powiedzieć zdania, żeby się to się nie pojawiło... Sami widzicie, jakie to przekleństwo... A jakie wszechwładne... Po polsku

i chyba jeszcze tylko po rosyjsku wszystko się zmienia, się załatwia. Się, czyli samo, tak? Człowiek się rodzi i się starzeje. Sam się rodzi czy jak? Sam się starzeje? Bzdura! Jest rodzony, starzeje go, dopiero umiera samodzielnie, tylko rosyjski i polszczyzna mają tyle czasowników zwrotnych i przez to mają w sobie jakąś bierność, jakiś fatalizm, zgodę na się, które na wszystko przystaje, które wszystko wytłumaczy, i podły los, i pogodę, i nieurodzaj... „Napijmy się”, powie gospodarz do gościa i obaj zamroczą się, ale każdy sobie, bo im gramatyka nie pozwoli na wspólne uniesienie... I tylko w jednym języku na świecie można powiedzieć zdanie „kocha się w niej”. To znaczy – kogo właściwie kocha? Wszędzie indziej bez sensu, u nas – rozczula... To się to jest wielkie kłamstwo, oszukańcze złudzenie, że jakieś transcendentalne się zrobi za nas coś dobrego, urodzi, skomponuje, zaśpiewa, zatańczy... Kłamstwo po prostu, no nie do pomyslenia w angielskim, niemieckim czy japońskim... Jakaś fatalna zgoda na rzeczywistość, ochoczy szacunek dla beznadziejnych wyroków i przyzwolenie na ostateczną samotność, a wszystko w końcu po to, żeby móc się malowniczo zbuntować i opowiedzieć po stronie niemożliwego... Zupełnie jak w sztuce... Żydzi się z tym rodzą, artyści tym żyją... I pewnie dlatego ta Polska tak wygląda, jak wygląda, bo to naród artystów... Wszyscy kłamią, a mało kto pamięta, że myślimy za pomocą słów, myślenie jest czynnością, a więc słowa czynią... I pewnie dlatego tę Polskę tak naprawdę kochają tylko Żydzi, Rosjanie i artyści, bo tylko im udaje się kochać ją bezkarnie... Się, się, się... Napijmy się, Smyczku, jeszcze po jednym, przed wami daleka droga... Tu jest karta powołania.



W porządku pogrzebowego nabożeństwa nieuchronnie zbliżał się moment kazania i wiedział Morga, że bez ucieczki do przodu wiele dłużej odciągnąć się tego nie da. Jeszcze rozdział lub dwa, jeszcze dygresja, jeszcze parę akapitów, ale nie więcej. Albo trzeba będzie zaczynać od nowa. Wydawało się, że i piórkowscy też już czegoś od proboszcza oczekiwali, czegoś więcej niż „Ciebie prosimy”, i może

trochę mniej niż od razu „w proch się obrócisz”. Oczekujemy wyjaśnień, zdawały się mówić ich kaprawe gęby. Pogróżki może se ksiądz darować, sami wiemy. Piórkowscy zaczynali się nudzić.

Musi co miał pisane, że sprawiał Smyczek kłopot za życia. Ale żeby i po śmierci dać się we znaki, tego ani piórkowscy, ani najbardziej rozgarnięty ksiądz przewidzieć nie mogli. Można było sobie wyobrazić, jak na wieść, że Morga mimo zakazu Smyczka pogrzebał, rozsierdzony Zerbst wpadnie na plebanię, żeby swoim zwyczajem na miejscu kogo zastrzelić. W każdym razie proboszcz sobie wyobrażał i liczył się z tym od chwili, kiedy zabitego Jasia przywieźli do Piórkowa na tej samej placformie, co nią Jan dzwon wywozili, a rzucili pośrodku drogi między cmentarzem i kościołem, wedle Kaczorowej chałupy, prosto w ciepłe, wiosenne błoto. We wsi tylko Morga umiał po ichniemu, ale i on nie do końca pojął, czemu się Zerbst tak piekli w swoim nadreńskim dialekcie, skoro żaden szkop nie zginął, i nie mógł do końca zrozumieć, czy to Wehrmacht Smyczka ubił, czy tylko patrol strzały usłyszał, a potem ciało znalazł. Ale wraz zrozumiał, czego mu Zerbst zakazuje i czym za niesubordynację grozi. I znów widział się Morga męczennikiem, co życie dał za zbawienie złoczyńcy, cudzołóży i straceńca, choć nie miał wielkiej wiary, że dusza Smyczka dostąpi czegoś więcej niż czyśćca, bo wedle wszelkich miar Jasiu bładził, gdzie tylko mógł, i grzeszył, ile zdążył. I jak już kiedyś było mu obojętne, czy zostanie męczennikiem z ręki Smyczka, tak teraz było mu właściwie wszystko jedno, czy zostanie męczennikiem przez Smyczka, a pochować i tak pochowa, tyle było do przewidzenia. I, jak należy się spodziewać, Zerbst wpadnie na plebanię z odbezpieczonym pistoletem i wiedziony jakimś niemieckim zmysłem skrupulatności, nim Morgę zastrzeli, urządzi jeszcze rewizję w poszukiwaniu dowodów na związki proboszcza z bandyckim podziemiem, i w starym sakwojazu znajdzie protezę lewego ramienia, i tak się na jej widok rozrzewni, że pošle Morgę do Auschwitzu, a nie do piachu, i tego to już nikt w najśmielszym śnie by nie przewidział.

Ze śmiercią to w ogóle jest kłopot, a co dopiero z taką śmiercią. Niby ostateczna, niby na pewno i raz na zawsze, a więcej

niepewności zasieje, niż rozwiewa. Myślałby kto, że to rozwiązanie na koniec, a to dopiero następna zagadka i początek nowego końca. Dziedzic? Uczciwek felczer? Haham Żyd? Jakby się dobrze zastanowić, to i Uklejowe bliźniaki mieli swoje powody, bo im Smyczek do bab iść nie dawał, zabijać dla uciechy nie pozwalał, a bywało, że spitych w ziemiance zastawszy, tyłki skopał i latrynę menażkami osuszać kazał. A może jednak Niemiec?

Niemiec winny był tak czy owak, bo wróg odwieczny i na ojczyznę zdradziecko napadł, ale czy tamtego fatalnego dnia za cyngiel pociągnął? A niby jak tu ich spytać? Ano, przyjechały szkopy z ciężarówką i feldfeblem dzwon rekwirować i wytracony z równowagi Jan zagrzmiął przypadkowo, raz, a donośnie, raz na zawsze, jak na pożegnanie, a takie pożegnanie, że aż mu serce pękło od wibracji, gniewu i smutku, i mógł jego głos Smyczka z lasu wywabić, że zbiórka za godzinę przy grobowcu, i wiodła jego ścieżka przez łąkę, wedle której Niemiec z dzwonem na placformie wracał, gdzie dziedzic, spacerując, na zmianę a to roił o Wandzie, a to rozmyślał, czyby sobie w łeb nie strzelić, gdzie Uczciwek w stawie pijawek szukał, a szeregowy Hiob swoje miny turlał, kędy odprężeni Ukleje od swoich bab wracali, a każdy albo przez tegoż Smyczka uzbrojony, albo znienawidzony, albo jedno i drugie. Właściwie poza podejrzeniem był tylko niemowa-przygłup, ale nie na pewno, bo go raz Smyczek na podglądaniu myjącej się Wandy przyłapał, zaślinionego i z ręką wetkniętą w rozporek, i skatował go pasem, i na czole ślad po sprzączce został na całe życie, jakby mu zajęcej wargi było mało, a broń to mógł sobie wziąć z jakiegokolwiek kryjówki, bo „Kapela” miała tego tyle, że kto by się doliczył.

Wojna to wojna, a wieś to wieś i także swoje prawa ma. Nikt tu nie ma czasu, żeby długo urazy chować, mieć muchy w nosie albo mieć za złe. Rachunki wraz się wyrównuje, a sprawiedliwość własnoręcznie wymierza, bo i na co tu czekać. W ruch idzie, co pod ręką, i nikt nie prowadzi żmudnych studiów nad energią kinetyczną sztachety ani nad krzepliwością krwi. Zupełnie jak na wojnie. O pole, o miedzę, o drzewo na opał. O to, kto zaczął. Nie ma tylko osobnych cmentarzy dla zwycięzców i zwyciężonych, ale poza tym

wojna na wsi to nic nowego. Wieś to jest wojna, tylko taka, co raczej dba o swoje groby.

Pamiętał Morga z lekcji łaciny i antycznej historii, jak wiele karier od mów pogrzebowych się zaczęło, wiedział z żywotów męczenników, ile od udanego pogrzebu zależy, a z pasterskiego doświadczenia i to jeszcze, że wesela i chrzciny pierwsze w zapomnienie odchodzą, bo tam tylko proszeni idą, a na pogrzeby idzie, kto żyw, no bo jak tu pogrzeb opuścić? Mus, kiedy bliskich chowają, kiedy wroga – no, uciecha sama.

Co piórkowscy z ulgą przyjęli, księdzu zdało się bynajmniej zastanawiające. Że z „Kapeli” nikt do nabożeństwa nie przyszedł, to musiało wzbudzić i pasterskie, i patriotyczne wątpliwości, że albo im sumienie nie pozwoliło, albo stchórzyli, albo jeszcze coś. Jeszcze większy niepokój wzbudził w Mordze widok Uczciwka, co cichcem wemknął się do kościoła i z tyłu pod organami stanął, jakby czegoś chciał osobiście dopilnować. I niby skąd wiedział, kiedy nikt po niego nie posyłał? Smyczek koło południa zginął, wieczór jeszcze nie całkiem zapadł, a towarzysz poinformowany z czapką w garści już liczył zgromadzonych, dziwował się, że reakcyjne podziemie nie przyszło, i myślał, czy go wzrok nie myli, bo z jego końca widziało mu się, że albo Smyczek ma w trumnie nonszalancko nogę na nogę założoną albo buty na opak.

Kiedy niedyskretne kościelne drzwi skrzypnęły dziedzicem, wiedział już Morga z najwyższą pewnością, że z tego pogrzebu nic dobrego nie będzie. Pan Radecki miał mniej skrepowania i rozejrzawszy się wzrokiem zarazem baczny a nieobecny, co tylko melankolicy potrafią, wziął i usiadł bardzo z przodu, w drugim rzędzie, tuż za Wandą, gdzie dalszej rodzinie, kumom i powinowatym miejsce wypada. Jak się dowiedział, nie wiadomo. Uwierzyć, że akurat tego popołudnia pierwszy raz w życiu postanowił zajść do kościoła – jakoś trudno.

A kiedy w parę chwil później drzwi z hukiem rozwarły się ponownie, szeroko i z rozmachem, z obu skrzydeł na oścież,

gromnicom ugiął się płomień, rozcieńczona smuga kadzidlanego dymu zatańczyła i poszybowała wzdłuż ław ku wyjściu, a jakiejś babie wyrwało się głośne „Jezu”. Nie było takiego, kto by w stronę drzwi nie spojrział, nie było takiej, ślepej Walerki nie wyłączając, co by znaku krzyża nie uczyniła. Morga, co akurat stał twarzą do Serca Jezusowego, omal podskoczył, odwrócił się i pobladł, jakby już patrzył Zerbstowi w łufę. Uklejowe bliźniaki, Kazimierz i niemowa, każdy z biało-czerwoną opaską, ściągnęli czapki z głów, przyklękli na jedno kolano, przeżegnali się i przemierzywszy nawę, stanęli wedle pierwszych rzędów. Skąd wiedzieli, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Smyczek, dzwon usłyszawszy, na odchodnym kazał im lasu nie opuszczać i jego powrotu czekać? Jeszcze Kazimierz, do śmierci przynawykły, ten miał swoje sposoby, o czym wszyscy wiedzieli, i Wanda z proboszczem nawet zdziwieni nie byli, kiedy udawszy się po niego, zastali go we fraku i drajem gotowy do drogi. Ale reszta? Przechodzili obok?

Parę kroków za nimi, jakoś tak bokiem, jakby niosąc przodem ramię z opaską, niby na dowód, że ma prawo tu być, niepewnym krokiem intruza wszedł Haham. Parch przecież mieszkał w osobnej ziemiance, na drugim końcu lasu i nikomu by nie przyszło do głowy, żeby go do pogrzebu z partyzanckimi honorami prosić. No bo nie. To skąd się wziął?

Kazimierz, któremu wypadło stanąć tuż koło ławy zajętej przez dziedzica, nieznacznie się w jego stronę pochylił i dyskretnie chrząknął. Pograżony w myślach albo zagapiony w warkocz Wandy pan Radecki nie zwrócił uwagi, chociaż raczej udawał. Równie dyskretnym, delikatnym a stanowczym gestem Kazimierz położył dziedzicowi rękę na ramieniu, żeby już nie musiał się dłużej wygłupiać. Udając wyrwanego z zamyślenia, ociągając się i spowolniony niechęcią, dziedzic wyjął z kieszeni surduta biało-czerwoną opaskę, założył ją na rękaw i stanął w parze z Hahamem. „Kapela” była w komplecie.

Kościół wypełnił szmer niedowierzania albo westchnienie trwogi, albo dreszcz zgrozy, albo wszystko naraz, i może jeszcze Duch

Święty. Poprzymroczony organista wprowadzie hałas, gwar i miarowy krok podkutych butów usłyszał, ale w swoich wstecznych lusterkach zobaczył, że to nie szkopy, tylko partyzanci, dopiero jak dotarli do przednich rzędów. W lot pojawił się, że tu się coś więcej niż pogrzeb odbywa, ba, że tu się może nawet coś rodzi, migiem przetrzeźwiał i z wprawą rodem z tancbudy w końcowe akordy *Ostatniej niedzieli* wplótł pierwsze akordy *Boże coś Polskę*. Piórkowscy wstali. Zdezorientowana Walerka zaczęła się domagać wyjaśnień od sąsiadek, a przerażony Kaczor, co ze strachu siedział najbliżej wyjścia, wziął i uciekł, w drzwiach wciskając w ręce felczerowi drzewce kościelnej chorągwi. Kiedy po dobrze odmierzonej pauzie organista powtórzył wstęp do *Boże coś Polskę*, zgromadzeni zaśpiewali, ale zaśpiewali tak, jak ich Morga jeszcze nie słyszał, jak jeszcze nigdy w piórkowskim kościele nie śpiewano, jak tylko w archikatedrach i bazylikach śpiewają, gdzie garstka brzmi jak tłum, gdzie sto głosów brzmi jak tysiące, a tysiące, nawet gdy fałszują, to się nie mylą, bo w liczbie też jest jakaś prawda. I ta prawda, a nie sam hymn poruszył proboszcza, bo się takich liczb po piórkowskich nie spodziewał. Każdy, kto przyszedł, a przyszedł każdy, śpiewał Panu i przed ołtarz zanosił błaganie, ale każdy o co innego, i było tej pieśni tyle, ile piórkowskich w kościele. Jedni z ulgą śpiewali złoczyńcy, straceńcowi, cudzołózczy, że sobie zaś poszedł, gdy inni rozpamiętywali natchnione kadencje, kolędy i pogrzeb pierworodnego w futerale na skrzypce. Jedni ożywiali dźwięki patefonu dobiegające z rozświetlonych okien, wymykające się kominem i szparami we drzwiach, a inni wybite zęby, druhny dupcone po krzakach, błysk noży zza cholew i klucz wiolinowy na drzwiach niepotulnych. I jeszcze jakimś tajemnym zrzędzeniem w tej pobożnej pieśni wrażliwsze ucho mogło wyłowić nie tylko rozpasane organy, nie tylko samogonne chłopskie głosy, nie tylko „ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie...”, ale również te wszystkie rozwiązłe tanga i surowe mazury, piękne jak pogrzeb chłopskiego senatora, te walce, kandelabry i pałacowe parkiety, i te trzy wierzby, i jeszcze ten skrzyp kół karawanu na piaszczystej drodze do Broniszewa. Kto jest stąd, wie, o czym mowa.



Z przybyciem Ani w sierocińcu skończyła się władza Dełesia. Nie od razu, nie z dnia na dzień, ale stopniowo, pomału, z berka na w chowanego, z opowieści na opowieść, z drugiego planu do roli głównej. Zaczęło się od tego, że Oleńka, Apanaczi, Konstancja de Bonacieux wyglądały jak Anie: rude, piegowate, niebieskookie, z warkoczem do pasa. Piękne, odważne i jak na razie dyskretne. I nie musiał się Dełes dzielić władzą dlatego, że Ania zażądała dopuszczenia dziewczynek do zabawy, nie musiał się dzielić ze strachu, w ogóle nie musiał. Początkowo dzielił się z powodów czysto artystycznych, bo wierzył, że jego teatr tylko zyska na wprowadzeniu nowych postaci dramatu, intuicyjnie a celnie wychodząc z założenia, że nic tak nie popycha opowieści naprzód, jak cycata piękność, co przechodzi z rąk do rąk, od Indian do kombojów i z powrotem. Jeszcze nie wiedział dokładnie, co takiego jest w rudych włosach, piegach i cyckach, o co warto toczyć wojny, podrzynać gardła i puszczać z dymem szczęśliwe krainy, ale już, smarkacz, przeczuwał, że znaczna część sztuki, może i ze sztuką wojenną włącznie, wiedzie się raczej z łędźwi niż z serca, a udział magii, chemii, przeznaczenia i szafarza talentów jest mocno przesadzony, o ile w ogóle odgrywa jakąś rolę. W takim teatryku siła przyrodzenia zwycięża nadprzyrodzone siły i to ona popycha dramaty naprzód, od nieszczęścia do nieszczęścia.

Coś w końcu łączy poetów i muzy, malarzy i modelki, reżyserów i aktorki, pisarzy, ich chciwe żony i wiarołomne kochanki, a scena, garderoba i atelier pełne są romansu i zachłannego tarła. Artysta chce je wszystkie, chce mieć te, które tworzy, i wciąż stwarzać te, które już ma. Najpierw je wymyśla, potem w swej wyobraźni gwałci lub, stanąwszy z boku, pozwala je gwałcić innym postaciom dramatu. Dopiero potem z nimi sypia. Tylko wymyślone i wymyślnie zbrukane mogą stanowić przedmiot pożądania. Jakie tam pokrewieństwo dusz. Nie łączy ich żadna „sztuka”. To więź dłuta i kamienia.

Po niedługim czasie obsadzał Anię we wszystkich pierwszoplanowych rolach. Nie dlatego że chciał sprawować nad nią jakąkolwiek władzę, bo ta najważniejsza i tak należała do niej, ale dlatego że spodziewał się, iż póki trwa zabawa, Ania nie zechce zrobić mu nic złego. Tylko jako artysta mógł się czuć bezpiecznie. Żyjesz, póki bawisz. A jaki tam szantaż. Od tamtej rozmowy nie padło ani jedno zdanie, ani jedno słowo, które mógłby odebrać jako pogroźkę. Zresztą, nie były potrzebne, Deleś wiedział i Ania wiedziała. Wiesz, że wiem. Wiesz, że wiem, że wiesz, że wiem. Wiem, że wiesz. Wszystko jasne. Nie podskoczysz. Nie podskakuj. Szantaż? Nie. Związek. Gotowe nieszczęście.

I po co komu groźby, kiedy szantażem jest cały świat, cały ten sierociniec, siostry, dzieciaki, fałszywa metryka i obrzezany kutas? Z chronicznym lękiem da się żyć, póki znajduje ujście w otchłaniach sztuki, w katatonicznej mantrze lub w zakamarkach jakiegoś spolegliwego ciała. Znajdą się nawet tacy, którzy go będą zazdrościć. Modli się, tworzy i pieprzy jak nawiedzony, powiedzą z zawiścią, nieświadomi prawdziwej natury tego natchnienia, a to strach jest, strach, słyszycie?!

Chroniczny lęk nie zabija, on wyludnia. Z otoczenia ubywa bliskich zdolnych do jego absorpcji, gotowych wytrzymać twórcze erupcje, nawroty dewocji albo konwulsyjne ataki lubieżności. Znudzeni anielską cierpliwością, wyczerpani okazywaniem podziwu i tolerancji, odejdą do sennych sanatoriów pisać biografie mistyków, grafomanów i erotomanów, redagować tomy korespondencji, rozdrapywać i lizać własne rany. Czy odejdą w świętość lub do własnych upiorów, czy poświęcą się historii sztuki lub sami staną się wampirami – wszystko jedno, znikają. Nie wrócą. A lęk zostanie.

To nie musi być zaraz lęk żandarma, taczek czy komina, czasem wystarczy lęk tożsamości, strach bycia sobą, a ujściem dla niego też nie musi być od razu sztuka, religia, rozwiązłość. To może być zwykłe gadulstwo. Siedźcie, jeszcze nie skończyłem. Też wyludnia.

I przecież inaczej będzie gospodarować lękiem, dajmy na to, *resistance* beretów i eleganckich prochowców, popijając absynt przy kawiarnianym stoliku na Montmartre w sąsiedztwie wytwornego oficera SS po służbie, nikomu nawet nie przejdzie przez myśl, by ogolić łeb jego francuskiej narzeczonej, a inaczej mały, cwany żydek z ukrytą w sienniku puszką kakało w sierocińcu pod Bochnią. Ci pierwsi będą zażarcie dyskutować manifesty nowej, powojennej sztuki, żydek będzie do końca wojny manifestował sztukę przetrwania za żarcie. Tamci chcą przeżyć, by tworzyć. Ten musi być twórczy, by przeżyć.

W końcu nawet się spotkają, gdzieś po sześćdziesiątym ósmym, by bez zażenowania porównywać wyniszczenie okupacji z trudami kolaboracji, będą porównywać kominy i taczki z dramatem nieregularnych dostaw koniaku, porównają negocjacje z wydawcami do zmagania z cenzurą i utratę niepodległości z utratą kolonii. Pomarksowski egzystencjalizm dogada się z poegzystencjalnym marksizmem. Bo na końcu lęku jest filozofia, a na końcu filozofii jest filozofia lęku. Paryż powie: tyleż filozofii, ile lęku. A Piórków na to: jaki lęk, taka filozofia.

Można też o chronicznym lęku zapomnieć na czas jakiś, tak jak na co dzień nie pamięta się o szkielecie, aż z zemsty za lata zaniedbań zacznie łamać w krzyżach. Prędzej czy później przyjdzie taki paroksyzm, po którym nastąpi paraliż i stupor, bo wprowadzie lęk jako tworzywo trwa znacznie dłużej niż jego przyczyna, ale tylko tak długo jak jego pamięć. Lobotomia zapomnianego lęku, tępe dłuto bez kamienia.

Taki lęk to trzeba pielęgnować i trzeba umieć pielęgnować, żeby go starczyło na całe twórcze życie, jeszcze długo po tym, jak ustąpią przyczyny lęku, ustąpią przyczyny tworzenia i przyczyny życia. Podobno wystarczy go raz doznać, aby bez niego nic już nie było takie samo, ani sztuka, ani modlitwa, ani łóżko. I pokolenia nieszczęśników uzależnią się od tego, czego się boją, a potem jeszcze od samego bania. Być może stąd na świecie biorą się święci, artyści i pederasci.

Pogryzając jabłko, Ania obserwowała przebieg zabawy przez szpary w deskach, kiedy do szopy na narzędzia wpadł uciekający przed gwardzistami kardynała Deleś. Poczł ją, jeszcze zanim zauważył, gdy usiłował się schować w najciemniejszy kąt między starymi ulami a zapasem słomy do ogacania sadu i dopychania sienników. Nawet gdyby się Ania posunęła, miejsca było tyle, że musiałby otrzeć się o jej sterczące miękkie ciepło, by się precisnąć. Ale się nie posunęła i Deleś nie mógł się ruszyć złapany w potrzask cycków, bioder i ud. Przyciśnięty, teraz to on usiłował koniecznie coś zobaczyć przez szpary pełne światła i drobin kurzu, podczas gdy Ania z zaciekawieniem próbowała dostrzec wyraz jego twarzy. Mijały długie chwile, podczas których chrzęściła i mlaskała owocowo, a Deleś coraz słabiej starał się uwolnić z pułapki, beznadziejnie próbując ukryć wzwód, monstualny wzwód, który omal rozrywa portki, pierwszy taki wzwód. Było coś lirycznego, cwanego i głęboko zadowolonego z siebie w uśmiechu Ani, kiedy wreszcie przepuściła Delesia.

Stali teraz koło siebie, dotykając się ramionami, Ania żrąc ze smakiem i wpatrując się w szpary, Deleś tylko udając, że interesuje go rozwój wypadków przed szopą. Na jego spodniach wykwita i powiększa się wilgotna plama. Kątem oka Ania to przecież widzi, rozumie i docenia. Staje na wprost, wyzywająco patrząc mu w oczy, zębami chwyta jabłko, uwolnionymi rękoma rozpina mu portki i jednym stanowczym ruchem ściąga do połowy ud. Ogląda figlarnie i z jakąś znajomością rzeczy korzeń ociekający lepłą wilgocią, lekko cuchnący bykiem, baranem i rybami. Coś się nie zgadza, jakieś anatomiczne szczegóły, ale to nie jest dobry moment na dociekania. Gęsta, mętna kropla wypływa z karminowego rdzenia, rozchylonego jak usteczka, spływa po sinym kołnierzu z deseniem fioletowych żyłek, ścieka po dziewczęcej dłoni i nadgarstku, ciągnąc się w powietrzu jak biało z rozbitego jajka, podświetlona wpadającym do szopy brokatem kurzu. Ania ma teraz zajęte obie ręce, jedną delikatnie badając rozmiary oraz kierunek i promień zgięcia, drugą podtrzymując stężale, ciężkie, grożące wybuchem jądra. Dorodny kosztel trzymany w szczękach zasłania jej pół twarzy, po brodzie spływa zmieszany ze śliną sok z jabłka, który ląduje na

stwardniałym bólu, sieje zamęt wśród zdezorientowanych woni, miesza się z sokami Deleśia i zmierza ku ziemi z prędkością kropli rosy sunącej po pajęczynie.

I niby skąd Deleś miałby wiedzieć, co ze sobą zrobić, co zrobić z rękoma, ze wzrokiem, z wezbranym przyrodzeniem, sztywniejącymi łędwiami, z tymi wszystkimi cieczami i z rezolutną Anią, no skąd? Na wszelki wypadek przestaje oddychać i nadal gapi się bezradnie w szpary między deskami, gdzie trwa poszukiwanie Atosa i Milady. Nie rozumiejąc takiej reakcji, Ania też zaczyna udawać zainteresowanie tym, co dzieje się przed szopą. Bierze jabłko w lewą rękę i nie przestając machinalnie gryźć, prawą dłonią zaczyna miarowo suwać po trzonku, łagodząc zaczerwienione tarcie wilgocią i sokami, zaciskając i rozluźniając palce w intuicyjnym rytmie, mocniej – słabiej, góra – dół, wsłuchując się w lepki dźwięk rulonów napletka jak ciche cmoknięcia.

Każdy chłopak wie, jak ważne w tej arii są wariacje metrum, koloratury uścisku, modulacje i tempa, gdy układają się w koncertową całość, od długich jak recytatywy, nieśpiesznie czułych pasaży na początku, do furiackiego *tremolo* w finale, kiedy omdlewająca ręka pod niewygodnym kątem odmierza spazmy jak metronom chory na epilepsję. Ania też zdaje się to wszystko wiedzieć i gra jak z nut, z wprawą, która może i byłaby na miejscu u absolwentki konserwatorium, ale raczej nie u podopiecznej przyklasztornego sierocińca. Krótki utwór na jedną rękę, chłopca i pokwitanie, kaprys-miniatura w istocie. Już nie piosenka, jeszcze nie opera. Wrodzony talent.

Ania kończy ogryzek, gdy wparty czołem w deski szopy Deleś zamiera na chwilę w całkowitym bezruchu, jakby szykował się do skoku przez ostatnią przeszkodę dzielącą go od dojrzałości, przez pierwszą granicę chronicznego lęku i doraźnej abominacji. Nie patrząc w dół, gdzie trwa walka bezwstydnego ciśnienia z ciśnieniem wstydu, przychodzi, przychodzi tak, jak przychodzi się raz w życiu, po raz pierwszy, pierwszy raz do kobiety, przy kobiecie. Nasienie tryska wprost na ścianę szopy z odgłosem i mocą

splunięcia, przylepia się do desek z kleistym dźwiękiem śliny spadającej na gładką podłogę i spływa w dół, zostawiając mokrą, ślimaczą smugę na nieheblowanym drewnie.

Ania rozluźnia lepkie palce i daje wytchnąć ramieniu, jeszcze kilka miłosiernych, posuwistych ruchów w zwolnionym tempie po fałdach styliska, które nie chce zwiotrzeć, bo Deleś wciąż idzie, pulsuje i łka, a z nabrzmiątych, karminowych warg z każdym dreszczem wypływa wciąż nowe, obłe nasienie. Starając się nie upaprać, chłopiec powoli prostuje się w metamorfozie odprężenia i zaćmienia. Nie widzi, nie słyszy, z trudem stoi na drżących konwulsyjnie nogach. Żałosny i piękny, przerażony i natchniony, z odcisniętym na czole deseniem słoików drewna. Już nie prawiczek, jeszcze nie zbliżenie. Jeszcze nie mężczyzna, już nie samogwałt.

Oddzielona strumieniem światła wpadającym do szopy przez szpary i dziury po sękach, Ania wygląda, jakby miała na sobie mantylkę z promieni słońca i atomów roztocza. Nie wykonała jednego fałszywego ruchu. Nie wykonała też jednego czułego. Wypływa pestki i resztki ogryzka. Wyciera ręce o spódnice, wacha i wyciera jeszcze raz. Zapach, ten zapach to podobno w dużej mierze kwestia pożywienia. Czego można oczekiwać po diecie składającej się przeważnie z ziemniaków, cebuli i kakała?

Przed szopą zabawa dogasa, zniecierpliwieni gwardziści kardynała poszli pograć w piłkę. Ania wyciąga z kieszeni kolejne jabłko i zbiera się do odejścia. Na klepisku u stóp Delesia tworzy się kałuża perły, krochmalu, żelatyny, czystego białka i kodu genetycznego. Elikser młodości. Owocowa woń ustępuje odorkowi byka, barana i ryb, wszystko znaki zodiaku, co nie wróżą nic dobrego. Do narodzin sztuki trzeba lęku, do narodzin lęku w zupełności wystarcza związek. Związek. Nieszczęście gotowe.

– Przyjdź jutro, dam ci naparstek – mówi szeptem Ania i wychodzi pierwsza, przepuściwszy przodem w drzwiach strumień światła, co jak gniewny intruz wtargnął do szopy, żeby popatrzeć na wstyd, rozkosz i pewną zgubę.



Towarzyszka Winkler przeżyła „Plan Barbarossa” dzięki niezwyklej rozrzutności, która sprawiła, że z Charkowa w pierwszym rzędzie ewakuowano fabrykę medali, gorzelnię i więzienie NKWD. Nic więcej nie zdążono wywieźć, a po prawdzie, nawet nie było takiego planu, jakby od początku tę wojnę miały wygrać ordery, pijani czekiści i osadzeni. Nawet fabryka amunicji została, tyle że wysadzona w powietrze. Przy okazji, ze strzępów dokumentów, które spadły z ciężarówki, i z relacji świadków, których w pośpiechu zapomniano rozstrzelać, Międzynarodowy Czerwony Krzyż dowiedział się o Katyniu.

Fabryka medali im. Kirowa była w istocie łagrem, tyle że o złagodnym rygorze. Żadne tam piekło, chociaż nikt, od prostej robotnicy, przez brygadzystkę Winkler, po towarzysza dyrektora nie wybrał sobie Kirowa jako miejsca pracy. Bo to nieprawda, że największy pracodawca w Związku Radzieckim miał filie swojego kartelu głównie za kołem polarnym czy na Syberii. Łagry były w samej stołecznej Moskwie, tudzież w każdym większym mieście, które wykazało się dostateczną inicjatywą i deficytem siły roboczej. Z tym pracodawcą zresztą też nieprawda, bo na zdrowy rozum o Łubiance należałoby powiedzieć – pracobiorca, a raczej o więźniach – pracodawcy. Ot, napomieszało się w pojęciach, że bez knuta sensu nie mają.

W Hiszpanii Hortensja robiła wszystko, żeby trafić raczej do biura politycznego niż do łagru. Szalała w okopach z mauzerem w dłoni, w męskich spodniach, butach i skórzanej kurtce po pewnym odważnym towarzyszu, jeździła konno i prowadziła automobil, gardziła socjaldemokratami, nienawidziła trockistów i śmieszyli ją anarchiści, wygłaszała płomienne mowy, zagrzewała do boju, opatrywała i dobijała rannych w zależności od kroju munduru,

nateżenia walki klasowej i nastroju chwili, po czym dla odprężenia słuchała radia Komintern, paliła papieroski z komendantami lub całą noc piła wino z kapralami, by rano dzieci straszyć sierocińcami, a matki żłobkami. Zapracowana i przemęczona zaniechała rzeźby, rzuciła malarstwo, by całkowicie poświęcić się rewolucji. Torturowała falangistów i księży, zatrutowała studnie dwulicowym wsiom, z tą samą pasją rozstrzeliwała jeńców i dezertów, sypiała z komisarzami, co byli poetami, i z poetami, co okazali się renegatami, szcząta w konfesjonale i podmywała się wodą święconą, wypalała ogniem, żelazem i leninowską logiką, wytyczała granice nowego, lepszego świata pod słońcem Katalonii i wśród płytkich zbiorowych grobów w jej kamienistej ziemi. Wszystko na nic.

Skąpana we krwi Republika chyliła się ku upadkowi i dla wszystkich było już jasne, że zostaje Francja, Anglia albo śmierć. Jakoś nikt nie myślał poważnie, żeby uchościć do Związku Radzieckiego. Po pierwsze, daleko, po drugie, po co? Tam proletariat już zwyciężył, a klasyczni rewolucjoniści nie są po to, by plątać się bez sensu i przeszkadzać w budowie kanałów, kolei tudzież w elektryfikacji. Bardziej potrzebni są tam, gdzie wprawdzie prąd, pociągi i żegluga śródlądowa są już znane, ale lud pracujący miast i wsi nadal tkwi w okowach, związki zawodowe roztaczają fałszywe, burżuazyjne miraż, a załgana nadbudowa otępia bazę tanim opium. W Moskwie, Omsku i Donbasie uświadomiona konieczność już zatriumfowała, a w Paryżu wciąż jest jeszcze tylko wolność, a do tego tanie wino, dobre jedzenie i lewicowi wydawcy. W Londynie zaś – chyba nieprzypadkowo, prawda? – pochowany jest Karl Marx i już to niech wystarczy za dobry powód, by właśnie tam przeczekać do jakiejś następnej wojny domowej. Rewolucjoniści może i nie wierzą w nieśmiertelną duszę, ale w większości wyznają nieśmiertelność ducha, nieobcy jest im podniosły idealizm, składają śluby, wierzą też w symboliczne znaczenie pewnych miejsc i w wierność aż po grób, zupełnie jak zwyczajni ludzie.

Rewolucjoniści występują w dwóch postaciach: zawodowej i rapsodycznej. Te same cele, te same metody i ta sama krew na rękach. Różni ich głównie definicja szczęścia. Jedni spełnią się tylko

w amoku zwycięstwa, inni odnajdą szczęście w melancholii nieudanych zrywów, w epickim smutku niedokończonych rewolucji, w biblijnej wierności klęsce. Ci pierwsi sądzą, że zwyciężą na zawsze, ci drudzy sądzą, że zawsze zwyciężą. Różnica tkwi w ślubach i dokonuje się między „zabiję cię, jak odejdiesz” a „oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci”.

Nie ma większego znaczenia, z jakiego paragrafu Hortensja trafiła do łagru. Czy za to, że wolała *Marsylianę* niż *Międzynarodówkę*, czy tylko za to, że kiedyś komuś o tym powiedziała? Czy może za to, że dała, komu nie należało, albo nie dała, komu należało? A może tylko dlatego, że w bezklasowym społeczeństwie nie ma miejsca dla klasy rewolucjonistów? Inteligencja i elokwencja złamały już niejedną świetnie zapowiadającą się karierę. Wśród tych, co mniemają, że zwyciężyli na zawsze, słowa, pojęcia i sylogizmy odmierza się i waży zupełnie tak jak surowice, antybiotyki i vehiculum, inaczej mogą wyrządzić znaczną krzywdę lub nawet zabić. Przy niejasnych symptomach najbezpieczniejsze jest placebo figur retorycznych o zawartości semantycznej zmierzającej ku zeru. Doświadczona działaczka i sierota po kieleckim farmaceucie zamęczonym w Berezie mogłaby to wiedzieć. A jak nie, to znajdzie się i paragraf na niewiedzę.

Z Gibraltaru przez Kadyks, La Manche i cieśniny duńskie, tym samym węglowcem pod sowiecką banderą (wszystkie odcienie rdzy i minii), tym razem nie w przestronnej kajucie, lecz w przeludnionej zęcie z czterdziestoma takimi jak ona, dociera do pieresynego łagru w bohaterskim Leningradzie. Gdzieś po drodze, na pełnym morzu, odbywa się rozprawa w składzie drugi oficer, palacz i radiotelegrafista. Po posiedzeniu trybunału w zęcie robi się przestronniej. Hortensja ma szczęście, dostaje dychę. Nie wiadomo, czy za to, że tak bardzo ją podziwiano, czy za to, że tak bardzo się jej bano, w każdym przypadku jednak byłby to jakiś akt sprawiedliwości. Rewolucyjnej, może, bo jednostka niczym i tak dalej, a uwielbianie poniżej sekretarza generalnego jest na wskroś reakcyjne. Ewentualnie boskiej, bo koniec końców ktoś naprawdę musi sądzić żywych i umarłych, żeby i całe to życie, i cała ta śmierć

miały wreszcie jakiś sens. A czy sądzi czekista, czy ten lub inny archanioł, czy może nawet jeden z drugim pospołu, to dla rewolucjonisty z krwi i kości naprawdę bez znaczenia. Rewolucjonista, jeśli już nie uda mu się zginąć, musi sobie przynajmniej trochę posiedzieć. Własny kawałek czyśćca, dorobek życia.

Fabryka im. Kirowa podlegała moskiewskiej mennicy, dzięki czemu trafiła do sektora szczególnego znaczenia dla bezpieczeństwa państwowego. Produkcja strategicznej wagi dla Kraju Rad cieszy się szczególnym zainteresowaniem NKWD, które dopilnuje, by do łagru na przedmieściach Charkowa nie trafili żadni kułacy, spekulanci, denikinowcy i sabotażyści, a jedynie sprawdzeni towarzysze z aparatu, w najgorszym wypadku rewizjoniści z łagodnym prawicowym lub lewicowym odchyleniem, tacy do dychy włącznie. Preferowane będą zdolności manualne. Talenty plastyczne mile widziane.



Zasadniczo gazy dzielimy według pięciu kryteriów: materialnego (klasowego), geograficznego, rasowego, wiekowego oraz płciowego. Na użytek niniejszego *Wstępu* zaznaczmy od razu, że zachodzą liczne a skomplikowane konjunktje w obrębie tychże zasadniczych kryteriów, owocujące wielką mnogością distinkcji, modyfikacji i mutacji. Ich pożytek dla celów poznawczych wprawdzie rośnie ku chwale aparatu pojęciowego, jednakże pożytek dla celów djagnostycznych (a więc głównego zamysłu tej dysertacji) maleje wraz z liczbą badaczy zdolnych go zastosować. Maleje także w funkcji czasu wraz z nieuchronną utratą powonienia spowodowaną w równej mierze ekstremalnymi warunkami badań, jak i ogólnym starzeniem się organizmu badacza, w tym jego najszlachetniejszego zmysłu, który, co powszechnie wiadomo, jako pierwszy ulega nieodwracalnej degradacji.

Zaproponowane powyżej kryteria zostały ułożone w porządku malejącej distinktywności, gdyż cały dotychczasowy dorobek nauki przemawia za tym, że gazy bardziej różnią się między sobą w zależności od materialnej sytuacji ddiagnozowanego niż od zakątka świata, z którego pochodzi; bardziej niż geograficzna sytuacja badanego różni je rasa itd. Najmniejsze zaś stwierdzalne naukowo różnice (a odkrycie to uważamy za jedną z najważniejszych konkluzji tej pracy) występują w obrębie kryterium płci. Dla precyzji wywodu owych pięć kryteriów będziemy w dalszych rozważaniach nazywali kategoriami i poświęcamy im pierwszych pięć tomów. Występujące w ich obrębie mutacje nazywamy szczepami, te zaś dzielić będziemy na siedliska (*residua*), a w niektórych przypadkach nawet na formuły.

Kategorię I (kryterium klasowe) gazów dzielimy na szczepy: węglowodorowy (zachowawczy) i węglowodanowy (postępowy). Szczep węglowodorowy dzieli się na siedliska wysokobiałkowe (lub dekadencje), białkowe i białkowo-skrobiowe. Szczep węglowodanowy dzieli się zaś na siedliska niskobiałkowe, wegetariańskie i wegańskie (lub głodowe). Oto gazy klasy panującej, która jada świeże mięso raz lub nawet dwa razy dziennie, będą do siebie zasadniczo podobne, bez względu na pozostałe kryteria. Charakteryzują się one wielką siłą wyrazu i osobowością, choć często dzieje się tak za cenę równowagi i szczerości. Daleko idące podobieństwa będą wykazywać też gazy klas średnich, w których dzieje mięso i ryby występują rzadziej, w dodatku bardzo często w postaci różnego rodzaju marinatów, przetworów i prezerwatyw. Wiodącą cechą będzie tu pewna skłonność do przeciążenia, najczęściej są też przyćmione, płaskie i zatarte. Gazy klas uciskanych, w których standardach żywniowych białko, jeżeli występuje, to najczęściej pod postacią nabiału, również wykazują więcej podobieństw niż różnic. Dominować w nich będzie surowość, pospolitość, milczenie oraz krzemień lub krzesiwo.

Jak w każdym wysiłku taksonomicznym, tu również należy się liczyć z pewnym zamazaniem ostrości podziałów. I tak na przykład gazy burżuazyjne wraz ze znamionym dla nich wątkiem werbeny

i gnijących kasztanów mogą znaleźć się zarówno w kategorii I, szczep węglowodorowy, siedlisko (*residuum*) białkowo-skrobiowe, jak też w kategorii I, szczep węglowodanowy, siedlisko niskobiałkowe. Tylko od spostrzegawczości, doświadczenia i wnikliwości badacza zależy rozwikłanie niuansów i postawienie celnej diagnozy, przy czym należy pamiętać o naczelnym postulacie interpretacji bukietu na korzyść pierdzącego. Średniej rangi urzędnik, zdeklasowany ziemianin bądź adjunkt będzie bardziej skory do pierdzenia ponad stan, zdradzając w ten sposób swoje klasowe aspiracje. Mechanizm awansu społecznego jest bowiem taki, że istota ludzka zawsze chętniej popiarduje w górę niż w dół hierarchii.

Konkludując tę część wstępu i zachęcając do lektury tomu pierwszego, *Gaz klas i klasy gazu*, należy przyjąć, że jeśli chodzi o gazy dla poszczególnych szczepów/siedlisk paradigmaticzne, można bezpiecznie założyć, iż baki cara, cesarza, kanclerza i premiera łączy więcej, niż dzieli, a różnice w osnowie wprawdzie rosną nieco wraz z rozszerzaniem się podstawy piramidy społecznej, nie do takiego stopnia jednak, by wymknąć się ze sztywnych terminów kategorii I.

Kriterium geograficzne (kategoria II), o którym szerzej w następnym tomie, wprowadzi podziały i kwalifikacje siłą rzeczy ograniczone, ponieważ żaden pojedynczy badacz nie będzie w stanie przestudiować równie wnikliwie gazów azjatickich, afrikańskich, południowoamerykańskich i jeszcze, dajmy na to, podbiegunowych. Życia nie starczy, po prostu. W tym sensie do prawdziwości maksimy „granice mego powonienia są granicami mego świata” można zasadnie dołączyć i tę prawdę, że „granice mego świata są granicami mego powonienia”. Dlatego też gazy egzotyczne, bez wątplenia fascynujące dla badacza, nie będą przedmiotem tego tomu, gdyż musielibyśmy posługiwać się studiami regionalnych uczonych, a co za tym idzie, zaoferować czytelnikowi wiedzę z drugiej (jeśli można tak powiedzieć) ręki. Przy całym podziwieniu dla badaczy dalekowschodnich czy podzwrotnikowych prawdopodobieństwo, że biały adept będzie miał okazję

djagnozować gazy egzotyczne, jest tak znikome, że bez szkody dla tej pracy można je pominąć, szczególnie zainteresowanych odsyłając do licznych monografii.

Obiektywnie ograniczoną teritorialnie kategorię II pogrupujemy zatem na szczepy północne, południowe, wschodnie i zachodnie, a następnie dzielimy dalej na siedliska podług róży wiatrów. Dla przykładu: północno-wschodnie, północno-północno-wschodnie, północno-wschodnie-wschodnie, itd. Zaznaczmy przy tym, że ze względu na wyjątkowo barwną i obfitą w odcienie paletę, porywistość i witalność oraz silne wpływy tureckie w domenie południe-wschód czynimy szczególny wyjątek dla gazów bałkańskich, rezerwując dla nich i szczep, i *residuum*.

Jak to zwykle w disciplinach analitycznych bywa, nie ma taksonomii idealnych, czyli doskonale wyczerpujących (na myśl przychodzi wielki Linneusz, stale wszak korigowany i uzupełniany). Rzeczą nauki jest dążyć do ideału przy pełnej wiedzy, że osiągalny nie jest. W tym sensie nauka nie powinna ściagać się z rzeczywistością, ale ją anticipować, wciąż zostawiając miejsce na postęp, nowe pojęcia i nowe narzędzia (na myśl przychodzi wielki Mendelejew). Zachęcam do lektury pogłębionych rozważań nad tym zagadnieniem w tomie drugim, *Europa gazów*.

Tom trzeci wykaże, przy całym szacunku dla niekaukaskich mniejszości etnicznych, jak fundamentalną rolę odgrywają podziały dokonujące się w obrębie kryterium rasowego oraz jak istotne w tym obszarze badań są tolerancja, wolność od uprzedzeń i ksenofobii, a także poszanowanie praw człowieka i respekt dla godności istoty ludzkiej. Wyróżnimy w nim trzy zasadnicze szczepy: słowiański, arijski i śródziemnomorski. Gwoli poprawności wywodu i metodologicznej ścisłości musimy już teraz zaznaczyć, że dość znaczna część tomu *Gazy białego człowieka* siłą rzeczy pokriwać się będzie z konkluzjami tomu poprzedniego, jako że rasa jest wywodliwa z geografii i w dużym stopniu przez nią determinowana, a wykazanie tej zbieżności nie jest efektem ubocznym (jak mógłby

sobie życzyć powierzchowny kritik), lecz jednym z zamierzeń niniejszego opracowania.

Szczep słowiański dzielić będziemy zatem na siedliska: kapuściano-gribowe, kartoflano-mączne, i nabiałowo-owocowe, mając w pamięci, że pola możliwych konjunkcji są w praktyce ograniczone tylko matematyczną siłą oraz naszą inwencją i władzą języka, w którym dokonująca podziału myśl jest wyrażana. Spotkamy tu gazy mieszczące się między małym charakterkiem a osobowością wyraźną, jędrne, z nerwem i rozłożyste, nierzadko z akcentem siana i przypieczonej skórki od chleba.

Podział szczepu arijskiego, jako ostrzejszy i bardziej precyzyjny, zostawi mniej swobody terminologicznej, proponując w zamian ostrzejszy rigor metodologiczny i dyscyplinę pojęciową. Szczep podzielimy zatem na siedlisko nordickie (a w jego łonie na formuły ribną, wieprzową, wołową i drobiową) oraz siedlisko anglosasko-flamandzkie z dodatkowymi formułami piwną i mleczną. Gazy tego szczepu rozciągają się od obojętnych po wielkie charaktery, od zatartych po sztywne, od wulgarnych po wielce witworne, wreszcie od szkieletowych po przeciążone, z zauważalnymi frakcjami dębu, futra, mchu i paproci.

Zważywszy na charakterystyczne rozluźnienie obyczaju, skłonność do abstrakcji w mowie, myśli i stroju, stosunek do czasu, niezwykłą kreatywność oraz inklinacje do zaskakujących fuzji, a także na historycznie uzasadnioną swobodę przepływu idei i gazów w obrębie całego basenu, najmniej radykalny i najbardziej umowny podział rezerwujemy dla *residuum* śródziemnomorskiego.

Ze względu na stopień skomplikowania materji, a także dla uniknięcia podejrzeń o przypadkowość klasyfikacji szczep ten, jako pierwszy, podzielimy podług malejącego ciężaru właściwego, omawiając jego siedliska w następującej kolejności: winne, oliwne, ziołowe, cytrusowe. Ten wyjątkowy szczep nie będzie mieć jednej, wspólnej, dominującej osnowy, stąd też w dotyczącym go rozdziale pojawi się szczególna obfitość formuł i ich permutacji: od całej

palety winności białej, czerwonej i musującej, po katalog ziół wiatropędnych, wiatroprzyjaznych, wiatroneutralnych i wiatrowstrętnych; od popularnych i szeroko wistępujących kompozycji jagnięcych, baranich i kozich, do rzadkich i niezwykle cennych nut truflowych, dziczyźnianych, krewetkowo-homarowych i *mignon*. Wspólne im wszystkim będą zaś cechy łobuzerskie przy pewnej szacowności, wikrętność przechodząca w dziurawość, ale też momenty doskonałej równowagi i pełnia możliwości. Niebezpieczne dla badacza mogą okazać się aspekty octowe i siarkowe, z pewnością trafią się też gazy zmaderyzowane.

Rodzina, klan, plemię, naród, wreszcie rasa to struktury społeczne, które łączy znacznie więcej niż więzy krwi. Jeśli wnikliwy czytelnik uzna, iż udało nam się wikazać, że pośród wielu spoiw, o których z tak wielką znajomością rzeczy traktują antropologia, socjologia, historia, ekonomia, medicina, filozofia, religioznawstwo, jest miejsce również na genotyp gazu, zadanie temu trzeciego zostanie spełnione.

Najprostsze (z pozoru) kryterium wieku nastęrcza badaczom kolosalnych trudności, którym kres pragnie położyć tom czwarty, proponując (paradoksalnie) pojęcia skrajnie ogólne, w miejsce wisoce przecenianych, zbyt detalicznych i zawężonych narzędzi, których stosowanie w practice przypomina raczej dzielenie gazu na czworo niż rzetelne badania. Jakiż bowiem pożytek może płynąć z teorii, która doprowadzona do logicznej konkluzji każe nam zaniechać wszelkich wisilków systematizacyjnych, w ich miejsce proponując jedną powszechną miarę, czyli czas po prostu? Gdybyż jeszcze wszyscy ludzie chcieli żyć tak samo długo (lub krótko), gdybyż starzeli się w tym samym tempie lub gdyby chociaż średnia wieku nie podlegała fluktuacjom i tak nieobliczalnym parametrom, jak wojny, kataklizmy i plagi! Wówczas, ale tylko wówczas, wistarczyłoby opatrzyć nasz ulotny przedmiot badań ciferkami, powiedzmy, od 1 do 65, i pozwolić nauce osiąść na mieliźnie niedostatecznych próbek statisticznych lub ugrząść w gąszczu nadmiaru danych, pożegnawszy wprzód postęp i intelektualną finezję.

Gaz i czas zaoferuje djametralnie nowe podejście do zagadnienia – przedstawi zaledwie trzy szczepy: nów, kwarta i pełnia, hołdując przekonaniu, że gazy zataczają biologiczne koło i po pełni znów występuje kwarta, a po kwarcie nów. Utwierdza nas w tym cała przyroda, a także charakterystyczna mimowolność, spontaniczność i brak kontroli, które wistępują na początku i na końcu ciklu. Dla zachowania klarowności naszego stanowiska w trwającej dyskusji zrezygnujemy z głębokiego systematizowania w obrębie trzech powiższych szczepów, poprzestając na siedliskach maximalnie ogólnych i odnosząc je do poszczególnych faz ciklu. W licznych rozprawach stwierdzono bowiem ponad wszelką wątpliwość, że tkanka mleczno-kaszana z nowiu na początku ciklu wykazuje lustrzane podobieństwo do kaszano-mlecznej tak znamiennej dla jego schiłkowej fazy. Podobnie rzecz się ma w przypadku obu kwart, gdy stateczna i dość wyrównana osnowa realizuje się w odcieniach torfu, morszczuka i kminku. Dla samej pełni, która naturalnie w ciklu występuje jedynie raz, wiogólniamy zaledwie dwa siedliska: kielbasiano-rubaszne i szparagowo-wsobne, po szczegóły odsyłając do tomu czwartego.

Tomem piątym chcemy definitiwnie zaprzeczyć pokutującemu jeszcze tu i ówdzie mniemaniu, że gazy kobiece, jako mniej zawiesiste, cichsze, lżejsze i słabowite, mają mniejszy walor djagnostyczny. Nic bardziej mylnego! To nie gaz jest bardziej etericzny, elusivny, efemericzny! To kultura tak dalece zmistifikowała kobietę, ubierając ją w szaty dyskrecji i wstrzemięźliwości, że często mimowolnie dyskwalifikowano ją jako pełnoprawny przedmiot dociekań, przypisawszy jej fizjologii cechy, w które wyposażyła kobietę tradycja, społeczeństwo, religia i stulecia ignorancji, czyniąc z niej raczej figurę literacką niż istotę z krwi, kości i gazu. Cała współczesna nauka twardo stoi na stanowisku, że wiatry niewieście potrafią być równie konsistencjonalne, dźwięczne i donośne, różnorodne i zróżnicowane, bogate w faktury, palety oraz barwy. Skazuje się na życie w enklawie przesądu, kto uważa inaczej! I jeśli dziś poważnie rozważamy wiposażenie kobiet w prawa wiborcze, to tym poważniej powinniśmy traktować je jako wolny,

podmiotowy, równoprawny obiekt studiów. W tym sensie tom *Płeć gazu* jest tyleż wezwaniem do uspołecznienia jednej z ważnych dyscyplin naukowych, co wirazem głębokiego przekonania o fundamentalnej równości wszystkich istot ludzkich wobec parcia.

Ostatni, szósty tom *Wstępu do nauki o wiatrach* na mapę pojęć wprowadzonych przez tomy I–V niejako nałoży siatkę terminów subiektywnych, skonfigurowanych podług indywidualnej, fizycznej odczuwalności poszczególnych kategorii, szczepów i siedlisk. W kilkunastu zwięzłych rozdziałach tomu *Efekty specjalne a skutki uboczne* opowiemy o gazach mokrych i suchych, czczych i trawiennych, urojonych (histericznych) i plamiących, figlarnych i zwiastujących, cichobieźnych (skalibrowanych) i spontanicznych (haubicznych) oraz o bolesnych i tonizujących, a także o wszystkim tym, co wypełnia spectrum pomiędzy nimi. Mimo przekonania, że są to zagadnienia znane z doświadczenia nawet nieświadomym ich powagi, uważalibyśmy niniejszy *Wstęp* za niepełny i pozbawiony waloru istotnej, wiczerpującej a metodologicznie poprawnej summy.

Jeśli wierzyć starożytnej maksymie „nie ma dysertacji bez exemplifikacji”, nic tak nie zachęca do dalszych studiów, jak celnie dobrane przykłady. Ileż radości może przynieść adeptowi na samym początku samodzielnej pracy badawczej pierwsza wiczerpująca klasyfikacja. Oto gaz męski / mokry / cichobieźny / węglowodorowy (zachowawczy i dekadentki) / wschodnio-północno-północny / szczep słowiański / siedlisko kapuściano-gribowe / pełnia kiełbasiana. I oto pierwsza trafna diagnoza: lekkie otłuszczenie wątroby, przewlekłe zapalenie stercza, choroba hazardowa w remisji i zaawansowana melankolia, prawdopodobnie szlachcic, jeśli nie arystokrata, z dłuższym epizodem dalekowschodnim, wdowiec lub rozwiedzony. Albo taki: południe-południe-zachód / węglowodanowo-głodowy / oliwno-kozi / w nowiu mleczno-kaszanym / bolesno-plamiący. Lekki niedorozwój umysłowy skutkujący niezdolnością do uczuć wiższych, cięża bliźniacza (jedenasty lub dwunasty tydzień), prawdopodobnie w winiku gwałtu kazirodczego, tężogięcie, skolioza i niedożywienie. Jakież pokłady zasadnej dumy i pracowitej satysfakcji kryje ta piękna nauka!

Gazy mają podstawowe znaczenie dla życia, w każdej postaci gazu i w każdej postaci życia. Bez azotu i bez tlenu nie ma życia, nie ma życia bez wody – a to też tylko szczególny związek dwóch (łatwopalnych!) gazów. Istota ludzka w dziewięćdziesięciu procentach składa się z wody, czyli w sześćdziesięciu procentach z wodoru i w trzydziestu procentach z tlenu. Nie ma życia bez gazu. Gaz jest życiem.

Szaleństwem rozrzutności byłoby lekceważyć, co towarzyszy nam od urodzenia do śmierci, od pierwszego krzyku do ostatniego tchnienia, co stanowi fundament fizjologii człowieka, co pozwala bezinwazyjnie rozpoznać większość popularnych dolegliwości, od płaskostopia do schizofrenji, co wreszcie wykazuje takie same pożytki poznawcze jak krew, mocz, linie papilarne i dno oka. Na taką rozrzutność nauki nie stać, nie stać na to ludzkości i ten oto *Wstęp* pragnie służyć jako pionierskie kompendium wiedzy o człowieczeństwie w jednym z jego możliwych aspektów. Nie jesteśmy bowiem tym, czym jesteśmy, a ściślej – nie tylko tym. W równym stopniu składamy się z tego, czym byliśmy, co widaliśmy, co widzieliśmy, co wipieramy. Historię ludzkości pisze bowiem nie tylko to, co po nas zostaje, ale w takiej samej mierze to, co próbujemy skrzętnie ukryć przed okiem, uchem i nosem następnych pokoleń, bo zbyt ulotne albo nadto kłopotliwe. W człowieczeństwie (jak my je widzimy) tyleż jest dumy i odwagi, co wstyd i hipokryzji. Prziwrócenie wiatrom ich właściwego miejsca w porządku natury i w porządku kultury należy do zadań osadzonych w powinności, nie w ambicji, i tak też chcielibyśmy, aby następne pokolenia czytelników traktowały nasz trud.

Kto wie, czy nie jest to najtrudniejsza z nauk. Bada zjawiska ze swej natury krótkotrwałe i ulotne, wymaga pełnej koncentracji, refleksu i węchu absolutnego, a wszistkimi tymi przymiotami badacz musi wykazać się w ekstremalnych niejednokrotnie warunkach. Nacechowana jest poświęceniem i samozaparciem tak wielkim, że z trudem przychodzi wskazanie innych dyscyplin o równie bezwzględnych oczekiwaniach wobec ich adeptów. Przy tym

wszystkim muszą oni być ponad zwykłą miarę pracowici, ponieważ na miarodajne badania natura zostawia nam ledwie dwadzieścia, najwyżej trzydzieści lat, pomiędzy ukończeniem studiów a początkiem nieuchronnego procesu słabnięcia powonienia. Należy też mieć w pamięci skalę wirzeczeń, jakie nakłada na badacza obowiązek szczególnie higienicznego trybu życia – nieodzownego, gdy podstawowym narzędziem pracy jest najwrażliwszy ze zmysłów.

Ludzkość umie już dość rzetelnie rejestrować i gromadzić obrazy, obiecująco rozwija się technika zapisu i przesyłania dźwięku – wobec woni wciąż okazujemy się bezradni i nadal polegać musimy na przekazie werbalnym. Jakość tego przekazu będzie tylko tak rzeczowa i wiarygodna, jak precyzja zastosowanych pojęć i klarowność języka. Niechże to starczy za uzasadnienie rozmiarów tej pracy i wznaczy poziom debaty nad zawartymi w niej tezami.

Ludzka rzecz, czyli Wstęp do nauki o wiatrach nie byłby powstał, gdyby nie inspiracja, światłe rady i massiwne podwaliny położone przez mego druha, mistrza i nauczyciela P. Susskinda, profesora Uniwersytetu Karola w czeskiej Pradze. Jego to pamięci pracę tę dedykuję.

Szczególne podziękowania należą się mej zacnej żonie, Hannelore Stanislavski, za osobisty udział i pełne poświęcenia, bezkompromisowe zaangażowanie na każdym etapie moich badań. Jej entuzjazm, niezłomna wola, bezwarunkowa zgoda na udział w ryzyku i niezachwiana wiara w płynący z nich pożytek były mi bezcenną pomocą w codziennej pracy i wielkim oparciem w chwilach zwątpienia. Dziękując z głębi serca, nie waham się powiedzieć, że jest to tyleż moja rozprawa, co jej.



Nawet jeśli brakuje paru dialogów, to co? Serca rdzewieją, ulatniają się namiętności, idee odchodzą w niebyt, giną księgi i partytury, ludzie się gubią, Ewangelii nie można się doliczyć, bez śladu całe

lądy i narody całe znikają. I co? Nikt nie rozpacza, nie rwie włosów z głowy, żaden szloch nie wstrząsa posadami świata. No nie zachowało się, niestety, i tyle. To o co te pretensje? Taka jest ich natura i uroda taka, że tylko z rzadka rozmowy przeżywają rozmówców, i właściwie nic dziwnego, bo to tylko dźwięki są, powietrze wprawione w drganie, tlen, azot i coś tam jeszcze, i istnieją w podobny sposób – nie widać tego, nie czuć, i tylko każdy oddech i każdy płomień dowodzi, że są. Z ostatnim tchnieniem, z kopącym knotem odchodzą i rozmowy, odchodzą prosto w jakąś własną hiperbolę ważnych słów i zdań tak ważnych, że można je powiedzieć tylko raz, raz na zawsze.

Czasem gnane pychą przekonania o własnej doniosłości potrafią na moment wrócić, wychynąć z niebytu, by przez ułamek sekundy udawać, że zawsze tu były, przy kuchennym stole, na ławeczkach wedle piórkowskich płotów, u konfesjonału, pod pierzyną, i dobrze, jeśli czeka na nie zaczajony zbieracz z siatką na motyle, bo jak nie, to niedocenione i zawiedzione pójdą precz i ze swoich retorycznych czeluści będą drwić z egzaltacji rozmówców: „musimy poważnie porozmawiać”. Albo: „bardzo przeżyłem tę rozmowę”. Albo: „nie przeżyję tej rozmowy”.

Słyszał wszystkie, kto słyszał jedną. Jak kto znał Wandę albo wiedział o Smyczku, to mu tego, co zostało, będzie dosyć. A jak komu mało, to niech se szuka własnej Wandy, własnego Smyczka, a także własnej wojny i pokoju.

- Wrócisz?
- Nigdzie nie idę.
- Nie ma cię.
- A teraz?
- A za chwilę?
- Będę musiał.
- A potem?
- Co potem?
- To ja pytam: co potem?
- Potem zobaczymy.

- Co zobaczymy?!
- Co będę musiał.

- Wrócisz?
 - Jeszcze nie wychodzę.
 - Nie wychodź.
 - Ludzie zostali...
 - A ja nie zostaję czy tylko nie jestem człowiekiem?

- Wrócisz?
 - Mogę wejść?
 - Ale bez tego żelastwa.
 - Bo?
 - Zostaw w sieni.
 - Bo co?
 - Bo nic z tego!

- Wrócisz?
 - Zawsze wracam.
 - A na zawsze?
 - Nie teraz.
 - Kiedy?
 - Kazimierza pytaj.

- Wrócisz?
 - Kiedyś...
 - Obiecałeś.
 - Masz papiroski?
 - Nie mam!
 - No chodź tu...
 - No idź już.

- Wrócisz?
 - Nudzisz.
 - Nudzę?!
 - Bo wróć!

- Wrócisz?
 - Muszę iść.
 - Patefon się popsuł.
 - To tylko igła.
 - Dach cieknie.
 - Dosypało.
 - I drzewko nieubrane.
 - U mnie cały las takich.
 - I kalendarz się kończy.
 - Będzie nowy.
 - I przygłup mnie podglądał.
 - Utlukę!

- Wrócisz?
 - No.
 - No tak czy no nie?
 - No, no...

- Wrócisz?
 - Zaczekasz?
 - Zwlekasz?
 - Popędzasz?
 - Straszysz?
 - Wytrzymasz?
 - Wątpisz?

- Wrócisz?
 - Jeszcze nie przyszedłem.
 - Nie o to...
 - Już idę, teraz idę.
 - Jeszcze nie przyszedłeś?
 - Idę...
 - Chodź.
 - A ty?
 - Ja już...

- Wrócisz?

- Mam wyjść?
 - Zostań!
 - Można?
 - Chcę.
 - Jesteś pewna?
 - Tak, chodź.
-
- Wrócisz?
 - Mhm.
 - Śpisz?
 - Mhm.
 - Kłamiesz?
 - Każdy kiedyś wraca...
-
- Wrócisz?
 - Tam czy tu?
 - Nie wrócisz.

A właśnie, że wrócił. I co to za powrót był! Jaśnie cesarskim pojazdem, wymondurowany galancie jak na paradę jakąś, w kancik wyprasowany, guzikiem a klamrą błyszczący, w lśniących jak lustra karawanu oficerkach (tak, tak, wszyscy widzieli), odpoczęty i rozmarzony, ale jednocześnie z wyrazem skupienia jak zawzięty pan młody, co nie tylko powiedział oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci, ale nawet po, i jak powiedział, tak zrobił, bo jak kogo za dużo za życia, to tak łatwo się nie pożegna, i zostanie, tak albo inaczej, że jakby tu był, choć go nie ma. Nigdy całkiem nie odchodzi, kto tak wraca.

Wszyscy wiedzieli, po wsiach dookoła i także w Biało-brzegach, rodzeni ojcowie wiedzieli, dziedzic wiedział, Haham wiedział, Morga, Uczciwek, nawet sam Smyczek wiedział. A najbardziej to wiedział Kazimierz.

A Wanda nie. Bo nie i już. Do ostatniej chwili nie chciała wiedzieć, jak dobrze wie. Kazimierza pod piekarnią zobaczywszy, dopiero odkryła, że jej ten widok nie dziwi, nie wywołuje spazmów, że

w ogóle nie robi większego wrażenia, jakby jakiś karawan od samego początku stał pod piekarnią, niby trochę na uboczu, jakby trochę w cieniu, spowszedniały i mącznym pyłem przykurzony, ale na widoku, gotowy do drogi, od zawsze. Spodziewała się tego właściwie i sposobila, a zajmując głowę, ręce i ciało czymś innym, nigdy nie przestawała o tym myśleć, nieświadomie, jak atleta, co wyrывa sztangę we śnie, po czym budzi się obolały i wyczerpany. Może dlatego nie uroniła jednej łzy.

Niegodziwie byłoby myśleć, że czekała na śmierć najdroższego, strasznie i chyba nieprawdziwie, bo czekała raczej końca udreki czekania, o którym wiadomo było, że nadejdzie, tylko nie wiadomo kiedy. To zresztą też źle brzmi, niestety, bardzo źle.

A tam, niech se gadają, tej miłości nie da się obrazić. Nawet gdyby o tym chciała do kogoś porozmawiać, Wanda nie umiałaby wskazać tego jednego, znamionego momentu w złe znaki obfitego, tego pojedynczego błysku niedobrych przeczuć, co dzieli najczulszą czułość na złowieszcze „przed” i tragiczne „po”, na intuicyjne „wiem” i zrezygnowane „wiem, że wiem”. Tyle tego było.

Bo u Smyczka wszystko było naznaczone jak pękaty omen, co się za chwilę rozsypie workiem czarnych kotów. Od tej gwiazdy betlejemskiej począwszy, co wyglądała jak ciągnąca ku ziemi kometa, a wszyscy wiedzą, co to za wróżba i chyba gorszej być nie może, i chrześcijańska tradycja jedno, ale ludzie po wsiach głupie nie są i swoje zaś wiedzą; przez śmierć pierworodnego, bo to tak jasne, że nic tu już objaśniać nie trzeba, aż po to zdjęcie o brzegach w nieregularne ząbki, co posuwało się w latach razem z Jasiem, przechodząc wraz z nim metamorfozy zmarszczek, zarostu i początków siwizny, aż jednego dnia przestało, stężawszy w wyrazie odpoczętym, rozmarzonym a skupionym. Widać miał Smyczek pisane.

I niby siedziała Wanda podle katafalku, gdzie najbliższej rodzinie miejsce wypada, ale bardziej jakby przy kuchennym stole, nad kratkowanym kajetem, śliniąc kopiowy ołówek, biedząc się nad

rachunkami, i za każdym razem wychodziło jej, że z jakichś ostatnich dziesięciu lat Smyczek spędził w domu czużamen może rok, a może nawet nie. Było tego akurat tyle, żeby starczyło na wspomnienia, za mało, żeby zrobić zapasy. Nie dość, żeby starczyło na zaś, w sam raz, żeby się nie zmarnowało.

A cień trupa jest dłuższy niż cień żywego! No jakiś większy po prostu. Nie wiadomo, o co chodzi, ale przecież widać, że jest go więcej. Gęstszy, ciemniejszy, obfitszy czy co? I źródło światła nie ma tu nic do rzeczy, bo zjawisko występuje w świetle świec, reflektorach ciężarówek i słonecznych promieniach. To skąd się to bierze, co to za sztuczka, co na to uczeni, malarze i kaci? Czy to zakrzepła krew użycza statycznej powagi bezwładnym kształtom? Czy to dusza wyłazi z ciała i wlewa się w cień, nasycając głębią kolory po ciemnej stronie widma? Czy to tylko pigment śmierci, co sprawia, że nawet karzeł rzuca cień giganta?

Widocznie dusza też ma swoje kolory. Musi Smyczek miał duszę przeważnie czarną, ale w pstrokaty deseń, bo dużo tam było barwnych zakamarków, hulały odpustowe przeciągi i grzmiały tęczowe wodospady. A najgorzej, myślała Wanda, że ze wszystkim mu było do twarzy, bo dusza, nawet najczarniejsza, umie być piękna. I w całym tym remamencie, co zaczął się na długo przed pogrzebem, na długo przed wojną, przed śmiercią pierworodnego nawet, Wanda dodawała i odejmowała odejścia, chwilowe powroty, wieczne utrapienia i same wady, i za każdym razem wychodziło, że jeszcze jej się należy, że to nie może być koniec, koniec słupków, koniec świata.

A tu proszę, koniec leży na katafalku z dwóch prostych kozłów, w naprędkiej trumnie, z grudką piórkowskiego błota w uchu, zabity na śmierć, a tak, że nie wiadomo, na kim się mścić, bez większych widoków na zbawienie, przez grzeczność tylko chowany w poświęconej ziemi, żegnany z ulgą lub najwyżej z rozrzewnieniem, i jeszcze wygląda na zadowolonego z siebie.

Z której strony spojrzeć, Smyczka było za dużo i, co gorsza, miał za dużo, a to jest zawsze początek zepsucia. Bo wedle piórkowskiej miary, Jasiu był najbogatszym człekiem na świecie. Nie jakimś tam bogatym, ale najbogatszym właśnie, bo bogacze mają dokładnie to samo, co on, tylko furę kłopotów do tego, a Smyczek wcale nie. I można pomyśleć, że to jakieś niesprawiedliwe jest, że chłop psuje się od bogactwa, a niewiasta musi się najpierw porządnie zepsuć, żeby dojść do tego samego. I jeśli w tym, co powiadają, że miłość jest talentem ubogich, jest żdźbło prawdy, to była Wanda najbiedniejsza na świecie. I dumna, jak tylko bieda być potrafi.

Taka wojna to nie musi być zaraz najgorsza rzecz. Wanda nawet lubiła wojnę, bo wraz inne baby trzymała z daleka od jej oblubieńca. Nie widziało jej się, żeby zabijanie i chuć szły w parze, jak cyngiel i dzyndzel, jak pałac i pałować, jak *Hände hoch* i och, och, och, i nawet się bardzo nie myliła, i sypiała spokojniej, niż kiedy Jasiu grał po weselach, pił z Cyganami albo we wojsku służył. Bo z wojny się wraca albo nie, ale z porubstwa tylko się wpada na wiarołomną chwilę i pędzi dalej. I nie wiadomo, co gorsze. Duszy nie przytulisz i ona także nie przytuli, a w pewnym wieku dobrze jest mieć coś wypodpierzynnego.

Nie żeby chodziło tylko o to ciało, chociaż duże i krzepkie, wonne, smagło-trzcinnie, przypadkiem czułe, letargicznie skłonne, płasem zaczepne, szorstki len i gibki szczupak w tataraku, w niebo wycelowane, nienasycone i nieomyślne, zwierzę i myśliwy, wdech i wydech, dzban i studnia, i żuraw wedle studni stojący, kamienna poduszka i kamienny spokój kamiennego snu na ramieniu ze skały. No jak na miarę zrobione.

Wierzyć, że gdzieś musi być, i tęsknić za tym, to jedna sprawa, a umieć udowodnić, że istnieje, to jeszcze zupełnie co innego. Szukać i znaleźć, albo znaleźć bez szukania, albo najlepiej, żeby się samo znalazło, niech płasa, niech się napije z dzbana, niech się potknie o kamień, i tylko nie psuć, i tylko pozwolić, niech samo na jaw wyjdzie i niechże się cała reszta sama dokona – to zupełnie inna

sprawa, co z cudem graniczy, choć sama w cuda nie wierzy. Bez cudu kończy się w przymierzalni.

I to też Pańska sprawka. Nie tylko talentem szafuje, ale i całą resztą także. Niby drobiazg, a to gdzieś coś krztynę wygładzi, gdzie indziej ciut poprawi, tu ździebko zaokrągli, tam kapkę wyprostuje, biel zębów o pół odcienia rozjaśni i głos o ćwierć tonu skoryguje. Zadba o detale, oku da małą iskierkę, dłoniom kształtne palce, włosom wiatr gęstszy o burzę i uncją szlachetnego srebra oszadzi skronie. Tu i ówdzie dołoży centymetr lub dwa, i już, i spróbuj się oprzeć. Pan tkwi w szczegółach.

Z kolei jak się nim za bardzo przejąć, to jest z ciałem tylko kłopot-utrapienie i bywa, że wydatek znaczny. A tak, to samo da znać, czego chce, wzruszy, zapamięta, od drzwi zawoła, ogarnie, czemu rozum nie sprostą, zawłość porzuci, a prostotę w ogniu postawi, wulgarnym przypomni o niewinności, a niewinnym wytknie obłudę, historię ran i uniesień opíše, i każdy mąż i niewiasta każda własną w nim przeczytają nagą prawdę. Racja, niedobrze, gdy się marnuje i odłogiem leży, ale ciało to tylko koperta na list miłosny.

Wanda chciała się napić, bo była zła. Na „Kapelę”, bo to wszystko przez nich, na Kazimierza, że wszystko wiedział, na piórkowskich, że fałszywi i fałszywie śpiewają, na dziedzica, że tuż za nią natrętnie usiadł, na ojców, że starzy i jacyś głupkowato uśmiechnięci, jak ktoś, kto słucha strasznych obelg w obcym języku i ni chuja nie rozumie, na przygłupa, że przygłupi, na Mоргę, że skończyć nie może, na podły los, remamenty, sakramenty i talenty, i na Pana złoczyńców, cudzołózców i straceńców.

Na siebie też była zła, że chciało jej się pić w takim momencie i że bo nie wiedziała, co Jasiowi na nagrobku napisać, żeby zaś Kominek sam czego nie wymyślił. Imię i z metryki nazwisko to się samo przez się rozumie, ale już z datami był kłopot. „1911–1944”? Przecie to nieprawda, czego remament jasno dowodzi. A może „1911–1932, 1934–1944”, że z powodu więzienie? Czy „1911–1936, 1940–1944”, bo wojsko, wojna i rumuńska niewola? Ewentualnie tak: „1911–

1932, 1934–1936, 1940–1944”. I jak by taki pomnik wyglądał? No niepoważnie jakoś. A może samo: „ – ” na kamieniu zostawić, bo tak to życie mniej więcej wyglądało: proste, krótkie i w pauzy obfite, wyrwy nie do zasypania i dziury, których żadna pamięć zacerować nie da rady, bo i czym? Myślnik? Jaki tam myślnik, raczej bezmyślnik, zwykła głupia krecha, co zagadkowym sposobem umie wiele, bardzo wiele pomieścić, jak biblioteka dziedzica, jak kij karbowego, jak rdzewiejące serce kochającej kobiety.

Albo samo „1944”? Piórkowscy to będą wiedzieli, o co chodzi, przejezdni może zgadną, a resztą i tak nie ma się co przejmować, bo pewnie na cmentarz nigdy nie zajrzą, no bo po co. Albo w ogóle zgoła nic, żadnych dat, dla praktycznych powodów, bo kiedyś i Wandę w tej samej mogile pewnie pochowają, a że starsza od Smyczka, to wszyscy wiedzieli, ale nie o ile, no to się z kamienia nie dowiedzą. Niech se metryk szukają.

Nie rozstrzygnąwszy kwestii, czy kochać pamięć, czy kochać bez pamięci, zatrzasnęła kajet i wróciła do piórkowskiego kościoła. Każdy kiedyś wraca. Powroty ludzka rzecz, bo tylko człek odchodzi i tylko od ludzi, i odejść potrafi, nawet izby nie opuszczając, i wrócić umie bez pukania.

– Czekałam na ciebie całe życie.

– Całe życie czekałem, żeby to usłyszeć.

O! W siatce na motyle trzepoce kawałek dialogu, co się właśnie wziął i odnalazł.



Daj, Panie, wieczny odpoczynek duszy w czyśćcu zatrzymanej i niech jej świeci światłość wiekuista, niegasnąca nigdy. Panie nieskończenie dobry, błagamy Cię, miej litość nad duszą, za którą Cię prosimy, przyjmij ją do przybytku wiecznego pokoju i pomieść ją w towarzystwie zbawionych.

Boże, który przebaczasz grzesznikom i pragniesz zbawienia wszystkich, błagamy dla tego tu Smyczka miłosierdzia Twojego, przez przyczynę Najświętszej Panny Maryi i wszystkich Świętych Twoich. Przyjmij do chwały wiecznej duszę brata naszego, którego do siebie wezwałeś. Uwolnij, Panie, duszę jego ze wszelkich grzesznych więzów. Uczynź przez wielkie miłosierdzie Twoje, aby w dzień sądu nie doznał skutków Twej pomsty.

Boże wszelkiej pociechy, sprawco zbawienia, miej litość nad tym, który cierpi w czyśćcu, uwolnij go z męki i udziel mu szczęścia, jakie przyrzekłeś Twym wiernym. Pozwól się wzruszyć, Panie, i pamiętaj o talentach, w jakie tę duszę hojnie wyposażyłeś za życia, i zapomnij o jej błędach, jakie popełniła przez ich nadmiar i własną ułomność.

Panie, wysłuchaj modłów, które Twój kościół w Piórkowie zanosi do Ciebie za duszę Smyczka cierpiącą w miejscu pokuty. Nie wzywamy dla niego sprawiedliwości Twojej, bo wiemy, że zasłużył na męki, jakie cierpi. Wiemy, że przywiązany do świata, jego uciech i siebie samego, żyjąc tu, obrażał często Ciebie, a słudze Twemu to nawet nożem groził, że mało gorliwie o chwałę Twoją zabiegał, że zadość nie uczynił sprawiedliwości Twojej i że teraz wypłacić się jej musi.

Ale wspomnij, Panie, że Jezus, nasz Odkupiciel, ofiarował się również za tego tu Smyczka na krzyżu, że również za Smyczka cierpiał i krew swą przelał, że serce Jego również dla Smyczków jest otwarte i że zadośćuczynienie, jakie ofiarował za niego, przewyższa wszystkie grzechy przez tego tu Smyczka popełnione.

Panie Jezu pełen miłości i miłosierdzia, który nie gardzisz nigdy westchnieniem nieszczęśliwych, wzywam łaski Twojej dla duszy w czyśćcu będącej, a osobliwie dla tej, której tak drogie było życie na ziemi. Przez najczystsze łzy oczu Twoich, Panie Jezu, oczyść ją z brudów, jakie przez grzeszne spojrzenia na nią padły. Przez błogosławione Twe uszy, otwarte na jęk boleści, zgładź wszystkie grzechy popełnione przez ciekawość, która go przywodziła do złego. Przez ożywiająca moc słów pełnych słodyczy ust Twoich przebac

mu wszystkie winy popełnione mową nierozważną. Przez niewinność życia Twego oczyść go, Jezus, ze zmyły, jaką na nim wszystkie złe myśli, złe uczynki i zaniedbania zostawiły. I policz mu, Panie, także i to, że nie bał się i nie kłamał.

Amen! Zapomniał powiedzieć „Amen”! Na końcu powinno być w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen – tyle to wszyscy wiedzieli! Musi Morga zapomniał i dotarło do piórkowskich, że z proboszczem coś jest nie tak, że zamysłony jakiś, roztargniony czy jak, a co bojaźliwsi to nawet pomyśleli, że może i zestrachany. Bo za zmarłych modlitwę powiedział taką jak komukolwiek, jak pierwszemu lepszemu, nie zaś chorążemu, co poległ z bronią w rękę, ojczyzny broniąc, a nie po to piórkowscy tak licznie do kościoła przyszedli, żeby cokolwiek usłyszeć, bo to już znali i zaczęli się nudzić.

Morga, co swoją trzódkę dobrze znał a wysokiego mniemania nie miał, czuł oczekiwanie publiczności, które zaczęło się napięciem ogromnym, by potem słabnąć, aż do uczucia zawodu, jak gorzałka, z której wyparowały procenty, bo gospodarz czegoś w porę nie zamknął. I Smyczek, i piórkowscy zasłużyli na więcej, bo ten pierwszy naprawdę zginął, a ci drudzy naprawdę przyszedli odprowadzić partyzanta w mondurze szkopu pod nosem. Za mniejsze sprawy Zerbst wsie z dymem puszczał.

Nawet jeśli już nie Smyczek, to bynajmniej piórkowscy zasłużyli na więcej i dobrodziej całkowicie się z nimi zgadzał. Znamienne zresztą, że najczęściej to Morga zgadzał się z piórkowskimi, a odwrotnie jakby rzadziej. Widocznie ci, co mają posłuch, nie muszą mieć racji, a sprawiedliwi nie muszą mieć posłuchu, i niestety, ale jak się seminarium skończyło, to trudno pojąć, że rozum okazuje się zbędny, gdzie chłopski rozum w zupełności wystarcza.

I ksiądz sobie, a piórkowscy sobie, i przeczuwał dobrodziej, że lepszej okazji nie będzie. Nie tylko, że lepszej nie będzie, ale że w ogóle żadnej innej może nie być, czyli że ta może być i jedyna,

i ostatnia, a za wyjątkowe rzeczy wyjątkowo gorzko się płaci, i jakby co do czego, to do płacenia będzie tylko Morga, bo najlepsza okazja kosztuje tyle samo, co ostatnia, ale żeby się z tak wygórowaną ceną pogodzić, trzeba mieć bogactwo, jakie tylko ubodzy, cisi i pokorni miewają. I powoli pojmował dobrodziej, że to nie żadna okazja, ale zaś pasterski obowiązek i nakaz przyzwoitości, i że tu nie on, proboszcz, ale Smyczek pierwsze skrzypce gra, i że mimo wszystko hultaj najwidoczniej miły był Panu, bo gdyby chciał Pan go pokarać, to byłby Smyczek zginał od pioruna albo choroby, albo od żmii, a nie od Niemca, bo od plagi ginie się za karę, a na sprawiedliwej wojnie ginie się po coś, i za to coś i za taką śmierć warto się pomodlić. I pokorniał, a wraz z pokorą kiełkowała i eulogia, a taka, co to chłopski rozum wyгнаł z niej wszelkie frazesy, tylko proste i od siebie słowa zostawiając. I na koniec modlitwy za zmarłych dlatego o „amen” zapomniął, że dojrzewały w nim słowa, których podczas nabożeństwa szukał, choć cały czas na podorędziu były, czyli w pobliżu, pewnie koło serca, niewyszukane, niewymuszone, i tak bardzo dobrze znane. Uwolniony od demona ambicji, górnolotnej powagi i oratorskich zapędów Morga, co przez cały obrządek grał na zwłokę, czuł się teraz gotów, by pokonać dziesięć kroków, wspiąć się po dziesięciu stopniach i zmierzyć z syndromem ambony. Skromniął, ubożał i cichł z każdym krokiem i z każdym stopniem, a że znał już, w jakie słowa pożegnać tego tu Smyczka, to poczuł i siłę, i radość, i wdzięczność, że Pan natchnieniem nagradza cierpliwość i pokorę.



Najśmieszniej to było, jak „Kapela” i „Lazaret” jednocześnie na ten sam pomysł wpadły, żeby most wysadzić, co go Zerbst wyrysował i w miejsce brodu podle Białobrzegów pobudował. Może nie zaraz most, mostek raczej, bo drewniany i wąski, że się dwie furmanki ledwie wyminą, ale taki solidny, że w razie co i ciężarówkę wytrzyma. Wiadomo, nasze drewno.

Nie żeby komu most przeszkadzał, wręcz przeciwnie, więcej pożytku z niego okoliczni chłopcy mieli niż szkopy, że nie wspomnieć o partyzantach, bo białobrzesci garnizon od lasu tylko rzeczka dzieliła, jak naturalna fosa, i do różnych akcji bojowych leśnych raczej zniechęcała, ale durny Niemiec wiedział lepiej i koniecznie musiał coś zbudować, najlepiej pożytecznego, choć nikt go nie prosił, to zasłużył na naukę, choćby nawet karzącą rękę również też miała zabołec. Niech se nie myśli.

Smyczek pewnie uznał, że taki most to w ogóle jest strategiczna sprawa, bo go tyle we wojsku nauczyli, i gdyby nie był wojennie potrzebny, toby go szkop nie pobudował. A Uczciwek mógł sobie wykoncypować, że w odróżnieniu od pociągu most się nie rusza, czyli że stoi w miejscu i chroniony za bardzo też nie jest, bo się w szwabskim łbie nie mieściło, że można coś pożytecznego naumyślnie zniszczyć, a jak już koniecznie jakiś most musi polec, to prędzej żelazny kolejowy, parę kilometrów w górę Chwalicy, też zresztą niemiecki. No i ofensywa daleko i nie na pewno, i dobrze, żeby „Lazaret” o sobie czymś dupnym przypomniał, bo ludzie tylko o „Kapeli” gadają i klucz wiolinowy pamiętają, a dla reszty to mają tylko gest dłoni niby to zaciskanej na dyngusowym jajku albo malowane kredą na płotach uszy, jak dwie odwrócone litery „u”, przez co polityczna robota kuleje. A że most drewniany, to obaj uznali, że parę baniek benzyny i kilka granatów wystarczyć powinno.

Że z nudów na to wpadli, to i nikogo dziwić właściwie nie powinno, ale żeby tej samej nocy, to już tajemnicza sprawa i dziedzica spytać by trzeba, czy aby Uczciwkowi nie doniósł, co Smyczek szykuje. Chyba że obóm wyszło na to, że sylwestrowa noc czujność szkopa uśpi i że Nowego Roku nie godzi się witać bez fajerwerków, a skąd tu wziąć petardy, race i kapiszony, kiedy nie ma, za to granaty obrodziły i kto chciał, miał ich tyle, ile słuszny warkocz czosnku u kuchennej powały.

Skończyło się, jak się skończyło. Uczciwek zaminował swój, znaczy białobrzesci przyczółek mostu, a Smyczek swój, czyli od Zatylniej.

W ciemną choć oko wykol, szklanomrozną noc wszelki dźwięk niósł się jak najbardziej i zaś obaj usłyszeli, że ktoś na przeciwnym końcu grasuje. Nie wiadomo, kto pierwszą serię posłał, najważniejsze, że nikomu nic się nie stało. Na szczęście przyszedł Zerbst, parę flar wystrzelił, pieprznał z moździerza kilka razy i przegonił jednych i drugich, zanim się komu krzywda stała albo mostowi jaka szkoda.

Most, wraz przezwany noworocznym, przetrwał nienaruszony, tylko ździebko nadpalony. Czy to benzyny za mało, czy granatów kto pożałował, trudno powiedzieć. Może nawet stoi do dzisiaj, bo na pewno był jeszcze na swoim miejscu w dwadzieścia lat później, kiedy to wróciła jedna z piórkowskich panien na roboty wywiezionych, z mężem przyjechała, nie dość, że niemieckim, to takim po cywilnym ślubie. Wróciła na chwilę śmiesznym autem o wesołej mordzie i wybałuszonych ślepiach, co wyglądało, jakby je z kilku dużych miednic wycięli. Wszyscy widzieli, jak się wahała, czy na noworoczny wjechać, a później we wsi to nawet pytała „a cóż to wam się w most stało?”. I nikomu nie chciało się jej tłumaczyć, i wyjechała z pustymi rękami tym swoim volkswagenem, bez dekli, ale za to z wiolinowym kluczem wydrapanym gwoździem na masce. Cholerna dzieciarnia.



Kazimierz nie lubił dzieci, z *vice versa* zresztą, bo dzieciaki się go bały. Nie żeby pierzchały na jego widok gdzie popadnie, aż takie strachliwe toto nie było, i w końcu karawan, konie wyczubione w czarne byrdywy i czarny świerszcz na koźle na broniszewskiej drodze niczym nowym nie były, ale zawsze. No bo przecież nigdy nie wiadomo, komu akurat Kazimierz zaprzągnął, czyja matka zapłacie, gdzie też tym razem lustra zasłaniać będą, i ani go zatrzymać, ani obłaskawić. A smarkacze jak się boją, robią się podłe i nasłuchał się Kazimierz wrzasków, gwizdów i przezwisk, z których „Śmiercimierz” najłagodniejsze było. Szczęściem sam karawan jeszcze jakieś nabożeństwo budził, że go żadne diablę gwoździem nie porysowało ani kamieniem nie rzuciło, za blisko nie podchodząc

i z bezpiecznej odległości głupie miny strojąc. Śmierć szacunku uczy. Oraz długość bata.

O butach Kazimierz myślał więcej niż inni. Że o ile musiały być za duże, żeby się dały na opak założyć, i że to mocno dziwna sprawa, bo nie raz widział, jak się Smyczek mocował, żeby oficerki wzuć albo zzuć. Widywał też, jak kładli go spać, pijanego, w butach, bo nijak ściągnąć się nie dawały, a raz to nawet widział z daleka, jak pobitemu do nieprzytomności Siwi próbowali je ukraść, przecież krzepkie chłopcy i w kilku, a też się nie dało, i nawet myśleli, żeby ciut poniżej kolan odrąbać i resztę wydłubać, ale się Uklejowe nicponie nawinęły. Chociaż z miasta, i to bynajmniej dużego, rozumiał, że na wsi buty nie są częścią przyodziewku, ale symbolem statusu, środkiem lokomocji i wolnością osobistą, a to wszystko są rzeczy, co różne występne namiętności rozpalają i z łatwością do zbrodni przywieść mogą.

W głowę zachodził, skąd w złych czasach Jasiu wziął tak dobrego szuwaksu, co wydobywa skórzane srebro ze skórzanej czerni, że para butów budzi zachwyt jak najlepsze malarstwo i niepokój jak szklana kula do przepowiadania losu, i oczu nie można oderwać od tego światła, co nie świeci, tylko błyszczy jak tafla wulkanicznego jeziora w księżycową noc – ciemno wkoło, a czytać można, co było, widać, co jest, i prześwituje, co ma być. Dobry szuwaks, węgiel polerowany rtęcią, odcienie luster, przez które można podglądać tamten świat, wszystkie tamte światy. Są kolory, co świecą, i takie, co oświecają. Jak się umie, to czytać można z gwiazd, można z kart, z wosku, z ręki. Widocznie można i z czerni. To i cała tajemnica zaprzęganía. A poza tym szuwaks jest zwyczajnie potrzebny do konserwowania uprząży, bo wprowadzie od Hermèsa, ale gdzie nawet najlepszym paryskim rzemieślnikom mierzyć się z piórkowskim błotem.

Bo wieś zna cztery żywioły: deszcz, ciszę, kurz i błoto. Każdego pod dostatkiem, ale tego ostatniego najwięcej i najdłużej, i w biblijnej dokuczliwości rok w rok wygrywa błoty medal z innymi zmorami. A jakież to żywioł ten ogień, starczy zapachu trzpiotowi najwyżej na

parę chałup i kilka stodół, strawi, co ma strawić, zmęczy się, wypali i pójdzie w popiół. Deszczowi też wraz się kończy wezbrana cierpliwość, leniwy i znudzony wsiąknie albo wyparuje, spasiony rozłoży się w chmurach i robi sobie sjęstę, poczeka do następnych roztopów. A błoto trwa, jakby nigdy nic, z uporem maniaka, nie do przeczekania, jakby wiedziało coś więcej o wieczności, na przekór suszy, melioracji i przymrozkom. Pożary jak namiętności, zdarzają się z rzadka, a niektóre nawet dają się ugasić. Po ostrej zimie zawstydzona przychodzi tak łagodna, jakby jej w ogóle nie było. Słońca i wody raz braknie, a raz ich za dużo i nie nadążysz. Naprawdę liczyć można tylko na błoto.

Nic tak nie kształtuje charakterów. Kazimierz, co odmawiał tylko samobójcom, a nigdy nie odmawiał ze względu na pogodę, sam był żywym dowodem siły najbardziej piórkowskiego z piórkowskich żywiołów. Deszcz irytuje, śnieg koi, błoto hartuje. Kurz i ciszę jeszcze idzie wytrzymać, potrzeba tylko cierpliwości, a tej piórkowscy mieli pod dostatkiem, może z wyjątkiem Morgi, ale jakież on piórkowski. Nasze ale błoto to zaś sprawa zupełnie innej wagi, co woła o wielkie męstwo i skrupulatność wielką – próba cnót i badanie wzroku, bo wędruje się tam, gdzie nie dociera światło dnia ani inne żywioły, w piasty, łóżyska, między żebra resorów, do ucha, buty ukradnie, utopi wozy, udreńczy konie i ludzi, a jak już obeschnie i odpadnie, to wylezie rdzą i piachem zazgrzyta między zębami. Takie błocko to więcej niż woda i gliniasta ziemia, więcej niż kałuże stojące w koleinach, to potyczka z esencją bytu, który wciąga, oblepia, zatyka pory, usta, oczy i nos i bezradnych porzuca na pastwę brudu, i ani się z tego podnieść, ani wyczyścić, można sobie najwyżej pobulgotać, zanim się utonie bez fasonu i bez sensu.

Nasze błoto wyczerpuje znamiona połowy paragrafów kodeksu karnego, od sprowadzenia powszechnego zagrożenia, przez napad z użyciem groźnego narzędzia i wymuszenie rozbójnicze, po usiłowanie zabójstwa. Drań i groźny recydywista, zdolny do licznych przestępstw, na jakie starczyło wyobraźni autorom kodeksów, a nawet do tych, dla których wyobraźni zabrakło: nawoływanie do masowej apatii, otepianie karalne, dołowanie ze

szczególnym okrucieństwem, parabola z poważnym uszczerbkiem dla zdrowia, nielegalne posiadanie metafory, ucieczka z miejsca upadku. Bez umorzenia i przedawnienia. Samo bezkarne, jednocześnie jest okolicznością łagodzącą dla drugiej połowy paragrafów i po wizji lokalnej piórkowskiej drogi każdy sąd was wszystkich uniewinni z powodu ograniczonej poczytalności.

Błoto to taki sam skandal jak istnienie, bo jedno i drugie obiecują to samo – udrękę za życia i śmierć przez udręczenie. Zmaganie ze skandalem, tak jak zmaganie z istnieniem, skutkuje tylko jeszcze większym błotem, błotem, co sięga duszy i rozumu, upija i halucynuje, wiedzie ku zakładom, cyrografom i paradoksom. Wymyślicie, że leczy życiodajnym źródłem. Taplając się w grząskich znaczeniach, chwalić będziecie wasze błoto w sercach i błoto w umysłach waszych. Ulepicie z niego bałwany. Wyrzeźbicie seryjne opoki na użytek wszelkich wątpliwości, koronne argumenty w każdym dyskursie i wygodne kneble. Uczynicie zeń zabawę i zabawki. Będziecie podziwiać gejzery, fontanny i zaglądać do studni. Zażywać je będziecie jak afrodyzjak i palić jak opium, aż uwierzycie, że chroni przed bólem stapania po ziemi. Dożyjecie jeszcze błota, co chroni przed brudem, i brudu, co oczyszcza. Poznacie błoto namiętności i błoto logiki.

Musi nie tylko Morga miał kłopoty z tym pogrzebem. Także Kazimierz, co naoglądał się nieboszczyków i zastrzelonego na śmierć też nie raz widział. Na jego karawaniarskie oko nie miał Smyczek ani kompleksji, ani bezwładu człeka od kuli poległego, miał za to wszystkie objawy i opuchlizny topielcom właściwe, jakby go Niemiec jeszcze żywego twarzą w kałużę rzucił i nieprzytomnego utopił, a nikt się nie połapał i nikomu nie zaświtało, żeby tętno sprawdzić czy lusterko do ust przyłożyć, bo się wszyscy rozbiegli za deskami, gwoźdźmi i przygotowaniami do pogrzebu, bo pogrzeb to zawsze pogrzeb jest, a nie jakaś tam reanimacja, i kto by w Piórkowie wiedział, gdzie puls szukać, albo lusterko ze sobą nosił, chyba że dziedzic, ale go akurat nie było. Nie żeby z takimi ranami miał Smyczek jakie szanse na przeżycie, chociaż kto go tam

wie, i może tak być, że wzięła wieś i utopiła w błocie rannego bohatera, ale nie na pewno.

I zastanawiał się jeszcze Kazimierz, czy kto na czas pomyślał, żeby grób na cmentarzu wykopać, bo nie widział nikogo z łopata i w kościele wszyscy piórkowscy co do jednego byli, a się jeszcze żaden grób sam nie wykopał, zwłaszcza ten dla Smyczka, który sobie specyficznym zażyczył, żeby go na stojąco pogrzebać, znaczy pionowo, bo tak i już, cała „Kapela” słyszała, że jakby co, ma być głową do góry, a trzeźwy był, jak to mówił, i więcej niż raz, i widocznie swoją rachubę miał, i jak kto pierworodnego w futerale na skrzypce pochował, to i sam ma prawo odejść wyprostowany, czy się komu takie cygańskie obrządki podobają, czy nie.

I jeszcze co się ze skrzypcami stanie, czy mają w karawanie z trumną jechać, czy je może kto poniesie, a może jeszcze przed wyprowadzeniem zawisną w bocznym ołtarzu, obok innych wotów, bo lepszego miejsca dla nich w całym Piórkowie nie będzie. A do tego, w jakim momencie Wandę zapytać wypada, czy gdzie jaka resztką szuwaksu po Smyczku nie została? Kłopoty tylko i rozterki, i ten pogrzeb, i cała ta śmierć jakoś słabo przygotowana, chociaż niby nikogo nie zaskoczyła. Błoto ludzka rzecz, jak śmierć, pono wszyscy wiedzą, a nigdy nie są przygotowani, i jak śmierć nie do ominięcia, nie do przeskoczenia, nie do obejścia, i tylko czas osuszyć je może, jak łzy na policzkach wdów.



Nie wszystkie klątwy ciskane przez Hahama się spełniały, tylko te pomniejszych. Po prawdzie, nie były to nawet klątwy ani nawet złorzeczenie, ale bardziej przypadłość pamięci, jakby się ta pamięć potknęła o jakieś doświadczenie i przewróciła do przodu, jakby czas poruszał się zbyt wolno w stosunku do nieuchronnych tragedii i popędliwych zbrodni, jakby jakiś niezdarny, początkujący anioł zagłady potężnie namieszał w przegródkach na półce u białobrzeskiego fotografa i pozamieniał ciężkie od krwi odbitki

z łożowanymi filmami do wywołania. Żydzisko nie obwieszczał, co będzie, i tajemniczymi sztuczkami dopinał swego, ale mówił, co widział, już pamiętał to, co w pospolitej chronologii dopiero ma się wydarzyć, i to się czasem nawet stawało.

Jeśli zapowiedział Zerbstowi, że ten wdepnie we własne gówno, to dlatego że migawka trzasnęła i ktoś ów negatyw już naświetlił. Jeśli zapowiedział Czynastemu zasraną śmierć, to dlatego że ją wcześniej widział i nie we śnie czy innym nawiedzonym transie, ale na jawie, czyli z otwartymi oczami, jakby oglądał fotografię materializującą się w kuwecie z wywoływaczem. Podobnie widział swoich synów, pięciu czy sześciu, w bydłącym wagonie, na rampie, na taczkach, na rusztach, na wysypisku popiołu, w zależności od tego, w jakim porządku oszalały fotoplastikon raczył mu je wyświetlić.

Widział też Dełesia, już nie dziecko, ale wyrosniętego i zmężniałego chłopaka, umykającego przez pole minowe, w tempie lekkoatlety, ale bez tej gracji, w trawie po kolana, w rozchełstanej kapocie i z cynowym medalikiem podskakującym na odsłoniętym torsie. Mógłby Siwy jeden z drugim pomyśleć, że ledwie dotykał ziemi albo że miał parch aż tyle szczęścia, albo że to jakaś kolejna żydowska sztuczka, a to żelazne saperskie żniwa, trud i znój szeregowego Hioba, kompas śmierci i kunszt niesłychany. I Dełes nietknięty przebiegnie odkrytą przestrzeń i bezpieczny wpadnie w las, a Siwi staną jak wryci i nie będą śmieli zrobić kroku dalej, i tak będą stali, zdyszani i niepewni, równym szeregiem na skraju łąki, z widłami i kłonicami. I nie będzie wiedział Dełes, czemu pościg raptem ustał, i pewnie nigdy się nie dowie, ale będzie o czym opowiadać, będzie o czym opowiadać kolegom z UB, a potem kolegom studentom, a potem kolegom dysydyntom, a jeszcze potem recenzentom „New York Times”.

Jeśli chodzi o niego samego, wzrok Hahama zawodził. Nie widział się w kominie, nie widział się na górze trupów, nie widział się za węglem, za stodołą, za wychodkiem, pod płotem, nie widział się z dziurą w potylicy ani żywcem spalonego, ani zatłuczonego zeberkiem od kaloryfera. Może niedowidział, może migawka

zamarła ze zgrozy, a może negatyw z reportażem z białobrzeskiego pogromu gdzieś się zaplątał i ktoś na jego miejsce podłożył przeświecone do białości zdjęcia z podróży statkiem do Ziemi Obiecanej: wyblakłe w morderczym słońcu nabrzeża portowe, palmy, pustynie, bazary, Arabowie niepojęci jak ich język, Żydzi nieodróżnialni od Arabów i Anglicy groźni jak esesmani. To ma być ojczyzna?

I nie będzie o czym gadać w palestyńskim kibucu, gdzie spotka się tylu kakofonicznych Żydów naraz, że starczyłoby ich na dwie orkiestry symfoniczne i jedną kameralną, a i tak jeszcze by zostało na trzy lub cztery kwartety oraz mały jazz-band. A potem nie będzie o czym opowiadać pejsatym, chałatym i wykamizelowanym sąsiadom na ławeczkach wzdłuż brooklyńskich płotów, bo nic nie rozumieją i poprzestaną na szlochu, zawodzeniu i załamywaniu rąk. A potem jeszcze tylko z godnością nie mieć nic do powiedzenia wszechwiedzącym dziennikarzom „New York Times”, bardziej zainteresowanym własnymi, notorycznie błyskotliwymi pytaniami niż odpowiedziami obłąkanego białobrzeskiego Żyda. Aż przyjdzie moment, gdy czas, ochłonawszy z amoku, zacznie poruszać się zbyt szybko w stosunku do sędziwych tragedii i archiwalnych zbrodni, i wtedy już zupełnie nie będzie o czym gadać, i trzeba będzie w pół zdania kończyć to wybujałe milczenie, w pół słowa, w try miga, i w pośpiechu godnym piórkowskiej piekarni udać się na cmentarz, gdzieś na Long Island, bo taniej.



Jeszcze czego! Tylko alianckich lotników tu brakowało! Trzech by zginęło na miejscu, dwóch dobrowolnie wybrałoby oflag, wpierw zapoznawszy się z naszą kulturą, obyczajem i geopolityką, a jednego nie mogłoby doliczyć się ani gestapo, ani Wehrmacht, ani ci, co przeżyli. Może Siwi byliby coś wiedzieli? W końcu to najbliżej ich kolonii alianci musieliby wylądować, bo tylko tam płasko, no i do dziś by mieli dachy aliancką blachą kryte.

Żeby to jeszcze Anglicy byli. Anglicy to by znaleźli jakiś sposób, żeby podziurawionym jak przetak bombowcem gracko wylądować i w trzy dni po zestrzeleniu na końcu świata w komplecie zameldować się z powrotem w dywizjonie, nawet nie wzbudzając zdziwienia ani podziwu u rodaków, o żadnych medalach nie wspominając. O, już jesteście? Pierwszego wieczora w kasynie kapitan wspomniałby tylko o wyjściu po angielsku: „nie chciałem nadużywać gościnności”. Drugi pilot powiedziałby jeszcze zwięźlej: „ta kapusta...”. Nawigator: „to błoto...”. Bombardier: „nie widziałem celu”. Strzelec I: „skończyły mi się papierosy”. Strzelec II: „zostawiłem włączone żelazko”. A już drugiego wieczora znów hulaliby nad Zagłębiem Ruhry, pili herbatę, grali w dartsy i zazdrościli naszym powodzenia u kobiet. Ech, Anglicy.

Ale że to nie byli Anglicy, tylko raczej nie byli, dajmy na to, Kanadyjczycy, no to trzech byłoby zginęło na miejscu, dwóch wybrałoby oflag, a jednego nie można byłoby się doliczyć, i kiedyś tam, po latach, przyjechałby taki ich konsul (Ludzie, Murzyn! I po naszymu gada!), i ślepnącego Kazimierza by fatygował, żeby mu polowe mogiły wskazał, a może nawet byłby chciał ekshumować kanadyjskie kości, i Siwych próbowałby wypytać, i dachy by im w kolonii obfotografowywał, i szkole flagę byłby podarował, i na piórkowskim cmentarzu stawiałby pomnik, i jeszcze posadziłby klon, a potem to już co roku byłby przyjeżdżał, a potem jego następca, a potem następca następcy, a potem jeszcze i całe wycieczki autokarem na warszawskich numerach, i do tego zawsze w środku żniw. I po co to komu? A bo to mało mamy własnych grobów? Obejdzie się bez alianckich lotników.



Za Uralem w dowód zaufania oraz uznania dla talentów plastycznych i zdolności manualnych, a po trosze także dla szybkich postępów w resocjalizacji, towarzysza Winkler trafiła prosto do kontroli jakości. Ślęcząc po szesnaście godzin na dobę nad gigantycznym szkłem powiększającym, studiowała szlachetne

metale orderów i jedwabie wstążek, tekstylne tęczę baretek i emalie porywczych sztandarów we wszystkich odcieniach czerwieni, których sam łopot zmusi do odwrotu najbardziej zatwardziały wrogów, gdy tylko zechcą załopotać. Opuszkami palców szukała zadr na majestatycznych pochodniach, których żaden reakcyjny wichur nie ugasi i nie sypną iskrami w żadne ufne oczy, lecz płonąć będą na dumnie wyprężonych torsach do końca historii spizur, krzywdy, krwi, nadludzkiej odwagi i nieludzkiej trwogi. Podziwiała niezłomną symbolikę sierpa ostrego jak naukowe argumenty i niewzruszony geniusz młota dobitnego jak prawa dialektyki, roztkliwiała się nad łagodnie wygiętymi kłosami, z których nie będzie mąki, ale ziarno na kolejny znojny siew, i kolejny, i kolejny, aż wreszcie obrodzi cała ziemia chlebem dla wszystkich i wykarmi każdego i na zawsze, a nie tylko nielicznych i od święta, i zaraz potem pałała słusznym rewolucyjnym gniewem nad skrzyżowanymi karabinem i szablą w mimowolnym zachwycie nad spotkaniem śmierci i wzornictwa użytkowego. Badając złoto wawrzynów i platynę wieńców laurowych, irchą i flanelą z wystudiuowanych gwiazd usuwała gwiazdny pył, by ważny towarzysz (Och! Może nawet sam...?), wręczając je, mógł przejrzeć się w każdym z ich ramion z osobna i we wszystkich naraz. Przystudiowała nader dokładnie fizjonomie Suworowa, Kutuzowa, Nachimowa i Aleksandra Newskiego, o których nie wiedziała zgoła nic, ale nabrała już dość rozumu, by nie pytać, dlaczego nie istnieją ordery Budionnego, Czapaiewa ani Tuchaczewskiego, o których w okopach Hiszpanii słyszała legendy. Nie zapytała też, dlaczego wszystkie profile, z wyjątkiem tępawego *en face* Chmielnickiego, są zwrócone w lewo. Wielkiej urody admirał Uszakow, choć tylko półprofil, też w lewo. Skoro wiadomo, że dzieła sztuki są zorientowane jak mapy – północ zawsze na górze – to znaczy, że wszyscy orderowi wojownicy patrzą na zachód. *Na zapad*, znaczy.

Skądinąd status zeka, który polerował Złotą Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego, był w łagrowej hierarchii fabryki im. Kirowa nieporównanie wyższy niż zeka, co doszywał agrafki do wstążek Orderu Czerwonego Półksiężycy Niepodległej Bucharskiej Republiki Radzieckiej trzeciego stopnia, bo urojona aura pracy wykonywanej

dla samego Genseka dawała realne przywileje. Lepsze żarcie, mydło i prycza z siennikiem. Dobrze trafiła, suka.

W rzeczy samej, ustanowioną ostatniego przedwojennego lata Gwiazdą odlewaną z dwudziestocząterokaratowego złota zazwyczaj dekorował osobiście Generalissimus. Chyba że akurat znowu sam ją otrzymywał. W komplecie z Gwiazdą odznaczony otrzymywał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego i jeszcze z rozpędu Order Lenina. Drugie nadanie, a było takich podczas Wielkiej Wojny ledwie 109, oprócz jeszcze jednej szczerozłotej gwiazdy i jeszcze jednego Lenina gwarantowało dodatkowo popiersie w rodzinnym mieście nagrodzonego. Trzecie nadanie – Gwiazda, Lenin, plus państwowy pogrzeb z honorami i urną w murze kremlowskim, z widokiem na mauzoleum. W całym wielkim, pełnym bohaterów Związku Radzieckim tylko jednego męża udekorowano Gwiazdą trzykrotnie.

Wśród obowiązków Hortensji było również kaligrafowanie nazwiska odnanzonego i numeru egzemplarza w legitymacji orderowej Gwiazdy. Do końca swych dni nie zapomni wzruszenia, z jakim wpisywała atramentem w kolorze Jeziora Bajkalskiego, w oprawnej w bordową skórę książeczce, imię, *otczestwo* i pseudonim literacki wodza całej postępowej ludzkości. *Nom de plume*, co budzi grozę jak świst nahajki i żąda respektu jak walnięcie pięścią w stół, dwie metaliczne sylaby, krótkie jak dźwięk repetowanego nagana, zaczynające się od zmysłowej spółgłoski zaciśniętych zębów i rozchylonych warg, westchnienie ulgi, powietrze schodzące z kół, syk ekspresu do kawy. Kiedyś, po latach, wyzna Ilii Erenburgowi, że tylko trzy razy w życiu podniecona była naprawdę – za każdym razem, gdy On dostawał Złotą Gwiazdę.

Bo w gruncie rzeczy, mimo pozorów rozwiąłości, była na tyle wierna i lojalna, by prawdziwie kochać tylko jednego rewolucjonistę na raz, i na tyle wyrobiona politycznie, by był to rewolucjonista z krwi i kości (nieważne, czyja to krew i czyje kości), a nie z sag, mitów założycielskich, elementarzy i oleodruków. Srogi, natchniony, a jednocześnie zadumany profil Lenina budził w niej wprawdzie zawodowy podziw dla artysty projektanta i zarazem

nabożne uczucia dziewczynki na pierwszej lekcji religii, dziecięce jak palec wsadzony do buzi, ale dopiero stanowczy, dalekowzroczny i bezwzględny profil Stalina dobywał z niej wilgoć kobiety, dławiące pożądanie i uległość, która bez dodatkowych zachęt padnie na kolana i jedną ręką krzepko złapie, a drugą delikatnie podtrzyma, budził oddanie, co pokona każdą barierę, budził czułość, co przewycięży wstręt do połykania, zawodowy podziw dla zawodowego rewolucjonisty i zarazem namiętność kobiety w dużej mierze wyzwolonej, dojrzałą jak kutas wsadzony do ust.

Gdybyż tylko On wiedział, że istnieje, gdyby dane im było spotkać się choć raz, choć na chwilę, nie oparłby się jej. Gdyby raz pozwolił się dotknąć – nie mógłby się oderwać, gdyby choć raz mogła go krzepko złapać i delikatnie podtrzymać, nie mógłby przestać o niej myśleć i posyłałby po nią opancerzonego zisa co chwilę, a ona, suka, przychodziłaby na każde żądanie, padała na kolana, podziwiała i połykała, aż w końcu zamieszkałaby gdzieś obok, na wyciągnięcie dłoni, i żyłoby długo i szczęśliwie, ona bezpiecznie omijając kolejne czystki, On bezpiecznie zasypiając u jej boku po kolejnym znojnym dniu. Kto wie, może nabrawszy zaufania, pozwoliłby jej nawet pomagać sobie w pracy? Przy talentach Hortensji nauczyć się Jego podpisu byłoby błahostką i mogłaby Go wyręczyć w parafowaniu tysięcznych dokumentów o fundamentalnym znaczeniu dla Kraju Rad, podczas gdy On siedziałby sobie bez butów przy piecu na daczy i odprężał się, słuchając ulubionej płyty – arii na sopran koloraturowy przerywanych szczekaniem psa.

I niech kto powie, że to nie jest miłość. Tyle że dla rapsodycznej rewolucjonistki zakochać się w Stalinie to tak jak dla normalnej baby zakochać się w świętym obrazie albo w wycinku z gazety. Z równym skutkiem mogłaby zakochać się w Judzie Tadeuszu albo w Rudolfie Valentino.

Te najwyższe ordery trafiały się rzadko. Dajmy na to, Uszakow. Tylko 47 sztuk I klasy, i II klasy też zaledwie 200. Pewnie wojna się za szybko skończyła albo Uszakowa ustanowiono za późno. Szkoda, bo to piękny order, w najlepszej tradycji radzieckiej awangardy,

radykałne połączenie oszczędnego konstruktywizmu z symbolizmem ikon i pełnym wiary w sens sztuki socrealizmem, metaloplastyka heroiczna, miniaturowy esej o postępowej sztuce dla wyższych dowódców floty. Z Suworowem, chociaż nie tak wyrafinowanym, było już lepiej: I klasy – 390, II klasy – 3800, III klasy – 4000. Ale większość i tak stanowiła drobniaczka Orderu Chwały (prawie milion) i masowa produkcja Orderu Czerwonego Sztandaru (580 000), gdzie nikt nie tracił czasu na wypisywanie legitymacji, tylko *bystrzej, bystrzej* pakowano w skrzynie, po pięćset, po tysiąc, po dwa, ile wlezie, zależnie od rozmiaru skrzyni, przekładając kolejne warstwy papierem albo płótnem, jak było pod ręką, albo niczym, jak nie było, na wierzch dorzucano parę sztuk I klasy i z dziesięć sztuk II klasy, i *bystrzej, bystrzej* słano na front, bo dwóch rzeczy na tej wojnie nie miało prawa zabraknąć: butów i orderów.

Zdarzały się, naturalnie, wybrakowane egzemplarze, przy tej liczbie to nieuniknione i w końcu po to jest kontrola jakości, żeby się zdarzały. Brakoroby są wszędzie, sabotażyści nie śpią, ale Smiersz czuwa. Towarzyszka Winkler poważnie traktowała bohaterski wysiłek frontowych żołnierzy, ludu pracującego i jego przywódców, i z równą powagą traktowała swój wkład w ten wysiłek. Dla zaoszczędzenia cennych metali, emalii i tkanin, ale przede wszystkim bezcennego czasu, zaproponowała kierownictwu, by zamiast przetapiać wybrakowane sztuki – przyznawać je pośmiertnie, a brakorobów, zamiast rozstrzeliwać – posyłać na front. Jednym prostym wnioskiem racjonalizatorskim ocaliła kilka istnień ludzkich, bo nie wszyscy szkodnicy na froncie zginęli, kilku sabotażystom wymierzyła sprawiedliwość, bo jednak sporo ich zginęło, a także nadała wybrakowany sens najwyższej ofierze tysięcy poległych oraz sobie zapewniła skrócenie wyroku.

Kontrola jakości pracuje w ciszy i skupieniu, nie ma czasu na pogawędki, plotki i picie czaju. Za gadulstwo można dostać kolejny wyrok. Plotkować nie ma o czym, bo wprawdzie nikt nic nie wie na pewno, ale i tak wszystko jest jasne. A czaju, *prosto*, nie ma. Świat zaczyna się i kończy pod olbrzymich rozmiarów szkłem powiększającym, gdzie widać jak na dłoni całą jego urodę

i wszystkie jego skazy. Tylko tam można spokojnie pogadać: ty, synek, przeżyjesz i wrócisz do domu bohaterem, ale będziesz cierpiał na bezsenność i bił potomstwo. Ty, towarzyszu, umrzesz z przepicia, będziesz pił na kredyt, pokazując udekorowaną pierś, i nikt ci nie odmówi, i nikt się nie odważy wziąć w zastaw Czerwony Sztandar. Ty, *mołodiec*, dostaniesz pośmiertnie, z powodu rysy na kłosach i popękanej emalii, przykro mi, już nie żyjesz. Ty, żołnierzu, statystycznie przeżyjesz, ale jeszcze będziesz tego żałował. Ty stracisz wzrok. Ty genitalia. A ty tylko nogi, i będziesz mógł kupować bez kolejki.

O wojnie i sytuacji na froncie Hortensja dowiadywała się w pracy. Bo niby gdzie? Do ewakuowanego za Ural łagru nie docierały gazety, radio miał tylko naczelnik, a listy, gdyby nawet ktoś do niej pisał, i tak konfiskowałyby Smiersz. W Charkowie do ostatniego dnia robiła Bohaterów Pracy Socjalistycznej, Przyjaźń Narodów i konfekcję odznak resortowych. A zaraz po ewakuacji zaczęła się produkcja wiernie oddająca przebieg linii frontu, jego długość, głębokość, rozmiary strat i skalę oporu. Kto chciał, mógł u izolowanego od wieści ze świata Kirowa z dużą dozą precyzji na bieżąco studiować geografie i historię tej wojny. W kontroli jakości niemal od razu pojawia się Order Wojny Ojczyźnianej (ten z karabinem i szablą), jakby projekt był gotowy od dawna i czekał na wdrożenie do produkcji, a zaraz po nim Za Obronę Leningradu, Za Obronę Moskwy, Odessy, Sewastopola, Stalingradu, Kijowa, Kaukazu, a nawet Koła Podbiegunowego (*Za Oboronu Sowietckiego Zapolaria*). Niedobrze, niedobrze to wyglądało, nawet bez mapy, od samych nazw można było struchleć ze zgrozy, zwłaszcza kiedy do tego wszystkiego pojawiły się wielkie ilości taniutkiego, cynowego medalu Partyzantowi Wojny Ojczyźnianej, bitego na prasie hydraulicznej, bez żadnych kunsztownych emalii i wymyślnych fryzów, jedyne, na którym widniały oba profile: Iljicza i Jego. Trwoga zakradła się do serc i rozgościła na dobre, już nie defetyzm, choć jeszcze nie kapitulacja, i nikomu nie brakowało gazet czytanych między wierszami, wystarczyło czytać medale.

A raz to nawet wypisywała legitymacje czterem Anglikom, trzem oficerom i podoficerowi, wszyscy ze 151 Skrzydła Myśliwskiego. Nigdy się nie dowiedziała, za jakież to bohaterstwo spotkał ich ten zaszczyt, ale takich rzeczy się nie zapomina, bo na kilkadziesiąt tysięcy Orderów Lenina to byli jedyni cudzoziemcy i pierwszy dowód na to, że ojczyzna proletariatu ma jakiegoś sojusznika w tej wojnie.

No i nie obyło się bez angielskich lotników.

Sorry.

Nastroje uczciwych komunistów poprawiły się około dziesiątej skrzyni Za Obronę Stalingradu. Mniej więcej od tej chwili historię i geografię tej wojny, włącznie z datą i miejscem jej zakończenia, można było przewidywać, nie wychodząc z pracy. Już wiosną czterdziestego czwartego do produkcji wchodzi Za Zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941–1945, a zaraz potem Za Zdobycie Berlina. Latem pojawia się Za Zwycięstwo nad Japonią. Tymczasem są składowane w skrzyniach pod sufit prowizorycznych magazynów, jeszcze nie przyjeżdżają po nie małomówni konwojenci, uzbrojeni po zęby, jakby mieli eskortować skarby Kremla, Ermitażu i Carskiego Sioła, jeszcze dojrzewają za Uralem, nim zakwitną kolorami słusznego odwetu i sprawiedliwości społecznej na mundurach wzdłuż i wszerz kontynentu, ale już są, określają strategiczne cele i terminy ich realizacji, zmieniają bieg historii, przesuwają chorągiewki na mapach marszałków o podkrążonych oczach, kształtują przyszłość i nowe oblicze Europy, a bohaterska Armia Czerwona jedynie za nimi podąża.

Nie można było nie zdobyć Budapesztu, Królewca i Wiednia, skoro istniał dekret powołujący medale za ich zdobycie. Sztab Generalny miał w pamięci los wysokich generałów, przez których na złom poszło parę tysięcy Za Zdobycie Helsinek. Podobno we wzorcowni Kirowa ocalało kilka próbnych egzemplarzy, ku przestrodze, schowanych w głębokim sejfie obok graficznych projektów Za Wyzwolenie Paryża i Za Zdobycie Amsterdamu, które nie wyszły

poza fazę studyjną. Szkoda, bo piękne były, piękne i zbędne, jak tylko wielka sztuka potrafi. A może się jeszcze kiedyś przyda? Może lepiej mieć medale i ich nie potrzebować niż potrzebować i nie mieć? I może dlatego ci, którzy to wiedzą, zostają wodzami ludzkości, a ci, którzy nie wiedzą, zostają ludem pracującym? Wielki Kraj Rad w ciągu kilku lat zaledwie przeszedł oba te doświadczenia i raz na zawsze uporał się z dylematem. I teraz ma i mieć będzie po wsze czasy. *Na wsiakij słuczaj.*

Jakaś część tej wojny miała rozstrzygnąć się w języku. Według medali Budapeszt, Królewiec, Wiedeń i Berlin miały być zdobyte (*za wziatije...*), a Belgrad, Warszawa i Praga wyzwolone (*za oswoboźdienije...*). Towarzyszka Winkler mogła tylko marzyć, by poznać stratega, który zaproponował to rozróżnienie, i argumenty tego jasnowidza, bo odznaczenia trafiły do produkcji na długo przedtem, nim okazało się, że gruzy Warszawy rzeczywiście wystarczy tylko oswobodzić, ale Berlin trzeba będzie już zdobywać, wprzód mozolnie obróciwszy go w gruz. Bo przecież nie mogło chodzić o to, co trzeba będzie wyzwolić i oddać, a co będzie można zdobyć i zatrzymać, tego to nawet medale nie wiedziały. I że granicą strefy wpływów nie będzie żadna tam Jałta, tylko wyobraźnia falerystów i weksylologów. A na Sofię i Bukareszt ten sam strateg w ogóle machnął ręką i proszę – nie zasłużą nawet na grawerską wzmiankę, bo i czym tu się chwalić?

Taki medal to musi być poważna sprawa, skoro dorośli ludzie się o nie zabijają. Ktoś to wiedział, ktoś te wszystkie dekryty przemyślał i spisał, ktoś redagował, zatwierdzał, nadawał im bieg i wcielał w życie. I niby kto? Hortensja wyobrażała sobie, że On urzęduje na samym szczycie Baszty Spasskiej, buduje kanały i elektryfikuje wieś, toczy wojnę wielką a sprawiedliwą, troszczy się o miliony, projektuje światu pokój i w wolnych chwilach wymyśla nowe ordery.

Wszyscy mówią Kreml, Kreml, a ona nigdy w Moskwie nie była i Kremla nie widziała. Jak wszystko inne w ojczyźnie proletariatu Kreml też znała tylko z pracy. Basztę Spasską, tę z Orderu Chwały,

widziała milion razy, i niemiłosiernie wymęczona najczęściej zasypiała (dobranoc, Towarzyszu) wpatrzona w czerwoną gwiazdę wieńczącą iglicę, co nadzieję śle ludom wyklętym, przesłanie pokoju wyzyskiwanym i niepokój bliskiej sprawiedliwości wyzyskiwaczom. Towarzyszka Winkler nie знаła, bo i znać nie mogła, godniejszego miejsca dla Jego urzędu, pióra i kałamarza.

Każdy głupi, co umie czytać, wyczyta z gazet między wierszami, czego tam przypadkiem nie napisano. Jak się umie czytać z medali, to się wie, że różnica między *wziatije* a *oswoboźdienije* nie jest przypadkowa, że coś oznacza i coś zapowiada. Dość, żeby zrozumieć korektę poczdamską, za mało, żeby rozwikłać tajemnicę Wiednia. A z tych, co nie dostaną żadnych odznaczeń, to nikt nie ma wyboru, czy będzie zdobyty, czy wyzwolony, bo ich los zależy głównie od tego, jak daleko da się zajechać na jednym tankowaniu.

Jak się używa jednego i tego samego słowa na „świat” i „pokój”, to one się nierozzerwalnie łączą w duszy, w rozumie i w Komitecie Centralnym. Świat istnieje jako pokój i nie ma pokoju bez świata. Całego świata, należy dodać. Najmniejsza luka, skrawek niepokornego terytorium, zbuntowana enklawa oznacza brak pokoju, potencjalne zarzewie. Jeśli się poważnie traktuje odpowiedzialność za jedno i drugie, to troska o świat okazuje się troską o pokój, a walka o pokój okazuje się walką o świat. Nie z imperialnych aspiracji, nie z ideologicznego imperatywu, nie z nadmiaru medali. Z przypadłości języka. I nie ucichnie brzęk orderów na piersiach, i nie ucichnie huk podkutych butów na bruku, dopóki rzeczywistość nie dorośnie do piękna rosyjskiej mowy. *Miru mir, miru mir, miru mir*, czastuszki na dywizję pancerną i pepesze, ballada na katusze.



Ano na stojąco, czyli znaczy głową do góry. Bo tak, i już. Że dziwactwo, zabobon i cygański obrządek, to wszyscy wiedzieli i głowami kręcili albo spluwali, albo znak krzyża czynili, i ten i ów

zaklinał się, że ręki do tego nie przyłoży, ale nikt nie myślał zaprotestować, bo Smyczek respekt budził i po śmierci, a może tylko grozę, i właściwie co za różnica, kiedy chłopu najłatwiej szanuje się to, czego się boi, a jak się jest na końcu łańcucha pokarmowego, a na początku obwieszceń o poborze, rekwizycjach i honorowym krwiodawstwie, to jest się czego bać, i można próbować się z tym pogodzić, ale można też bez próby, po chłopsku czyli.

Każdy człek ma historię, nieliczni – legendę. Dzięki niej ci wybrani niewiele się różnią za życia i po śmierci, istnieją może trochę inaczej, ale wciąż istnieją, są, dowodzą, budzą respekt i stawiają na swoim. Legenda ludzka rzecz, ludzka jak nienasycenie, co świadczy o prawdzie ludzkich tęsknot, ludzka jak głód, najlepszy dowód na istnienie chleba.

I wiadomo było, że Smyczek postawi na swoim i po śmierci, bo taką miał legendę jeszcze za życia, poprzedzała go, podążała za nim, biegała dookoła, zataczając powiatowe kręgi, ale że to Siwi mu grób wykopią, no to tego nikt by się po zakapiorach nie spodziewał, a jednak. Widocznie jakimś sposobem też o życzeniu Jasia słyszeli, bo dół wykopali tak, jak się studnie kopie, nie wzdłuż, a w głąb, pojedynczo kopali, bo ze Smyczka był kawał chłopca, na jakie trzy kręgi najmarniej, a do takiej dziury więcej jak jeden Siwy nie wejdzie, i nie ze zwykłym szpadlem, ale takim z oberżniętym styliskiem, bo miejsca mało, i dobrze, że cmentarz ktoś pomyślał na górcie, bo we wsi już dawno by się do wody dokopali, a ile razy można jednego bohatera w jedno popołudnie utopić.

W ogóle taką studnię wykopać to nie jest bardzo prosta sprawa, bo nie da się zacząć szeroko i iść w dół, i trzeba od razu w głąb się posuwać, i urobek na trzy wiadra wyciągać, jedno zapełniać, kiedy drugie idzie w górę, a trzecie w dół, i niby nieskomplikowana to maszyna, ale wymagająca rytmu i choreografii, bo stoi się po kolana w grząskim piachu podbiegającym kurzawką, a miejsca jest tyle, co w ciut większym sarkofagu, że nawet zgarbić się nie można nad łopata, tylko co najwyżej kucnąć, i kopać trzeba szybko, żeby zdążyć przed przybierającą wodą i osypującą się ziemią, i dlatego do

kopania studni najmniej w pięciu się chodzi, a uważać trzeba i na dole, i na górze, żeby kopiącego nie zasypało, bo nie dość, że się udusić może, to jeszcze cała robota na nic. A w ogóle to najpierw trzeba miejsce wybrać, na żyle obfitej a czystej, możliwie blisko chałupy i warzywnego ogródka, a daleko od wychodka, ale w zgodzie z całą resztą obejścia, żeby koryto w drogę nie włożyło, a z koromysłem nie trzeba było do obory kawał biegać, i zanim kto o wierceniu słyszał, kopanie studni bardziej za sztukę uchodziło niż fach-rzemiosło. Małe chłopskie feng shui.

Na cmentarzu przynajmniej tych kłopotów nie było, bo raz, że na górze, więc sucho, dwa, że wybór miejsca niewielki, druga kwatery, od bramy po lewo, podle pierworodnego. I wykopali Siwi porządnie, jak tylko oni potrafią, i górą balikami solidnie oszalowali, żeby się nie osypywało, i czekali z gołymi głowami, ćmiąc skręty, drapiąc się po jajach, dłubiąc w kudłatych nosach i porośniętych sierścią uszach, w milczeniu tyleż włochatym, co swędzącym, i nawet się ucieszyć nie potrafili, że Smyczka diabli wzięli, choć mocno na pieńku z nim mieli i przecież sami raz próbowali karierze Jasia siwy kres położyć własnym, siekierzastym sposobem, bo go, kurwa, nie lubili, a tu proszę, co za odmiana, miło popatrzeć, nawet czapki ściągnęli. Może i legenda czyni cuda, bo śmierć to na pewno. No aż przyjemnie umierać.

Że o życzeniu słyszeli, zaś jeszcze nie dziwne, cała wieś słyszała, to i do Siwych dotarło, a że wielokroć widzieli, jak Smyczek z Cyganami ogniska pali, pod osłoną nocy kradzione konie żelazem znaczy, gra w oczko i wódkę pije, że widzieli, jak każdej wiosny wyczekuje taborów, po kilka razy na dzień wychodząc na broniszewską drogę, to i nie wydziwiali, że ma życzenie spocząć jak jaki cygański król albo cygański rab. Pochowajcie mnie na stojąco, bom nigdy przed nikim nie klękał. Pochowajcie mnie na stojąco, bo żem spędził całe życie na kolanach. Wszystko jedno, niech mu będzie. To prawda i to prawda.

Ale skąd wiedzieli o pogrzebie, kiedy ich nikt nie prosił, a właściwie to skąd wiedzieli, że akurat Jasia ubili, bo że strzały było słychać

i w kolonii, to się zaś wygłupiać nie warto, ale zginąć mógł ktokolwiek, Uczciwek, dajmy na to, albo Kaczor, któryś Ukleja albo nawet jaki szkop. A tu dół dla Smyczka specyficznie wedle życzenia wykopany, i musieli dawno temu zacząć kopać, żeby przed końcem nabożeństwa zdążyć, może i koło południa, czyli tuż po strzelaninie.

A może nawet trochę przed.



– To on zaczął. Siłą. Groźbą. Czekoladą w proszku – Ania cisnęła pierwsze oskarżenie, nie czekając, aż końskoszpota trybunał przejdzie do zadawania kłopotliwych pytań. W to, że Deleś mógłby dać jej radę przemocą, siostry nie bardzo mogły uwierzyć. Co innego puszka z wyspy skarbów, złote palmy na ciemnobrązowym tle i liternictwo jak gałęzie egzotycznych drzew, tajemniczy aromat, który porusza wszystkie zmysły jednocześnie, jakby podzwrotnikowego zapachu można było dotknąć, a dotyk smakował jak atlas, a smak wyglądał jak wylegające się w hamaku spełnienie, a wygląd było słyszeć szumem dalekich, ciepłych mór, łaszących się do bosych stóp na aksamitnej plaży. Gdyby nie szósty zmysł, który każe wątpić i prosi, by nie ferować pochopnych wyroków, to doświadczone w rzeczach upadku i występku siostry może by i uwierzyły w przemoc. A tak, to zmysł niedowierzania, korona zmysłów, musiał jeszcze wziąć pod rozwagę głos pięciu wytwornie odurzonych braci, jak pięciu subiektów ze sklepu kolonialnego.

Usłyszawszy otwierane drzwi od szopy, nawet nie oglądając się za siebie, Ania od razu wiedziała, że konfrontacja z Delesem w obliczu siostr jest nieunikniona i że jedno z nich będzie musiało opuścić sierociniec. Wyprostowała się tylko, pozwoliła spódnicy opaść na swoje miejsce i odepchnęła skamieniałego artystę. Nie żeby była bardzo zepsuta albo wyrachowana, albo podła. Może trochę wykolejona i trochę upadła, ale jakaż w tym jej wina? Z tego wszystkiego to najbardziej była przerażona, bo za murem przytułku nie czekało jej nic, ale to nic. Tak dalece nic, że gdyby jakie zamążpójście nie wyszło, to poważnie planowała wstąpienie do klasztoru, jak dorośnie. Z jej wprawą mogłaby się przydać niejednemu księdzu, żeby tylko nie musiała przestąpić furty, żeby nie umrzeć z zimna i głodu na przydrożnym kamieniu, żeby nie rzucić się pod pociąg. Wierzyła, że wyjść stąd może albo jako

gotowa na wszystko siostra, albo za mąż. Jak się walczy o byt, to puszczają wszelkie hamulce, a jak puszczają wszelkie hamulce, to się bardzo szybko dorasta.

Poruszone do żywego, ale przecież nie takie głupie, siostry może nawet darowałyby występki i wiodące ku niemu zepsucie, bo taka była siła w resztkach aromatu na dnie puszek, że same gotowe byłyby tego pokosztować, i też bo nadto dobrze wiedziały, że istota ludzka jest zdolna posunąć się do większych grzechów dla mniejszych pokus, dla kromki chleba, dla kubka mleka i gorącego kartofla, a co dopiero dla tej ambrozji-nektaru, i może nawet ukarałyby raczej Anię, bo wiadomo, że z dwojga zdeprawowanych przekupiony jest tak samo winny jak przekupujący, albo i bardziej, i chyba chciały się naradzić, bo posłuch mający Deleś był im zwyczajnie potrzebny do trzymania w ryzach pokwitającej czeredy, potrzebny bardziej niż nad wiek rozwinięta, dupiasta i cycata, wykolejona dziewczucha, bo to problem, a nie problemu rozwiązanie, i wiedziały, co robią, bo jakby nie wiedziały, toby wydalily i jedno, i drugie diabelskie nasienie, i byłby spokój, może nie święty, ale zawsze. Nie, siostry nie były takie głupie i swój hormon miały.

– A poza tym przecież to Żyd – widząc, co się święci i że z tego wahania dobrego werdyktu nie będzie, Ania pośpieszyła siostrą z pomocą. W ciszy, w której, zdawało się, można by wyłowić paniczne aj waj obkurczającego się, bezradnego napletka, wstrząśnięte siostry najpierw pomyślały o Mordze, że jak mógł im coś takiego zrobić, nie tylko brat, i to starszy, ale w dodatku ksiądz, i najstarsza jednoznacznie kazała Deleśowi zrobić to, czego obawiał się od chrztu, i wszystkie patrzyły dowodu, ale nie wiedziały, czego szukać, bo poza tym, że tylko słyszały, gdzie szukać, to nie wiedziały, co by to miało być, bo i skąd, a jedna, chyba Teresa, to nawet podeszła całkiem blisko i jeszcze się schyliła, i zatykając nos, może nawet trąciła trochę w lewo, trochę w prawo, trochę do góry, jakby badała zdechłego zaskrońca, przecież nie ręką, tylko kłopotliwym ołówkiem, ale nie było widać, bo rozłożysty jak krochmalone skrzydła czepek wszystko zasłonił, i dalej nic, żadnych wiążących konkluzji. No nie znały się na tym. Tylko Ania wiedziała,

jak taki dowód wygląda, ale trudno by jej było wyjaśnić, skąd wie. Póki co, milczała, obracając w myślach piłkę meczową, asa atutowego, strzał w dziesiątkę. Zasadniczo, z jej wiedzą o walce, o bycie, o hamulcach i o własnej przydatności, Ania była już dorosła.

I może nawet kłamstwo-żydostwo by darowały, bo może starszy brat wiedział, co robi, choć to ryzyko wielkie, i co, że metryka gut prawdziwa, z metrykami też rozstrzeliwali, i bo słyszały, że na zewnątrz klasztornych murów żydki nie mają lekko, a właściwie to w ogóle nie mają, i znikają, pociągami, wagon za wagonem, a do Auschwitz nie było znowu tak daleko, koleją z Bochni najwyżej ze trzy godziny, towarowym, bez przesiadki, na tym akurat się znały, i może tak już musi być, i wahały się też, bo same pasjami podsłuchiwały nocne recytacje Dełesia, jedyną w tym uciechę i rozrywkę niewinną znajdując, i nie mając wielkiego smaku ani respektu dla talentu, miały jakąś niezrozumiałą skłonność do chłopaka, niepojęte poczucie więzi ponad paradoksami, by nie rzecz – słabość do artysty. Żyjesz, póki bawisz. Jeszcze jeden dowód na potęgę sztuki, jakby kto pytał. I myślały też, żeby go mimo wszystko zatrzymać, bo to zawsze dobrze mieć na podorędziu kogoś, komu jest gorzej niż nam, ku przestrodze i ku pokrzepieniu, co rzadziej pamięta w potrzebie będących, a częściej pokrzepia pokrzepiających, ale wtedy co z tą dziewczuchą zrobić, żeby zaś milczała, bo inaczej strach pomyśleć. Tego było Ani za wiele.

– I Maryi ubliżył!



Naparstek? Jaki naparstek? Co to jest naparstek? Tamtej nocy Dełes nie zmrużył oka, wciąż na nowo wspominając tektoniczne wstrząsy między ulami a słomą, umierał ze wstydu i uchylał kłatwę, po wielokroć dotykając podbrzusza, nie dla nieczystej uciechy, ale dla pewności, że wszystko jest na swoim miejscu i proszę, nikt nie zginął.

Następnego dnia tak reżyserował zabawę, by móc stale widzieć drzwi do szopy i nie przegapić Ani, gdyby zaś tam wchodziła. Dopiero pod wieczór zobaczył, jak przemyka do miejsca schadzki, nawet nie zobaczył, coś mignęło niemal poza polem widzenia, rudy wiatr w zachodzącym słońcu, drzwi otworzyły się i zamknęły bez najlżejszego skrzyknięcia, pokaz dyskrecji, olimpijski spokój, gwarantowane zwycięstwo w grze w chowanego. Deleś, co mu się od razu udzieliła ta konspiracja, bez pośpiechu, by nie budzić protestów i podejrzeń, opanował sytuację, konsekwentnie doprowadził do pojmania Milady i oznajmił, że jej egzekucja odbędzie się jutro. Ociągając się, dzieciarnia w końcu ruszyła po swoją kromkę chleba, kubek mleka, gorący kartofel.

W szopie panował półmrok, ale tylko taki, co to nie przeszkadza się znaleźć, a jedynie kokietuje poszukiwacza koronką, dekoltem, jedwabną bielizną, że niby nic nie widać, ale wszystko prześwituje i świeci, i poszukiwanie czyni pewniejszym nagrody. I znalazł ją dokładnie tam gdzie wczoraj, i ona znalazła go dokładnie takim jak wczoraj, z plamą na gaciach, tym samym rozmiarem i promieniem, i opadają wprawnie rozpięte spodnie, ta sama wilgoć i soki, i ten sam ruch rozluźnionego nadgarstka w intuicyjnym rytmie, zaraz się zacznie, sztywnieją lędźwie, rozchodzi się ta woń, już się zaczyna, gdy raptem Ania odwraca się tyłem i zgina w pół, i wędruje zadarta do góry spódnica, jakby od klepiska powiało gwałtownym wiatrem, i wypina się krągło, i obiema dłońmi zapraszająco rozchyła pośladki, a do byka, barana i ryb dołącza nieznanne oleiste piżmo i fetor gniazda gryzoni wykąpanych w pokrytym rzesą martwym stawie w upalne popołudnie.

Jak to jest, że nawet debiutanci wiedzą, co dalej, kiedy nie tylko nie wiedzą, co do czego służy, ale nie wiedzą nawet, co i jak się nazywa? Może z tym związkiem języka i poznania to jednak przesada, skoro w licznych przypadkach doświadczenie poprzedza leksykon, w jeszcze innych jedno do drugiego ma się zwyczajnie nijak, a bywa też, że pojęcia i doznania z rozmysłem nawzajem w błąd się wprowadzają. I nie wiedzą chłopaki, czego chcą, i usiłują

pogłębiać tę niewiedzę, i nawet nie przypuszczają, że to słownik ich okłamał.

Kto by tam w Piórkowie tracił czas na ich uświadamianie, wszyscy zajęci, interesu trzeba doglądać, złodziejstwo wkoło i nieuczciwość tylko czyha, i w ogóle nie zwracaj mi głowy. Są jeszcze starsi bracia i koleżkowie, a w ostateczności stajnie, obory i pastwiska pełne inwentarza, to wezmą i sami się zorientują. Anatomia to zaś prosta nauka, wcale nie trygonometria. Dełesia też nikt nie oświecał, a przecież orientował się, że mężczyzna i kobieta muszą zalec w jednym łożu, aby począć potomstwo, i kiedyś matkę swą, czcigodną Chaję, widział w długiej do ziemi i obfitej koszuli nocnej z obrębionym rozcięciem na wysokości kosmatego łona, a to doświadczenie, z którego trudno otrząsnąć się każdemu, kto go zaznał. I choć zadarte, znoszone kiece Ani nie dawały takich stebnowanych wskazówek, to droga i tak jakoś znalazła się sama, bo tu widocznie jakaś busola działa, co zawsze nieomylnie ten sam kierunek wskazuje, i mimo zapadającego zmroku, i nie wiedząc zgoła nic o tej nowej geografii, znalazł Deleś biegun wilgoci rozwartą, karłowatą grzywką nastroszoną, a jakże, ryżą, miedzianą, kręconą, kto sieje piegi, ten zbiera rudy mech, a widok tamtej nocnej koszuli nie chciał go opuścić, i naprowadził teleskop po kciuku jak początkujący astronom, i znalazłszy odpowiednią geometrię, układał się do kątów wypięcia, zbliżał się po centymetrze, po pół, po ćwierć, udając przed rozdziawionym tyłkiem, że nie ma nic komicznego w płasie drobiących kroczków i szuraniu nóg spodniami spętanych w kostkach, już dotykał płatków zalegających u wejścia, rozgarniał je w lepkim poślizgu, starając się nie myśleć, jak bardzo przypominają gęsie wątróbki, i karminowe usteczka już witały mięsożerne wargi, tłuste jak spasione pijawki, i matka stawała się jakby mniej czcigodna, gdy zgięta wpół Ania chwyciła za nasadę styliska i jednym precyzyjnym ruchem wbiła je sobie między pośladki, w miejsce boleśnie suche, łykowate, sękate hemoroidami, zaciśnięte jak zapiaszczone powieki, skurczone jak znerwicowana pięść pełna paznokci i ostrego żwiru.

- Tamta będzie dla męża. Jestem dziewicą.
- A, tak jak najświętsza panienska?



Jakby się handlarze-antykwarjusze zwiedzieli, że skrzypce wyszły spod ręki Dankwarta Baltazara, toby w Piórkowie chwili spokoju nie było i nie wisałyby sobie z godnością w bocznym ołtarzu wśród srebra medalików, bursztynu różańców, pozłacanych ryngrafów i innych wotów, tylko musiałyby je proboszcz głęboko chować i pod kluczem trzymać, a może nawet do jakiego muzeum w depozyt oddać, bo instrument był niezwyklej urody i rzadkiego brzmienia, a że z lwowskiej pracowni pochodził, to i wartości niezmiernej, co handlowe natury do gorączki rozpala, że się tyle grosza na ścianie wiejskiego kościoła marnuje, bo Dankwart Baltazar, o Italii zgoła nie słysząc i nigdy się poza Lwów nie ruszywszy, tak słynne skrzypce robił, że w fachowej niemczyźnie i niemieckich spisach dóbr ruchomych nazwa „polskie skrzypice” się pojawiła, i przez trzy stulecia co więksi cwaniacy tylko karteczki lutnicze w nich zamieniali i za horrendalne sumy jako cremońskie oryginały sprzedawali dworom królewskim i królom cadenzy, bo łatwiej karteczkę podrobić niż cały instrument, i nie tylko kolekcjonerzy-magnaci, ale i kapelmeistrzy o słuchu absolutnym dawali się nabrać, i jakby się zwiedzieli, to może by jeszcze chciwym paluchem naszej wsi po mapie szukali, i a nużby znaleźli, bo przecież takiemu Zerbstowi się udało, i jeszcze trzeba by tłumaczyć, jakim sposobem Smyczek skrzypce częstochowskiemu lichwiarzowi zwędził, a przedtem jak też one do hieny-gadziny trafiły, a przedtem jak od przemysłowca samobójcy ukochana żona odeszła ze śpiewakiem operowym, artystycznie uzdolniona, melancholijna mimoza z chroniczną migreną i nikczemnego wzrostu swarliwy narcyz w pretensjach, a z zasobnego krakowskiego domu wzięli sobie na nową drogę życia młodszą córkę, jeden obraz, instrument i trochę srebra na najpilniejsze potrzeby, i jak przedtem zbankrutowanemu rosyjskiemu kupcowi (temu samemu, który w mieście Łodzi kazał napełnić fortepian szampanem, wrzucił doń sardynki i zażądał wędki) udało się je z równym wdziękiem przepić, a przedtem oficer dragonów, hazardzista, król kanasty z wysuniętej syberyjskiej placówki, co powiesił je ku ozdobie a niefrasobliwie

i nieodpowiedzialnie na ścianie z wielkich, ciemnych bali w niebezpiecznym sąsiedztwie korników wielkich jak gówniane larwy i żarłocznych jak szarańcza, a przedtem dwa pokolenia zesłańców, urodzonych, wychowanych i pojmanyh w litewskich ostępach, a przedtem pruski junkier, matematyk i filozof, i jego syn jednak, odmieniec i postrach młodych chłopiąt, a przedtem głuchy szkocki bankier z imponującą kolekcją peruk, a przedtem węgierski najemny żołdak, co go słyszano, jak się chwalił, że struny ma z ludzkich jelit i ponoć nie gorsze niż świńskie, a przedtem kozacki ataman, a przedtem panna wojewodzianka, a przedtem minstrel-poeta i nauczyciel muzyki, nie wiadomo dokładnie skąd, ale na pewno z daleka, a przedtem biskup nadreński, a przedtem kantor z Lipska z gromadą dzieci, a przedtem to już chyba tylko najmłodszy z synów Dankwartów, podróżnik, utracjusz, łowca przygód i wstydlivych chorób, i nie chodzi o galerię postaci, że zdarte, zużyte, nieświeże, że *cliché* i że już było, ale o to chodzi, że to korowód potencjalnych spadkobierców, i po co to komu? Roboty dużo, kłopotów mnóstwo, a pożytek niewielki. O skrzypcach będzie innym razem, może po nacjonalizacji.



Szukajcie, porównujcie, wdychajcie i wykasłujcie, przecierajcie oczy i spluwajcie na klepisko, ale drugiego takiego kurzu nigdzie nie znajdziecie. Nie to, co gnuśne błoto, które wszelkie soki wysysa – kurz aż się rwie do twórczej zabawy, do pisania i rysowania zachęca, samemu także pewne zdolności zdradzając w choreografii i architekturze, a nawet w literaturze, bo któż jeszcze mógłby w jednym krótkim akapicie połączyć piórkowskie kościelne witraże, młockę, urnę, piekarnię i wiatr na broniszewskim gościńcu? Wścibskie to jak kapuś albo spowiednik, ale powierzchowne jak zwykły ubek, co może i wymusi zeznanie, ale całego podziemia nie spenetruje, bo mu kurzliwa skrucza wystarczy, a nie wkurzona prawda. Sproszkowany upór, zawziętość starta na pył, co to ją podziwiać należy i może nawet brać przykład, bo co z tego, że dmuchnąć wystarczy, skoro wraz walecznie wraca i znaleźć go

można nie tylko na pogrzebaczu, ale i grubym kożuchem na powierzchni mleka w zadeklowanych stalowych bańkach i na dnie kielicha w zamkniętym na klucz tabernaculum, a tak namiętnie wgryźć się potrafi, że ani go doprać, ani domyc.

Stanu wolnego, bez zobowiązań, może wdowiec, a może stary kawaler, samotny jakiś w każdym razie, bo każdy inny piórkowski żywioł w tandemie chodzi i innego drania-łobuza do pary potrzebuje, żeby człękowi dokuczyć, a to wody, a to gliny, a to mrozu, a ten nic, samotny jak ateista. Popiół, gadają, popiół to, popiół tamto, a to prościutka symbolika jest i nie bardzo wyszukana – oczyszczenie, pokuta i odrodzenie. No i co taki popiół potrafi bez ognia? A naszemu kurzowi metafora sama lezie w ręce i pojemniejsza jakaś, i celniejsza, bo od innych żywiołów niezależna, bo mu samo dzienne światło wystarczy i zerwie się rześko z pierwszym promieniem słońca, by płasem roztocza i alergenów naprzykrzać się do zmroku, rozbawiony, nawet jeśli ścierą oberwie od rozsierdzonej gospodyni za namolność, za dobry humor i za lenistwo, bo kręci się i wiruje bez nijakiego pożytku, kiedy roboty tyle, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Stoik, wędrowny artysta, derwisz przeciągów. Złośliwy skurzwysyn.

I kto powiedział, że musi być szary? Jak zechce, będzie białomączny, srebrnosiwy, a nawet szczerzłoty, albo i czarny jak węgry w piórkowskich gębach, albo, dajmy na to, fioletowy w błysku pioruna. I także samo różnie go czuć, chlebem, myszami, trocinami, albo ozonem, jak już o burzy mowa, albo czym tam jeszcze, co pewnie Stanisławski by wiedział, ale jemu Kazimierz już był zaprzągl i on sam już się pewnie w kurz obraca, jak ta cała jego dissertacja.

Ani skąd się bierze, ani dokąd odchodzi, też dokładnie nie wiadomo i zawsze jest pierwszym lokatorem najszczelniej zamkniętej izby, i z drugiej strony raczej nie wchodzi w reakcje z miotełką z piór ani inną szmatką, a przecież znika, by po chwili wrócić, no to jak, nieśmiertelny czy co? Bo upierdliwy to na pewno, cholerne piórkowskie perpetuum mobile, co to go największe umysły przez

stulecia szukali, a on tu zawsze był, na widoku, na fortepianie, na skrzypcach, na fotografiach o ząbkowanych brzegach, kpiąc z drugiej zasady termodynamiki, bez masy, bez energii, bez sensu. Dla ludzkiego oka i dróg oddechowych to najmniejsza, niepodzielna fizyczna cząstka, bo atomów nikt nie widział czy innych jąder, a kurz owszem, wszyscy widzieli i przeklinali, i na każdy z siedmiu dni ma Piórków siedem boleści, siedem grzechów i siedem utrapień, codziennie inne, a kurzu ma na cały tydzień, i jest w nim więcej prawdy niż w innych naszych zmorach, bo od takiego kurzu bardziej uparci są już chyba tylko świadkowie Jehowy. I ten kamień filozoficzny, co go tak długo szukali, to pewnie z kurzu jest zrobiony i dlatego nigdy go nie wynaleziono, bo nikt na to nie wpadł, że z takiego nic można zrobić takie coś. A przy okazji może uda się rozwiązać zagadkę życia na Ziemi, bo to różnie powiadają, że może z wody wyszło, a może z wulkanu-meteora, no to może i z kurzu mogło powstać, gdzie wszelkie drobnoustroje swoje siedlisko mają, bo skoro nie wiadomo na pewno, to niby dlaczego nie?

I w zasadzie go nie ma, chociaż widać, że jest. Albo całkiem odwrotnie – w zasadzie jest, choć wiadomo, że go nie ma, bo niby z czego składa się kurz? Z kurzu? Powierzchnowy i wnikliwy, chwilowy i wieczny zarazem, łatwy do strzepnięcia, ale zawsze coś po sobie zostawi, nawet jeśli to będą tylko wątpliwości. Kurczowo wczepiony, ale błahy jakiś, bo zakrywa istotę rzeczy w tak niewielkim stopniu, że prawdę zawsze spod niego widać, bezradny wobec materii, na której bezczelnie się osadza, bo jest tylko cienką warstwą nieznacznie deprawującą kolory i faktury, jak łagodny nowotwór, co nie zabija, ale każe stale pamiętać o śmierci, jak łagodna i wyrozumiała postać wiary, takiej bez Hioba, bez krzyża i bez stosów. Zgoda na kurz to pogodzenie z losem, którego polubić się nie da i można się do niego tylko przyzwyczaić. Zgoda na przemijalność, na chwilowość, na nieodwracalny porządek rzeczy, zgoda na odejścia i na powroty, bo każdy kiedyś wraca, pierwotny wróci kamieniem powagi, marnotrawny pyłem bezradności. Strzelisty kurz rezygnacji. Kurz zwątpienia. Kurz nad kurzami. Adonai polnych dróg.

I nikt nie będzie się z takim kurzem prawować ani urągać, bo mu bojaźń albo roztropność nie pozwoli, a najpewniej jedno i drugie, bo bojaźń jest roztropna, a roztropność – bojaźliwa, i nikt jeszcze nie wyszedł czysty z doliny kurzu, i poskarżyć się też nie ma komu, można tylko zgrzytać zębami, i okazuje się, że cały Kościół można na kurzu zbudować. Jaki tam Petrus, jaki Kefas? Zwykły kurz! Cała Wulgata kurzu, nadzieja, że pod grubą warstwą jest jakaś miłość i wiara, że wyczyścić tego się nie da, bo kurz jest potrzebny do życia, jak powietrze, chleb i woda. I godzą się piórkowscy, że nie warto odkurzać rzeczy, ludzkich rzeczy, bo mogą ukazać oblicza i kształty, na które tylko nieliczni są przygotowani, i dlatego też nie warto, że on i tak wróci. Kto przychodzi z wysokości, stoi ponad wszystkimi. Kto jest z kurzu, jest z kurzu i mówi o kurzu. Kurz. Oto wielka tajemnica wiary.



Kominek Wawrzyniec talenta odkrył w sobie dość późno, ale za to od razu dwa – rzeźbiarski i literacki. Z właściwym wielkiemu a uczciwemu powołaniu przemyślanym spokojem zaopatrzył się w komplet prawdomównych dłut i szczery młotek, by w chwilach wolnych od narzekania na podły los i nieurodzaj oddawać się sztuce i poezji.

I kto by się spodziewał po małomównym, zazłemającym piórkowskim chłopie, że zdolny do metafizyki, empatii i innych wyższych uczuć? Wyrażone koślawą literą, wydłubane w polnym kamieniu lakoniczne biografie, co przetrwają encyklopedie i kalendarze, wołały o zadumę bez wielkiego szacunku dla pisowni, za to z wielkim szacunkiem dla prawdy, bo tylko prawda jest piękna, a ortografia najwyższej trudna.

Kominek nie tworzył w porządku chronologicznym, jak by to rzemieślnicza sumienność nakazywała, bo mu wyszło na to, że śmierć nie przychodzi naturalną kolejną rzeczy, tylko rączo popierdala biblijną koleiną wyżłobioną przez karawan

w piórkowskim błocie – na epickie skróty, pod fabularny prąd, narracji w poprzek i na ukos, w luźnym zaledwie związku z wiekiem i stanem zdrowia denata. I poza tym natchnienie jest ważniejsze od reżimu dat, bo prawda, jak walczyk, częściej wyłania się w swoim własnym tempie, niż skacze do oczu jak tango-chuligan. Czułość potrzebuje czasu, by sobie dojrzeć, ironia potrzebuje dystansu, a poezja potrzebuje czulej ironii, żeby można jej było wybaczyć szaleństwo ortografii. Poeta człek wolny, nawet jeśli to tylko zakuty piórkowski łeb – pisze taki, kiedy ma natchnienie, a jak który pisze w domorosłym kamieniu, to już zwłaszcza.

Powołanie dało o sobie znać wraz po pogrzebie pierworodnego. No i kto by pomyślał, że Wawrzyńca tak to poruszy? Zamilkł jeszcze bardziej, o ile to możliwe, wziął rozpęd i zadebiutował na kamyku, co by się w złodziejskiej kieszeni zmieścił. Nie posypały się entuzjastyczne recenzje, ale też nie dosięgła go miazdząca krytyka. Nie olśnił, ale został dostrzeżony. Rzemieślnik wśród artystów, artysta wśród rzemieślników, bez większych szans na kamieniarskiego Nobla, najwyżej z nadzieją, że nikt nie będzie jego prac usuwał z piórkowskiego cmentarza. Jak Smyczek i Wanda, którzy inskrypcję zobaczywszy, mogli kamyk jednym ruchem za cmentarny mur wyrzucić, a nie wyrzucili, bo i nie wypadało i bo jak tu prawdę w błoto wyrzucać, i tylko światło zapalili, każde z osobna, co im Morga przykazał, i zmówili po pacierzu nad polnym kamieniem, na którym stało: Smyczę Bez Imienia.

A potem już poszło.

Jednym, jak Mordze, rzeźbił na zaś i wpadł dobrodziej w furję, z obozu wróciwszy, i chciał Kominka pokarać, i z ambony zapowiedział: „Ja was, Wawrzyńcu, ekskominkuję!”, i śmiech taki poszedł z tego przejęzyczenia, że się aż cały kościół zatrząsł, i proboszczowi przeszło, bo śmiech ludzka rzecz, lecz różny rany, a już zranioną dumę to chyba najlepiej, a poza tym proboszcz jeszcze w Auschwitz przeszedł na marksizm i nabrał dystansu do siebie, do życia, do śmierci i całego tego krzyża pomiędzy nimi.

Poszalał też w Białobrzegach, bo Stanisławski leżał se pod kopcem porośniętej trawą ziemi, nawet bez żadnej tabliczki, gdy Hannelore w Pradze zawzięcie trwonila spadek. Kanadyjskim lotnikom również byłby przyozdobił brzozowy krzyż w szczerym polu wedle kolonii i byłby się zdumiał ten ich konsul na widok inskrypcji, ale nie na pewno. Tylko dziedzicowi było wszystko jedno i nawet nie zauważył, że mu ktoś w kamieniu rodzinnego grobowca koślawe epitafium za życia wydłubał.
Pisownia oryginalna.

PIEKARZ FRANCISZEK

Miał pisane

DZIADEK STEFAN UKLEJA

Za fatygę dziękuję. Sam poproszę

STANISŁAWSKI

Mąż Uczony

MADEJÓWNA

Daj spokój Kobieto...

SZYMEK NIEDOŁĘGA

zkrzyżazdjenty

WANDA

Niech Se Gadajom!

SMYCZEK

Każdy kiedyś wraca

STARA CZYNASTA

z Siwych

CZYNASTY

Siwy. Cieśla tengi

KANADYJSCY LOTNICY

Sorry

DZIEDZIC

Żeby być sobom trzeba wiedzieć kto to

SOPHIA ANNA IMOGENE MONTEBIANCCHI DI CASCIA
OLSZAŃSKA

Rdza serca chyba

MORGA

A nie muwiłem?

Miał też Kominek dla Hahama gotowe epitafium, tak na wszelki wypadek, jakby go kto poprosił. I w końcu przecież poprosił. Po latach na puszcze po kakało, w której Deleś przywiózł Hahama z Long Island, najmniejszym z dłut wygrawerował *I kto tu jest parch?*



– Co my tu mamy...? Majątek Olszany ma ogólnej rozległości włók dziewiętnaście, morgów dwadzieścia jeden, prętów sto siedemdziesiąt, czyli że reformie w całości podlega. Bezziemnym damy i małorolnym, no może z wyjątkiem Siwych, bo już się spaśli i nic im nie braknie. Zostawimy wam, obywatelu, jedną izbę i kuchnię, za zasługi dla walki narodowowyzwoleńczej i żeście się we właściwą porę po właściwej stronie opowiedzieli. Kuchnia będzie wspólna, ze dwie osoby będziemy musieli dokwaterować, może nawet znacie, jeden młody towarzysz z bezpieczeństwa, tutejszy, i jedna nauczycielka od rosyjskiego, plastyki i kaligrafii, jej to chyba nie znacie, mocno nietutejsza. Resztę się zamieni na szkołę, najmniej cztery klasy. Ale za to czynszu nie będziecie za izbę płacić w zamian za uczenie naszych dzieciaków muzyki. Nie szkodzi, nuty znacie, dzieci polubicie, do września jeszcze czas. Dzieciaki? Się dobierze na siłę z siwego pomiotu. Braknie – zrobimy nowe.

I tak, mniej więcej, w Piórkowie zaostrzyła się walka klasowa.

– Może nawet zostawilibyśmy wam jeszcze fortepian i bibliotekę, gdyby nie to... – powiedział szczerze zakłopotany Uczciwek, wezwawszy dziedzica do Rady Narodowej w Białobrzegach i wręczając mu podłużną szkatułkę z czarnej laki oraz kopertę z kruchego żebrowanego papieru opieczętowaną wschodzącym słońcem.

No nie był to może Krzyż Żelazny, rzecz piękna prostotą i mocarna symboliką, ale Order Złotego Sokoła także miał swoją niezaprzeczną mądrość i urodę. Z równym powodzeniem mógłby być ozdobą każdej mężnej piersi, każdego nekrologu czy pogrzebu z honorami. Spowity w żółte i czerwone promienie krzywodzioby drapieznik, wieńczący ośmioramienną gwiazdę, spoglądał, a jakże, na zachód, na Chiny, Wewnętrzną Mongolię, Dżugdżur, a może jeszcze gdzieś dalej, gdzie tylko sokoli wzrok sięga. Dostojny ptak, posłaniec *kami*, co chciwym cesarzom pomagał wygrywać wojny, a dumnym wojownikom pomagał ginąć za cesarzy z takim zapalem, jakby umierali ze szczęścia, na orderze wygląda na pogrążonego w zamyśleniu. Oto wybrałszy najlepszych z najlepszych, szykuje im śmierć najpiękniejszą z możliwych – z bronią w ręku na niedostępnej przełęczy, na patetyczny rozkaz w nierównej potyczce, z własnej ręki, na skinienie palca lub uniesioną brew milczącego suwerena na pałacowym dziedzińcu. Strażnik najlepszych cnót symbolizowanych przez dwa miecze (waleczność), dwie tarcze (braterstwo) i halabardę (wierność), wznoszący się ponad amok bitwy i widzący w niej głębszy sens niż tylko ten dostrzegalny z poziomu kałuży krwi. Z jednej strony to posągowy mędrzec obeznany z bezwzględnością rodzinnych bóstw i z nieśmiertelnością przodków domowego ołtarza, przyrodnik równie biegły w cyklach natury, materii i duszy, filozof zapatrzony w dwa czarne *tomoe* na czerwonych proporcach powiewających u rękojęści mieczy, sędziwy mnich medytujący nad odwiecznym porządkiem świata. A z drugiej strony to tylko stary sokół, któremu nieobce władza i okrucieństwo władzy. Bez górnolotnych inskrypcji ani cyfr oznaczających klasę orderu, które mogłyby skorumpować wieloznaczność metafor

i ośmieszyć zamysł estetyczny. Piękno skromne, choć wielobarwne, niewątpliwie dzieło sztuki. Trofeum wręczane naiwnym przez cynicznych. Na skali wyrachowania rozpiętej między honorem wojowników a wielkodusznością wodzów umieszczone w pół drogi między Orderem Wschodzącego Słońca a Orderem Drogocennej Korony.

Czcigodny Ojcze!

Spieszę donieść, że wciąż służąc w lotnictwie Cesarskiej Marynarki Wojennej, w tych dniach zgłosiłem się na ochotnika do Shinputokkotai, gdzie walczyć będę w nowej jednostce Mitake i niechybnie polegnę boską śmiercią, czczony i sławny jak brat mój, SS Hauptsturmfuehrer Christian Ali, z pewnością w jakiejś wielkiej bitwie, która przypieczętuje losy tej wojny.

Rozpiera mnie duma, że zginę za Cesarza, ta sama, którą żywili moi dziadowie i dziadowie moich dziadów, a przedtem jeszcze ich dziadowie, i tak aż od początków czasu. Choć żem jasny i błękitny, to mam duszę samurajów. Niepokonany, umrę szczęśliwy na ich modłę.

Wkrótce udajemy się z Kanoya na wody Okinawy, skąd nikt z nas nie spodziewa się wrócić. Dowódca nasz, który szanuje starszeństwo i dobre wychowanie nie mniej od oręża, czcigodny Senzo Iwashita, podporucznik, mąż już przesławny i znakomity, choć zaledwie mnie rówieśny, pożegnanie najbliższych rozkazał, co niniejszym czynię szczerze a bez melankolii. Do najdostojniejszej Matki naszej jużem napisał.

Wraz z tym listem, Panie Ojcze, otrzymacie Order Złotego Sokoła nadany mi pośmiertnie przez wielką ozdobę tego wieku, szlachetnie urodzonego wiceadmirała Takijiro Onoshi. Godzi się przypuścić, że będzie to order klasy V lub może IV. O większym honorze marzyć nie śmiem i nie umiem, gdyż ani wiek, ani skromność mej śmierci do klasy III nie aspirują. Usprawiedliwieniem mem niech będzie, że czcigodny, acz nieznan mi z oblicza dziad mój Stanisław klasę I za

Sakusen Kartagina otrzymał, o której po dziś dzień w podręcznikach sztuki wojennej uczą, co poświadczam, bom te księgi jako kadet rzetelnie studiował i pomyślnie egzaminowany z ich znajomości byłem.

Czcigodny Ojczy, ta wojna wkrótce się skończy i ta Wasza Polska ani wyłoni się z niej jako zwycięzca, ani odejdzie jako pokonany, ku utrapieniu sąsiadów i zgryzocie samych Polaków. Zmieni się geografia i bieg historii, zmieni się wiara i pamięć, zmieni się lud i zmieniają się wodzowie. Zmieni się wszystko po to, by nie zmieniło się nic, po przyczynie, że Polak ci nieśmiertelny, a wraz z nim nieśmiertelne zmyły jego duszy. U niego dobro częściej będzie służyć złu za najwyższe usprawiedliwienie, a prawdomówność będzie nazywał głupotą. W tym kraju wszelka zasługa będzie sumiennie karana, a wiarołomstwo sowiec nagradzane. Każda potwarz znajdzie wdzięczne ucho i straci resztki blasku bezradny honor powalany ekskrementem. Mając wybór, Panie Ojczy, wyboru dokonaliście, który szanuję, ale mając jako ja nieledwie rozumu, pojąć się go nie da. Przecie wkrótce nadciągną kolejne zawieruchy i znów wokół grobów mężnych tańczyć będzie wystrojona miernota, zatriumfuje przeciętność, nieufność i zawiść, rozpanoszony występki straci cnotę z przeludnionych cokołów, hołota w imię postępu zburzy kollegia i świątynie, chamstwo chamstwu chamskie wystawi pałace, ciemnota naukę odda w niewolę ignorantom, a pospółstwo, jak zazwyczaj, władzę nieudolnym powierzy za kęs spleśniałego chleba. Tyłem znalazł w onych księgach, którym jeszcze pod Waszą kuratelą był studiował. Toście, Panie Ojczy, wybrali i nie mnie Was sądzić. Wszelako jako ostatni dziedzic Wasz, krew z krwi, kość z kości, nie pojmuję Waszego przywiązania do ziemi tej jałowej, kamienistej i płaskiej, do tych ludzi nieokrzesanych, do bezpłodnego wyrażania siebie bez większej nadziei na podziw czy choćby zrozumienie. Chyba że za dobrą monetę bierzecie prostaków fałszywy podziw i przekupne zrozumienie, które zasobna piwniczka i stół suty chwilowo wspomogą, ale nie na pewno.

Perswaduję sobie, że z kulturą poróżniła Was rasa, z rasy wykluczyło Was doświadczenie, od doświadczenia oddzieliła

geografia, a od geografii – kultura. Nie miejcież mi za złe, że pragnąłem uniknąć owego błędnego koła alienacji, które Was samych tak srodze naznaczyło. Ludzka rzecz taka samotność i z pewnością jesteście w niej bardziej ludzcy niż ja, bardziej spełnieni, a może nawet szczęśliwi. Darujcież mi tę słabość do poczucia przynależności, której nabywszy szczenięciem, nie miałem odwagi stawić czoła w wieku męskim. Obiecuję, że to się już więcej nie powtórzy.

Tymczasem, Czcigodny Ojczy, obroty rzeczy, których przewidzieć ani powstrzymać się nie da, zmierzają ku temu, byście to raczej Wy moim dziedzicem byli niż ja Waszym. Proszę zatem usilnie, byście stypendium, które za Orderem pośmiertnie podąża, w wysokości, jak mniemam, pięciuset jenów, zgodzili się przyjąć do Waszej dyskrety a zechcieli przeznaczyć na chesne tudzież jaką lichą stancję dla najzdolniejszego pacholęcia w okolicy i niechże Wasz prawdziwie dobry smak będzie w tej okoliczności talentów jedynym sędzią. Wam to nędzne grosze, a komu ubogiemu może dość dla bycia sobą, byle z dala od tamtych stron. Kto umie z pogardy mego dzieciństwa uciec, wart każdej pomocy, i wszelka nadzieja w tym, że nie każdy kiedyś wraca, jako i ja nie wracam.

Na koniec wreszcie, przyjmijcie prośbę o wybaczenie, co tamtejsza prosta wiara nakazuje, a sumienie pozwala, że z sobą, choć odmienny, że głuchy, ślepy i niemy nie objawiał talentu w żadnej ze sztuk, które uprawiać wypada, że dziecinny, naiwny i uparty dał się zabić. Wybaczcie, że tak długom zasiadał do napisania tego listu, długo, bardzo długo, w istocie życie całe. W zgodzie z prastarym obyczajem a za namową najdostojniejszej Matki naszej dołączam doń haiku – nieskromnie, jeśli udane, nieroztropnie, jeśli chybione – tym razem ufny będąc, że nie doczekam komentarza.

Zamknięci w klepsydrze
żyjemy piachem,
pobieramy naukę oddychania
głową do góry.
Zanim się przesypiemy.

Pozostając zawsze Wasz, kreślę się z najwyższym szacunkiem,
St. Kato Radetzky
Kaigun Shosa (pośm.)

A Kominek Wawrzyniec, rzeźbiarz-poeta, dłutem w piaskowcu
dziedzica symbolicznie na to:

CHRISTIAN ALI RADECKI
Indianin

STANISŁAW KATO RADECKI
Komboj



Panie, tylko Tyś jest wielki, tylko Tyś jest Bogiem, tylko Tyś jest Ojcem. Ciebie prosimy przez wstawiennictwo i pomoc Archaniołów Michała, Rafaela i Gabryjela, aby nasz brat został uwolniony od złego ducha, który uczynił go niewolnikiem. Wszyscy Święci, przyjdźcie nam z pomocą. Od niepokoju, smutku, obsesji, Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie. Od nienawiści, nierządu, złego dotyku i zawiści, Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie. Od myśli o zazdrości, gniewie, śmierci, od wszelkiej myśli o samobójstwie i poronieniu dziecka, Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie. Od popadania w rozwiązłość cielesną, od rozbicia rodziny, od złej przyjaźni, Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie. Od wszelkiej formy czarów, uroków, guseł, zabobonów i od wszelkiego zła ukrytego, Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie. Panie, który powiedziałaś: pokój zostawiam wam, pokój mój wam daję, przez wstawiennictwo Dziewicy Maryi, uwolnij nas od wszelkiego przekleństwa i spraw, abyśmy cieszyli się Twoim pokojem. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

I byłoby to trudne nabożeństwo potoczyło się dalej z godną rutyną, gdyby nie Deleś, co rączo uchodząc siwym widłom, bezpiecznie pokonał uprawiane przez Hahama pole minowe i przeczekał noc

w buczynie wedle noworocznego mostu, by uznać, że jako bądź co bądź rzymski katolik ma prawo szukać pomocy w swoim kościele. Morga, który wspinał się już na ambonę po krętych schodkach owiniętych wokół filara, dostrzegł go, dopiero wyłoniwszy się zza zakrętu. I pomyślał najpierw, że może wzrok go myli, a zaraz potem, czy na siostry nie sprowadził jakiego nieszczęścia, przechrztę im wysyłając, i co z tego, że metryka *sehr gut*, kiedy nawet za najlepszy *gut* też stawiali pod ścianę, ale jak już się wdrapał i spojrzął w dół, wraz pojął, że siostry są bezpieczne, bo to nie Deleś nieszczęście na innych ściąga, ale to do niego nieszczęście w najczystszej postaci przywiązana jest, przyplątana, przyklejona, przywarta i co tam jeszcze, i zaś przemieszcza się razem z nim jak utuczone muchy z roponośną gangreną. Deleś, chcąc nie chcąc, stanął z tyłu pod organami, koło Uczciwka, który go powitalnie uściskał, jak starzy towarzysze się witają po dłuższej rozłące, i od razu zaczął szeptem knuć, co proboszcz z ambony dobrze widział, tylko nie słyszał nic a nic, ale nie szkodzi, wiadomo, co taki Uczciwek może mieć do powiedzenia. I poczuł Morga smak kolejnej porażki, bo mu przykro zaświtało, że ani szczeniaka nie zbawił, ani nie uratował, a tylko popchnął w objęcia komusze czerwone. Że mimowolnie, czyli niechcący, to rzecz bez znaczenia dla pasterskiego rachunku i goryczy nie zmniejsza, bo nie ma takiego miodu, co osłodziłby piołun. Upadek nie przestaje być upadkiem bez względu na to, czy na dnie czyha kamienista przepaść, czy jedwab pajęczyny. Upadek jest upadek, myślał dobrodziej, bez różnicy, czy cnota pada na twarz, czy na dupę.

Morga stał już na ambonie, gdy organista, zdolny, ale pijaczyna, zatoczył jeszcze jedno kółko na motywach *Tej ostatniej niedzieli*, motywach odległych, lecz wciąż rozpoznawalnych, by dać proboszczowi złapać oddech, bo tak było od dawna umówione, bo wprawdzie schodków tylko dziesięć, ale tusza dobrodziejka znaczna i kolana obolałe od reumatyzmu, i w ogóle kto to widział, żeby kazanie zdyszany głosem wygłaszać. Czekał więc Morga wsparty o pulpit, aż wybrzmi ostatni akord szlagiera, patrzył z góry na piórkowskich, liczył ich grzechy oraz występki i zastanawiał się, któż im teraz będzie klucz wiolinowy na chałupach malował, kto

porządku dopilnuje, kto sprawiedliwość wymierzy i kogo będą się bali, bo jego samego to raczej nie, bo taka wojna to wszystkie przykazania osłabia i zmienia co najwyżej w marudne postulaty, jak to wojna, i na wojnie sama bojaźń boża już nie wystarcza i jakby więcej skuteczniejsza bywa, kiedy zwykły człowieczy strach ją wspiera. I odmierzał dobrodziej w myślach dramatyczną pauzę dzielącą gasnący w powietrzu dźwięk organów od pierwszych słów eulogii, bo taka pauza to nie może być ani za krótka, ani za długa, bo dramatyczna jest tylko wtedy, kiedy jest w sam raz, i napominał się, żeby nie mówić o Panu, ani, broń Boże, o sobie, a tylko i wyłącznie o tym tu Smyczku. Nie mów o Panu, póki nie zapytają, ale mów tak, żeby pytali. Milcz o sobie, póki nie zapytają. Ale milcz tak, żeby pytali.

E tam, i tak nie zapytają.



Piórkowscy ani się spostrzegli, jak wojna się skończyła. Bo ani śmierć Smyczka, co zginął, a nikt nie wiedział od kogo, ani śmierć Zerbsta zaraz potem i wszyscy wiedzieli od kogo – wracając z Częstochowy, gdzie osobiście i z pełnym szacunkiem odwiózł Mоргę do transportu, wraz za noworocznym, już na białobrzeskim przyczółku, jego kuebelwagen wyleciał w powietrze na minie i nie było co zbierać – to nie był żaden koniec wojny, najwyżej początek końca. I ukryty w buczynie obłąkany szeregowiec Hiob tańczył swój żniwiarski taniec, obserwując dogasający wrak samochodu z walającymi się wewnątrz zwęglonymi zwłokami, śmiejąc się i złorzecząc na przemian, bo za jednym zamachem i Mоргę pomścił, chociaż dobrodziej ani szczególnie poważał, ani nawet dobrze znał, ale Dełesia żywego na nabożeństwie widział i wiedział, komu zawdzięcza, że w rubryce „Ma” może sobie wpisać zmężniałe „jeden”, i było mu szczerze obojętne, jakie to „jeden” będzie i którą drogą pójdzie, byle było i byle szło, i Zerbstowi przepowiednię, że wdepnie we własne gówno, spełnił, a to przecież ważne i po polsku,

i po żydowsku, żeby obietnic dotrzymywać, bo może i parch, ale swój honor ma.

Nie, bez Smyczka oraz również i bez Zerbsta ta wojna trwała sobie w najlepsze i nie zakończyło jej powstanie powiatowej Rady Narodowej w Białobrzegach z przewodniczącym Uczciwkim na czele ani perswazje dziewiętnastoletniego towarzysza Zajonca z bezpieczeństwa, ani widok Siwych w budzących postrach mondurach ze srebrnym wężykiem na wyłogach, ani nawet zakwaterowanie towarzyszki Winkler we dworze. *Boże coś Polskę* nadal śpiewano z „racz nam wrócić, Panie”. Może i skończyła się niemiecka okupacja, ale wojna to na pewno nie.

No więc w Piórkowie czterdziesty ósmy będzie ważniejszy niż czterdziesty piąty, bo w czterdziestym piątym to tylko ruskie wygrali ze szkopami, dopiero w czterdziestym ósmym piórkowscy połapią się, że to nie wojna kończyła się przez trzy lata, tylko u jednych nadzieja, ludzka rzecz, konała tyle czasu, u innych dojrzewała gorycz, że to już i że po wszystkim, a jeszcze inni, po prostu, dojrzewali.

Dla dziedzica czterdziesty ósmy będzie ważniejszy, bo Tom, którego poznał u Ezry, a którego uważał za miernego poetę, znacznie słabszego niż on sam, dostanie Nobla. Nigdy nie odpisze na list z gratulacjami, kawał chama, nigdy jako redaktor w Faber & Gwyer nie okaże najmniejszego zainteresowania wydaniem sonetów pana Radeckiego. Nobel, no po prostu straszne.

Mordze czterdziesty ósmy przyniesie śmierć Prymasa Hlonda i ingres Wyszyńskiego. Nie, żeby proboszcz miał aż takie aspiracje, no może trochę, ale szło raczej o to, że Stefan, z tego samego seminarium i w dodatku rok niżej, niczym szczególnym się nie odznaczył i ogólnie nie za mądry. Porażka, zaraz porażka... Ot, przykrość taka.

W czterdziestym ósmym Deleś przejdzie do cywila, z podrobioną maturą i zapomogą od dziedzica wstąpi do właśnie otwartej

Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, by w kilka lat później zostać jej pierwszym absolwentem, pierwszym w ogóle (dyplom numer jeden), pierwszym w sensie, że najzdolniejszym, oraz pierwszym, który wziął i wyjechał.

A Ania Czynasta wstąpi do ZMP, bo akurat powstało, i bez krępacji będzie mogła dawać dla wyższych celów.

W czterdziestym ósmym Kazimierzowi w końcu znacjonalizują drajem, no to będzie woził nieboszczyków furmanką, najpierw taką zwykłą, potem taką z resorami i na pneumatykach, a pod koniec to nawet z chromowanymi deklami od volkswagena.

I w tym samym roku piórkowskim chłopom wprowadzie uda się obejść przepiękny plan kolektywizacji, ale już obowiązkowych dostaw nie da się uniknąć i będzie znowu jak za Niemca.

I jakimś cudem Państwo Izrael powstanie, i od razu wybuchnie wojna z Arabami, i tego to już Haham nerwowo nie wytrzyma, i wyjedzie daleko, i nawet nauczy się trochę po angielsku. Whitebanks. Poland.

Uklejowe nicponie w czterdziestym ósmym przyklejone do szkolnego radia będą wygrywały pierwszy Wyścig Pokoju, etap po etapie, ale i tak indywidualnie wygra jakiś Jugosłowianin, a nasi tylko drużynowo.

Uczciwek szczerze się zmartwi usunięciem Gomułki, ale tylko prywatnie, bo towarzysza Wiesława znał i lubił, co na szczęście nie przeszkodzi mu zostać członkiem KC po zjednoczeniu, też w czterdziestym ósmym.

I dla Wandy będzie ważny, bo jakoś tak właśnie koło czterdziestego ósmego przestanie pojawiać się klucz wiolinowy na drzwiach, murach i płotach, i ślady butów noszonych na opak odcisnięte nocą w bloku wokół chałup partyjnych i ormowców, i choć Deleś przesłucha Wandę na tę okoliczność, to niczego się nie dowie, tak

jak trzydzieści kilka lat później nie dowiedzą się esbecy, w każdym razie nie od Wandy, kto na białobrzeskich murach malował napis „Solidarność” z kluczem wiolinowym w miejscu pierwszej litery.

Dla Siwych też czterdziesty ósmy będzie łaskawy, bo wszyscy, co do jednego, przeżyją akcję „Wisła” i w nagrodę KBW powierzy im mniej wymagający odcinek – ściąganie kontyngentów. Lekki chleb, człek się nie przemęczy, jeszcze pożywi siebie i najbliższych, a w ich domach pojawią się zegary i maszyny do szycia, a u jednego to nawet samowar, wraz domowym sposobem przysposobiony do destylacji.

Zaćmienie słońca tylko przekona siostry, że szatan nadciąga i koniec świata blisko, jakby im innych znaków było mało.

Faber przeczyta dopiero co opublikowane *Pożegnanie z Marią*, a bo Faber przeżył i wrócił do Londynu, i tak go to odmieni, że rzuci posadę w City, przetłumaczy je na angielski, wyda za własne pieniądze, nie zarobi na tym, to zarobi na czym innym, a będzie tego tyle, że Faber & Gwyer zostanie Faber & Faber, i dziedzic biedaczysko do końca swoich dni się nie dowie, że zamiast słać rękopis do Eliota, mógł po prostu napisać do naszego Faberka i pewnie miałby w końcu ten swój debiut.

Wprawdzie Światowy Kongres Intelktualistów potrwa tylko trzy dni sierpniowe, upalne, ale skwapliwa towarzyszka Winkler zdąży ekspresowo zapoznać i Lukácsa, i Eluarda, i Légera, a także Fadiejewa, Erenburga i Szołochowa oraz, trochę z rozpędu, a trochę przez nieuwagę, również Marię Dąbrowską, i sam Picasso będzie pod takim wrażeniem kunsztu, z jakim Hortensja potrafi krzepko złapać i delikatnie podtrzymać, że gołąbka na serwetce w restauracji hotelu Monopol narysuje dla niej, bo wprawdzie we Wrocławiu był tylko facetem w delegacji, ale kongres był w obronie pokoju, a to poważna sprawa i jakaś sztuka koniecznie powinna to potwierdzić.

W tymże czterdziestym ósmym powstanie koncern Honda, na którego czele stanie wielka ozdoba tego wieku, szlachetnie urodzony

wiceadmirał Takijiro Onoshi, i w końcu podbije świat, dając pracę tysiącom i poczucie dobrobytu milionom, nienękany przez prasę, międzynarodowe trybunały ani wyrzuty sumienia.

A Kominek Wawrzyniec pierwszy raz zobaczy lastryko, posmutnieje czegoś i jeszcze bardziej zamknie się w sobie, zrozumiałwszy, że nadszedł kres sztuki i poezji, skoro ludzkich rzeczy nie trzeba już ręcznie wykuwać w kamieniu, tylko można odlać z betonu i pomalować na olejno.

Masaryk zginie (jeszcze o tym nie wie), władzę weźmie Gottwald (już się szykuje), a Hannelore bez grosza przy duszy, chora i niedołączna dokona żywota w przytułku na przedmieściach Pragi, złorzecząc komunie za własną nędzę i mającąc o czasach białobrzeskiej świetności.

A dla kanadyjskich lotników czterdziesty ósmy to w ogóle byłyby żniwa, sianokosy i normalnie Klondike, bo zacznie się blokada Berlina, a wraz z nią życiowa szansa dla każdego, kto umie dakotą wystartować i wylądować, i z pewnością dorobiliby się małych fortun nie tylko na godzinach wylatanych z frachtem wszelkiego rodzaju i gabarytu, od gumy do żucia po węgiel w brykietach, ale i na prywatnej kontrabandzie burbona, papierosów i nylonów w tamtą stronę oraz dzieł sztuki i biżuterii z powrotem, i w trzysta dni obróciliby z tysiąc razy w tę i nazad, gdyby tylko nie byli zginęli nad kolonią Siwe albo gdyby chociaż byli.

Nie, nie, w sumie czterdziesty ósmy był ważniejszy niż czterdziesty czwarty i czterdziesty piąty razem wzięte.



Raczej przypadkowe spotkanie w Białobrzegach nie miało w sobie nic z rozrzewnienia, w typie, dajmy na to: ileż to lat? Oczom nie wierzę! Nic się nie zmieniłeś... Wciąż piękna... Coś tam zwyczajowo wypili, ale nie za bardzo i nie doszło do rytualnej libacji, ale takiej,

że puszczają wszelkie hamulce, że chwieją się zasady i kryteria doboru, a hormony i wóda negocjują zamroczone przyzwolenie. Chodźmy do mnie... Właściwie, dlaczego nie?... Dobrze, gdy te negocjacje wieńczy sukces – wówczas rankiem kochankowie rozstają się z pełną zażenowania ulgą, bo niekiedy kończą się porażką i wtedy skacowani zostają ze sobą na całe życie.

„Kapitan Doktor”, przywitał się Uczciwek powagą i władzą. „Kapitan Winkler”, przywitała się Hortensja dystansem i statusem. I natychmiast stało się jasne, że nic z tego nie będzie, bo nie ma takiej możliwości, żeby w łóżku wyładowało dwóch kapitanów, zwłaszcza samozwaniec z AL z frontowym oficerem kościuszkowcem, bo trzeba znać miarę i miejsce w szeregu. Bo o ile w zasadzie jest do przyjęcia, że baba daje, by na społecznej drabinie przemieścić się do góry, a chłopu wolno posuwać właściwie wszystko poniżej jego aktualnej pozycji, to nie do pomyślenia jest, że baba może dawać w dół, a chłop posuwać do góry. Bo w tym pierwszym przypadku to głupie i niesmaczne jakieś oraz zwyczajnie nieopłacalne, a w tym drugim jakieś ogólnie niemęskie, o skuteczności nie wspominając. No i z tego klucza nie dostał Uczciwek. Walczył dzielnie w Hiszpanii, potem z hitlerowskim najeźdźcą, a potem jeszcze dziarsko utrwał władzę ludową, a Hortensja i tak mu nie dała. Poniżej pułkownika – nie ma. Chyba że czerwonoarmista, to może być nawet major.

Że wojna przybiera jakiś dziwny obrót, zorientowała się, kiedy do Kirowa niemal jednocześnie dotarły pierwsze rysunki Krzyża Walecznych i Orderu Krzyża Grunwaldu, a zaraz po nich Zasłużonym na Polu Chwały. Dyskretnie popytała, o co tu chodzi, i od dowódcy Smierszu dowiedziała się, że był jakiś układ Kremla z jakimś Sikorskim, ale jakiś Anders zdradził, jebane polskie pany. Od konwojentów usłyszała, że była jakaś amnestia dla obywateli polskich, ale chyba nie wszystkich, bo po dworcach spotyka się niemal samych mężczyzn naznaczonych łagrem i prawie wcale kobiet, a w radio, że kielecki sąsiad Winklerów, podówczas dowódca tamtejszego 4 Pułku Piechoty Legionów i sanacyjny pułkownik, teraz formuje pierwszą dywizję polskich patriotów, i nabrała

przekonania, że to musi być ten sam, bo iluż Zygmuntów Berlingów towarzysz Stalin może mieć w zapasie, i napisała całkowicie oficjalną drogą, i posłała najzwyczajszą pocztą w kopercie zaadresowanej „Zygmunt Berling, generał, Krasnowodsk”, powołując się na dawne sąsiedztwo, i doszło, i towarzysz Berling, co sam wyrokiem sądu honorowego z przedwojennego wojska musiał odejść, pamiętał pannę Hortensję, córkę aptekarza zmarłego w Berezie zaraz na samym początku trzymiesięcznego turnusu, bo o tym wszyscy wtedy w Kielcach mówili, i kiedy do kontroli jakości trafiły prototypy Za Odre, Niszę, Bałtyk, towarzyszka Winkler już paradowała po sztabie w nowiutkim mundurze z nowiutkim naganem. Nawet, suka, manicure miała.

Żeby dzieci uczyć, to początkowo nawet słyszeć nie chciała, mimo że Uczciwek wszelkich argumentów użył i do rewolucyjnego sumienia przemówił, ale z wyrachowania, bo mu się roilo, że jak będzie miał Hortensję w zasięgu, to prędzej czy później dostanie. Naiwny. Kapitan Winkler może co najwyżej zajrzy tu w drodze powrotnej z Berlina, na nic więcej, towarzyszu, nie liczcie. Ależ się zdziwił, jak w rzeczy samej, chociaż dopiero kilka lat później, wracając z Wrocławia, przez grzeczność obejrzała szkołę, kwaterę i dziedzica i została już właściwie na zawsze, nie licząc krótkich wypadów do Kielc, do ginekologa, i jednego do Warszawy, na zabieg.

Bo z dziedzicem było zupełnie inaczej. Piękny i smutny, szybko przestał być zagadnieniem politycznym. Zbyt samotny, żeby stanowić klasowe zagrożenie, intrygował erudycją i wzruszał bezradnością poety wobec dialektycznej prostoty świata. Rozczulający tchórz i nieudacznik, słabeusz, któremu do szczęścia wystarcza samotność, dojmujące niezrozumienie i doznana niesprawiedliwość, po latach samowystarczalności w tych sprawach zaufał zdolnościom manualnym Hortensji i tak położył kres zwątpieniu we własną tożsamość, obficie kończąc dekadę celibatu. A kiedy za drugim razem otworzył oczy w trakcie i zobaczył, że towarzyszka Winkler połyka, poddał się, bo w pewnym wieku nie można wygrać z fizyką i chemią „chcę” i trzeba się pogodzić

z fizjologią i alchemią „chcę jeszcze”. Pojednanie przez uzależnienie. Pokój, co zapowiada ale wojnę. Tym samym, mimochodem, wynalazł kryzys wieku średniego, tyle tylko, że w dziejowo trudnym momencie, gdy nie było go stać na te wszystkie kosztowne substytucje i sublimacje. Stać go było już tylko na chłonną marksistkę dobrze pod czterdziestkę oraz jedzenie nożem i widelcem.

Dzięki temu do końca ich dni, a trochę im jeszcze zostało, pozostał natchniony, egocentryczny, czasem nawet brutalnie wyniosły, wciąż śniący o Wandzie i jednocześnie trawiony zazdrością o Hortensję (co bardziej skomplikowane natury to potrafią), najwidoczniej nie wierząc w jej zapewnienia, że poniechała oficerów, pisarzy i artystów, skoro ma całą tę menażerię w jednej izbie. U dziedzica bowiem występowało rzadkie połączenie gorzkiej inteligencji, manii wielkości, stanów lękowych i aparycji amanta, czyli zestaw, że nie ma lepiej. Muzy, nimfy i jamochłony mogą tylko marzyć o związku z kimś tak niedorzecznym. Toksykologia zna zaledwie nieliczne przypadki par tak upiornie a dialektycznie doskonałych, zdolnych przetrwać czystki, odwilże i rodzinne święta – porywcza modliszka ze skłonnością do dobijania rannych i upośledzony emocjonalnie, samolubny pięknoduch. W zasadzie wróg ludu, tyle, że bez ludu. Wróg idealny. Piękny początek wielkiego i trwałego uczucia.

Równie skłonny do nudy, jak do trwogi, prędko zgodził się, by na kominku obok zdjęcia Marszałka stało zdjęcie Generalissimusa, a *Krótki kurs historii WKP(b)* obok Kanta, Fichtego i Hegla, wszystko w oryginale, wszystko pierwsze wydania. A przy tym ckliwy, uparty i dziecinny umiał postawić na swoim i mimo awantur na każdą szkolną akademię przypinał baretki Krzyża i Sokoła do wyjściowego surduta, spokojny, że włos mu z głowy nie spadnie, póki czuwać nad nim będzie Hortensja z jej ponurą sławą i jeszcze bardziej ponurymi koneksjami oraz jego własna reputacja niegroźnego ekscentryka.

Kłócili się i żarli właściwie bezustannie, chociaż w sposób niezauważalny dla postronnych i tylko oni sami wiedzieli, że oto w głuchoj ciszy odbywa się kolejna epicka awantura, w której

padają najcięższe oskarżenia i najgrubsze epitety. Ja? Egoista? Egoistą jest ten, kto nie myśli o mnie, obruszał się pan Radecki, ale nie na głos, czyli w myślach, bo żeby to powiedzieć otwarcie, musiałby zdecydować, czy występuje jako mistrz ceremonii, czy jako zakładnik. Suka? Ja? Poza burżuazyjnymi przesadami nie ma żadnych ekonomicznych powodów, żeby być „przyzwoitą”, odcinała się panna Winkler, również w myślach. Co nie zmienia postaci rzeczy, że traciła instynkt samorientacji, jakiś poznawczy żyroskop, bo obiektywnie nie było wiadomo, czy daje w dół, czy do góry.

Dla dziedzica ta sypiąca z naganem pod poduszką straszna i zmysłowa kobieta o niepośledniej inteligencji, z empatią w zaniku i rozwiniętymi mięśniami Kegla, była uosobieniem czyścica i wcieleniem fantazji. Dla artysty, narcyza i trutnia – zestaw, że nie ma lepiej. Dla Hortensji zaś ten wrażliwy na spiż i bezlitosny dla złomu kabotyn, pełen niezależności i skłonny do uzależnień marzyciel był obiecującym jeńcem. Nie chciała przecież zwykłego gacha, szukała nieprzyjaciela. Żyła wojną i potrzebowała wojny, a że w okolicy akurat nie działo się nic ciekawego, gotowa była przystać na wojnę domową. Ale do wojny domowej oprócz przeciwnika potrzeba jeszcze domu. No to została.



I wszystko się popierdoliło. Kiedyś lato i jesień w Piórkowie występowały w duecie, młodzi żenili się jesienią, latem rodziły się dzieciaki, zapowiedzi, wesela, chrzciny i pogrzeby układały się w zrozumiałe cykle i jakoś to szło. Teraz też niby szło, ale naftalinne zimy coś złagodniały i przyspieszyły, wiosny budziły się jakoś opornie i ziewały aż do Bożego Ciała, lato zwlekało do ostatniej chwili i nie odbierało pożółkłych liści z poste restante, wychodząc ze słusznego skądinąd założenia, że najważniejsze sprawy i tak załatwia się osobiście. I w rzeczy samej, wraz nadciągała wkurwiona jesień we własnej osobie, wściekła, że nie może wybocianić do ciepłych krajów i poleżeć sobie na hamaku, tylko musi zapierdalać w tym zasranym Piórkowie, bo to i dzień z zegarkiem w rękę trzeba

coraz wcześniej wyganiać precz, deszczy trzeba dopilnować, żeby się nie obijały, tylko wzięły uczciwie do roboty, błota namieszać na zaś, żeby na roztopy starczyło, bo w dupę jebana wiosna to roztargniona jest i jeszcze mogłaby zapomnieć. I koniecznie przymrozić co i raz, a to dla żartu, żeby pijany w trzy pizdy organista orła wywinął na schodach kościelnych oblodzonych, a to ku przestrodze, żeby sobie śliwki w sadzie nie myślały, że o nich kto zapomniał i będą tak sobie bezczelnie dyndać do Andrzeja albo i Barbary, bo z jakiej racji? Niby ładna, ale pełna żółci, niby spokojna, ale czerwona ze złości, niby rzewna, ale tak zgorzkniała, że ze wszystkich pór roku to właśnie ją będą pamiętali, tak jak z życia najlepiej pamięta się jesień życia. Bo wiosny, lata i zimy, jeśli tylko nie przyniosły kataklizmu, to przychodzą i odchodzą, wydarzają się i mijają, a jesień jest, bo tak ma, że jej skłonności poetyckie są największe i możliwości symboliczne najbliższe życiu samemu, w którym nie sztuka przeminąć, tyle to każdy potrafi, sztuka być przemijaniem, a to potrafi tylko prawdziwa jesień.

Taka nasycona metaforami i kolorami jak żadna letnia tęcza, sentymentalna do granic kiczu i szczerą do bólu – z czego żyje, kiedy nie orze i nie sieje, tylko pali ogniska na zmarzniętych polach? Dymem znad kartofliska? Szronem na tataraku? Może zwyczajnie bogata jest z domu i ma więcej niż każda inna pora, bo tamte wypraszają poprzedniczki i wypierają się powinowactwa, a jesień nie, zapożycza się u wszystkich dookoła i raz całymi tygodniami parodiuje lato, a znowuż innym razem przez miesiąc przedrzeźnia zimę. I nie wiadomo, czy to tylko łagodne zaburzenia osobowości albo nerwica natręctw, czy od razu ciężka schizofrenia z koprofalią. Widzisz, chuju, przyszła jesień, a myślałeś, że odfruniesz, że polecisz. Samba taka.

To nie w urodziny posuwamy się w latach, bo metryki blakną, giną i płoną, a już na pewno nie w Nowy Rok, kiedy na liczydłach przeskakuje jedna cyferka, bo to tylko kawałek drewna nanizany na drut, co sam z siebie nic nie pojmuje ani pojąć nie ułatwia. To jesienią człękowi przybywa lat, rozumu i doświadczenia, a ubywa życia, energii i pasji. Przybywa Nobli, ubywa endorfin.

Tylko pierdolony idiota mógł wymyślić, żeby wiek podawać w wiosnach, bo to się może i sprawdza, ale tylko przez chwilę. Wiosen wypada mieć kilka, kilkanaście, no może dwadzieścia, ale nie więcej, bo nie da się sensownie powiedzieć „było jej czterdzieści wiosen” albo „w pięćdziesiątej wiosnie życia...”. Od pewnego momentu nie da się liczyć wieku za pomocą czegoś tak hormonalnego, krotochwilnego i błahego jak „wiosna”.

I dopiero jesień jest wiarygodną jednostką miary czasu. Problem, kurwa, tkwi w ułamkach. Dla młodzieńca i panny rok stanowi 1/20 życia. Potem ułamek już tylko maleje, wszystko się skraca i przyspiesza, aż do zawyżonej wartości jesiennych mianowników, których jest nieproporcjonalnie więcej niż tych wiosennych. I myśli człek, jak to, kurwa? Cztery pory, rok cały, a to tylko 1/70? Chujowy jakiś ten algorytm.

Bo jesień patrzy pod nogi, kiedy inne cwaniaczki zadzierają łby albo rozglądają się na boki, bo na jesień już nic nie czyha, nic jej nie grozi ani nie zaskoczy, chyba że kolejna jesień. Metajesień. Pani jesień, pani jesień, drze mordę sterydowa wiosna, proszę spojrzeć, lecą bociany! No i chuj, wycedzi stara baba, szurając liśćmi, zara będą wracać, wtedy se popatrzę. Co mi za różnica?

Skulone to jakieś, zmarniałe, bez jaj i fotosyntezy. Życiem rządzi jesień, kiedy wszystko się zwija, opada, zre na zapas i układa do snu, bez większych ambicji, żeby się obudzić. Gdyby to jeszcze prawdziwy sen był, ale nie, to drzemka metaboliczna. Życia w jesieni tyle, co w kompoście, czyli wcale, bo to żadne życie, tylko procesy gnilne.

I dlatego najłatwiej zakochać się jesienią, bo taka neurotyczna, że trudno ją znieść w pojedynkę. I najtrudniej jesienią się zakochać dlatego, że enzym szczęścia w tak wielkim stężeniu występuje głównie w środowisku rozkładu i fermentacji, a już najprościej go wyodrębnić z gnoju, i wtedy wystarczy tylko zatkać nos, żeby się zakochać, i nie sztuka pokochać majem, tyle to każdy potrafi, sztuka

być kochającym listopadem, a to potrafi tylko prawdziwa jesień.
Miłość, piąta pora roku.

Wiosna kochanków pogańska, bosa i ślepa. Lato małżonków, takie zaradne, kopie studnie, buduje domy i spichrze. Zima wdów. A jesień? Niecierpliwa jest, niełaskawa jest. Zazdrości, szuka poklasku, unosi się pychą; dopuszcza się bezwstydu, szuka swego, unosi się gniewem, pamięta złe; cieszy się z niesprawiedliwości, nie współweseli z prawdą. Wszystkiego nie znosi, niczemu nie wierzy, w niczym nie pokłada nadziei, niczego nie przetrzyma. I tak dalej. Wiara, nadzieja, jesień.



Ostatnia akcja „Kapeli”, już w czasie amnestii, obyła się bez jednego wystrzału. W biały dzień, z nieodbezpieczoną bronią przewieszoną przez plecy i z rękoma w kieszeniach nasi we czterech otoczyli białobrzeski posterunek. Turoń i Śmierć pilnowali od tyłu, Niemowa piwnicznego okna, a Luter zapukał do drzwi wejściowych.

- Czego? – zawołał głos ze środka.
- „Kapela” – odpowiedział Kazimierz. – Przyszliśmy odbić Smyczkową.
- Porucznika Zajonca nie ma, przyjdźta później.
- A gdzie jest?
- A musi u siebie na kwaterze.

Ale we dworze też go nie było, za to kiedy partyzanci wrócili znowu do miasteczka, był już z powrotem na komisariacie. Przywitał się z Kazimierzem i Uklejami, przygłupowi podał rękę, przeprosił, że go wpierw nie zastali, i poprosił do środka. Z zaproszenia skorzystał Kazimierz, że wraz po Smyczku najmądrzejszy, reszta wróciła na swoje pozycje.

- Puść ją, Dełesiu.
- Poruczniku...

- Puść ją, poruczniku.
- Obywatelu poruczniku...
- Puść ją, obywatelu poruczniku.
- Nie puszczę.
- Bo?
- Bo po płotach maluje i lud pracujący straszy.
- To nie ona.
- To kto?
- My nie wiemy.
- To skąd wiecie, że nie ona?
- No, wiemy.
- Przymknę, to sobie przypomnicie.
- Oj, Dełesiu, bo wezmę bata...
- Wy mnie z kimś mylicie, Melus.
- Panie Melus.
- Przyznacie się, obywatelu Melus, to wypuszczę Wandę. Panią Wandę.
- Ale to nie ja.
- To nic nie szkodzi.
- Powiedziałbym, ale nie wiem.
- To pani Wanda jeszcze posiedzi.
- Nie wstyd ci, Dełesiu?
- To jest ten wasz bat, Melus?
- Święta niewiasta, męża pochowała, dziecko i Smyczka, w mondurze, szkopu pod nosem, twojego chrzestnego...
- To nawet nie różga...
- Od Hahama mąkę brała, kiedy wszyscy kupowali u swoich...
- No, nie...
- Dwa dni... może wystarczy?
- Uczą gdzieś tego...
- Się nadarza okazja dobra, przecież Uczciwka pomysł, kapitana, z tym Dniem Kobiet...
- ...czy to wrodzony talent?

Niemowa przysnął w kucki, Uklejowe bliźniaki wdały się w pogawędkę z życzliwą białobrzeską gawiedzią, tłumacząc, że właśnie trwa akcja odbijania więźniów, i prosząc o konfidencję,

a życzliwa białobrzaska gawieź częstowała ich machorką i bimbrem. Znalazł się nawet kawałek słoniny.

- I Morga się za nią wstawi, chyba na pewno.
 - I może jeszcze święta Rita?
 - I dziedzic poręczy.
 - Dziedzic jest nasz!
 - Wszystko jest wasze.
 - Tylko winnych nie ma...
 - Czyli nie?
 - Oskarżacie władzę, że zamyka niewinnych?
 - Próbuję wam pomóc, bo nie lubię zabijać.
 - Są winni, wypuszczamy niewinnych, jak nie ma winnych, to nie ma też niewinnych...
 - Uczą gdzieś tego, Dełesiu, czy to wrodzony talent?
 - Rewolucyjny wynalazek.
 - Tu ludzie ciemni. Ale sprawiedliwi.
 - A wy z tych ciemnych czy z tych sprawiedliwych?
 - Z tych uzbrojonych.
 - U nas takich tysiące, dywizje Siwych! Nic nie rozumiecie!
 - niesprawiedliwość widzę, zacną panią w więzieniu.
 - To sygnał...
 - No, nie...
 - ...znak...
 - Zamknąłeś ją, żeby nas tu zwabić?
 - Próbuję wam pomóc, bo nie lubię zabijać.

I tyle było szczerzej troski i ludzkiej trwogi w głosie Dełesia, że pojął Kazimierz, filozof do śmierci przynawykły, że negocjacje dobiegły końca, że żydek ma coś ostatecznego do powiedzenia, prawdziwego jak proroctwo i prawdopodobnego jak prognoza, i że lepiej go wysłuchać, nawet gdyby się mylił, niż nie wysłuchać i pozwolić, żeby miał rację. Teza. Antyteza. Synteza.

- Powiem wam, jak będzie, a wy już sami decydujcie, czy chcecie tego dożyć.
 - Mów.

– No więc będzie tak...

Tłumek przed komisariatem zgęstniał, nie wiadomo skąd pojawiła się wata cukrowa i pańska skórka, ktoś przygrywał na harmonii poleczki na zmianę z marszami, domokrażny ostrzyiciel noży rozkręcił swój warsztat, hazardziści i naiwniaczki otoczyli odwróconą do góry dnem beczkę na deszczówkę i wszyscy razem zgodnie przegrywali w trzy karty z częstochowskim knajakiem bez nijakiego szacunku i zainteresowania dla historiozoficznej debaty toczonej parę kroków dalej.

– ...ale nie przetrwa bez Żydów.

– Jeszcze nie widziałem Żyda, co by przyznał, że Żydzi rządzą światem.

– Wyobraźcie sobie, że to taka, hm, reformacja.

– Psalmi...

– ...i stosy.

Teza. Antyteza. Proteza. Obleżenie trwało w najlepsze, życzliwi czekali na pierwsze strzały, a złośliwi szeptali „pogrom”, ale nie bardzo było kogo gromić, bo Zerbst zdążył pozamiatać po niemiecku porządnie, wraz dla jednego Dełesia, w dodatku własnego, nikomu się nie chciało latać po siekiery. Ktoś tam gadał, że Smyczek żyje i właśnie dotarł do Goszczy na czele całej Armii Krajowej, kto inny, że Anders nadciąga na białym koniu, a jeszcze inny już widział furmankę z Amerykanami i bombą atomową na broniszewskim gościńcu. Trzecia wojna światowa wisiała na włosku.

– Całą bibliotekę dziedzica przeczytałeś?

– Nie. Znacznie więcej.

I całe szczęście, że dwóch mężów wiodących wielki spór doszło do kompromisu i że po Uklejów przyszły ich rozsierdzone baby, i że Wanda powiedziała Kazimierzowi przez kraty, żeby nie zaprzęgał, i że świetnie się bawi, i wieczorem będzie w domu, bo mogłaby się komu jaka krzywda stać, bo jak się o historii i władzy namiętnie deliberuje, to o nieszczęście nietrudno, o czym historia władzy na

liczne przykłady przekonuje. Najdłuższa rozmowa, jaką Kazimierz w życiu odbył, zmierzała ku konkluzjom racjonalnym a nieuchronnym, jak wieczna terażniejszość. Rozumne jest rzeczywiste, rzeczywiste jest rozumne.

– No dobra. A co mi grozi?

– A nic. Papier podpiszecie i ci tam też, rozpylacze zostawicie tutaj i wróćcie każdy do siebie.

– A pani Wanda?

– Nie teraz. Wieczorem, po cichu. Ludzie patrzą. Zrozumcie mnie.

Ostatnia akcja „Kapeli”, co zapobiegła rozlewowi krwi bratniej i powstrzymała trzecią wojnę światową, według życzliwych do historii przeszła jako „pokój białobrzegi” lub, jak chcieli złośliwi, jako „układ kacersko-żydowski”. Z czasem złośliwych będzie przybywać, bo nawet jeśli gdzieś, na jakimś kamieniu będą się rodzić jacyś życzliwi, to pozostaną nieliczni, niepraktyczni i bez większej przyszłości, bo życzliwość potrzebuje deficytowego czasu i reglamentowanej przestrzeni, a złośliwość przecież nie popuści i miejsca nie robi.



Nie dość, że owieczki jakieś kaprawe, nierozgarnięte i endemicznie niedomyte, nie dość, że organista pijak, Smyczek bandyta, dziedzic szintoista czy jakoś tak, jakby tego wszystkiego było mało proboszcza udreće, to jeszcze ta cholerna święta! Żeby chociaż Juda Tadeusz, co był Apostołem i należał do rodziny Chrystusa Pana, jako mianowicie syn Kleofasa, brata świętego Józefa, i Marii Kleofasowej, którą Ewangelia nazywa siostrą Matki Chrystusowej, co oznacza tyle, że była krewną Najświętszej Panny. Z dobrej rodziny czyli, z Chrystusem spokrewniony i ze strony matki, i ze strony ojca, wychowany w domu rodzicielskim z największą troskliwością na pobożnego i niewinnego młodzieniaszka, miał w swoim dzieciństwie szczęście przestawać z Chrystusem Panem. No po prostu wzór cnót na tle innych Apostołów.

Za młodu widział się Mordze jakiś żwawy święty jako patron jego własnej parafii, najchętniej jeden z Ojców Kościoła, ewentualnie dziarski męczennik albo chociaż jakiś rasowy stygmatyk, wszystko, tylko nie ci od skutecznej pomocy, bo to wiara dla powierzchownych i leniwych, za których trzeba wszystko załatwić w zamian za kilka pacierzy. Zabobon i gusła właściwie, dla zawołanego pasterza niewielkie pole do popisu. Nawet jeśli to musiał być ktoś od spraw niemożliwych, to też było w czym wybierać i naprawdę już lepszy byłby taki Juda Tadeusz, co odznaczał się wielką gorliwością dla nauki Chrystusowej i dla sprawy zbawienia dusz, a ludy dzikie i swawolne do naprawy obyczajów doprowadził. Ten w Piórkowie byłby bardziej na miejscu i miał swoich świątyń w całym kraju przynajmniej z tuzin.

Ale nie, myślał Morga, akurat mnie musiało pokarać. Niepiśmienna kobiecina z gór, ani mądra, ani dostojna, gadatliwa żona, zła matka, przebiegła wdowa, swarliwe babsko, które mimo wielokrotnych odmów w końcu wydreptało sobie przyjęcie do klasztoru, katatoniczka, co została świętą chyba tylko dlatego, że przyszło jej żyć w wieku grzeszników, zbrodniarzy i chaosu w kościele rządzonym przez okładających się anatemami trzech papieży jednocześnie. W tym zamieszaniu – nic prostszego.

A nawet jeśli przypuszczalnie nie była taka zła ani taka przeciętna, bo na pewno nie wiadomo nic, to w takim razie miała pecha. Najpierw nie chciała za męża, potem musiała, tylko nie było za kogo, a jak się już trafił jaki, to nieokrzesany prostak w hulaszczym widzie, ale nawet i to bydlę ginie w zasadzce, bodajże z rąk wierzycieli, a dwóch gnuśnych, chełpliwych i skłonnych do występku synów, którzy mogliby go pomścić, w krótkich odstępach zabiera plaga, jednego po drugim. W tamtych czasach nic wielkiego, zwykły pech. Na zdrowy rozum za mało, żeby zaraz wynosić na ołtarze, chyba że tylko pechowcy mogą być orędownikami spraw po ludzku beznadziejnych. Jeśli tak, to na upartego i z Wandy można by zrobić świętą.

Z tymi cudami też trzeba by kiedyś zrobić jakiś porządek. Pogrupować, usystematyzować, zarządzać: cuda dla głupich wierzących, cuda dla wierzących niegłupich, cuda dla głupich niewierzących i dla niewierzących niegłupich. Wysznięty patyk na rozkaz sadystycznej przełożonej podlewany przez Świętą zamienia się w dorodną winorośl, dzwony, co dzwonią same z siebie, kiedy się rodzi i kiedy umiera, róża kwitnie w środku siarczystej zimy na skutek jej modlitwy, zmumifikowany trup otwiera oczy w dniu beatyfikacji i tak już zostaje... No przecież to niepoważne. Może i do przyjęcia w jakimś Ekwadorze, w Roccaporena albo innych Filipinach, ale nie tu. Tu w zasadzie wszystko jest dziełem świętych spraw niemożliwych, ziemia, język, przeszłość, przyszłość i teraźniejszość, kraj cały. No, to jest dopiero cud. Nawet dla mądrych sceptyków.

I tych świętych błogosławionych to wcale wystarczyłoby dwudziestu, może trzydziestu, najwyżej pięćdziesięciu paru, po jednym na każdy tydzień, a nie po kilku na każdy dzień, żeby można było ich odróżnić i żeby dało się spamiętać te wszystkie uczynki, skoro cnoty kanoniczne i tak wszyscy mieli te same, a na kościelnych malowidłach wyglądają dość podobnie – twarze, dłonie, szaty – różniąc się głównie rekwizytami, i łatwiej ich rozpoznać po cierniu, smoku czy księdze niż po obliczu.

Niewiara, myślał Morga, jest tylko brakiem wiary. Taki sam zbiór przekonań, tylko że niezdrowych. Prawdziwym wrogiem wiary nie jest ateizm, ale nadpodaż wierzeń, tak jak wrogiem ekonomii nie jest brak pieniądza, bo gospodarka przetrwa jako prosta wymiana dóbr, ale jego inflacyjny nadmiar. Skoro wszystko jest cudem, to czy jeszcze cokolwiek nim jest? Skoro świętym może być doprawdy ktokolwiek, to czy jeszcze ktokolwiek nim jest? Cud i świętość mogą prowadzić do kryzysu wiary tak samo skutecznie jak choroba umysłowa, obóz koncentracyjny i ekonomia polityczna socjalizmu. Wystarczy tylko ich namnożyć ponad ludzkie pojęcie.

I w ogóle co to za imię? Że niby jak? Święta Gośka? I bronił się ówczesny biskup, że nie przypadkiem na tych ziemiach nie ma ani

jednej takiej parafii, że się nie przyjmie, że śmiać się będą w całej diecezji i po sąsiedzku też, no nie chciał i już, wiedząc, że kiedyś trzeba będzie kolejnym proboszczom tłumaczyć, dlaczego nie taki Juda Tadeusz na przykład. Ale Sophia Anna Imogene Montebianacchi di Cascia Olszańska nie takie rzeczy nie u takich Marsów wyjednywała i zostało, że pod wezwaniem Świętej Rity.



Byliście kiedy w kinie? A ja byłem, w Częstochowie, ciężarówką przyjechało, film widziałem, *Unsere Kinder* czy jakoś tak, jak dwóch przedwojennych komików, naszych, co wojnę przeżyli w Związku Radzieckim, czyli nic nie wiedzą, po wyzwoleniu przyjeżdża na występy do żydowskiego sierocińca, wesołki, ale powoli im przechodzi, jak w nocy podsłuchują pod drzwiami opowieści dzieciaków z getta, i rzedną im miny, i ochota mija na szmoncesy, jak to niewiele trzeba, żeby film zrobić, okazuje się... Tak już zostanie, że filmy o nas będą robić nasi, ale nie ci, co przeżyli, tylko ci, co przeżyli w kurortach na Krymie albo innej Kalifornii, pewnie da się z tego żyć, ale powagi w tym niewiele, tylko aktorskie popisy... Ciekawy zawód zresztą, raz się jest Aloszą albo Myszkinem, a zaraz potem Fiodorem czy Rogożynem, ktoś przecież musi grać strasznych ludzi, bez podłych i nikczemnych nie ma dramatu, nie ma sztuki, nie robi się filmu z samych Gruszeniek czy Agłai, może i gra jest na niby, ale władza prawdziwa i budzi prawdziwe emocje, prawdziwe namiętności, rozdzielanie pięknych a szlachetnych ról, których nie starczy dla wszystkich, dokładnie tak samo jak w życiu, tylko na odwrót, bo w życiu zawsze wygrywa Richelieu, Winnetou za każdym razem umiera z przepicia w rezerwacie, ciekawy zawód, może nawet najciekawszy, ci aktorzy, wszystko Shylocki, to wiedzą coś więcej, odkryli, jak my wszyscy, że jedno życie to za mało, ale jako jedyni postanowili coś z tym zrobić... Jeszcze trochę, jeszcze nie wieczór... Ja bym zrobił inny film, o małym żydku, który musi się obnażać, nie, nie przed szkopem, to by było w sumie jeszcze dość naturalne... przed groźnie kochającą matką, bo higiena... przed braćmi, chłopackie stado

i miejsce w stadzie... pozując do aktu staremu pederście za książki... przed rudą zdeprawowaną dziewczynką, której się boi, wstydzi i pożąda... przed skrofalicznymi, siodłonoszymi zakonnicami, paniami życia i śmierci... przed felczerem, żeby się dostać do oddziału, żadnych szmoncesów, prawdziwy dialog, „ile masz lat, żydku?”, „ile trzeba mieć?”, „o, masz już dość!”, zrobiłbym balladę o nerwicy, dożywotniej i nieuleczalnej, w końcu ile można się bać, tylko skąd wziąć takiego aktora, żeby się dał sfilmować, i młody, i obrzezany, naznaczony, i kto miałby zagrać Siwych, że jednego dnia ganiają żydka z widłami, a drugiego wszyscy razem służą w jednym oddziale, jak pokazać, że każda władza potrzebuje ludzi, którzy po prostu lubią zabijać... A skąd mam wiedzieć? Nie wiem nawet, co to sztuka, zdania są podzielone, sztuka jest podzielona, jedna chroni przed rzeczywistością, druga ją prostytuuje, trzecia ignoruje, czwarta brutalizuje, piąta zawiera kompromis, szósta kompromituje, siódma negocjuje, ósma, dziewiąta, dziesiąta..., a wszystkie straszą i płaczą, bo jak coś bawi, no to przecież nie może być sztuka, dopiero jak boli... Ilu artystów, tyle sztuki, za dużo tej sztuki, za dużo tych artystów, nieuchronnie zmierzamy do tego, żeby każdy mógł być twórcą, nikt już nie chce być stworzeniem, chyba tylko aktorzy właśnie, i kino się czasem przydaje, jak się czegoś nie da oswoić, nie da wytrzymać, no to przerobić to na sztukę i myśleć o uldze, którą się poczuje, wychodząc z kina, zapala się światło, to tylko film przecież... Nie, nie, jeszcze za wcześnie... Po kiego diabła chcecie do klasztoru? Po roku spieprzałem w większym popłochu niż ten, co mnie tam przygnał, tyle że rozprawiczony... Nawet tam zajrzałem niedawno, przejazdem, udawały, że mnie nie poznają, no to im pokazałem puszkę po kakało, a one nic, napis im pokazuję wydrapany, „Bohun tu był”, na ostatniej ławie, po prawo od ołtarza, a one dalej nic, no to im kutasa pokazałem, teraz pamiętacie, pytam, jedna mdleje, druga chwyta za kropidło, trzecia zasłania oczy, nie takie głupie, ale słabe, ja bym ich tam nie obsadził... Z nich wszystkich tylko wy potraficie klucz wiolinowy napisać i mi się tu nie zapierajcie, bo wszyscy wiedzą, kto nocą po płotach smaruje, ciężko wam i doświadczyło was, ale jak przyłapiemy na gorącym uczynku, to będzie za późno i wypuścić was nie będę mógł, nie ma takiej siły,

bez sensu to bazgranie, bo to nic nie zmieni, tylko kłopotów od tego wszystkim przybędzie, i nie mówcie mi, że to tylko kreda i zwykły klucz wiolinowy, bo na wszystko jest paragraf, na symbole też się znajdzie, a może przede wszystkim na symbole, okupacja się skończyła, ale wojna trwa i potrwa, no, trochę potrwa, bo symbole konają najdłużej, da się taką wojnę wygrać, zapewniam was, ale pewnie tylko na chwilę, długotrwała agonია daje krótkotrwałe zwycięstwo, bo zostawia po sobie mity, jest się od czego odbić, Żydzi to wiedzą, chrześcijanie zresztą też, Rzym was normalnie wykrwawiał i upadł, a Watykan został, ale ironia... Siedźcie, jeszcze nie skończyłem... No więc będzie tak, raz się przykręci śrubę, raz się odpuści, przycisnąć i poluzować, gięcie i prostowanie, w górę i w dół, nigdy do końca w górę i nigdy do samego dna, naród wytrzyma takich cykli najwyżej kilka i Żydzi stąd wyjadą, i tatuś miał rację, i w końcu kiedyś tam naród stanie dęba, tylko musi sobie znaleźć odpowiedni moment i odpowiedni symbol, i w tym też ta resztką Żydów się przyda, i najdłuższy bat tu nie pomoże, ale to jeszcze nic, dopiero jak zaczną wyjeżdżać z Rosji, Rosja padnie, bo Rosja przetrwa bez zarcia i bez wódki, ale nie przetrwa bez Żydów... I wszyscy odetchną z ulgą, Żydzi, Polacy i Rosjanie, nawet Niemcy, tylko artystom wyjdzie to bokiem, bo stracą źródło inspiracji i język, i pokusę bezpiecznej niezgody, i udrękę niebezpiecznej zgody, skończy się literatura i film, i zostaną tylko aktorzy, i będą mogli już tylko bawić, będą musieli, bo ból już nikogo nie będzie interesował, najwyżej współczucie albo wzruszenie, i na chleb nie zarobią, bo na targu sztuka chowa się w szczelinach bruku zasłanego sianem i końskim gównem, i sztuka upadnie, nie wytrzyma konkurencji z życiem, wolność jej zaszkodzi... Wolność, nawiasem mówiąc, też jest rodzaju żeńskiego... Jak to jest, że w polszczyźnie wszystkie ważne słowa są rodzaju żeńskiego, to ktoś wymyślił czy samo tak wyszło, nawet Polska jest rodzaju żeńskiego, podobnie jak miłość, prawda, mądrość i śmierć, ta miłość, tę prawdę, tą mądrością, taka śmierć, może nie tylko słowa mają płeć, może mają ją również najtrudniejsze momenty świata... Jeśli coś jest boleśnie trudne, jest kobiece, co współczuje i wywołuje współczucie, jest kobiece, wzrusza – kobiece, kobiece kocha, rodzi i umiera... Ale to nie

wieczna kobiecość pociąga nas hen, to wieczna terażniejszość... Zmierzcha się, już, już, jeszcze moment, już otwieram... Teraz mam kupę roboty, ale na stare lata otworzę sobie sklep z torturami albo raczej wypożyczalnię, żeby nie alienować uboższych, każdy będzie mógł sobie wypożyczyć książkę, której nie napisał, film, którego nie nakręcił, całe półki tomików poetyckich, olejne obrazy, nawet nie obrazy, same sztalugi wystarczą, a może zegary i kalendarze, pory roku, inicjacje, talenty, błoto i kurz, lastryko, kolędy... Raczej wypożyczalnia, kto by to kupił, ale wypożyczyć lekko używany debiut albo obłąkanego ojca, albo pośmiertne orderzy może prędzej, nie wiem, jeszcze o tym pomyślę, tak czy owak, nie będę zachęcał, wręcz przeciwnie, będę miał wiecznie zamknięte, otwieram rzadko i tylko na pół godziny, za każdym razem o innej porze, przeganiam chętnych i znowu zamykam, odnoszę wielki sukces, franczyzuję się po całym świecie, jestem bogaty, robię się sławny... Ale nie tu... Tu się nie opłaci, tu już jest za dużo tortur... Niemiec powie: ta Polska jest w połowie pusta. Rusek, że w połowie pełna. A Żyd, na odchodnym, że jest jej dwa razy za dużo... Ciemno, możecie iść, pani Wando.



Ta ostatnia niedziela zataczała cichnące kółko pod sklepieniem kościoła, kiedy gotowego do eulogii Morgę dopadł lęk, że nie wie, jak odmienić Smyczka w skomplikowanym retorycznie wołaczku. Smyczku? Smyczek? Ponaglany chrząknięciami i pokasływaniem piórkowskich uwierzył, że musi już zaczynać, bo dramatyczna pauza dobiegła końca i za sekundę będzie już tylko groteskowa, ale też dotarło do niego, że wiernym jest prawdopodobnie wszystko jedno, czy Smyczek będzie gramatycznie poprawny, czy nie. No dobra.

Panie chorąży Smyczek! Dla Boga, panie Smyczek! Larum grają! Wojna! Nieprzyjaciel w granicach! A ty się nie zrywasz? Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu? Zaliś dawnej przepomniał cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz? Kościoły, o Panie, zmieniają w gorzelnie i kuplety

śpiewać będą tam, gdzieśmy dotychczas Ewangelię śpiewali. Pogrążyłeś nas, Panie, odwróciłeś od nas oblicze Twoje i w moc sprośnemu bolszewikowi nas podajesz. Niezbadane Twoje wyroki, lecz kto, o Panie, teraz opór mu stawi? Jakie wojska wojować go będą? Takichże obrońców się pozbywasz, za których plecami cały naród mógł wysławiać imię Twoje? Ojczy dobroćliwy! Nie opuszczaj nas! Okaż miłosierdzie Twoje! Ześlij nam obrońcę, ześlij sprośnego bolszewika pogromcę, niech tu przyjdzie, niech stanie między nami, niech podniesie upadłe serca nasze, ześlij go, Panie! A jeśli nie, bo w gniewie swoim znów postanowiłeś nas doświadczyć, to pamiętaj, Panie, jedno Tve słowo nas z prochów wskrzesić będzie zdolne – gdy znów zasłużym na Tve ukaranie, obróć nas w prochy, ale w prochy wolne!

Skąd ta cisza?

*L.A. – N.Y.C. – Londyn
1995–2008*

Redaktor prowadzący: Dariusz Sośnicki

Redakcja: Marianna Sokołowska
Korekta: Magdalena Stajewska, Donata Lam

Projekt okładki: Szymon Wójciak

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka
Żółkiewskiego 7a

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, Foksal 17
tel./fax (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.wab.com.pl

ISBN 978-83-7881-033-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)
i Magdalena Wojtas / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow